

ALBATROS

ZA
KAŻDĄ
CENĘ

ROBERT
DUGONI

Tytuł oryginału: A STEEP PRICE

Copyright © La Mesa Fiction, LLC 2018 All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Lech Z. Żołędziowski 2021

Redakcja: Anna Walenko

Zdjęcie na okładce: © Katarzyna Mierzwinska/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8215-626-3

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O. Hlonda 2a/25, 02-972
Warszawa

*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp
upoważnia
wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu.
Wydawca informuje, że
publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w
jakikolwiek inny
sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach
cyfrowych lub
podobnych -jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Więcej darmowych ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)

Wszystkim kobietom, których dotknął rak piersi i które stoczyły z nim wspaniałą walkę.

Miejmy nadzieję, że pewnego dnia naukowcom się uda i w końcu znajdzie się lekarstwo.

Rozdział 1

Wtorek, 10 lipca 2018

Minął ponad rok od ostatniej sprawy, którą prowadzili w South Park Del Castigliano i Vic Fazio, detektywi z wydziału zabójstw, ale powód ich wizyty tutaj się nie zmienił. Kogoś znów zabito.

Poprzednim razem chodziło o zabójstwo dwóch prawników, którzy wdali się w skupowanie i modernizację ruder i których znaleziono martwych w jednym z nich, co miało stanowić nauczkę dla innych.

Mieszkańcy South Park nie byli zainteresowani żadnymi zmianami.

- To całkiem inny świat - powtórzył Del powiedzonko krążące w policji Seattle.

Jechali samochodem policyjnym przez most South Park nad szarzielonymi wodami rzeki Duwamish. Minęła właśnie szesnasta i lipcowe słońce odbijało się diamentowymi refleksami od powierzchni wody. Na niebie nie było ani jednej chmurki, temperatura powietrza przekraczała trzydzieści stopni.

Most wyprowadził ich na Cloverdale Street.

- A już myślałem, że po remoncie mostu South Park się zmieni powiedział Faz.

Dzielnica South Park dysponowała czymś, co na rynku nieruchomości uznawano za największą wartość z punktu widzenia modernizacji: lokalizacją, lokalizacją i jeszcze raz lokalizacją. Leżała w odległości dwudziestu minut jazdy z centrum Seattle, rzut kamieniem od lotniska Boeinga i niedaleko portu lotniczego Seattle-Tacoma. Gdy stary most South Park zamknięto dla ruchu w 2010 roku, remont ciągnął się ponad cztery lata i wyglądało na to, że nikomu się z nim nie spieszy. Bo o ile zatruta gleba i brudne wody South Park nie odstraszały od prób modernizacji, o tyle skutecznie robił to poziom lokalnej przestępczości. Duży odsetek mieszkańców tej dzielnicy stanowili członkowie gangu Sureno z Kalifornii Południowej, który obsługiwał meksykańskie kartele narkotykowe.

- Sądziłem, że znajdzie się deweloper, który zacznie skupować nieruchomości i podnosić czynsze, zwłaszcza w mieszkaniówce - mówił dalej Faz. - Ale teraz coś mi się widzi, że prędzej schudnę, niż do tego dojdzie. - Przy wzroście metr dziewięćdziesiąt trzy Faz ważył sto dwadzieścia dwa kilogramy. - Wygląda, jakbyś ty też ostatnio przybrał trochę na wadze - dodał, obrzucając partnera spojrzeniem.

Del był od niego o dwa centymetry wyższy, ale od czasu związku z Celią McDaniel z prokuratury hrabstwa King zrzucił prawie dwadzieścia trzy kilogramy.

- Znow zacząłem zreć węglowodany - mruknął. - Celia mówi, że woli, jak mam trochę więcej ciała.

- Ja też wolę. Bo zaczynaliśmy już wyglądać jak Flip i Flap. Dzwonił Billy, że da nam jakieś wsparcie?

Billy Williams był szefem zespołu A, a Del i Faz mieli w tym tygodniu telefoniczny dyżur w wydziale zabójstw. Zwykle wsparcie stanowili Tracy Crosswhite i Kinsington Rowe, druga para detektywów zespołu A, ale Tracy od ponad miesiąca była zajęta w sali sądu apelacyjnego hrabstwa King, gdzie toczył się proces o zabójstwo.

- Obiecał, że nam kogoś znajdzie. - Del skręcił w prawo i zwołnił przed rzędem zaparkowanych radiowozów.

Po południowej stronie jezdni stał tłum gapiów, kobiet i mężczyzn w różnym wieku, w kolorowych letnich strojach: T-shirtach i topach na ramiączkach, szortach i gumowych klapkach. Wachlowali się i mrużyli oczy przed oślepiającym blaskiem słońca.

- Cyrk przyjechał do miasta - prychnął Del. Minął zaparkowane pojazdy ekipy śledczej CSI oraz straży pożarnej, szukając miejsca do zaparkowania.

- Czwarta po południu w dzień powszedni? To lepsze niż pójście do kina. - Faz pokręcił głową. - Stań przed karetką.

Del wpasował się w wolne miejsce przed blokiem mieszkalnym z czerwonej cegły. Jego partner przesunął się na fotelu klimatyzowanego samochodu i włożył lekką marynarkę na koszulę z długimi rękawami i krawatem.

- Już czuję, jak się pocę - mruknął.

- Ja się pocę od urodzenia - powiedział Del. On też miał na sobie marynarkę, choć z powodu upału pozwolił sobie zdjąć krawat.

Dobiegł ich łoskot nadlatującego śmigłowca wiadomości telewizyjnych i Faz popatrzył w górę. Pierwsze, co będą musieli zrobić - o ile Billy jeszcze tego nie zrobił - to przepędzić stąd ten cholerny śmigłowiec. Pokazali odznaki dyżurnemu policjantowi i wpisali do rejestru obecności swoje nazwiska, numery służbowe i godzinę przybycia, po czym przeszli pod czarno-żółtą taśmą, którą odgrodzono miejsce przestępstwa. Większość policjantów skupiła się wokół niewielkiego placu zabaw pośrodku dziedzińca przy bloku mieszkalnym w kształcie litery U. Przykryte niebieską płachtą ciało leżało koło zielonych drabinek. Billy rozmawiał z

jednym z umundurowanych funkcjonariuszy, ale na widok Dela i Faza przerwał rozmowę.

- Dzwoniłeś w sprawie odwołania śmigłowca? - zapytał Faz.

- Taaa - mruknął Billy, wyraźnie bez wiary w to, że jego interwencja przyniesie jakiś skutek.

Śmigłowce mediów podlegały restrykcjom tylko wtedy, gdy naruszały przestrzeń zakazaną policyjnie. Stacji telewizyjnej wymierzano wówczas karę finansową, ale nawet w takich przypadkach - jeśli temat był odpowiednio gorący - stacja płaciła i robiła swoje.

- Uda nam się dowieść, że to mieszkanie znajduje się w granicach hrabstwa King? - spytał Del.

- Na to liczę - odrzekł Billy.

Część dzielnicy South Park podlegała jurysdykcji szeryfa hrabstwa King i jak głosiła branżowa anegdota, funkcjonariuszom jednej czy drugiej służby zdarzało się przenosić ciała ofiar na przeciwną stronę ulicy, żeby sprawa znalazła się w gestii tych drugich. Choć odpowiedź Billy'ego miała być żartem, Del nie skwitował jej uśmiechem. Od czasu wyposażenia policji w osobiste kamery ustało dowcipkowanie na miejscu przestępstwa i pewnie wszyscy niedługo zaczną łykać antydepresanty.

Billy poprawił czapkę, która chroniła przed słońcem jego ogoloną na łyso głowę.

- Ta sprawa może szybko zacząć śmierdzieć. Ofiarą jest Monique Rodgers. - Zawiesił głos, jakby to nazwisko powinno coś im mówić. Mogliście o niej czytać lub widzieć ją w telewizji, jak gardłuje przeciwko gangom i dilerom narkotyków w South Park.

- Ta aktywistka? - spytał Faz.

Jak przez mgłę przypominał sobie Afroamerykankę, która występowała na posiedzeniu rady miejskiej, mówiąc o pladze gangów i narkotyków.

- Niedoszła aktywistka - uściślił Billy. - Nie zdążyła dojść za daleko.

- Czy dlatego ktoś ją zastrzelił w biały dzień? - odezwał się Faz. Żeby dać nauczkę innym?

- Prawdopodobnie. - Billy pokiwał głową.

- Zakładam, że ktoś coś widział - wtrącił Del.

- Należałoby się tego spodziewać - rzucił Billy. - Podobno na placu zabaw było wtedy kilka matek z dziećmi, ale jak dotąd wszystkie grają w spektaklu "Nic nie widziałam, nic nie słyszałam, nie mówię po angielsku".

- Boją się - skwitował Faz.
- Ktoś jeszcze oberwał? - spytał Del.
- Żadnych innych zgłoszeń - odparł Billy.

- Czyli zakładamy, że to ona miała być ofiarą, tak? - upewnił się Faz, przenosząc wzrok na dwa murki z cegieł, ciągnące się po obu stronach chodnika i mogące stanowić dobrą osłonę w razie strzelaniny między dwoma rywalizującymi gangami.

Na terenie South Park działały bojówki Crips¹ oraz kilka gangów azjatyckich, choć wszystkie były dużo mniej liczne od Sureno. Jeśli doszło do strzelaniny między gangami, Rodgers mogła stać się przypadkową ofiarą wymiany ognia.

- Tak - potwierdził Billy. - Zważywszy, że nikt inny nie ucierpiał, a według świadków strzelała podobno tylko jedna osoba. - Spojrzał na wciąż wiszący w górze śmigłowiec. - W telewizji rozdmuchają fakt, że to wszystko działo się w biały dzień i w pobliżu były dzieci.

- A co z jej rodziną? - spytał Faz.

- Babcia wzięła stąd dzieci i zaprowadziła do domu. - Billy wskazał ręką narożnik bloku. - Podobno mąż przyjechał z pracy i jest teraz z nimi.

- Ktoś w ogóle coś mówi?

Billy pokręcił głową.

- Nie możemy nawet ustalić liczby strzałów ani tego, skąd padły. Tylko jedna kobieta zeznała przesłuchującemu ją policjantowi, że słyszała trzy strzały, chyba z tamtej strony. - Ponownie wskazał narożnik budynku.

- Znaleźli tam łuski? - zapytał Del.

- Nie, żadnych.

- Czyli albo kobieta się myli, albo facet strzelał z rewolweru - zauważył Faz.

- Ekipa przeszukuje teren pod kątem łusek - oznajmił Billy. - A Anderson-Cooper chodzą od mieszkania do mieszkania.

Desmond Anderson i Lee Cooper należeli do zespołu B, ale od czasu, gdy Anderson Cooper zaczął prowadzić wieczorne wiadomości CNN, nazwiska obu śledczych z Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych złąły się w całość i zaczęto o nich mówić w liczbie pojedynczej.

- Będzie nam potrzebna ekipa od nagrań - powiedział Faz. - Kamery któregoś z miejscowych sklepów albo którejś z firm mogły uchwycić zabójcę, jak ucieka lub wsiada do samochodu.

Ulica miała zróżnicowaną zabudowę i poza blokami mieszkalnymi były tu małe domy i sklepiki.

- Już są w drodze.

- Jak dużo z tego widziały dzieci? - zapytał Faz.

- Wszystko - odparł Billy.

Faz odwrócił głowę na dźwięk trąbek i gitar, typowej meksykańskiej muzyki, która dobiegła od strony ulicy. Jeźdźcą przetoczył się wiśniowoczerwony dwudrzwiowy chevrolet chevelle z czarnymi pasami na karoserii i złocistymi kołpakami na kołach, który wolno sunął przez osiedle.

- Pora na klaunów - mruknął Del.

Mężczyzna na fotelu pasażera miał ogoloną na łyso czaszkę i cienki wąsik, który łączył się z kocią bródką. Jego oczy zasłaniały duże okulary przeciwsłoneczne, co upodabniało go do muchy. Wystawione przez okno prawe ramię było gęsto pokryte tatuażami. Samochód jeszcze bardziej zwolnił, a mężczyzna zdjął okulary i wlepił wzrok w Faza.

- Mały Jimmy - powiedział Faz. - Tylko już całkiem wyrośnięty.

Przed dziesięciu laty wsadził do więzienia ojca Małego Jimmy'ego. Duży Jimmy przeżył tam tylko sześć miesięcy, bo członek konkurencyjnego gangu poderżnął mu gardło nożem.

Mały Jimmy uśmiechnął się szeroko, ułożył palce w kształt pistoletu i wymierzył w Faza, po czym udał, że ręka mu podskakuje po oddaniu strzału.

Rozdział 2

Tracy Crosswhite skrzywiła się, gdy obrońca Leonard Litwin przechylił stojący na stole plastikowy dzbanek i z głośnym chlustem nalał wody do papierowego kubka. W panującej na sali ciszy był to jedyny dźwięk. Litwin udawał, że musi nagle ugasić pragnienie, ale patrząc ze swego miejsca na podwyższeniu dla świadków, Tracy czuła, że obrońcę skłoniło do odejścia od pulpitu zupełnie co innego. Grał na zwłokę, jak obity bokser, który rozpaczliwie stara się dotrwać do końca rundy.

Normalnie Tracy nie przejmowałaby się Litwinem i jego sztuczkami, tyle że od trzydziestu siedmiu z pięćdziesięciu trzech minut, które upłynęły od ostatniej przerwy w rozprawie, po której zajęła miejsce na podwyższeniu dla świadków, chciało jej się siku. Naprawdę bardzo. Nie sądziła, by Litwin lub ktokolwiek inny na sali mógł się domyślać, co ją nęka ani że przyczyną tego jest szesnastotygodniowy płód pod jej sercem, ale to niczego nie zmieniało. Sędzia Miriam Gowin z pewnością nie zamierzała popędzać obrońcy oskarżonego, któremu groziła kara śmierci, a Tracy nie zamierzała ułatwiać Litwinowi sprawy, prosząc o przerwę, jednak z każdą minutą myślała z coraz większym współczuciem o Beth Duchance, biedaczce, która w drugiej klasie zsikała się w majtki. Duchance zapomniała przynieść pracę domową i naciskana przez nauczycielkę, zareagowała jak wystraszony miniaturowy pudel na widok wielkiego psa alfa. Przez całą resztę nauki w tej szkole, czyli wlokące się w nieskończoność osiem lat, Beth Duchance musiała znosić upokorzenia ze strony złośliwych smarkaczy i wrednych koleżanek z podstawówki, którzy przezywali ją Sikawka. Tracy nie chciała w podobny sposób zapisać się w pamięci personelu sądu.

Litwin przechylił kubek do ust i wypił wodę ostentacyjnie małymi łydkami, po czym zamiast odstawić kubek na stół, zaniósł go na pulpit i zaczął niespiesznie przeglądać notatki i protokoły zeznań w swoim segregatorze.

- Detektyw Crosswhite, powiedziała pani... - Zrobił taki ruch, jakby miał zacząć czytać, po chwili jednak przełożył kartkę, potem następną i następną. Tracy kątem oka dojrzała, jak kilkoro przysięgłych zerka na wielki zegar na przeciwległej ścianie. Duża wskazówka przeskoczyła, mijając dwunastkę, i Litwin w końcu podjął: - Powiedziała pani, że nie było żadnych odcisków palców na nożu. Zgadza się?

Tracy chwilę odczekała, dając czas oskarżycielowi, prokuratorowi Adamowi Hoetigowi, na zgłoszenie sprzeciwu, ponieważ już dwukrotnie udzieliła odpowiedzi na to pytanie, ale Hoetig siedział ze spuszczoną głową, jakby nagle zaciekawiał go wygląd jego mokasynów.

- Zgadza się - rzuciła.

- Zatem nie ma pani dowodu na to, że ten nóż należał do oskarżonego, czyż nie?

Pęcherz Tracy domagał się, by zignorowała tę uwagę, ona jednak nie mogła przepuścić okazji do zadania kolejnego ciosu Litwinowi i jego klientowi.

- Poza tym, że oskarżony sam oświadczył, że nóż pasuje do kompletu noży w jego kuchennej szufladzie, to nie.

Kilkoro przysięgłych skwitowało jej odpowiedź przeciągłymi spojrzeniami.

Litwin aż zeszywniał.

- Sformułuję pytanie inaczej. Detektyw Crosswhite, nie dysponuje pani dowodem na to, że ten nóż został użyty do. Nie ma pani dowodów rzeczowych na to, że żona oskarżonego zginęła od ciosu, który zadano właśnie tym nożem, prawda?

Ten kretyn sam mi się podkłada, pomyślała.

- Poza tym, że rękojeść tego noża sterczała z klatki piersiowej pani Stephenson, a ofiara miała jeszcze siedem innych ran kłutych, to nie, innymi dowodami nie dysponuję.

Przeciągłych spojrzeń było teraz więcej i niektórzy przysięgli zaczęli się uśmiechać.

Litwin się zjeżył, a na policzki wypłynął mu krwisty rumieniec.

- Pani detektyw, nie posiada pani dowodów rzeczowych na to, że tego noża użył.

- Na rękojeści noża sterczącego z klatki piersiowej żony oskarżonego nie znaleziono jego odcisków palców, tak, to prawda - przerwała mu Tracy, by przyspieszyć tę zabawę.

Jak było do przewidzenia, Litwin stanął twarzą do ławy sędziowskiej.

- Wysoki Sądzie, obrona prosi o zwrócenie świadkowi uwagi, że ma obowiązek wysłuchać mojego pytania do końca, zanim na nie odpowie.

Gowin spojrzała najpierw na zegar i dopiero potem skierowała wzrok na Tracy.

- Pani detektyw, proszę pozwolić obrońcy dokończyć pytanie. Przez nieznośnie długą chwilę Tracy z przerażeniem myślała, że Gowin pozwoli Litwinowi kontynuować, sędzia jednak dodała: - Panie mecenasie, jest już szesnasta pięćdziesiąt cztery. Czy myśli pan, że uda się panu zakończyć przesłuchanie detektyw Crosswhite w ciągu najbliższych sześciu minut?

Nie ma mowy, stwierdziła w duchu Tracy.

- Oceniam, że potrzebuję jeszcze godziny - odrzekł Litwin.

Nie potrzebował, ale to przesądziło sprawę. Obojgu należała się chwila zasłużonego wytchnienia.

- Zatem na dziś koniec - orzekła Gowin. - Jutro rano rozpoczniemy od ponownego wezwania detektyw Crosswhite na świadka.

- Zadzwoń - rzuciła Tracy do Hoetiga i nim zdążył się odezwać, wybiegła z sali rozpraw.

Rozdział 3

Faz odprowadzał wzrokiem czerwonego chevelle'a, aż samochód zniknął z pola widzenia, choć meksykańską muzykę słyszeć było jeszcze przez chwilę.

- Mały Jimmy nie jest już taki mały - zauważył Del, ocierając czoło chusteczką.

- No, całkiem duży skurwiel - potwierdził Faz. - To zdumiewające, jak śmieci zawsze spadają blisko śmieciarki.

- Chyba zapadłeś mu w pamięć - powiedział Del.

Kiedy Faz wsadzał Dużego Jimmy'ego do kryminału, Mały Jimmy miał czternaście lat.

- Już wtedy był niezłym łobuzem - stwierdził Faz.

Duży Jimmy handlował prochami w South Park. Kiedy pojawił się konkurencyjny gang z Los Angeles, wybuchła wojna. W ciągu dwóch tygodni zginęło trzynastu członków obu gangów. Kierowana przez Faza akcja doprowadziła do aresztowania ośmiu członków gangu Sureno, w tym Dużego Jimmy'ego, choć ten ani razu nie pociągnął za spust. Ława przysięgłych uznała, że Duży Jimmy zlecał egzekucje członków konkurencyjnego gangu. Rick Cerrabone, prokurator hrabstwa, oskarżył go na mocy Ustawy o Zwalczeniu Przystępczości Zorganizowanej i przysięgli skazali Dużego Jimmy'ego na dwadzieścia pięć lat odsiadki.

- Nie lubię, jak ktoś do mnie mierzy, wszystko jedno, faktycznie czy na niby - burknął Faz. - Może złożymy Małemu Jimmy'emu wizytę i ustalimy, czy ta przejażdżka miała być wiadomością dla widzów z drugiej strony ulicy.

- Mały Jimmy może na mnie liczyć - rzucił Del.

Faz odwrócił się i podszedł do ofiary. Ukucnął, podniósł róg płachty i przyjrzał się ciału Monique Rodgers. Musiała mieć niewiele po trzydziestce. Na przodzie bluzki widniała wielka ciemnoczerwona plama, a pęknięcia betonu dokoła wypełnione były zakrzepłą krwią. Faz opuścił płachtę i wyprostował się, czemu towarzyszyło chrupnięcie w kolanie.

- Które to mieszkanie? - zwrócił się do Billy'ego.

Ten wskazał narożnik bloku w kształcie podkowy. Na schodach przed wejściem stał umundurowany policjant.

- Ostatnie drzwi.

Faz wszedł za Delem po betonowych schodkach z żelaznymi poręczami i znaleźli się na zadaszanej galerii pierwszego piętra, zastawionej krzesłami i grillami na węgiel drzewny. W otwartych drzwiach mieszkań stali lokatorzy. Kilku z nich posłało detektywom wrogie spojrzenia.

- Czujesz tę miłość w powietrzu? - odezwał się Del.

- Cały się rozpływam - mruknął Faz.

Z głośniczka na ramieniu mundurowego odezwały się głosy i policjant sięgnął ręką, by je ściszyć, po czym podał Fazowi sztywną podkładkę z rejestrem obecności.

- W jakim są stanie? - spytał Faz. Wpisał do rejestru swoje nazwisko i numer służbowy i przekazał podkładkę partnerowi. - Chcą mówić?

- Nie bardzo - odparł mundurowy.

- Jest teraz z nimi ktoś z naszych?

- Nie. Siedzą w kuchni. Uprzedziłem ich, że śledczy będą chcieli z nimi porozmawiać.

Faz i Del weszli do pokoju z mocno podniszczonymi meblami. Przy kuchennym stole po lewej siedział Afroamerykanin, wyraźnie oszołomiony. Na kolanach trzymał wtuloną w niego dziewczynkę, ssącą kciuk. Po drugiej stronie stołu siedziała kobieta około pięćdziesiątki, z małym chłopcem na kolanach. Stojące w pełnym słońcu trzecie krzesło było wolne. W pokoju pachniało przypaloną kawą.

- Pan Rodgers? - Faz przedstawił siebie i Dela. - Bardzo panu współczuję.

Kobieta, trzymając chłopca na ręce, wstała od stołu i wyciągnęła drugą dłoń w stronę mężczyzny.

- Zabiorę ją - powiedziała.

- Dokąd? - Rodgers pokręcił głową. - Dokąd możesz ją zabrać, żeby była bezpieczna?

- Do drugiego pokoju. Zabiorę dzieci do sypialni. - Chwilę odczekała, ale dziewczynka nawet nie drgnęła, więc kobieta bez słowa odwróciła się i wyszła z chłopcem.

Detektywi zamierzali porozmawiać z nią na osobności, by ustalić, co widziała i słyszała na placu zabaw.

Rodgers przeniósł wzrok na Faza.

- No i co chcecie z tym zrobić? - Uniósł pytająco brwi.

- Zamierzamy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by znaleźć sprawcę. - Faz pamiętał o obecności dziecka i ostrożnie dobierał słowa.

- I co dalej?

- Staniemy na głowie, żeby trafił za kratki.

Rodgers pokręcił głową z taką miną, jakby go to niemal rozbawiło.

- Facet, który to zrobił... Przecież to jakiś nikt. Pionek, który miał się wykazać w swoim gangu. Pozbyć się skrzypiącego trybiku. - Faz nie mógł się z tym nie zgodzić. - Zamknięcie go nic nie da. - Rodgers skrzywił się, jakby mówienie tego sprawiało mu ból. - W ten sposób nie zwalczyacie narkotyków, gangom to nie zaszkodzi, a mnie nie przywróci Monique.

- Jeśli pionek wykonywał rozkazy, to będziemy mogli postawić w stan oskarżenia tego, kto mu je wydał - odparł łagodnym tonem Faz. - Na tej samej zasadzie wsadziliśmy za kratki Dużego Jimmy'ego, gdy przed dziesięciu laty kierował tu sprzedażą narkotyków.

- Taaa? I kogo przekonacie, żeby się zgodził zeznawać. - Tym razem słowa Rodgersa nie zabrzmiały jak pytanie.

- Pójdziemy krok po kroku - odparł Faz.

- Powiedział pan Dużego Jimmy'ego? - spytał Rodgers. - Ojca Małego Jimmy'ego?

- Zna pan Małego Jimmy'ego?

- Wszyscy go tu znają. Rządzi siatką dilerów i całym gangiem. To on jest głównym winowajcą.

- Rozumiem, że pańska żona była lokalną aktywistką, tak?

Rodgers przełknął łzy, a córka jeszcze mocniej się w niego wtuliła.

- Wcale nie miała takich ambicji - powiedział. - Monique chciała tylko zmobilizować ludzi, żeby pozbyć się prochów i broni z naszej społeczności. Stworzyć lepsze miejsce do życia dla naszych dzieci. Naciskała na lokalne władze, żeby zaczęły organizować zajęcia pozaszkolne, tak by dzieci nie musiały się włóczyć po ulicach i być łatwym celem dla gangów.

- Czy ktoś jej groził?

Rodgers zaśmiał się ze smutkiem.

- Bez przerwy, człowieku. Bez przerwy jej grozili. - Pokręcił głową.

- Bez przerwy... - powtórzył. - Ale Monique... Ona się tym nie przejmowała i robiła swoje. Ludzie z gangów łazili za nią pod sam dom. Albo przejeżdżali obok z muzyką nastawioną na pełny regulator.

Faz popatrzył na Dela. Przejazdźka Małego Jimmy'ego z ryczącą muzyką była czymś więcej niż tylko demonstracją braku szacunku. Była ostrzeżeniem.

- Monique stworzyła system straży obywatelskiej, żeby ludzie mogli przekazywać policji to, co zauważą.

- Jak na jej wysiłki zareagowała lokalna społeczność? - spytał Faz.

- Każdy się bał - odrzekł Rodgers bez chwili wahania. - Monique zorganizowała to w taki sposób, że wszystko odbywało się anonimowo, ale ludzie i tak się bali.

- Napotykała jakiś opór? - zapytał Del.

- Przecież ją zastrzelili, nie? - Rodgers uciekł spojrzeniem, lecz nie skupił wzroku na niczym konkretnym. - Na placu zabaw były matki z dziećmi, ale żadna nic nie zrobiła - powiedział cicho. - Jest im obojętne, kogo zabiją.

Opuścił głowę, wsparł podbródek o główkę córki i przytulił małą. Faz wiedział, że to tylko mizerna namiastka matczynych objęć.

Rozdział 4

Droga z budynku sądu do komendy policji przy Piątej Alei nie była długa, ale dość uciążliwa, bo prowadziła pod górę, a bogowie pogody zdecydowali, że w tym tygodniu w Seattle żar będzie lał się z nieba. Wchodząc do komendy, Tracy była złana potem, a jej pęcherz okazywał coraz większe zniecierpliwienie. Gdy wreszcie wysiadła z windy na szóstym piętrze, niemal zderzyła się z Kinsem. Jej partner był już w marynarce i wybierał się do domu. Od operacji wymiany stawu biodrowego przed czterema miesiącami zaczął się oszczędzać.

- Tracy, hej! Cieszę się, że cię widzę...

- Daj mi minutkę. - Wyminęła go i ruszyła w stronę toalet. Otwierając drzwi, niemal staranowała stojącą za nimi kobietę. - Przepraszam - rzuciła.

- Detektyw Crosswhite. - Kobieta wymówiła jej nazwisko takim tonem, jakby dobrze się znały.

Po kilku głośnych sprawach nazwisko Tracy stało się znane w całym wydziale. Poza tym pełniła funkcję mentorki dla kilku początkujących funkcjonariuszek, zwłaszcza tych, które musiały podciągnąć się w strzelaniu do egzaminu kwalifikacyjnego. Ale nie przypominała sobie tej kobiety z długimi do ramion kasztanowymi włosami.

Nieznajoma wyciągnęła rękę.

- Andrea Gonzalez - przedstawiła się.

Nazwisko też Tracy nic nie mówiło.

Gonzalez przeniosła wzrok na jej brzuch.

- Który to miesiąc? Szósty?

Tracy owinęła się szczerzej zakietem od kostiumu. O swojej ciąży powiedziała tylko Kinsowi. Obowiązujące w policji Seattle przepisy stanowiły, że ciężarna pracownica powinna zostać skierowana do mniej wymagających zajęć, co w jej przypadku oznaczałoby siedzenie za biurkiem, a tego bardzo chciała uniknąć.

- Kto ci powiedział?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Nikt. Sama widzę. Chociaż wyglądasz świetnie.

Tracy wcale nie wyglądała świetnie. Twarz miała obrzmiałą od nadmiaru wody w organizmie, włosy przyklepane z gorąca. Utyła już pięć kilogramów i czuła się gruba. Za to Gonzalez wyglądała tak świeżo, jakby

dopiero co przyszła do pracy. Może zresztą tak było. Miała na sobie czarne spodnie z gniecionej tkaniny, taki sam żakiet i niebieską bluzkę, która - jak by to określił Faz - eksponowała jej okazałe walory.

- Pewnie cię zastąpię, kiedy pójdziesz na macierzyński. - Na końcu zdania dało się wyczuć jakby znak zapytania, ale i tak zabrzmiało to jak stwierdzenie faktu.

- Co to znaczy, że mnie zastąpisz?

- Myślę, że po to mnie przyjęli. - Gonzalez uśmiechnęła się i po chwili dodała: - Przepraszam, myślałam, że ci powiedzieli. W tym tygodniu zaczynam. Jestem nowym piątym kołem zespołu A.

- A co z Ronem Mayweatherem?

- A kto to jest Mayweather? - Gonzalez wzruszyła ramionami i podeszła do umywalki, aby przejrzeć się w lustrze, po czym odkręciła kran i umyła ręce.

- Już od kilku lat jest naszym piątym kołem.

- Nie wiem. Powiedziano mi tylko, że mam się dzisiaj zgłosić do zespołu A. - Zerknęła na odbicie Tracy w lustrze. - Więc chyba będziemy razem pracowały... przynajmniej przez kilka miesięcy. - Wytarła ręce papierowym ręcznikiem i wyrzuciła go do kosza. - Miło było cię poznać - dodała i wyszła z toalety.

Tracy popatrzyła na zamykające się za nią drzwi, po czym spojrzała w lustro, na swoje odbicie, zwłaszcza na brzuch. Kupiła sobie kilka bluzek i żakietów, które miały maskować ciążę, i nikt z wydziału dotąd nie skomentował jej wyglądu. Tyle że w zespole pracowała z trzema mężczyznami, którym nie przyszłoby do głowy pytać kobietę, czy jest w ciąży. No, chyba że już by rodziła. Ale łatwość i pewność, z jaką Gonzalez rozpoznała stan Tracy, nasuwała podejrzenie, że ktoś musiał jej o tym powiedzieć. A jeśli tak, to rodziło się pytanie, czy Gonzalez została przyjęta do zespołu A tylko na zastępstwo, czy też po to, żeby zająć miejsce Tracy.

Rozdział 5

Tracy wrzuciła zgnieciony papierowy ręcznik do kosza i wyszła z toalety. Kins stał oparty o ścianę i udawał pochłoniętego swoim telefonem.

- Wiedziałaś o tym? - spytała.

Kiwnął głową jak skruszony uczeń.

- Nie wiedziałem, że jest w toalecie, ale... Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Zjawiała się dziś rano. Nolasco przedstawił ją i oświadczył, że dołącza do nas jako piąte koło.

- Wie, że jestem w ciąży. - Tracy ściszyła głos, bo w holu pojawiło się więcej ludzi. - Skąd ona, do cholery, wie o mojej ciąży?

- Pojęcia nie mam. Ja nic jej nie mówiłem. - Rozejrzał się po holu, po czym dał znak głową, żeby poszła za nim. Gdy weszli do sali konferencyjnej, zamknął za sobą drzwi. - Słuchaj, jadę zaraz do South Park. Del i Faz mają tam zabójstwo i potrzebują pomocy przy przesłuchaniach świadków, więc trochę mi się spieszy. Gonzalez nie mówiła ci, skąd to wie?

- Nie. Powiedziała, że sama to widzi, co mnie nie przekonuje, bo nigdy wcześniej się nie spotkałyśmy.

- I powiedziała, że wchodzi na twoje miejsce?

- Myśli, że po to ją przyjęto.

- Na pewno chodziło jej o zastępstwo na czas twojego urlopu macierzyńskiego.

- To dlaczego Nolasco nie mógł dać Rona na zastępstwo, tak jak to zrobił w czasie twojej operacji biodra?

- Rona przeniesiono do zespołu C.

- Kiedy to się stało?

- Dowiedziałem się o tym dziś rano, jak zjawiała się Gonzalez. Okazuje się, że Arroyo w styczniu przechodzi na emeryturę.

To ją zaskoczyło.

- Arroyo odchodzi z pracy?

Wzruszył ramionami.

- Podobno.

Zbaczali z tematu.

- Ron pracował z nami od trzech lat - powiedziała. - Dlaczego Nolasco go przenosi?

- Może dlatego, że nikt z naszej czwórki nigdzie się nie wybiera. Bo ty chyba nie, prawda?

- Co masz na myśli?

- Że po urodzeniu dziecka wrócisz do pracy. Bo chyba wrócisz, co?

- Tak samo jak ty po operacji biodra. Przez jakiś czas cię nie było, Ron cię zastępował, wróciłeś i wszystko jest po staremu.

- Zgadza się, tylko że ja nie musiałem zostawiać w domu starego stawu biodrowego.

Przez chwilę milczała, nie bardzo rozumiejąc, do czego Kins zmierza.

- Co takiego? - spytała w końcu.

- Chodzi o to, że ty zostawisz w domu swoje dziecko. I przecież nie musisz pracować. Wszyscy wiedzą, że Danowi dobrze się powodzi... nawet lepiej niż dobrze.

Tracy i Dan pobrali się rok temu.

- Dan właśnie zatrudnił kogoś w swojej kancelarii, żeby móc spędzać więcej czasu w domu. Nie zamierzam rezygnować z pracy. - Kins zrobił minę jak ktoś, kto stoi na krawędzi urwiska i boi się skoczyć. No co?

- Nic - odparł.

- Co jest?

- Nic. Muszę lecieć.

- Jeśli uważasz, że postępuję nieracjonalnie, to mi powiedz.

Spojrzał na zegarek.

- Dobra, tylko obiecaj, że nie urwiesz mi głowy. Po prostu potraktuj to jak przyjacielską rozmowę z kimś, kto już przez to przechodził.

Kins miał trzech synów.

- Jasne - rzuciła.

- Tracy, znam cię. - Uśmiechnął się nerwowo. - Słuchasz, ale jesteś gotowa się na mnie rzucić i gołymi rękami wyrwać mi serce.

Tracy przysunęła sobie krzesło, usiadła i założyła nogę na nogę.

- Jestem spokojna, widzisz? I słucham.

Milczał przez chwilę, zbierając myśli, a może też odwagę.

- To będzie twoje pierwsze dziecko, więc można śmiało powiedzieć, że nie potrafisz w pełni przewidzieć, co poczujesz, kiedy się urodzi.

- Wiem, że...

Kins uciszył ją gestem dłoni.

- Wysłuchaj mnie do końca.

Uniosła rękę, jakby chciała powiedzieć: "Poddaję się, mów".

- Wiem, że gdy rodzi się dziecko, człowiek myśli, że właściwie nic się nie zmieni, że jeśli chodzi o pracę, będzie tak samo. Ale to nieprawda. W jego życiu zmienia się wszystko, co oczywiście nie znaczy, że na gorsze. Po prostu się zmienia. A najtrudniejsze jest zostawianie najlepszej części siebie w domu, pod opieką kogoś obcego. Ja tego nie chciałem. Shannah też nie. I dlatego rzuciła pracę i została w domu, mimo że tak naprawdę nie było nas na to stać. I choć Shannah zostawała w domu, dla mnie to nadal było bardzo trudne. Jechałem do pracy i nie mogłem się doczekać, kiedy wrócę do domu i zobaczę moich chłopaków.

Po latach pracy z Kinsem Tracy wiedziała, czym są dla niego synowie. Była świadkiem ich dorastania i słuchała opowieści o nich.

- Nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie zaczną ich trenować w Małej Lidze i będę mógł chodzić na ich szkolne mecze. Uwielbiałem to. Uwielbiałem każdą taką minutę. A teraz za parę miesięcy odwieziemy Connora do college'u i już myślę o tym z przerażeniem, bo wiem, jak nas to zaboli. Zaboli świadomość, że nie śpi w swoim łóżku. Że ma inne łóżko i inne życie w gronie ludzi, których nawet nie znam. - Głos uwiązał mu w gardle i Tracy uświadomiła sobie, że Kins walczy, by nie wybuchnąć płaczem. Po chwili wypuścił wstrzymywane powietrze i ciągnął: - Wiem, że każdy rodzic przez to przechodzi. Każdy rodzic musi się kiedyś pożegnać ze swoim dzieckiem, ale wierz mi, że ta wiedza w niczym nie pomaga. Więc mówię ci: czas strasznie szybko płynie. Nim się obejrzysz, dużo szybciej, niż się spodziewałaś, będziesz je odwoziła do college'u i żegnała się z nim. I będziesz się zastanawiać, gdzie się podziały te wszystkie lata. Będziesz patrzeć na fotografie, nie pamiętając nawet, kiedy było takie małe. I będziesz chciała, żeby wciąż było takie. Żeby te dni wróciły i żeby znów było w domu. I dlatego mówię ci, Tracy: nie traktuj pozostania w domu jak kary, bo możesz tego potem żałować, bo... Słuchaj, muszę już lecieć.

Kins otworzył drzwi i wypadł z sali, nie skończywszy zdania. Ale nie musiał. Tracy domyślała się, co chciał powiedzieć.

Bo to może być twoje jedyne dziecko.

* * *

Po wyjściu z sali konferencyjnej Tracy naląła sobie w kuchni kubek kawy bezkofeinowej - uznała, że to najlepiej ją uspokoi - po czym ruszyła do swojego biurka. Ogarniały ją fale gorąca, tak jak wtedy, gdy szła pod górę do budynku komendy, i nie mogła uwolnić się od myśli o rozmowie z Andreą Gonzalez.

"Który to miesiąc? Szósty?"

Boże, czyżby wyglądała tak grubo?

Kins też ją zaskoczył. Nie wątpiła, że kocha swoich trzech synów, ale słyszała też od niego wiele utyskiwań: na ich głupie pomysły, na wieczny bałagan w domu, na wezwania do szkoły, bo któryś z nich narozrabiał lub opuścił się w nauce. Trudno było patrzeć na niego, jak ze łzami w oczach mówił w sali konferencyjnej o wyjeździe najstarszego syna do college'u. Takie okazywanie emocji rzadko się zdarzało funkcjonariuszom policji.

Tracy weszła do "zagrody" zespołu A i ujrzała siedzącą przy jej biurku Andreą Gonzalez. Takie zachowania były czymś niespotykanym w pracy policyjnej. Biurka i boksy biurowe traktowano jak świętość. Piąte koła w zespole siadywały przy terminalu komputerowym w głębi pokoju. Gonzalez zachowywała się tak, jakby na dobre się wprowadziła. Powiesiła żakiet w szafce Tracy, a na jej biurku stał kubek z kawą ze Starbucksa, ze śladami czerwonej szminki na krawędzi.

- Przepraszam, ale co ty robisz przy moim biurku? - spytała Tracy.

Gonzalez odwróciła głowę.

- Co?

Tracy wskazała na biurko.

- Co ty robisz przy moim biurku? - powtórzyła.

Gonzalez patrzyła na nią takim wzrokiem, jakby nie zrozumiała pytania.

- Myślałam, że dziś resztę dnia spędzisz w sądzie. Kapitan Nolasco kazał mi zapoznać się z twoimi bieżącymi sprawami.

Tracy spojrzała na ekran monitora i zobaczyła na nim jeden ze swoich dokumentów.

- Jak weszłaś do moich akt?

- Kapitan Nolasco polecił informatykom, żeby podali mi twoje hasło.

Tracy zacisnęła zęby, żeby nie wybuchnąć. Mogła się tego spodziewać. Nolasco musiał maczać w tym palce. Nikt bardziej od niego nie ucieszy się z jej odejścia.

- Zaraz się stąd wyniosę. - Gonzalez wstała i wzięła kubek z kawą. - Przepraszam, ale nie wiedziałam, że łamię jakieś zasady. U nas w LA często siadamy przy wolnym biurku i rozkładamy się na nim.

Tracy nie miała ochoty wdawać się w dyskusję.

- Muszę zadzwonić - burknęła.

Gonzalez spojrzała na zegarek.

- Czuję, że nie najlepiej zaczęliśmy. Mogę cię zaprosić na piwo? Popatrzyła na brzuch Tracy i skrzywiła się. - Przepraszam. Może na coś bezalkoholowego?

Tracy opanowała wybuch gniewu, bo uznała, że lepszym jego adresatem będzie Nolasco. A może to tylko hormony szaleją.

- Dzięki, ale nie mogę. Biorę udział w procesie sądowym i przed jutrzejszą rozprawą muszę coś ustalić z prokuratorem.

- Jasne. Słyszałam. W każdym razie przepraszam, że zajęłam twoje biurko.

Gonzalez wyszła z boksu.

Tracy usiadła i nacisnęła klawisz spacji. Komputer automatycznie przełączył się na zabezpieczoną hasłem stronę startową, jak to robił zawsze, gdy klawiatura przez pewien czas pozostawała nieużywana. Wpisała swoje hasło, ekran ponownie ożył i ukazał się plik założony pewnie przez Dela po strzelaninie w South Park, jeszcze zupełnie pusty. Otwierane też były jej maile. Zajrzała do skrzynki nadawczej, ale od wczorajszego popołudnia nie wysłano z jej komputera żadnej nowej wiadomości.

Zadzwonił telefon na biurku. Czując kompletny mętlik w głowie i bojąc się, że to może dzwonić ktoś do Gonzalez, nie zgłosiła się tak jak zwykle, podając stopień i nazwisko, tylko rzuciła suche "Halo".

- Och, chciałabym rozmawiać z detektyw Crosswhite.

Tracy nie rozpoznała kobiety, która dzwoniła.

- Mówi detektyw Crosswhite.

- Tracy? - Głos brzmiał niepewnie. - Tu Katie. Katie Pryor.

- Katie, cześć. Przepraszam. Miałam... miałam co innego na głowie i... nieważne. Hej, jak ci się wiedzie w nowej pracy?

Pół roku temu Talia Greenwood z biura osób zaginionych odeszła na emeryturę po ponad trzydziestu latach pracy i na jej miejsce Tracy poleciła Pryor. Katie Pryor, matka dwóch dziewczynek, namawiana przez męża, by

rzuciła pracę i została w domu, kiedyś podczas treningu na strzelnicy wyznała Tracy, że szuka zajęcia o bardziej unormowanym czasie pracy.

- Podoba mi się. znaczy na tyle, na ile może się podobać szukanie zaginionych. Stałe godziny pracy pozwalają mi lepiej zaplanować czas w domu z dziećmi.

Kiedyś na samą wzmiankę o "zaginionych" Tracy robiło się niedobrze. Ponad dwadzieścia lat temu jej siostra Sara została uprowadzona i wszelki ślad po niej zaginął. Jednak z biegiem lat reakcje Tracy złagodniały.

- Słuchaj, nie chcę zajmować ci czasu - powiedziała Pryor. - Wiem, że bierzesz udział w procesie Stephensona, ale dostałam właśnie zgłoszenie od kobiety, która twierdzi, że jej współlokatorka zaginęła, i mam złe przeczucia. Normalnie nie zawracałabym ci głowy, nie mając dokładniejszych danych, ale mój kapitan przez najbliższe dwa tygodnie będzie w Europie, a kobieta, która złożyła zawiadomienie, przynosi się na stałe do Londynu, więc pomyślałam, że zanim wyjedzie, powinien z nią porozmawiać ktoś z ciężkich przestępstw. Ta zaginiona nie wygląda mi na kogoś, kto nagle zbiera manatki i znika.

- Ile ma lat? - spytała Tracy.

- Dwadzieścia cztery. Wspólnie wynajmowały mieszkanie w Dzielnicy Uniwersyteckiej, w pobliżu kampusu.

- Studentki?

- Absolwentki college'u. Ta zaginiona podobno starała się o przyjęcie na medycynę.

Większość zaginionych uprawia zawody podwyższonego ryzyka, jak choćby prostytutkę, albo należy do grupy wysokiego ryzyka, jak narkomani, osoby z zaburzeniami umysłowymi lub cierpiące na alzheimera czy demencję starczą.

- Ta zgłaszająca była jej współlokatorką?

- Do niedawna.

- A co niedawno się wydarzyło?

- Wyszła za mąż w Indiach, dość nieoczekiwanie, sądząc po jej słowach. Do tego stopnia nagle, że powiedziała o tym swojej współlokatorce dopiero po powrocie. I właśnie teraz przynosi się na stałe do Londynu.

- A dlaczego myśli, że jej koleżanka zaginęła?

- Nie może się do niej dodzwonić na komórkę, nie dostaje odpowiedzi na swoje esemesy i maile. Twierdzi, że jej współlokatorka po prostu

zniknęła. To skomplikowane.

- Od jak dawna jej nie ma?

- Od prawie doby.

Tracy wiedziała, że dla bliskich doba może wydawać się wiecznością, ale dla policji nie, chociaż to już uległo pewnej zmianie. Wcześniej policja w Seattle oczekiwiała czterdzieści osiem godzin, zanim była gotowa uznać kogoś za zaginionego, jednak po niedawnej sprawie pielęgniarki, która poznała przez internet mężczyznę i zniknęła, przystępowano do działania nieco szybciej. Fragmenty ciała pielęgniarki znaleziono w pojemnikach na śmieci w różnych częściach miasta.

- Mówi, że przyjaźniły się od dzieciństwa i że tamta na pewno nie wyjechałaby bez słowa. - Pryor zaszeleściła papierami. - Przykro mi... trochę to wszystko pogmatwane. Zgłaszająca zaginięcie nazywa się Aditi Dasgupta.

- Hinduska?

- Tak. Ona i jej współlokatorka, Kavita Mukherjee, od dziecka chodziły razem do szkoły, a od dwóch lat mieszkały razem w wynajętym mieszkaniu w Dzielnicy Uniwersyteckiej. Obie szykowały się do studiów medycznych.

- Nie rozumiem.

- Ja też nie. Funkcjonariusz, który przyjął zgłoszenie, mówi, że ta zgłaszająca zaginięcie, ta, Dasgupta, niedawno wyszła za mąż w Indiach. i najwyraźniej jej małżeństwo zostało zaaranżowane. Zaginiona współlokatorka, Kavita Mukherjee, nic o tym nie wiedziała.

- Nie wiedziała, że jej przyjaciółka wychodzi za mąż?

- Najwidoczniej nie. W każdym razie Dasgupta twierdzi, że jej współlokatorka, Kavita Mukherjee, była bardzo rozżalona, gdy się o tym dowiedziała.

- Może tak się przejęła, że musiała gdzieś wyjechać, by ochłonać i wszystko przemyśleć.

- Może, ale Dasgupta nie sądzi, żeby tak było. Mówi, że to do niej niepodobne.

- Wprowadziłaś już jej dane do bazy osób zaginionych? - spytała Tracy.

- Nie miałam jeszcze kiedy. Na razie obdzwaniam jej rodzinę i znajomych. Dzwoniłam też do jej pracodawcy. Nikt nie miał od niej żadnej wiadomości.

Tracy spojrzała na zegar w prawym dolnym rogu ekranu. Liczyła, że wróci do domu o przyzwoitej porze. Wiedziała, że Nolasco nigdy nie

wyrazi zgody na to, żeby zajęła się czymś zaginięciem, o ile nie będzie wyraźnych dowodów na kryminalny charakter sprawy. Zwłaszcza że Faz i Del mieli teraz na głowie zabójstwo w South Park i zapewne będą potrzebowali wsparcia.

- Jesteś jeszcze w biurze? - spytała.

- Tak.

- Wstąpię do ciebie w drodze do domu. Ale muszę przedtem zadzwonić. Możesz trochę poczekać?

- Oczywiście - powiedziała Pryor. - Chcesz, żebym ci wysłała to, co już mam?

- Nie - odparła Tracy, czując, że Nolasco i tak się nie zgodzi, by się tym zajęła. - Wydrukuj mi tylko raport. Odbiorę go od ciebie na miejscu.

- Bardzo ci dziękuję. Wiem, że jesteś zajęta, ale... Znasz to uczucie, kiedy gdzieś w środku czujesz, że coś nie gra.

Tracy znała je aż za dobrze.

Rozdział 6

Anderson-Cooper chodzili od drzwi do drzwi po całym osiedlu, szukając naocznych świadków strzelaniny, a Del i Faz zajęli się sklepami i firmami, w nadziei że znajdą gdzieś nagranie z kamery, na którym widać będzie zabójcę uciekającego z miejsca przestępstwa lub wsiadającego do samochodu, albo w ogóle cokolwiek. Ponieważ nastał już wieczór i część firm była zamknięta, Faz notował nazwy i adresy, by mogli tam wrócić jutro z samego rana. Jeśli w firmie był monitoring, chcieli obejrzeć nagranie, zanim zostanie zastąpione nowym materiałem. Zadzwoił też do inspektoratu ruchu z prośbą, by sprawdzono i zachowano nagrania z pobliskich kamer monitoringu ulicznego. Matka Monique Rodgers zeznała, że strzały słychać było we wschodniej części osiedla. Jeśli tak, to biegnąca równoległe do budynku ulica South Cloverdale stanowiłaby naturalną drogę ucieczki zabójcy.

Właściciel stacji benzynowej przy końcu ulicy oświadczył, że jego kamery pilnują przede wszystkim dystrybutorów, ale mogły też zarejestrować fragment ruchu ulicznego. Nie chcąc tracić czasu, Del i Faz zostawili jednego ze śledczych z sekcji wideo, żeby przejrzał nagrany materiał, a sami udali się do sklepu spożywczego po drugiej stronie ulicy, który niemal na pewno też miał monitoring.

Faz pchnął szklane drzwi, wprawiając w ruch dzwoneczki przyczepione w środku do klamki. Powitał ich mężczyzna jego wzrostu i tak tęgi jak Faz i Del razem wzięci.

- Czym mogę służyć? - rzucił z nachmurzoną miną.

Na głowie miał kok z kręconych czarnych włosów. Mięsiste łapska złożył na wydatnym brzuchu, a oba jego bicepsy, każdy grubości uda przeciętnego mężczyzny, były ozdobione wymyślnymi tatuażami. Ubrany był w szorty, T-shirt i klapki.

Detektywi przedstawili się i wyjaśnili powód swej wizyty. Sklepikarz miał miękki uścisk dłoni i dużo wyższy głos, niż Faz spodziewałby się po osobniku tej postury. Przedstawił się jako Tanielu Eliapo i dodał, że znajomi mówią na niego Tanny.

- Tak jest łatwiej - wyjaśnił. - Słyszałem o śmierci tej kobiety.

- Od kogo pan słyszał?

- Człowieku, mówili o tym w wiadomościach. - Odwrócił się i kiwnął głową w stronę małego telewizorka nad kontuarem z kasą.

Siedziała tam kobieta niemal równie zwałista jak on, o rysach także zdradzających polinezyjskie pochodzenie, i mierzyła ich ponurym

wzrokiem. Na kontuarze stał wentylator, który obracał się z lewej strony do prawej i z powrotem, poruszając przy tym kwiecistą suknią kobiety i rozwiewając kosmyki włosów na jej głowie.

- Hej, wy tam! - krzyknął Tanny do dwóch latynoskich chłopaków, sterczących przy stojaku z prasą koło wejścia. Chłopcy drgnęli i popatrzyli na grubasa, a ten wskazał im wywieszkę na ścianie. - Nie ma czytania bez kupowania. Więc się decydujcie. - Wyciągnął rękę w stronę zwisającej z sufitu kamery. - Niespodzianka, ludzie. Jesteście w ukrytej kamerze! Nawet jak ja nie zdążę, to kamera już was ma, a wtedy was dopadnę.

Nie spuszczając ich z oka, Tanny czekał, aż odłożą magazyn na stojak i podejdą do kasy, z butelką napoju gazowanego i paczką cukierków. Dopiero wtedy znów spojrzał na Faza.

- Słyszałem, że ludzie boją się rozmawiać z policją.

- Gdzie pan to słyszał? - spytał Faz, bo to już nie mogło pochodzić z telewizji.

- Człowieku, wiadomości szybko się tu rozchodzą.

- I co jeszcze pan słyszał? - zapytał Del.

- Słyszałem, że Mały Jimmy rozpowiada na ulicy, że sobie nie życzy, by ktoś z wami rozmawiał.

Czyli domysły Faza, że Mały Jimmy miał z tym coś wspólnego, okazywały się trafne.

- Zna go pan?

- Słyszałem o nim. Ricardo Luis Bernadino Jiminez. - Tanny wypowiedział to jednym tchem i skrzywił się, jakby coś mu źle zapachniało. - To bandzior. Słyszałem, że jego ojciec, Duży Jimmy, był kimś ważnym w South Park, że robił wiele dla miejscowych. Ale Mały Jimmy nie jest nikim ważnym, chociaż jemu się zdaje, że jest. Słyszałem, że pracuje dla jednego z meksykańskich karteli. W dawnych czasach Duży Jimmy handlował ziołem. Mały Jimmy robi w heroinie. To straszne gówno, człowieku. Może zabić.

Faz spojrzał na swojego partnera, którego siostrzenica niecałe sześć miesięcy wcześniej przedawkowała heroinę. Del nie zareagował.

- A pan się go nie boi? - spytał Faz.

Tanny parsknął, jakby to pytanie go rozbawiło.

- A co on mi może zrobić? Wie, że jak tknie mnie albo mój biznes, to brachy się nie ucieszą. Wierz mi, człowieku, że on nie zaryzykuje narażenia się brachom.

Spoglądając na posturę Tanny'ego - nie mówiąc już o kobiecie za kasą - Faz pomyślał, że chyba wie dlaczego. Kobieta wyglądała na taką, która potrafi schrupać kawałki szkła i wysrać kolorowy witraż. Wskazał ręką na sufit.

- Macie tu wideo?

Tanny kiwnął głową w stronę kobiety.

- Pika lubi co wieczór obejrzeć sobie nagranie. Może je oglądać na swoim telefonie. Jak przykapuje, że ktoś coś kradnie, to następnym razem, kiedy ten ktoś się tu zjawi... nie ma z nią lekko. Bo ja, człowieku, nie lubię takich, co kradną. A Pika to już ma pierdolca na tym punkcie. - Wzruszył ramionami i szeroko się uśmiechnął.

- Moglibyśmy obejrzeć nagranie z dzisiaj około trzeciej po południu, może nawet ciut wcześniej? - spytał Faz.

- Chcecie to zobaczyć? - upewnił się Tanny.

- Jak najbardziej - potwierdził Del.

- Pika, idę na zaplecze. - Wskazał głową dwóch młodzieńców, którzy stanęli w drzwiach wejściowych. - Uważaj na tych dwóch. Jak coś zwiną, to połam im gnaty.

Walnął mięsistą pięścią w dłoń drugiej ręki i znacząco odchrząknął, po czym poprowadził detektywów na zaplecze sklepu, gdzie na składanym stoliku stał komputer z monitorem. Pomieszczenie było zawałone kartonami i rozpakowanym towarem, w powietrzu wisiał intensywny zapach amoniaku. W rogu sterczał oparty o krawędź zlewu drewniany kij od mopa w blaszanym wiadrze. Jedyne okno nad stolikiem z komputerem było od wewnątrz zakratowane.

- Jak wam się podoba moje biuro? - Tanny szeroko rozłożył ramiona, jakby prezentował wnętrze. - Straszna nora, nie? - Postukał grubymi paluchami w klawiaturę i poruszył myszką. - Mówicie, że około trzeciej dziś po południu?

- Mniej więcej - odrzekł Faz, wkładając na nos okulary.

Tanny znów postukał w klawiaturę i na ekranie ukazał się czarnobiały obraz z datą i godziną w prawym dolnym rogu. Poruszając myszką, przewinął obraz do przodu, zatrzymał się na 14.33 i puścił nagranie z normalną szybkością. Kamera ukazywała głównie wnętrze sklepu i kasę z siedzącą za nią Piką, ale widać też było szklane drzwi wejściowe oraz fragment parkingu i ulicy, jednak wewnętrzny barometr Faza nadal wskazywał "wątpliwe" w odniesieniu do przydatności nagrania. Obaj z Delem przyglądali się, jak do sklepu wchodzi kolejni klienci, kupują coś i

wychodzą. Faz wpatrywał się w widoczny przez drzwi kawałek ulicy i śledził wzrokiem przejeżdżające samochody, parking i przechodniów.

- Można by to przyspieszyć? - odezwał się Del po piętnastu minutach oglądania. - Jeśli coś zauważymy, możemy zatrzymać i cofnąć.

- Nie ma sprawy, człowieku. - Tanny wcisnął przycisk szybkiego przewijania i obraz przyspieszył, ale nie za bardzo. - Chcecie jeszcze szybciej?

- Nie, tak jest dobrze - rzucił Del.

- Zaraz! - zawołał Faz po kolejnych paru minutach. - Możemy to cofnąć?

- Coś zauważyłeś? - spytał Del.

- Jeszcze nie wiem.

Tanny cofnął taśmę.

- Tutaj. Niech pan zatrzyma. Trochę do przodu. Stop. Widzisz? Faz pokazał partnerowi prawy róg ekranu, w którym pojawiła się jakaś rozmyta postać.

- No, widzę - potwierdził Del bez entuzjazmu w głosie.

- Niech pan włączy "Play" - powiedział Faz, nachylając się. Postać na ekranie przebiegła przez fragment trawnika w stronę jezdni, jednak zbyt daleko od kamery, aby dało się rozróżnić jej rysy. - Proszę zatrzymać - rzucił Faz i nachylił się jeszcze bardziej. - Co on ma na głowie?

- Widzę go. - Tanny wyciągnął palec wskazujący. - To kaptur. Wiecie, taka bluza z kapturem. Ma naciągnięty na głowę. Widzicie?

- Tak, widzę - odparł Faz. - Chyba ma pan rację.

- Zasłonił nim całą twarz - dodał Tanny.

- Dziś musiało być ze trzydzieści stopni - zauważył Del.

- Dwadzieścia dziewięć - sprostował Tanny. - To głupota, wiem, ale oni tu wciąż chodzą w kapturach na głowie. W kapturach i podkoszulkach.

- I tak zakrywają głowy? - spytał Del.

- Aż tak często tego nie widzę - odparł Tanny.

Faz próbował wychwycić jakieś charakterystyczne cechy: firmowe logo, coś wyróżniającego bluzę, ale jeśli nawet coś takiego było, odległość od kamery była za duża, by mógł to dostrzec. Popatrzył w dolny prawy róg ekranu, odczytał godzinę i spojrzał na Dela.

- Czas się zgadza - powiedział.

- Miejsce też - potwierdził Del.

Ścieżka przez trawnik biegła od tyłu osiedla do ulicy.

Tanny popatrzył na detektywów.

- Myślicie, że to może być ten zabójca?

- Trudno powiedzieć - odrzekł Del. - Może tak, może nie.

- Jak go możecie zidentyfikować w tym kapturze na głowie? - spytał Tanny.

- Nie wiem - rzucił Faz. - Proszę puścić dalej.

Tanny wcisnął przycisk. Mężczyzna zeskoczył z krawężnika i zachwiał się, jakby skręcił sobie kostkę, i żeby zachować równowagę, oparł się o maskę zaparkowanego samochodu. Potem się wyprostował i pokuśtykał na drugą stronę ulicy, manewrując między samochodami na jezdni. Dotarł niemal do skraju kadru, ale widać było jeszcze, jak wsiada na fotel pasażera dużego białego pojazdu, chyba SUV-a. Ułamek sekundy później pojazd ruszył i zniknął z kadru.

- Widziałeś to? - zapytał Faz.

- Widziałem.

Tanny zatrzymał nagranie i spojrzał na detektywów.

- No i co o tym myślicie, brachy? - spytał.

- Wątpię, żeby udało się odczytać numer rejestracyjny tego samochodu, nawet jak podrasują obraz - zwrócił się Del do Faza. - Jest za daleko i za mało klatek, żeby mogli coś z tym zrobić. Ale może się uda zidentyfikować ten zaparkowany samochód, o który oparł się ręką.

- Możliwe - przyznał Faz. - A ten biały SUV, do którego wsiadł, mógł zostać wychwycony przez którąś z kamer ulicznych. I na wszelki wypadek powinniśmy sprawdzić miejscowe szpitale, czy nie zgłosił się ktoś z urazem kostki.

- Wątpliwe, ale warto spróbować - powiedział Del.

Faz wyjął komórkę, by zadzwonić do śledczego z sekcji wideo.

- Przyślę tu kogoś po to nagranie - oznajmił.

- Nie ma sprawy, człowieku. - Tanny wzruszył ramionami.

Faz wręczył mu wizytówkę, która w potężnych dłoniach Tanny'ego wyglądała jak znaczek pocztowy.

- Wiem, że się pan nie boi Małego Jimmy'ego i nie będę pana pouczał, co ma pan robić, ale na pańskim miejscu nie chwaliłbym się naszą wizytą -

powiedział. - Mały Jimmy może i jest pętakiem, ale jeśli pracuje dla Sureno, może mieć pan duże kłopoty.

Tanny uśmiechnął się.

- Nie jestem głupi, człowieku. To, co widzieliście tam - wyciągnął rękę w stronę wejścia do sklepu - było tylko na pokaz. Bo tu nie wolno okazywać strachu. Jak okażesz strach, to ludzie obrobią cię do gołej skóry. Ale co do tego, brachy, to tak, kapuję. Niespieszno mi do kulki w łeb. Jak już mówiłem, Mały Jimmy to walnięty bandzior.

Rozdział 7

Tracy skończyła rozmawiać z prokuratorem Adamem Hoetigiem i odłożyła słuchawkę. Omówili jej zeznanie, a także możliwe słabe punkty, jakie mógł zaatakować Leonard Litwin podczas jutrzejszego przesłuchania. Wyznała też Hoetigowi, że cierpi na zapalenie pęcherza moczowego i byłaby wdzięczna za przerwę w połowie porannej sesji, jeśli się okaże, że przesłuchanie potrwa ponad godzinę. Tracy miała być ostatnim zeznającym świadkiem, a Hoetig nie zamierzał powoływać dodatkowych świadków oskarżenia, więc wymówił się od spotkania z nią, chcąc poświęcić więcej czasu na przygotowanie mowy końcowej.

Tracy wyszła z boksu i ruszyła w stronę gabinetów szefostwa. Chciała złapać kapitana Nolasco przed jego wyjściem i spytać go o Rona Mayweathera oraz rzekome odejście Arroya na emeryturę, a także wyczuć, czy szef wie o jej ciąży i czy to on powiedział o niej Gonzalez. Żaluzje na szklanych ścianach jego gabinetu były spuszczone, więc nie dało się zobaczyć, co dzieje się w środku. Tracy zapukała, usłyszała słowo "Wejść" i otworzyła drzwi.

Kapitan siedział za biurkiem, z kubkiem herbaty w dłoniach, a na jednym z dwóch krzeseł przed nim siedziała Andrea Gonzalez. Spojrzała na wchodzącą Tracy.

- Wy już się poznałyście, prawda? - rzucił kapitan.

- Tak - odrzekły jednocześnie.

Tracy popatrzyła na Nolasca.

- To ja przyjdę później - bąknęła.

- Nie, nie, ja już wychodzę - odezwała się Gonzalez. - Dzięki, kapitanie. Zajmę się tym. - Wstała, uśmiechnęła się do Tracy i wyszła.

- Lepiej też tego posłuchaj - powiedział Nolasco, nim Tracy zdążyła wejść dalej do gabinetu. - Słyszałaś już o strzelaninie w South Park?

- Tak, od Kinsa, jak wróciłam z sądu.

- Ktoś strzelał na placu zabaw na osiedlu mieszkaniowym i zabił matkę dwojga dzieci. Występowała głośno przeciw narkotykom i tamtejszym gangom. Media już się na to rzuciły, a to znaczy, że za chwilę dopadną nas. Wysyłam tam, kogo się da, do pomocy Delowi i Fazowi. Na jakim etapie jest ta twoja sprawa w sądzie?

- Jutro rano będę znów zeznawać jako świadek.

- Kto będzie po tobie?

- Nikt, chyba że Hoetig wezwie jeszcze kogoś albo Litwin zmieni przez noc zdanie. Prokurator liczy, że wygłosi mowę końcową na sesji porannej lub na początku popołudniowej.

- Jak tylko się z tym uporasz, Del i Faz będą potrzebowali twojej pomocy - powiedział Nolasco.

Prowadzący sprawę detektyw policyjny zwykle siedział obok prokuratora podczas całego procesu, od wniosków wstępnych stron aż po werdykt ławy przysięgłych. W założeniu miało to ocieplić wizerunek strony oskarżającej.

- Czy przypuszczamy, że tego zabójstwa w South Park dokonano w odwecie? - spytała Tracy.

- Tak.

- To jest terytorium Sureno - zauważyła.

Miała do czynienia już z dwoma zabójstwami gangsterskimi na tym terenie.

- Chcę, żebyś zadzwoniła do Dela i Faza, jak tylko skończysz, i spytała, czego im potrzeba. - Nolasco opuścił wzrok na biurko, bo najwyraźniej uznał, że ich rozmowa dobiegła końca. Tracy się nie ruszyła, więc spojrzał na nią. - Coś jeszcze?

- Przekazałeś Gonzalez hasło do mojego komputera?

- Nie. Poleciałem jej skontaktować się z informatykami i uzyskać tymczasowe hasło dostępu.

- Wiesz przecież, że ma komputer w administracji, prawda? Nie musiała używać mojego.

- Del i Faz mają sprawę w South Park, ty i Kins siedzicie w sądzie, a ja nie chciałem, żeby wasza "zagroda" stała pusta. Poza tym chciałem, żeby Gonzalez zapoznała się z twoimi sprawami i trochę się zorientowała.

- Tak, tylko że korzystając z tymczasowego hasła dostępu, mogła też wejść do moich osobistych akt, do moich raportów.

Wszyscy śledczy mieli dostęp do dokumentacji wydziałowej, ale tylko detektyw prowadzący daną sprawę miał wgląd w raporty i akta "osobiste". O każdej nieupoważnionej próbie zajrzenia do takich dokumentów detektyw prowadzący był powiadamiany tak zwanym Vmailem, którego nazwa pochodziła od firmy Versaterm².

- Wszyscy jesteście zanadto wpatrzeni w swoje terminale. Dokumenty powinny być dostępne dla innych, bo śledztwo to działalność zbiorowa. Nie widzę w tym problemu - oświadczył Nolasco.

Tracy nie była pewna, czy kapitan przypadkiem jej nie bada, postanowiła więc wy badać jego.

- Ron wiedział o wszystkim, co się dzieje?

- Co masz na myśli?

- Ron był naszym piątym kołem i doskonale się orientował, nad czym pracujemy.

- Tak, ale zrobił się wakat w zespole C. Pod koniec roku Arroyo przechodzi na emeryturę.

- Słyszałam.

- Słyszałaś też, że Ron miał ochotę na to stanowisko, co oznaczało wakat dla piątego koła w zespole A?

- Ron chciał się przenieść do innego zespołu?

Nolasco wbił w nią wzrok.

- Coś jeszcze? - spytał.

- Strasznie szybko znalazłeś tę Gonzalez.

- Nieprawda. To się odbyło poza mną i mówiło się o tym od chwili, kiedy Arroyo podjął decyzję o przejściu na emeryturę. - Umilkł. Chciałbym zauważyć - dodał po chwili - że inni na twoim miejscu tylko by mi podziękowali.

- Za co?

- Za znalezienie tak szybko kogoś nowego, żeby wzmocnić wasz zespół.

- No to dziękuję.

- Coś jeszcze?

Tracy pokręciła głową i wstała. Widać było, że nic więcej z niego nie wyciągnie, a przy Park 95 czekała na nią Katie Pryor.

- Jak tylko skończysz w sądzie, pomóż Delowi i Fazowi - przypomniał jej Nolasco.

Tracy pojechała do kompleksu Park 95, jak nazywano betonowe budynki przy Airport Way, w których mieściły się służby kryminalistyczne policji Seattle oraz CSI i SWAT³, i zatrzymała się przed biurem osób zaginionych. Było już po osiemnastej i w środku większość boksów biurowych świeciła pustkami, a wokół panowała cisza. Nie słychać było rozmów, telefony nie dzwoniły, nikt nie stukał w klawiaturę.

Znała biuro osób zaginionych z czasów swojej współpracy z CSI w tym samym budynku. Miała też kontakty służbowe z Talią Greenwood, przewodniczką Katie Pryor. To od niej wiedziała, że biuro nigdy nie uważa spraw za beznadziejne lub zamknięte. Albo odnajdywano osobę zaginioną, albo sprawa się ciągnęła i pozostawała otwarta w komputerze Greenwood. Tracy uważała tę pracę za przygnębiającą i niewdzięczną. Za coś, co zabiera się ze sobą do domu i co wiecznie o sobie przypomina przy kolejnych zaginięciach lub znajdowaniu niezidentyfikowanych ciał. Coś, od czego nie sposób się uwolnić.

Greenwood powiedziała jej kiedyś, że tylko częściowo ma rację.

Wyjaśniła, że wprawdzie jej praca jest emocjonalnie bardzo wyczerpująca, ale zdarzają się w niej także dobre chwile. Zgłaszane zaginięcia w większości wcale nie są zaginięciami. Ludzie często trafiają do aresztu lub ulegają wypadkom i są zabierani do szpitala. Niektórzy po prostu chcą zniknąć na jakiś czas, bo codzienne kłopoty ich przerastają. Może takie postępowanie jest bezduszne wobec bliskich, ale prawo go nie zabrania. I tu rodzi się pierwsza wątpliwość. Jak długo młoda kobieta może nie dawać znaku życia, żeby uznano ją za zaginioną? Jakie okoliczności muszą zaistnieć, aby można było stwierdzić, że ktoś zaginął, a nie tylko wziął urlop od życia? Policja w Seattle wciąż nad tym debatowała.

- Puk, puk - rzuciła Tracy.

Pryor okręciła się z krzesłem, wstała i objęła ją z uśmiechem.

- Tracy! Hej. Dzięki, że się pofatygowałaś.

Mówiła łagodnym wysokim głosem, który przypominał Tracy sposób mówienia uczennic w szkole. Minęło zaledwie parę lat od czasu, gdy poznały się na strzelnicy, gdzie Tracy próbowała ją podszkolić ze strzelania przed jej egzaminem kwalifikacyjnym, ale wygląd Pryor zdążył się już zmienić. Twarz miała naznaczoną lekkimi zmarszczkami, wargi dużo pełniejsze.

- Przepraszam, że musiałaś czekać - powiedziała Tracy. - Jak dzieci?

- Wszystko dobrze. Uwierzysz, że moja starsza idzie już jesienią do gimnazjum? - Pryor pokręciła głową, zupełnie jak Kins, gdy mówił o wyjeździe swojego najstarszego syna do college'u.

- Myślisz czasami o tym, gdzie się podziały te wszystkie lata?

Pryor parsknęła śmiechem.

- Tylko przy specjalnych okazjach, jak urodziny czy Boże Narodzenie. W codziennym pędzie mąż i ja próbujemy jedynie utrzymać kurs i nie zatonać. Zmiana pracy bardzo mi w tym pomaga. Mogę teraz coś

zaplanować, pomóc dziewczynkom w zadaniach domowych, odebrać je z zajęć pozaszkolnych. Dla mnie ta praca to jak dar niebios, naprawdę.

- Miło mi to słyszeć. - I może te słowa o dzieciach sprowokowały Tracy, bo dodała: - Niedługo sama się zmierzę z tym problemem.

- Jesteś w ciąży?! - wykrzyknęła z niedowierzaniem Pryor.

Zdziwienie w jej głosie Tracy powiązała ze swoim wiekiem. Poza tym Pryor pewnie była przekonana, że ona albo nie chce, albo nie może mieć dzieci.

- Właśnie minął szesnasty tydzień.

Pryor rozpromieniła się.

- O mój Boże, to fantastycznie! - Zerknęła na brzuch Tracy. - Nigdy bym nie poznała. Wyglądasz świetnie.

Ponieważ mówiła to matka dwojga dzieci, Tracy zaczęła się zastanawiać, jak to możliwe, że Gonzalez tak szybko domyśliła się jej ciąży.

- Ale nie zawsze świetnie się czuję - odparła. - I na razie się tym nie chwale.

- Nikomu nie powiem. Znasz już płęć?

- Nie. Dan nie chce wiedzieć. Powiedział, że to ostatnia prawdziwa niespodzianka w życiu, i chyba się z nim zgadzam.

- Tak się cieszę. - Pryor znowu się uśmiechnęła.

- To mi skomplikuje życie - zauważyła Tracy. Właściwie już komplikowało.

- Nie przejmuj się pracą. Nie jesteś pierwszą pracującą kobietą, która urodzi dziecko. Opowiadałam ci, jak będąc w siódmym miesiącu z drugą córką, nadal pracowałam w ulicznym patrolu?

- Chyba nie.

- Mój sierżant z brzuchem jak balon - Pryor pokazała, jak wielki był jego brzuch - miał czelność zapytać, jak będę zapinała pas z bronią. Wiesz, co mu odpowiedziałam?

- Nie - odparła Tracy, już się uśmiechając.

- Tak samo jak pan, panie sierżancie. - Obie parsknęły śmiechem. I już nigdy więcej nie mówił nic na ten temat. Dobra, wiem, że ci się spieszy. - Pryor spojrzała na zegar na ścianie. - Pogadamy o dzieciach kiedy indziej. Teraz spójrz na to.

Tracy podjechała z krzesłem bliżej komputera i usadowiła się obok Pryor. Ta wręczyła jej plik kartek, po czym zaczęła stukać w klawiaturę. Tracy przebiegła wzrokiem protokoł zgłoszenia osoby zaginionej, którego treść pojawiała się też na ekranie. Z komputera płynęła cicha muzyka.

- Ta zaginiona kobieta nazywa się Kavita Mukherjee - przypomniała Pryor. - Lat dwadzieścia cztery, absolwentka wydziału chemii Uniwersytetu Stanu Waszyngton.

- Już mi się podoba - rzuciła Tracy, która przed wstąpieniem do policji była nauczycielką chemii w liceum. - Czyli niegłupia panienka.

- Z całą pewnością. Od jej dawnej współlokatorki, Aditi Dasgupty, dostałam zdjęcie, na które teraz patrzysz.

Pryor powiększyła fotografię na ekranie, tak że była teraz wyraźniejsza i bardziej ostra niż ta na wydruku zgłoszenia. Mukherjee póżeżała na kanapie, miała na sobie czarny T-shirt i dżinsy z dziurami na kolanach, paznokcie u stóp były jaskrawoczerwone.

- Śliczna dziewczyna - stwierdziła Tracy.

- Metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, pięćdziesiąt dziewięć kilogramów, ciemnokasztanowe włosy i niebieskie oczy.

- Niebieskie oczy? To chyba niezwykle u kogoś o jej pochodzeniu.

- Tak samo pomyślałam. U Hindusek to bardzo rzadkie, ale się zdarza.

- Powiedziałaś, że ona i jej współlokatorka były przyjaciółkami, tak?

- Od dzieciństwa. Od czterech lat mieszkały razem.

Tracy odchyliła się na oparcie krzesła, gotowa wysłuchać relacji Pryor.

Drzwi do mieszkania wolno się otworzyły. Póżeżąc na kanapie w salonie Kavita Mukherjee zatrzasnęła książkę, którą właśnie czytała, podrzuciła ją w powietrze i wykrzyknęła: "Aditi!"

Zeskoczyła z kanapy, podbiegła do drzwi i nie zważając na bagaże przyjaciółki, za mknęła ją w niedźwiedzim uścisku. Aditi wyjechała na początku lata do Indii na ślub kuzynki, a potem została tam jeszcze kilka miesięcy, podróżując po kraju. Od dzieciństwa prawie się z Kavitą nie rozstawały.

- Tak się cieszę, że wreszcie jesteś - powie dziada Kavita. - Naprawdę to tylko dwanaście tygodni? Bo wydaje mi się, jakby nie było cię całą wieczność. I spójrz na siebie. - Dotknęła ręką sari z zielono-żółtego jedwabiu. - Wyglądasz całkiem inaczej. Tam je kupiłaś? Niech zgadnę. Mama ci je kupiła. - Roześmiała się i wywróciła oczami. - Ona nigdy nie odpuści, co?

- Nie - przyznała z uśmiechem Aditi. - Nigdy.

Obie miały po dwadzieścia cztery lata, Kavita była starsza o dwa miesiące, a matki ciągle im powtarzały, że powinny się już "ustatkować", co oczywiście znaczyło "wyjść za mąż". I nie ważne, że żadna z nich nie miała stałego chłopaka. Właściwie tak było nawet lepiej, bo czyniło to z Kavity i Aditi tym atrakcyjniejsze kandydatki dla konkurentów, których listy obie matki zaczęły sporządzać, jeszcze za nim dziewczyny ukończyły studia. Tyle że ani jedna, ani druga nie chciała nawet o tym słyszeć.

- Daj, po mogę ci. - Kavita chwyciła ostatnią z trzech wielkich waliz, wciąż jeszcze stojącą w korytarzu.

- Nie, ja... - wyjąkała Aditi, próbując odebrać jej walizkę.

- Jaka ona lekka - zauważyła Kavita. - Któregoś dnia będziesz mu-siała nauczyć mnie tak się pakować.

Postawiła walizkę w przedpokoju, obok dwóch pierwszych, i po ciągnęła przyjaciółkę do salonu. Wynajęły to mieszkanie w Dzielnicy Uniwersyteckiej po drugim roku studiów. Pierwsze dwa lata przemieszkały w akademikach, ale później postanowiły pójść na swoje. Na umeblowanie składała się zbieranina sprzętów pożyczonych, podarowanych i kupionych za bezcen - szara skórzana kanapa, brązowy sztruksowy fotel i kilka różnych lamp, z których rzadko korzystały w lecie, gdy widno było jeszcze po dziewiątej wieczorem. Z mieszkania na czwartym piętrze, wychodzącego na wschód, miały widok na uniwersytecki kampus i jezioro Washington, a w pogodny dzień, taki jak dziś, nawet na ośnieżone szczyty Gór Kaskadowych. Przez otwarte okna dobiegał z dołu nieustający szum jeżdżących po Avenue samochodów i autobusów.

- No to mów - zachęciła przyjaciółkę Kavita, podwijając pod siebie bosc stopy. Miała na sobie džinsy z dziurami na kolanach i fioletowy T-shirt Uniwersytetu Stanu Waszyngton. - Opowiadaj o podróży. Jak się udał ślub kuzynki? Nie pochorowałaś się od tam tego jedzenia? Założę się, że było piekielnie ostre. Musiałaś być poza zasięgiem internetu, bo przez ostatnie dwa tygodnie nie dawałaś znaku życia. Tak się cieszę, że już jesteś z powrotem. - Nachyliła się do przodu i dziewczyny się objęły.

- Fajnie było - powiedziała Aditi.

Wyglądała na mocno zmęczoną, co było zrozumiałe, skoro przebyła pół świata.

- Fajnie? Tylko tyle? - prychnęła Kavita. - To się nazywa małomówna kobieta. - Dała przyjaciółce żartobliwego kuksańca. - Opowiadaj o ślubie. Rodzina zdziwiła się na twój widok? Na pewno nie spodziewali się, że tak wydorosłaś.

- Tak, byli zdziwieni - przyznała Aditi.

Opuściła wzrok na dłonie, które spłotła na kolanach, i Kavita nagle poczuła, że coś jest nie tak. Aditi była dla niej kimś więcej niż przyjaciółką i współlokatorką. Były jak siostry i znały się na wylot.

- Coś się stało? O co chodzi? - spytała Kavita, patrząc na przyjaciółkę już bez radosnego podniecenia.

Zatrzymała wzrok na złotym naszyjniku z czarnymi koralami na jej szyi. A potem dostrzegła czerwoną kropkę na jej czole, tuż pod linią włosów. Spojrzała w dół, na stopy Aditi w sandałach. Na kilku jej palcach zobaczyła złote pierścionki, dużo więcej, niż normalnie u modnej młodej kobiety.

Wtedy to do niej dotarło i niemal pozbawiło ją tchu, niczym cios w żołądek. Zrobiło jej się niedobrze i z trudem wykrztusiła trzy słowa: "Wyszłaś za mąż?", tak jakby nie mogła w to uwierzyć i bardzo chciała się mylić.

Aditi uniosła wzrok i spojrzała Kavicie prosto w oczy. Po jej policzkach płynęły łzy, ale próbowała się uśmiechnąć.

Kavita puściła dłonie przyjaciółki.

- Nic nie rozumiem - szepnęła, po czym szybko dodała: - To dla tego tam pojechałaś?

- Nie, nie, Vito. Pojechałam tylko do rodziny na ślub kuzynki.

- Ale... co się stało... moje maile...

- Poznałam Rashesha na weselu i zaraz potem, dzień czy dwa później, przyszedł do mojego ojca porozmawiać. Rodzina wszystko zaaranżowała.

- Kim on jest? - spytała Kavita.

- Inżynierem. Jest z Bangladeszu, ale pracuje w Londynie. Jego ojciec i mój ojciec znają się od dzieciństwa. Dorastali w tej samej wiosce. Dlatego jego rodzina była na ślubie mojej kuzynki.

Słowa Aditi brzmiały w uszach Kavitę tak, jakby były wymierzone przeciwko niej, pod różnymi względami. Kręciło jej się w głowie, była całkiem zdeorientowana.

- Zaaranżowali ci małżeństwo? - Z niedowierzaniem po kręciła głową. - Ale przecież obiecywałyśmy sobie, że nigdy się na to nie zgodzimy. Obie powtarzałyśmy, że nigdy nie ulegniemy.

Złożyły sobie nawet przysięgę. Jeszcze w gimnazjum urządziły dziecienną ceremonię w ich tajemnej kryjówce w miejskim parku, a potem co roku odnawiały przysięgę, która stała się gwiazdą przewodnią ich życia. Czerpały z niej siłę, gdy rodzice podjęli próby aranżowania im małżeństw, a

kiedy obie kategorycznie odmówiły, przestali im dawać pieniądze na mieszkanie i dalszą naukę.

Aditi chwyciła Kavite za ręce i zaczęła mówić cichym, łagodnym głosem, jak do skrzywdzonego dziecka.

- Byłyśmy dziećmi, Vito. Byłyśmy tylko głupimi smarkulami.

Kavita wyszarpnęła dłonie z jej rąk, otarła łzy z policzków i popatrzyła na walizki. I nagle doznała kolejnego olśnienia.

- One są puste, prawda? Chcesz się stąd wyprowadzić.

Aditi skinęła głową, teraz już otwarcie płacząc.

- Moi rodzice i mój mąż czekają na dole. Poprosiłam ich, żebym mogła sama ci o tym powiedzieć. Tak mi przykro, Vito... Mogę płacić swoją część czynszu do czasu, aż znajdziesz sobie kogoś na moje miejsce. Mogę.

Kavita zerwała się i stanęła plecami do Aditi. Słowo "mąż" nie zabrzmiało w jej ustach naturalnie. Za brzmiało sztucznie i niepewnie, jakby wypowiadała obcojęzyczne słowo i nie była pewna jego wymowy.

- Nie chodzi o czynsz, Aditi. Umówiliśmy się. Przrzekaliśmy sobie...

- Ja jestem inna niż ty, Vito. Nie jestem taka silna. Nie potrafię postępować tak jak ty.

Kavita odwróciła się do niej twarzą.

- A co z medycyną?

- Teraz mam już swoje miejsce.

- Jakie miejsce? Chcesz chodzić jak piesek za mężczyzną, którego prawie nie znasz? Wprowadzić się do domu jego rodziców, sprzątać po nich i usługiwać im jak służąca? Jak dobra hinduska żona?

Aditi spojrzała na nią tak, jakby poczuła się dotknięta jej słowami.

- Przykro mi, Vito. Wiem, że tego nie rozumiesz.

- Oczywiście, że nie rozumiem. Moja najlepsza przyjaciółka wyjeżdża z wizytą do rodziny i wraca jako mężatka. i. i nawet mnie nie zaprasza na swój ślub? - Uświadomienie sobie tego faktu było dla Kavity kolejnym ciosem.

- Nie polecałam do Indii, żeby wyjść za mąż, Vito. Musisz mi uwierzyć. Dopiero jak spotkaliśmy się na weselu. spodobał mi się. Tydzień później już drukowali zaproszenia. Po dwóch tygodniach byliśmy małżeństwem.

Kavita zaczęła krążyć przed otwartym oknem.

- Zaproszenie dla mnie gdzieś się pewnie zawieruszyło. - Nagle znówcoś do niej dotarło i stanęła, patrząc na Aditi. - Ignorowałaś moje maile. Miałaś internet, ale nie odpowiadałaś, bo nie chciałaś mnie okłamywać.

Aditi siedziała bez ruchu.

- Nie zaprosiłam cię, bo wiedziałam, że nie zrozumiesz. Próbowalabyś mnie od tego od wieść.

- Pewnie, że próbowałabym. Bo to czyste szaleństwo. Miałaś zostać lekarką. Od lat o tym rozmawiałyśmy. Pediatrią. Miałyśmy razem otworzyć gabinet. Więc spytałabym cię, czy nie straciłaś rozumu, czy twoja matka ukradkiem nie dosypała ci czegoś do drinka. Zadzwoiłabym do ambasady i zawiadomiła, że trzymają cię wbrew twojej woli. Co ty myślałaś?

- Nic nie myślałam, Vito. Nie myślałam o wychodzeniu za mąż. Aż do chwili, gdy go zobaczyłam.

Kavita prze stała krzążyć. Nie chciała już tego słuchać.

- Proszę, tylko mi nie mów, że to była miłość od pierwszego wejrzenia!

- Miłość przychodzi z czasem.

- Przestań! Po prostu przestań. Czy ty słyszysz samą siebie? Boże, mówisz jak twoja matka. Albo moja. - I podjęła z bengalskim akcentem:

- Żaden mężczyzna nie żeni się chętnie. Robi to dlatego, że mu się spodobałaś, albo dla pieniędzy, albo dla dotrzymania rodzinnych zobowiązań. Pieniądze się rozchodzą, uroda mija, ale stabilność rodzinna pozostaje.

- Porzuciła akcent. - Więc co to było, Aditi? Pieniądze? Rodzice cię sprzedali? Zaproponowali mu taki posąg, że nie mógł się oprzeć, czy chodziło o dotrzymanie rodzinnych zobowiązań?

Aditi siedziała z opuszczoną głową, nie przestając płakać, i Kavita zacisnęła zęby. Zaczynała żałować swoich słów. Zawsze szybko wpadała w złość, co w połączeniu z ostrym językiem było dość wybuchową mieszanką, która mogła poczynić wiele szkód. Usiadła i przytknęła czoło do czoła przyjaciółki, tak jak to zawsze robiły w ważnych chwilach, jak zrobiły to kiedyś, zawierając tamten pakt.

- Przepraszam, Diti. Nie chciałam cię zranić. Po prostu czuję się... ogłuszona... Wcale tak nie myślę.

Po chwili Aditi podniosła na nią wzrok.

- On mi się naprawdę po doba, Vito. Spodobał mi się od razu, gdy tylko go zobaczyłam.

- Ale kochasz go? Jesteś w nim beznadziejnie zakochana i nie wyobrażasz sobie, jak mogłabyś przeżyć bez niego choć jeden dzień? Tak o nim myślisz, Diti? Odpowiedz.

Aditi wyprostowała się.

-I jak takie podejście sprawdziło się w twoim życiu, Vito? - rzuciła z goryczą. - Jak sprawdziło się w moim?

- Mamy dopiero po dwadzieścia cztery lata! Miałyśmy najpierw skończyć studia.

- Ilu miałam chłopaków, Vito?

- Co?

Aditi wciąż patrzyła na przyjaciółkę z determinacją w oczach.

- Nie jestem taka jak ty. Nie wyglądam jak ty, nie mam twojej osobowości. W szkole byłaś zawsze lepszą uczennicą. Wybierasz się na medycynę, Vito, ale co będzie, jeśli ja się nie dostanę? Co będzie, jeżeli wynik mojego testu nie będzie tak dobry jak twój? Co wtedy?

- Jesteś piękna, Diti, i inteligentna. Oczywiście, że się dostaniesz.

Aditi zaczęła mówić podniesionym głosem:

- Nie, Vito, nie jestem. - Za czerpnęła powietrza tak głęboko, aż zaświzczało jej w piersiach. - Nie jestem inteligentna, nie tak jak ty. Po prostu bardziej się staram. I nie jestem piękna, zwłaszcza w tym kraju.

- Aditi...

Aditi uniosła rękę.

- Daj spokój, Vito. Kiedy gdzieś wychodzimy, mężczyźni lgną do ciebie i twojej jasnej karnacji. A ja? Mnie tolerują, bo jestem z tobą. Traktują mnie jak domową roślinę. Wydaje im się, że jeśli dłużej ze mną pogadają, to uda im się dotrzeć do ciebie.

- To nieprawda.

- Tak, Vito, to prawda. - Aditi niemal już krzyczała. - Spójrz na siebie. Jesteś wysoka i szczupła, masz piękne rysy i niebieskie oczy. Mężczyźni kochają twoje niebieskie oczy. Możesz mówić cokolwiek do kogokolwiek i wszyscy będą cię słuchać. - Pokręciła głową. - A ja jestem niechcianym dodatkiem, kimś, z kim muszą rozmawiać, jeśli chcą porozmawiać z tobą. I zawsze tak było. Przez całe życie siedziałam za tobą na tylnym siedzeniu i robiłam to z radością, żeby tylko być twoją przyjaciółką. - Walnęła się pięścią w klatkę piersiową. - Ale ten mężczyzna, Rashesh, zobaczył tylko mnie i spodobało mu się to, co widzi. Wyobrażasz sobie, jak się wtedy poczułam?

Kavita nie chciała zranić przyjaciółki, mówiąc, że Rasheshowi wcale nie musiało się podobać to, co widzi. W Indiach nie chodzi o miłość od pierwszego wejrzenia. W ogóle nie chodzi o miłość. Chodzi o społeczną presję, ciężącą głównie na dziewczętach i ich rodzicach, ale także na młodych mężczyznach. Im dziewczyna jest starsza, tym większy niepokój, że nigdy nie wyjdzie za mąż, i tym silniejsze podejrzenie, że została porzucona przez jakiegoś konkurenta, bo okazała się zbyt wymagająca, bo nie nadaje się na żonę lub w jej kundali jest jakieś dosh. (W chwili jej narodzin gwiazdy miały zły układ).

Że coś jest nie tak.

Kavita zaczęła mówić niemal szeptem:

- Ale on cię nawet nie zna, Diti.

- Otóż to, Vito. - Aditi rozbłyśły oczy. - Właśnie o to mi chodzi. Wcale mnie nie znał, a mimo to mu się spodobałam. Spodobała mu się moja ciemna cera i mój płaski nos, i moja nadwaga. Nie rozmawiał ze mną po to, żeby móc porozmawiać z tobą. Więc czemu teraz nie możesz być moją przyjaciółką, Vito? Czemu nie możesz się cieszyć moim szczęściem?

- Bo nie mogę pogodzić się z tym, że chcesz tak zmarnować sobie życie.

- Ale to moje życie! - krzyknęła Aditi, uderzając się w piersi. - Moje życie i mogę z nim robić, co zechcę. I kto się teraz zachowuje jak moja matka i próbuje mi mówić, co jest dla mnie najlepsze?

- Ale ty nie jesteś Hinduską. I ja nie jestem Hinduską. Obie jesteśmy Amerykankami. Obie tu się urodziłyśmy, w Ameryce.

- Ja jestem Hinduską, Vito. Do szpiku kości, w każdej kropli krwi jestem Hinduską. Tak, nazywam ten kraj domem, ale dlaczego? Moja rodzina tu nie mieszka i ja tu nie pasuję.

- Oczywiście, że pasujesz, Diti.

- Nie, Vito. Wcale nie. - Aditi pokręciła głową. - Ja tu jestem mniejszością. Ty też jesteś mniejszością. Tutaj wszyscy dostrzegają kolor mojej skóry. Jeśli coś mi się udaje na studiach, to jest to uważane za przejaw neurotycznej żądzy wiedzy, pod naciskiem moich zawziętych, chorobliwie ambitnych rodziców. Tak, urodziłam się w tym kraju, ale nadal jestem tu obca. W Indiach przynajmniej nikogo nie dziwi kolor mojej skóry. Tam przynajmniej to jest podziwiane, szanowane i nawet się podoba. Mężczyźni rozmawiali ze mną nie dlatego, że obok stałaś ty. Nie dlatego, że widzieli we mnie brzydki dodatek, który muszą tolerować. Rozmawiali ze mną, bo się im podobałam. I spodobałam się Rasheshowi.

Zapadła chwila ciszy i do Kavity zaczynały docierać konsekwencje decyzji Aditi.

- Czyli przenosisz się do Londynu? Będiesz tam mieszkać?

- Tak.

- Z jego rodziną?

- Tak.

Kavita otarła łzy i kilka razy głęboko odetchnęła.

- Przepraszam, Diti. Przepraszam, jeśli sprawiłam ci przykrość. Nie zdawałam sobie sprawy, że to było dla ciebie takie trudne. Nigdy nie chciałam...

Aditi chwyciła jej dłoń i uścisnęła.

- Wiem, że nie chciałaś. - Uśmiechnęła się i pochyliła głowę, tak że ich czoła się zetknęły. - Nie twoja wina, że jesteś taka śliczna.

Kavita roześmiała się przez łzy.

- Jesteś szczęśliwa, Diti? Naprawdę szczęśliwa?

- Tak, Vito - powiedziała Aditi z uśmiechem i widać było, że mówi szczerze. - Jestem szczęśliwa. Chciałabyś go poznać? Mojego męża?

Kavita pomyślała, że będzie musiało do tego dojść, ale nie chciała widzieć matki przyjaciółki - na pewno nie teraz, nie dzisiaj, może już w ogóle nigdy. Wiedziała, że matka Aditi będzie pęcznić z dumy i zachwytu i nie omieszka chełpić się małżeństwem córki przed Kavita i jej matką. Mój Boże, z największą satysfakcją będzie się obnosiła wobec kogoś z tego samego samaaj (religii i kasty), podczas gdy Kavita wciąż jeszcze miotała się od jednej nieudanej znajomości do następnej. Będzie się pyszniła przed matką Kavity, że jej córka obdarzy ją wkrótce wnukami, a to, że wnuki przyjdą na świat i będą dorastały po drugiej stronie kuli ziemskiej i że będzie je widywała raz czy dwa razy w roku, było nieistotne, skoro tylko miała okazję pochwalić się i wbić komuś szpilę, jak wampirowi drewniany kołek.

- Teraz nie mogę - odparła Kavita. - Przepraszam, ale nie mogę. Wyjdę z domu, żebyś mogła spokojnie spakować swoje rzeczy. Nie chcę ci przeszkadzać.

- Ty mi nigdy nie prze...

Kavita pochyliła się, objęła przyjaciółkę i serdecznie ją uścisnęła. Wiedziała, że mogą minąć lata, nim znów ją zobaczy.

- Będzie mi ciebie brakowało, Diti - szepnęła.

- A mnie ciebie. Będę za tobą tęskniła bardziej niż za rodzicami i braćmi.

- Jestem twoją siostrą, Diti, a ty moją. Jesteś siostrą, której nigdy nie miałam. Jediną siostrą, jaką kiedykolwiek będę miała.

- Obiecuj mi, że go poznasz - rzuciła Aditi przez łzy. - Obiecuj, że przyjedziesz do Londynu i mnie odwiedzisz.

Kavita wypuściła ją z uścisku, przepelniona wzruszeniem.

- Nie mogę.

Aditi chwyciła ją za ramiona i przygarnęła do siebie.

- Ależ tak, Vito, możesz. Powiedz, że tak. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym cię już nigdy nie zobaczyć. Proszę. Obiecuj, że przyjedziesz i mnie odwiedzisz.

Kavita z trudem powstrzymała szloch.

- Oczywiście, Diti. Oczywiście, że przyjadę.

Rozluźniły uścisk i Kavita wstała. Wiedziała, że wyjście z domu będzie bolesne, ale nie aż tak bolesne jak długie pożegnanie.

- Muszę iść - rzuciła i wybiegła z mieszkania, walcząc ze łzami.

Właśnie straciła siostrę.

* * *

Tracy westchnęła.

- To musiał być dla niej ciężki cios, zwłaszcza że przecież tyle lat się przyjaźniły.

Pryor pokiwała głową.

- Dasgupta mówi, że obie wylały dużo łez, ale Mukherjee w końcu jej pogratulowała.

Tracy spojrzała na zegar na ekranie komputera. Zdawała sobie sprawę, że przetrzymała Pryor w biurze, zresztą sama też chciała jak najszybciej wrócić do domu.

- I Dasgupta uważa, że przyjaciółka zaginęła, bo nie może się do niej dodzwonić na komórkę?

- Od razu włącza się poczta głosowa. I Mukherjee nie odpowiada na maile i esemesy.

- I wiemy, że nie ma jej u rodziców ani u nikogo ze znajomych?

- Dzwoniłam do rodziców i do większości znajomych z dostarczonej listy. Dasgupta stwierdziła też, że to mało prawdopodobne, by jej

przyjaciółka przeniosła się do rodziny. Podobno jej stosunki z rodzicami były napięte i rzadko się widywali.

- Bo nie chciała się zgodzić na zaaranżowane małżeństwo.

- Tak. Dasgupta mówi, że Mukherjee jest w tej kwestii bardzo uparta. A jej matka również, więc sytuacja jest patowa.

Tracy nadal przeglądała protokół zgłoszenia zaginięcia.

- Był ktoś w mieszkaniu, żeby sprawdzić, czy zniknęły jej ubrania i rzeczy?

- Owszem. Dasgupta poszła tam, kiedy nie mogła dodzwonić się do Mukherjee. Twierdzi, że nie wygląda na to, żeby czegoś brakowało. Nie ma też śladów włamania ani fizycznej przemocy.

- Mukherjee w ogóle tam nie wróciła?

- Otóż najwyraźniej wróciła. Zresztą właśnie to najbardziej zaniepokoiło Dasguptę. Zostawiła dla Mukherjee list i prezent, sari przywiezione z Indii. Znalazła swój list otwarty, a sari rozłożone na łóżku Mukherjee.

- Czyli w którymś momencie wróciła do domu, ale skoro sari było rozłożone na jej łóżku, to znaczy, że tam nie spała.

- Na to wygląda.

- Czy Mukherjee ma chłopaka? - spytała Tracy.

- Nie.

- Dziewczyna z takim wyglądem? - Tracy wskazała palcem jej wizerunek na ekranie.

- Dasgupta tak twierdzi. - Pryor wzruszyła ramionami.

- A co z jej byłymi chłopakami? Może któryś chciał się na niej odegrać?

Pryor pokręciła głową.

- Ostatnio nie było nikogo. Dasgupta mówi, że Mukherjee nie miała czasu na żadne poważniejsze związki. Kiedy jej rodzina zakręciła kurek z pieniędzmi, Mukherjee chwyciła się każdej możliwej pracy by opłacić studia medyczne. - Pryor spojrzała na ekran komputera i przewinęła obraz. - To kolejna sprawa. Rozmawiałam z jej pracodawcą z butik z ciuchami przy Avenue. Dziś po południu Mukherjee miała zmianę, ale nie przyszła do pracy, co nigdy wcześniej się nie zdarzyło, jak powiedział właściciel.

- Ma samochód? Może pojechała gdzieś, żeby pobyć w samotności.

- Po dyplomie kupiła starą hondę accord z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego. To podobno rzęch i nigdy nie wypuszczała się nim zbyt daleko. Zresztą Dasgupta twierdzi, że samochód nadal stoi zaparkowany na ulicy w pobliżu mieszkania.

Tracy przerzuciła stronę protokołu i przebiegła wzrokiem listę znajomych, z którymi Pryor już rozmawiała.

- Czyli współlokatorka nie wie, dokąd Mukherjee mogła się udać, tak? Gdzie mogłaby się ukryć?

- Obdzwoniła wszystkich bliskich znajomych. Nikt nic o niej nie wie.

- Rozumiem, że sprawdziłaś też areszt hrabstwa i szpitale.

- W pierwszej kolejności. Nigdzie ani śladu.

Tracy odchyliła się na oparcie krzesła.

- Może po prostu potrzebowała chwili ciszy, żeby wszystko przemyśleć. Bo przytłoczyła ją sytuacja. Przyjaciółka wychodzi za mąż, wyprowadza się, wyjeżdża do Londynu.

- Miejmy nadzieję, że tylko o to chodzi - odparła Pryor.

- Miejmy. Nie wiem, czy Nolasco pozwoli mi się tym zająć. Na Faza i Dela właśnie spadło zabójstwo w South Park i Nolasco chce, żebym się w to włączyła zaraz po procesie Stephensona.

- Wiem, że jesteś bardzo zajęta - powiedziała Pryor. - Ale jak wspomniałam przez telefon, czasami człowiekowi się zdaje, że coś w sprawie nie gra, i tak właśnie jest w tym przypadku.

Tracy jeszcze przez chwilę się zastanawiała.

- Jutro powinnam skończyć w sądzie - oznajmiła. - Umów się z Dasguptą w tym ich mieszkaniu na popołudnie. Ale uprzedź ją, żeby nie wchodziła do środka, bo to może być coś więcej, niż się zdaje.

Rozdział 8

Tracy wjechała swoim fordem F-150 z 1973 roku na żwirowy podjazd ich kamiennego wiejskiego domku w Redmond. Bezchmurne niebo nad horyzontem przybrało ciemnopomarańczową barwę, z okolicznych wzgórz i drzew spływały wieczorne cienie. Rex i Sherlock, dwa mieszańce rodezjanów, zawarczały na odgłos podjeżdżającego pick-upa, po czym zeskoczyły z tarasu, by ją powitać. Po latach posługiwania się liczbą pojedynczą, Tracy nauczyła się używać liczby mnogiej w odniesieniu do domu i psów, które teraz były już "ich".

Zgasiała silnik i chwilę siedziała bez ruchu, aby odsapnąć. Znów pomyślała o słowach Kinsa, jak to jest mieć dzieci i jak wszystko wtedy się zmienia, w sposób nieunikniony. Nie dalej jak dziś rano Dan zaczął narzekać na wielkość ich wiejskiego domku, z jedną łazienką, jedną sypialnią i małą kuchnią.

- To tylko dziecko - powiedziała Tracy, by go uspokoić. - Nie adoptujemy słonia. Może później pomyślimy o rozbudowie lub przeprowadzce.

Ale i ona miewała chwile niepokoju. Wkrótce potrzebna jej będzie nowa garderoba: jej dzinsy już się nie dopinały na pęczniejącym brzuchu, buty i biustonosze zrobiły się za ciasne. Rozejrzała się po szoferce pick-upa. Utrzymawała pojazd w nienagannym stanie, ale brakowało w nim poduszek powietrznych i pasów bezpieczeństwa, a także różnych dzwonek i gwizdek, sygnalizujących zagrożenie. Z uwagi na dziecko będzie musiała sprawić sobie nowy samochód. Coś solidnego i rodzinnego, w rodzaju volvo lub subaru.

Dan rozsunął szklane drzwi i wyszedł na taras. W ręce trzymał szczypce do grilla. Tracy zadzwoniła, by uprzedzić go, że będzie później, a on obiecał, że zaczeka na nią z kolacją. Uśmiechnął się do niej zza okrągłych ciemnych okularów w drucianych oprawkach i żartobliwie kłapnął szczypcami, jakby chciał ją uszczypnąć. Był bosy i miał na sobie robocze szorty i T-shirt z Bruce'em Springsteenem, kupiony na wspomnieniowym koncercie The River w Key Arena. Dalsze koncerty z tego cyklu były na razie wstrzymane.

Tracy wyłączyła radio i wysiadła z pick-upa. Poczochrąła i poklepała po grzbietach oba wielkie psy, które radośnie wokół niej tańczyły, dysząc z wywieszonymi jęzorami. Sierść miały rozgrzaną słońcem, powietrze wokół nich bzyczało, wyschnięta trawa strzelała pod ich łapami jak od wyładowań elektrycznych.

Tracy weszła po schodkach na taras i pocałowała Dana. Jego okrągłe druciane okulary nie były jedyną cechą upodabniającą go do Johna Lennona. Dan miał również długie włosy, które opadały lokami na kołnierzyk koszuli.

- Naprawdę ten taras się przydaje - zauważyła Tracy. Dan dobudował go, żeby mieli więcej miejsca. Latem zwykle coś na nim grillował. - Wynieś tu sobie teraz biurko i komputer i będziesz miał gabinet.

- Co słyszeć u naszej kijaneczki? - spytał Dan, kładąc dłoń na brzuchu Tracy.

- Jest głodna.

- Właśnie położyłem halibuta na ruszt. Idź się przebrać.

Tracy podeszła do ogrodowego fotela, na którym spał rozciągnięty Roger, ich kot. Pogłaskała go, a on, nagle obudzony, aż podskoczył i ją drapnął.

- Dobrze, jak sobie chcesz - mruknęła, spędzając go z fotela i siadając na jego miejscu. - Tylko potem nie łaś się do mnie wieczorem, jak już leżę w łóżku.

Sięgnęła po szklankę mrożonej herbaty i wypija kilka łyków, krzywiąc się na jej gorzkawy, pozbawiony słodczy smak.

- Boże, jak ty to możesz pić bez grama cukru?

- Ciężki dzień w sądzie? - spytał Dan, wyczuwając jej nastrój.

- W sądzie było w porządku, poza tym, że co pięć minut musiałam siusiać.

- Wciąż?

Podczas ostatniej wizyty kontrolnej u lekarza Tracy zapytała o swoje kłopoty z częstym oddawaniem moczu, a lekarz zapewnił ją, że to najzupełniej normalne i wynika z ucisku na pęcherz. Zabrzmiało bardzo rzeczowo, ale w niczym jej to nie pomogło.

- Zrobiło się jeszcze gorzej, jak wróciłam do biura.

- Chciało ci się siusiać?

- Bez przerwy. A w toalecie natknęłam się na moją następczynię.

Dan wzdrygnął się, jakby to jego uszczypnęły rozgrzane szczypce. Uniósł wysoko brwi, aż wyszły ponad okulary.

- Myślałem, że poza Kinsem nikomu więcej nie mówiłaś - rzucił.

- Bo nie mówiłam. Ale weszłam do toalety i wpadłam na kobietę, która oświadczyła mi, że Nolasco przyjął ją do pracy w zespole A. Wiem, że powinnam się ucieszyć z drugiej kobiety w zespole, ale coś mi mówi, że jej specjalnie nie polubię.

Zabrzączała komórka Dana. Wyłączył ją i uniósł pokrywę grilla, spod której buchnął kłęb dymu i rozszedł się zapach ziół. Dan zdjął z rusztu dwa kawałki halibuta i dwie kolby kukurydzy w aluminiowej folii. Na rybie widać było ciemne pręgi od prętów rusztu. Dan posmarował ją czymś wyglądającym i pachnącym jak sos maślano-czosnkowy.

- A co z Ronem Mayweatherem? - spytał. - Myślałem, że to on jest waszym piątym kołem.

- Bo jest... był. Nolasco powiedział, że Ron wystąpił o przeniesienie do zespołu C. Jeden z ich śledczych odchodzi w grudniu na emeryturę.

Dan lekko wzruszył ramionami, nastawił minutnik i zamknął pokrywę.

- Może z tą nową nie będzie tak źle - rzucił.

- Może. Jest Latynoską, wygląda dość atrakcyjnie i pewnie dlatego Nolasco ją zatrudnił.

- Nie miej jej tego za złe.

- Nie mam. Ale zastanawiam się, czy nie zatrudnił jej na zastępstwo podczas mojego urlopu macierzyńskiego w nadziei, że po nim nie wrócę już do pracy.

- Chyba trochę go przeceniasz, nie sądzisz? Skąd miałby wiedzieć o twojej ciąży, jeśli nikomu o niej nie mówiłaś?

- Ona najwyraźniej wiedziała.

- Wiedziała?

- Zagadnęła mnie o ciążę pięć sekund po tym, jak się spotkałyśmy. Spytała: "Który to miesiąc?". - Tracy powiodła wzrokiem po wyschniętej trawie. - Nie wiem. Może masz rację. Może zanadto się tym przejmuję. Wiem, że nie mogę wiecznie ukrywać ciąży.

- Nie możesz. Podobnie jak Nolasco nie może cię zwolnić ani odebrać ci stanowiska. Przecież chyba nie jest aż tak głupi?

- Chciałabym móc powiedzieć, że nie, ale...

Dan obrzucił ją domyślnym spojrzeniem.

- Coś cię jeszcze gnębi, prawda?

- Może to tylko hormony, ale jestem już zmęczona babraniem się w tym szajsie. - Pogłaskała Sherlocka po głowie i cmoknęła go w nos.

- O czym ty mówisz? - spytał Dan. - Nie chcesz wrócić do pracy po urodzeniu dziecka?

- Niczego takiego nie powiedziałam. Po prostu głośno myślę.

- Myślisz o tym, by zrezygnować z pracy?

Spojrzała na niego badawczo.

- A co? Uważasz, że powinnam?

- Uważam, że powinnaś zrobić to, co najbardziej ci odpowiada.

- To czemu mnie pytasz?

Dan wyglądał na nieco zbitego z tropu.

- Przecież mówiłaś, że jesteś już zmęczona babraniem się w tym szajsie, prawda?

- Bo jestem. Chętnie bym powiedziała, że nigdy nie dam Nolascowi satysfakcji i sama nie zrezygnuję, ale tak, chyba rzeczywiście myślę o tym, jak to będzie, kiedy dziecko się urodzi.

Dan oparł się o poręcz.

- Skąd ci się biorą takie myśli? - spytał.

- Od Kinsa.

- Od Kinsa? Myślałem, że kto jak kto, ale on będzie cię namawiał do pozostania.

- Mówił, że po urodzeniu dziecka wszystko się zmienia. Że być może sama będąc wolała zostać w domu. - Pociągnęła kolejny łyk herbaty i ponownie się skrzywiła. - Nigdy nie zrozumieć, jak możesz tego nie słodzić.

- Nie każdy jest tak samo skonstruowany, Tracy.

- Masz na myśli gorzką herbatę czy pozostanie z dzieckiem w domu?

- Pewnie jedno i drugie.

Wstała i ruszyła do sypialni się przebrać. Może po prostu była tylko zgrzana, zmęczona i głodna. A może gnębiło ją to, co powiedział jej Kins.

- Tak naprawdę to może być nasze jedyne dziecko - rzuciła przez ramię.
- Nie chcę czegoś stracić przez pracę. Kins mówił, że za parę miesięcy odwożą Connora do college'u...

- Więc o to chodzi? Po prostu przeżywa to, że syn wyjeżdża z domu.

- Nie, on przeżywa to, że syn nie będzie już z nimi mieszkał, i żałuje, że nie poświęcił mu więcej czasu. Dlatego powiedział, że bym nie traktowała

pozostania w domu z naszym dzieckiem jak kary.

- Cóż, może ma rację. - Odezwał się brzęczyk przy grillu, Dan go wyłączył, ale nie od razu podniósł pokrywę. - W każdym razie ja nie mam nic przeciwko temu. Twoja pensja nie jest dla nas niezbędna. Ale nie musimy podejmować tej decyzji dzisiaj. Jeśli będziesz chciała zostać w domu z dzieckiem, wystarczy, jak zdecydujesz o tym po jego urodzeniu.

- Nie miałbyś nic przeciwko temu?

- Jeśli uznasz, że tego chcesz.

Wskazała głową grill.

- Nie spal tego halibuta.

Rozdział 9

Del i Faz dostarczyli sklepowe nagranie wideo do kompleksu przy Park 95. Ekipa specjalistów miała się nim zająć od rana i spróbować odczytać numer rejestracyjny zaparkowanego samochodu lub białego SUV-a, lub obu pojazdów.

Faz wrócił z Park 95 do swojego domu w Green Lake. Otwarcie bramy włączało automatycznie lampę na gzymsie wolnostojącego garażu, która oświetlała umocowaną w górze tablicę z obręczą do koszykówki. Zdarzało się dawniej, że nie mógł nawet zaparkować na podjeździe, bo Antonio trenował koszykówkę, najpierw w podstawówce, potem w liceum imienia Biskupa Blancheta.

Faz kochał te czasy, a zwłaszcza letnie wieczory, kiedy schodzili się koledzy Antonia, a on i Vera ich karmili. Chętnie mieliby z pół tuzina dzieci, ale nie było im to pisane. Pobrali się w późniejszym wieku, a pierwszą randkę zaaranżowali im rodzice. Szybko się jednak okazało, że nie była to wcale randka w ciemno, bo rodzice obojga znali się od dawna i świadomie zorganizowali ich spotkanie przy kawie. Faz zakochał się od pierwszego wejrzenia, a Vera mówiła, że u niej trwało to dłużej i potrzebowała aż trzech randek. Pobrali się trzy miesiące po pierwszym spotkaniu, potem jednak stwierdzili, że powinni się najpierw lepiej poznać, nim zdecydują się na dziecko. Gdy wreszcie do tego dojrzel, Vera nie mogła zająć w ciąży i minął kolejny rok. Po narodzinach Antonia zaczęli się starać o drugie dziecko, ale gdy Vera ponownie miała trudności z zajściem w ciążę i poszła do lekarza, wykryto u niej złośliwego guza macicy i należało całość usunąć, co oczywiście ucięło wszelkie rozmowy o następnym dziecku. Lekarz stwierdził, że mieli szczęście. Gdyby nie ich starania o dziecko, nie dowiedzieliby się o guzie i mogłoby się to skończyć przerzutami. Faz uznał, że miłość uratowała Verze życie, i całą tę miłość przelali na Antonia, który mieszkał teraz niedaleko od nich, we Fremont.

Faz wysiadł z samochodu, z marynarką przerzuconą przez ramię, a wcześniej już rozluźnił krawat i rozpiął kołnierzyk. Nad tylnym wejściem do domu rozbłysło kolejne automatyczne światło, które zainstalował z myślą o Verze. Nie chciał, żeby zimą szła do domu po ciemku. Zaczął szukać w kieszeniach kluczy, ale żona już otworzyła drzwi.

- Tak mi się zdawało, że podjechałeś i tu stoisz - powiedziała. Rozmawiałeś przez telefon?

- Cześć. Nie, myślałem tylko o tych latach, kiedy nie mogłem zaparkować na podjeździe, bo Antonio grał w kosza.

Włożył zegarek, klucze, portfel i telefon do koszyka w sionce przy tylnych drzwiach, co miało gwarantować, że niczego nie zapomni, wychodząc jutro rano.

Vera uśmiechnęła się na wspomnienie o synu.

- Jakież tropy w sprawie tego bandziora z South Park? - spytała.

Dzwonił do niej i poinformował ją o zabójstwie i o tym, że spóźni się na kolację.

- Może. A co, nie dostanę całusa na przywitanie?

Żona odwróciła się i pocałowała go.

Faz zdjął krawat, przeszedł do jadalni i powiesił marynarkę na oparciu krzesła, nie przestając mówić. Opowiedział jej o wizycie w sklepie spożywczym i o nagraniu z kamery wideo, na którym mógł być zabójca.

- Mogło nam się poszczęścić. Jutro chłopaki z sekcji wideo zajmą się tą taśmą.

Vera stanęła przy kuchence.

- Jesteś głodny? Zrobiłam kurczaka po mediolańsku z polentą. Dostałam ten przepis od Antonia.

Ich syn pracował jako szef kuchni we włoskiej restauracji i zbierał pieniądze na otwarcie własnej knajpy. Chciał ją nazwać U Fazzia i Faz niemal popłakał się ze wzruszenia, gdy Antonio mu to oznajmił. "No proszę - powiedział wtedy do Very. - Zawsze wiedziałem, że moje nazwisko kiedyś rozbłyśnie".

- Rozmawiałaś z nim dzisiaj? - Odsunął krzesło i usiadł przy kuchennym stole. - Co u niego? - Zaczął podwijać rękawy koszuli. - Jak z tą jego dziewczyną? Zamierza się jej kiedyś oświadczyć?

- Myślę, że to niewykluczone.

Faz przestał podwijać rękawy.

- Naprawdę?

- Wspomniał o tym - odrzekła Vera. - Ale chce poczekać, aż będzie go stać na kupno pierścionka.

- To nie jest powód do czekania. Jak ją kocha, to powinien się zenić. Tak jak my. Myśmy nie czekali. I dobrze na tym wyszliśmy.

- Bo zależało ci na seksie - rzuciła Vera.

- To prawda, ale dlatego, że cię kochałem.

- Mhm. Nie popędzaj go. Wiem, że czekasz na wnuki, ale on ma teraz dużo spraw na głowie.

- O czym ty mówisz? Ja go popędzam? Po prostu myślę, że ta tablica do kosza przydałaby się wnukom.

- No to chcesz tego kurczaka z polentą?

- Czy ja chcę kurczaka z polentą? Może zapytasz mnie jeszcze, czy papież jest kawalerem.

Vera otworzyła drzwiczki piekarnika i po kuchni rozszedł się aromat masła, czosnku i cytryny. Nigdy nie używała mikrofalówki do odgrzewania potraw. Twierdziła, że kurczak robi się wtedy gumowaty.

- Pachnie pięknie - rzucił Faz.

Żona postawiła przed nim talerz i położyła sztucce.

- Jesteś zmęczony?

- Bardziej wkurzony niż zmęczony. Przestaję już rozumieć ludzi. Matka dwójki małych dzieci zostaje na ich oczach zastrzelona i wszyscy mieszkańcy osiedla milczą.

- Mówiłeś, że się boją. - Vera postawiła brytfankę z kurczakiem na podstawce, nałożyła mężowi kawał piersi i polać sosem.

- Wygląda wspaniale. - Wziął do ręki nóż i widelec. - Działa tam taki drań od narkotyków. Pamiętasz Dużego Jimmy'ego? Wsadziłem go na dwadzieścia pięć lat, ale w więzieniu poderżnęli mu gardło. Przypominasz sobie?

- Nie bardzo.

- No więc ten drań od narkotyków to Mały Jimmy, syn Dużego. Mówią o nim, że jest walnięty.

- Nie znoszę, jak prowadzisz sprawy związane z gangami.

- Właściciel sklepu spożywczego powiedział Delowi i mnie, że Mały Jimmy rozgłasza na osiedlu, że jak ktoś piśnie słowo, to skończy jak ta kobieta. - Faz postanowił nie wdawać się w szczegóły przejazdu Małego Jimmy'ego i jego strzelania z palców, bo wiedział, jak zaniepokoiłoby to Verę. Zabrał się do krojenia kurczaka. Znad talerza i z kęsa na widelcu unosiła się para. Włożył do ust kawałek i poczuł rozpluwający się intensywny smak. - Powiedz Antoniowi, że ma kolejny hit. Naprawdę. Może nawet najlepszy z jego dotychczasowych.

- Chcesz wina?

- Mhm. Ale nie za dużo. Jutro od rana Del i ja znów działamy.

Usłyszał, jak Vera otwiera szafkę za jego plecami i wyjmuje z niej butelkę chianti i kieliszek. Zauważył, że dla siebie nie nakryła. Jeśli nie miał nocnej zmiany, zawsze czekała na jego powrót i razem jedli kolację.

- A ty nie jesz? - spytał, ale nie odpowiedziała. Odwrócił się ku niej na krześle. Stała przy kuchennej wyspie, plecami do niego. - Vero?

- Zjadłam już wcześniej - odparła cicho. - Jedz.

W jej zachowaniu wyczuł coś dziwnego. Coś było nie w porządku. Wstał i podszedł do niej.

- Dobrze się czujesz? Vero? Coś się stało?

Płakała, ocierając sobie twarz papierowym ręcznikiem.

- Przed spotkaniem z Antoniem byłam na mammografii.

Poczuł na plecach zimny pot.

- No tak - powiedział ostrożnie. - Cholera, przepraszam. Powinienem być od razu spytać. Jak poszło? - Nie był pewien, czy chce usłyszeć odpowiedź, i gdy Vera przez chwilę milczała, poczuł się, jakby dostał cios w żołądek.

- Mam nowego guza, Vic. Wymacałam go parę dni temu i wynik mammografii budzi pewne wątpliwości.

- Jakie wątpliwości?

- Jeszcze nie wiedzą. Dzwonili do mnie po południu. Chcą mi zrobić dodatkowe badania.

- Kiedy?

- Jutro o ósmej rano.

- Pojadę z tobą.

- Nie, Vic. Masz to swoje śledztwo w sprawie zabójstwa. Jedź do pracy. Wiem, jaki jesteś zajęty.

- I tak musimy czekać, czy uda im się odczytać numery rejestracyjne. Więc pojadę z tobą.

Oboje zamilkli i w tej ciszy słyhać było tylko szum lodówki i sporadyczne skrzypnięcia konstrukcji domu, który szybko im się postarzał.

Faz popatrzył na Verę, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- To pewnie nic takiego, prawda? - odezwał się w końcu.

Rozdział 10

Środa, 11 lipca 2018

Dochodziło już południe, gdy Leonard Litwin zadał Tracy ostatnie pytanie i zakończył postępowanie obrony. Sędzia Gowin zwolniła przysięgłych, pouczając ich, że mają wrócić na salę o godzinie czternastej na wysłuchanie mów końcowych. Tracy wolała spędzić ten czas na komendzie niż w biurze Hoetiga. Przygotowanie mowy końcowej było wyłącznie sprawą prokuratora, choć przedstawicielka policji powinna być obecna przy jej wygłaszaniu. Podzieliła się z nim tylko swoimi uwagami, ale to, co z nimi robi, było jego sprawą.

Lipiec przyniósł kolejny piękny dzień z bezchmurnym niebem i upałem chłodzonym przez lekki wietrzyk znad Zatoki Elliotta, który wciskał się między dwa wzniesienia. "Pan Bóg spędza letnie wakacje w Seattle - mawiał Kins. - Ale w październiku już stąd spieprza".

W budynku komendy Tracy sięgnęła do szklanych drzwi wejściowych i niemal zderzyła się z Ronem Mayweatherem i grupą śledczych z zespołu C, do którego Ron Mayweather teraz należał. Wyglądało na to, że wszyscy razem udają się na lunch.

- Ron - rzuciła, przepuszczając ich. - Masz dla mnie sekundę?

- Jasne, pewnie. - Popatrzył na kolegów. - Trzymajcie dla mnie miejsce. Za chwilę do was dołączę. - Grupa się oddaliła i Ron zwrócił się do Tracy: - Jesteś w sprawie Stephensona, tak?

Faz nazywał go Kotter, bo Mayweather zewnętrznie przypominał Gabe'a Kaplana, aktora o ciemnych kręconych włosach i sumiastych wąsach, który grał tytułową rolę w serialu telewizyjnym Welcome Back, Kotter. Tyle że już mało kto pamiętał ten serial, a jeśli nawet, to pamiętano nie Kaplana, tylko debiutującego w nim młodego aktora Johna Travoltę.

- Właśnie skończyłam zeznawać. O drugiej Hoetig wygłosi mowę końcową.

- Jak ci poszło?

- Dowody były niepodważalne. Bez niespodzianek. - Tracy usunęła się na bok, by nie tamować ruchu na chodniku. - Słuchaj, przepraszam, że cię zatrzymuję.

- Nie ma sprawy. A co jest?

- Chciałam spytać o twoją decyzję przejścia do zespołu C.

- Tak, przepraszam, że ci nie powiedziałem. To stało się tak szybko. Mówiłem o tym chłopakom, ale ty byłaś wtedy w sądzie.

Tracy odgarnęła niesforny kosmyk włosów poruszony przez wiatr i zatknęła go za ucho.

- Chciałam spytać, dlaczego w ogóle się na to zdecydowałeś.

- Dlaczego? - prychnął Mayweather. - Bo Nolasco mi kazał.

Tego się nie spodziewała.

- Kazał ci się przenieść do zespołu C?

- No - potwierdził Mayweather, uzupełniając to lekkim wzruszeniem ramion z gatunku "I nic na to nie poradzisz".

- Co dokładnie ci powiedział?

- Zadzwonił i powiedział, że z końcem roku Arroyo przechodzi na emeryturę. Nolasco chciał, żebym trochę z nim popracował i wciągnął się w jego sprawy, tak by móc je przejąć po jego odejściu.

Tracy chwilę się zastanawiała.

- Nie wystąpiłeś z prośbą o przeniesienie? - spytała.

- Skądże - rzucił Mayweather takim tonem, jakby pytanie Tracy go ubodło. - Podobało mi się w zespole A, nawet mimo ciągłych docinków Fazzia. Nie wiedziałem, że Arroyo odchodzi na emeryturę. Nikt o tym nie wiedział, nawet jego koledzy z zespołu.

- Nie?

- Mówi, że podjął decyzję któregoś wieczoru, siedząc z żoną w domu. Ma wystarczającą wysługę lat do pełnej emerytury i chce trochę spokojnie pożyć.

Takie podejście nie było niczym niezwykłym. Z chwilą odbycia lat służby wymaganych do pełnej emerytury perspektywa uwolnienia się od zmagania z ludźmi zaburzonymi i zdeprawowanymi i podjęcia normalnego życia coraz bardziej przemawiała do wyobraźni.

- Czy Nolasco wspominał coś o mojej ciąży?

Mayweather się uśmiechnął.

- Byłem ciekaw, kiedy wreszcie oficjalnie to ogłosisz.

- Wiedziałeś? - spytała Tracy.

- Domyślałem się... Chyba większość się domyśla.

Czyżby Nolasco był jednym z nich?

- Ale odpowiadając na twoje pytanie, Nolasco nic mi o tym nie wspominał. Sam się zastanawiałem, czy wrócisz do pracy po urodzeniu dziecka, czy też twoje stanowisko się zwolni.

- Pytałeś o to Nolasca?

- Nie musiałem. Twierdził, że w najbliższym czasie nie spodziewa się żadnych wakatów w zespole A, a w zespole C potrzebny będzie nowy śledczy. Bo ty wracasz, prawda?

Nolasco inaczej uzasadnił Kinsowi potrzebę zatrudnienia Gonzalez.

- Tak - odrzekła. - Zamierzam wrócić.

- To fajnie. - Mayweather się uśmiechnął. - Brakowałoby cię tutaj. Coś jeszcze?

- Nie. Dzięki. Przepraszam, że cię zatrzymałam.

- Nie ma sprawy - rzucił Mayweather i podążył za kolegami.

Tracy patrzyła przez chwilę za nim. W zespole będzie go brakowało, pomyślała. Był odpowiedzialnym pracownikiem i miał poczucie humoru. Każdy, kto potrafił poradzić sobie z wiecznymi docinkami Dela i Faza, musiał mieć grubą skórę i dużo pewności siebie, ale nie to było teraz najważniejsze.

Nolasco jej powiedział, że Mayweather prosił o przeniesienie do zespołu C na miejsce Arroya, bo w najbliższym czasie w zespole A nie będzie żadnych wakatów. A tak przecież nie było. Nolasco przeniósł Mayweathera do zespołu C po to, by stworzyć w zespole A wakat dla Gonzalez, i Tracy podejrzewała, że wie dlaczego. Kiedy ona pójdzie na urlop macierzyński, będzie jej dużo trudniej skarżyć się na dyskryminację płci, skoro Nolasco zastąpi ją inną kobietą, w dodatku reprezentującą mniejszość etniczną. Chronił swój tyłek. Wróciła myślami do tego, jak zastała Gonzalez w zamkniętym i zasłoniętym gabinecie Nolasca i jak ta nowa zalogowała się do komputera i grzebała w jej aktach. Takie rzeczy nie zdarzały się w Sekcji Ciężkich Przepępstw Kryminalnych i bez wątpienia wszystko wskazywało na to, że w niedalekiej przyszłości Nolasco zamierza posadzić Gonzalez na jej miejscu.

A może ona zaczyna popadać w paranoję i dopatrywać się spisku tam, gdzie go nie ma?

No, może.

Rozdział 11

Volkswagen był zarejestrowany na Douga i Sandy Blaismithów z Newcastle w stanie Waszyngton, miasteczka, którego mieszkańców Del ani Faz nie skojarzyliby z samochodem zaparkowanym w South Park. Po pierwsze, do Newcastle było, zależnie od pory dnia i natężenia ruchu, dwadzieścia pięć do czterdziestu pięciu minut jazdy na wschód od Seattle; po drugie, Newcastle miało opinię miejscowości zamieszkaną przez klasę średnią i wyższą średnią, z rocznymi dochodami powyżej stu dwudziestu pięciu tysięcy dolarów, a ceny nieruchomości przekraczały tam milion dolarów. Przekrój demograficzny Newcastle także miał niewiele wspólnego z South Park: sześćdziesiąt pięć procent ludności rasy białej i zaledwie cztery procent Latynosów.

Specjaliści od wideo nie byli w stanie odczytać numeru rejestracyjnego na białym SUV-ie, do którego wsiadł podejrzany, ani nie odnotowali tego pojazdu na żadnym nagraniu z ulicznych kamer monitoringu.

Faz dostał tę wiadomość telefonicznie krótko po dotarciu do komendy, po poranku spędzonym z żoną u lekarza. Nie chciał zostawiać jej potem samej, ale Vera nalegała, argumentując, że w niczym jej nie pomoże to, że oboje będą siedzieć w domu i się zamartwiać.

Del i Faz postanowili jechać do Newcastle po siedemnastej, kiedy była większa szansa na to, że samochód będzie na miejscu. Postanowili też nie uprzedzać Blaismithów telefonicznie o swojej wizycie. Czas do wyjazdu do Newcastle wykorzystali na ponowne odwiedziny w South Park i dalsze rozmowy z mieszkańcami osiedla, ale także z właścicielami firm, które wczoraj wieczorem były już zamknięte. Nie znaleźli jednak nikogo, kto wiedziałby cokolwiek nowego o strzelaninie, ani nie natknęli się na żadne przydatne nagrania wideo. Faz zadzwonił z South Park do Andrei Gonzalez i poprosił, by wystawiła nakaz oraz uzyskała zgodę sądu na przeszukanie posiadłości Blaismithów. Zabezpieczał się na wypadek, gdyby właściciele okazali się niechętni do współpracy.

Faz miał nadzieję, że uda mu się wrócić do domu o przyzwoitej porze i spędzić wieczór z Verą, ale też zdawał sobie sprawę, że wizyta u Blaismithów może być ich jedyną szansą na znalezienie zabójcy Monique Rodgers i ewentualne ustalenie, czy zabójstwo zostało zleczone przez Małego Jimmy'ego. Przed wyjazdem z komendy zadzwonił do Very, aby ją uprzedzić, że może wrócić do domu trochę później. Tak jak zwykle odparła, że ma robić, co do niego należy, a ona zaczeka z ciepłą kolacją. Dla Faza było jasne, że woli nie rozmawiać o porannej wizycie u lekarza.

- Prochy - powiedział Del, ruszając w drogę do Newcastle. Obaj uznali, że narkotyki mogły być przyczyną obecności samochodu z Newcastle w

South Park. - Opioidy, meta, może nawet hera.

- Może - mruknął Faz.

Jego zdaniem przyczyna zaparkowania samochodu w pobliżu miejsca zabójstwa nie była najważniejsza. Ważniejsze było to, że w ogóle tam się znalazł. A oni mieli na celowniku dużo grubszego zwierza.

- Jeśli przyskrzynimy zabójcę, może zacząć sypać. A jeśli tak, to może uda nam się dopaść Małego Jimmy'ego - powiedział Del. - To by było coś. Najpierw tatuś, potem synalek.

- Nie wybiegajmy zanedo w przyszłość - rzucił Faz. - Ale tak. To by było coś.

* * *

Blaismithowie mieszkali na podmiejskim osiedlu domków jednorodzinnych, w pobliżu klubu golfowego. Wiele takich osiedli wybudowano w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, by pomieścić pęczniącą populację Seattle. Określenie "funkcjonalne" przyszło do głów Delowi i Fazowi w chwili, gdy minęli ceglany mur z nazwą dewelopera i ujrzeli stłoczone obok siebie maleńkie działki z domami, tak by do maksimum wykorzystać teren. Najwyraźniej kreatywność i wyobraźnia nie miały tu wstępu, bo domy różniły się tylko tym, w którą stronę świata były ustawione, i rozplanowaniem powierzchni. Ceglane ściany miały siding z szarego drewna, a dom zajmował niemal całą działkę, tak że pozostawał tylko wąski pas ziemi, żeby można było posadzić parę krzewów i posiać trochę trawy, na której skoszenie wystarczały dwa ruchy kosiarką.

Del zaparkował przy krawężniku przed jednopiętrowym domem Blaismithów. Na wąskim pasku podwórka, oddzielającym ich posesję od domu sąsiada, stał słupek do koszykówki, a obręcz kosza wisiała nad pustym podjazdem. Pozostawało mieć nadzieję, że volkswagen jetta stoi w jednym z trzech garaży, bo inaczej cała wyprawa okazałaby się zupełnie bezowocna.

Obaj włożyli marynarki i przeszli po wyłożonej cegłami ścieżce do oszklonych drzwi pod czterometrowym daszkiem. Powietrze wydawało się tu cieplejsze niż w Seattle, mimo że dom stał w cieniu rozłożystych drzew. Del nacisnął dzwonek i w środku rozległa się cała seria gongów, do której dołączyło szczekanie psa, dużego, sądząc po basowym tonie.

- Zakład o dziesięć dolców, że to labrador? - powiedział Del, zdejmując okulary przeciwsłoneczne i chowając je do kieszonki marynarki.

- Za łatwe - mruknął Faz. - Określ go bliżej. Biskoptowy, czarny czy brązowy? - Nie odrywał oczu od drzwi.

- Biskoptowy. Zdecydowanie biskoptowy.

- To już mogę ci dać tę dychę - powiedział Faz.

Drzwi otworzyła kobieta, która trzymała za obrożę bardzo podnieconego biskoptowego labradora. Pies sprawiał wrażenie, jakby chciał odlecieć, bo stał na tylnych łapach, z wywieszonym na bok językiem, i energicznie machał przednimi łapami. Del posłał Fazowi uśmiezek.

- Panowie do kogo? - spytała kobieta.

Sandy Blaismith wyglądała na dobrze utrzymaną czterdziestokilkulatkę. Była ubrana w obcisłe dżinsy, czarne botki do kostek i bluzę z wycięciem pod szyją, które odsłaniało lekko piegowaty kawałek ciała i złoty naszyjnik. Na palcach miała sporo pierścionków, niektóre z imponującej wielkości kamieniami. Nie czekając na odpowiedź, kobieta szarpnęła obrożę psa.

- Siad, Seager, siad. Siad! - rozkazała, ale pies kompletnie ignorował komendę, nie przestając drapać powietrza. - Przykro mi, ale jeśli coś sprzedajecie, to nie jesteśmy zainteresowani, i nie każcie mi wypuszczać psa, bo on gryzie.

Widać było, że blefuje, a jedynym zagrożeniem ze strony Seagera mogło być to, że się na nich rzuci i zaliże na śmierć.

Faz wyciągnął odznakę.

- Jesteśmy z policji w Seattle. Pani Sandy Blaismith?

Niechęć na twarzy kobiety ustąpiła miejsca zaniepokojeniu.

- A o co chodzi?

- Może zechciałaby pani najpierw zamknąć psa? - powiedział Del.

- Chwileczkę. - Szarpnęła psa za obrożę, pociągnęła go do środka i zatrasnęła za sobą drzwi. Chwilę po tym, przekrzykując szczekanie, zawołała do męża: - Doug! Chodź, zabierz psa i wyrzuć go za dom! Masz zabrać psa i wyrzucić go z domu!

- Na miłośniczkę zwierząt mi nie wygląda - zauważył Faz.

- Z całą pewnością - potwierdził Del.

- Pod drzwiami stoi dwóch policjantów z Seattle! - krzyknęła. Dwóch policjantów... Nie wiem... Po prostu weź swojego psa i wypuść go za domem.

Del popatrzył na Faza.

- Podbijam stawkę. Zakład, że mają też kota, syna i córkę. Rodzina typu instant. Wystarczy dolać wody.

- Tego zakładu nie przyjmuję - burknął Faz.

Drzwi ponownie się otworzyły i znów stanęła w nich Sandy, teraz już bez psa, ale za to z mężem. Doug Blaismith miał na sobie granatowe spodnie, do których przyczepiło się kilka jasnych psich kudłów; biała koszula była rozpięta pod szyją, a podwinięte rękawy odsłaniały kosztownie wyglądający złoty zegarek na jednej ręce i gruby złoty łańcuszek na drugiej, oznaki finansowego sukcesu. Mocno przerzedzone i nażelowane włosy były gładko zaczesane do tyłu, a sterczący brzuch świadczył o zapale do jedzenia i braku zapachu do ćwiczeń.

- Czym możemy służyć? - spytał.

- Czy jest pan właścicielem niebieskiego volkswagena jetta, panie Blaismith? - Faz odczytał z kartki numer rejestracyjny auta.

- Srebrnego, nie niebieskiego - poprawił go Doug.

- Samochód jest tutaj?

- Czy coś się stało? - zaniepokoił się Doug. - Syn miał wypadek?

- To syn jeździ tym samochodem? - zapytał Faz.

- Głównie do szkoły. Ale teraz są wakacje, więc.

- Samochód jest tutaj? - powtórzył pytanie Faz.

- Stoi w garażu - odparł Doug. - A czemu pan pyta?

Faz pomyślał, że to powinno już być oczywiste, zdecydował jednak, że pozwoli facetowi mieć poczucie, że to on tu rządzi.

- Chcielibyśmy go zobaczyć - powiedział.

- O co chodzi? - zachnął się Doug. - Czy mam zadzwonić po adwokata?

- Według naszych informacji, samochodu dotykał ktoś podejrzany o popełnienie przestępstwa - wyjaśnił Faz.

- Słucham? - Sandy wyraźnie pobladła.

- Nie rozumiem - rzucił Doug.

- Już państwu wyjaśniam. - Faz pokrótce zrelacjonował strzelaninę w South Park, śmierć Monique Rodgers i nagranie wideo ze sklepu spożywczego.

- Coś o tym czytałem, a może oglądałem w telewizji - powiedział Doug.

- Ale to jakieś nieporozumienie, panowie. Tym samochodem jeździ tylko mój syn, a on nie miał żadnego interesu w... Mówicie, że to było w South Park?

Oj, chyba miał, pomyślał Faz.

- Mamy nagranie wideo - oznajmił.

Wyjął dwa wydruki, jeden ukazujący samochód zaparkowany przy krawężniku, drugi z powiększoną tablicą rejestracyjną, i podał Dougowi, a ten im się przyjrzał. To samo zrobiła jego żona, zaglądając mu przez ramię. Oboje sprawiali wrażenie kompletnie zaskoczonych.

- Nie chodzi o żadne wykroczenie syna - zapewnił Faz, w nadziei że to ich trochę uspokoi, choć chłopaka rzeczywiście mogła czekać niezła awantura z rodzicami. - Po prostu liczymy na to, że uda nam się zdjąć odcisk dłoni z maski samochodu i w ten sposób ustalić tożsamość tego, kto oparł się ręką o państwa samochód.

Doug nie przestawał kręcić głową, Sandy jeszcze bardziej pobladła.

- To wasz numer rejestracyjny, prawda? - spytał Faz.

Doug potarł skroń.

- Naprawdę nie znam na pamięć numeru rejestracyjnego. - Spojrzał na żonę, ale ta pokręciła głową. - Mówicie, że kiedy to było?

- Powiedział pan, że samochód jest tutaj - przypomniał Faz.

- Stoi w garażu.

- To może zacznijmy od porównania jego numeru rejestracyjnego z tym zdjęciem. Bo jeśli to nie państwa samochód, to nie będziemy dłużej przeszkadzać - powiedział Faz, a gdy żadne z nich się nie ruszyło, dodał: - Państwa syn gra w koszykówkę?

Del zrobił minę, jakby jego partner postradał rozum.

Pytanie Faza jeszcze bardziej zmieszało Douga.

- Co takiego? - mruknął.

Fazowi chodziło tylko o to, by zachęcić ich do mówienia.

- Zauważyłem tablicę do kosza na państwa podjeździe. Mój syn był koszykarzem. Chyba przez dwadzieścia lat nie mogłem zaparkować pod domem, bo syn wciąż trenował. Pomyślałem, że samochód pewnie dlatego stoi w garażu.

- Ach, tak, mhm, rzeczywiście - przyznał Doug. - Gra w drużynie amatorskiej w Eastside, tylko że wczoraj był u lekarza na kontroli kolana. Właśnie dlatego jesteśmy tacy zaskoczeni. W poniedziałek rano miał operację zerwanej łąkotki, więc w żaden sposób nie mógł być wczoraj samochodem w South Park. Chwilowo nie może prowadzić.

- Samochód był tu wczoraj przez cały dzień? - upewnił się Faz, teraz z kolei on zaskoczony.

- Stał w garażu. - Doug spojrział na żonę, jakby szukał u niej potwierdzenia.

- Mają państwo więcej dzieci? - zapytał Del.

- Córkę - odrzekł Doug. - Ale ma dopiero trzynaście lat i nie prowadzi samochodu.

- Nie chcemy sprawiać kłopotu, gdybyśmy mogli jednak rzucić okiem do garażu i porównać tablicę rejestracyjną pańskiego samochodu z tym wydrukiem, to może coś by się wyjaśniło - powiedział Faz.

- Poczekajcie chwilę. - Doug odwrócił się do kręconych schodów, spojrział w górę i zawołał: - Luke?

- Pójdę po niego - rzuciła Sandy, ale zamiast wejść na schody, skierowała się w głąb domu.

Del zerknął pytająco na Faza, który też wydawał się zdziwiony.

- Proszę, wejdźcie. - Doug odsunął się na bok, by mogli wejść do wyłożonego marmurem holu, i zamknął za nimi drzwi.

Z wnętrza domu dobiegło szczekanie psa. Doug odwrócił się i spojrział w głąb holu. Żona oddaliła się w stronę kuchni.

- Postaramy się szybko to załatwić - obiecał Del.

Wsparty na kulach, wysoki szczupły chłopak z blond czupryną pojawił się na szczycie schodów. Prawą nogę miał usztywnioną w kolanie.

- Tak?

Del przesunął się w głąb korytarza, gdzie przed chwilą zniknęła pani domu.

Doug przedstawił obu detektywów i Faz szybko wyjaśnił cel ich wizyty. Na wzmiankę o South Park, chłopak pokręcił głową.

- Nie mogę prowadzić. Od wyjścia od lekarza siedzę w domu. A tak w ogóle to nawet nie wiem, gdzie jest South Park.

Faz dyskretnie dał Delowi znak głową, by poszedł za Sandy Blaismith, a sam kontynuował przepytывanie chłopaka.

- Nikt niczego ci nie zarzuca, synu. Po prostu chcemy tylko sprawdzić, czy ktoś, kto oparł się o maskę waszego samochodu, zostawił odcisk dłoni, który pomoże nam w identyfikacji tej osoby.

- Ja się nie tłumaczę, tylko mówię, że wczoraj nie jeździłem tym samochodem. Stał w garażu.

- Kto zawiózł cię na badanie? - spytał Faz.

- Ja - wtrącił Doug. - Lekarz to mój znajomy.

Faz widział, jak Del znika w głębi korytarza, czemu towarzyszyło jeszcze bardziej zajadłe szczekanie i chrobot pazurów o szkło.

- Pańska żona pracuje zawodowo? - spytał.

- Dorywczo - odparł Doug, z trudem przekrzykując szczekanie.

- A wczoraj była w pracy?

Faz usłyszał dochodzący z głębi domu krzyk Dela. Natychmiast ruszył w tamtą stronę i wpadł do obszernej kuchni połączonej z pokojem dziennym. Duży płaski telewizor na ścianie nad ceglanym kominkiem pokazywał wiadomości, ale dźwięk był wyciszony. Za przesuwными szklanymi drzwiami miotał się po ogródku biszkoptowy labrador, tratując krzewy i kwiaty, szczekając i drapiąc w szkło. Faz przeszedł przez kuchnię i otworzył drzwi do garażu.

Del zdążył już doskoczyć do Sandy Blaismith, która stała przy otwartej szafce, trzymając w rękach plastikową butelkę z niebieskim płynem i szmatkę. Na widok Faza i męża opuściła ręce, jakby nagle zwiędła.

- Sandy, co ty, u diabła, robisz?! - wykrzyknął Doug.

Kobieta milczała. Del wyjął jej z rąk butelkę ze spryskiwaczem i szmatkę, a ona oddała mu je bez sprzeciwu. Faz podszedł do samochodu, pochylił się i w padającym z góry świetle jarzeniówki obejrzał maskę. Warstewka kurzu na powierzchni zdawała się świadczyć o tym, że nikt jej ostatnio nie dotykał.

- Sandy - rzucił Doug ostrzejszym tonem. - Co tu się, do cholery, dzieje?

Rozdział 12

Tracy pomyślała, że z zewnątrz budynek Village Place w Dzielnicy Uniwersyteckiej wygląda zbyt elegancko jak na mieszkania wynajmowane przez studentów w wieku od osiemnastu do dwudziestu dwóch lat, których rodzice z trudem wysupłują pieniądze na czynsz i skromniutkie wyżywienie. Jednak bliskość kampusu Uniwersytetu Stanu Waszyngton oraz niedrogie knajpki i butiki z modnymi ciuchami przy University Way czyniły z kamienicy wymarzony adres stancji dla studentów.

Na dziedziniec z białego kamienia, gdzie ustawiono donice z roślinnością, a wokół ciągnęły się łukowate przejścia z ozdobnymi lampami oraz witrażowymi oknami, zakratowanymi - w związku z bezpośrednim sąsiedztwem osławionej Avenue - wiodła dróżka wylana czerwonym betonem. Okolica przyciągała tłumy bezdomnych młodych ludzi, którzy siadywali na chodnikach, trzymając kartonowe plansze, jako nawiązanie do kontrkulturowego ruchu, który na większości kampusów wygasł na długo przed ich urodzeniem.

Tracy weszła do budynku tuż po piątej. Mowy końcowe na procesie Stephensona przebiegły zgodnie z oczekiwaniami i sprawa została przekazana ławie przysięgłych parę minut po czwartej. Hoetig przewidywał, że przysięgli posiedzą nad nią najwyżej do piątku.

Przez całą długość marmurowej posadzki, z kolumnami po obu stronach, ciągnął się czerwony chodnik. Panujący tu chłód dawał miłe wytchnienie od lipcowego upału na ulicy. W ogromnym, przypominającym salon w angielskim dworze westybulu, obwieszonym obrazami, które przedstawiały mężczyzn w strojach do konnej jazdy, i z głębokim kominkiem, zapewne nieużywanym od dziesiątków lat, stała Katie Pryor w towarzystwie mężczyzny i kobiety.

Tracy podeszła do nich i Pryor dokonała prezentacji. Szczupły, drobnokościsty Rashesh Banerjee, o ciemnej karnacji, z cieniem zarostu po porannym goleniu, ubrany był w czarne spodnie i białą prążkowaną koszulę. Aditi Dasgupta, obecnie Banerjee, miała sandały, czarne legginsy i luźną białą tunikę, która sięgała jej poniżej kolan. Oboje podziękowali Tracy, że zechciała się z nimi spotkać.

- Żona bardzo się martwi losem swojej przyjaciółki Kavity - oznajmił Rashesh z lekkim brytyjskim akcentem.

- Rozumiem, że były panie współlokatorkami - zwróciła się Tracy do młodej kobiety.

- Od kilku lat - wtrącił Rashesh.

- Pani Banerjee - powiedziała z uśmiechem Tracy - doceniam pańską chęć pomocy, ale pójdzie nam dużo szybciej i łatwiej, jeśli będę mogła porozmawiać bezpośrednio z Aditi. Zgoda?

- Oczywiście. - Rashesh kiwnął głową, zrobił krok do tyłu i gestem ręki poprosił Tracy, by kontynuowała.

- Pani i Kavita byłyście współlokatorkami? - upewniła się i Aditi z grubsza powtórzyła to, co Tracy wiedziała już od Katie Pryor.

Po wysłuchaniu jej opowieści Tracy zadała kolejne pytanie:

- Czy to możliwe, że Kavita po prostu potrzebowała trochę czasu, żeby przetrwać te wszystkie nowiny? Bo chyba nastąpiła bardzo istotna i niespodziewana zmiana w życiu was obu.

- To możliwe. - Aditi skinęła głową, jakby i ona na to liczyła. - Też o tym pomyślałam, tylko że... Kavita nie chciałaby, żebym się tak martwiła. Zadzwoniłaby albo wysłała esemesa, że u niej wszystko w porządku, żeby mnie uspokoić. Nawet jeśli byłaby bardzo rozżalona.

Tracy nie zamierzała podważać tego, co ta młoda kobieta miała do powiedzenia, ale wciąż nie była przekonana, czy Kavita Mukherjee nie zaszyła się gdzieś, aby wszystko spokojnie przemyśleć.

- W jakim nastroju była w poniedziałek, kiedy się rozstawaliście?

- Zdenerwowała się. Obie byłyśmy bardzo poruszone i obie płakałyśmy. Wyjawienie jej prawdy było dla mnie bardzo trudne, tak jak dla niej trudne było jej wysłuchanie. Uciekła z mieszkania, bo nie chciała patrzeć, jak się pakuję. Powiedziała, że to dla niej zbyt bolesne.

- I kiedy wieczorem przypuszczalnie wróciła do mieszkania, pani już tam nie było?

- Tak. Poszłam tam jeszcze raz, bo się o nią martwiłam. Poprzednio przed wyjściem zostawiłam jej na łóżku list i prezent. I za drugim razem zauważyłam, że mój prezent, sari przywiezione z Indii, leży rozłożone na łóżku, a list jest otwarty.

- I czek - przypomniał jej Rashesh.

- Tak. Zostawiłam jej też czek na moją część czynszu, ale leżał podarty obok listu. Stąd wiem, że tego wieczoru była w mieszkaniu.

- Podarła czek? - spytała ze zdziwieniem Tracy.

- Obiecałam jej, że będę płaciła swoją część czynszu, dopóki nie znajdzie kogoś na moje miejsce - wyjaśniła Aditi. - Wiem, że płacenie całego czynszu byłoby dla Kavity trudne.

Tracy pomyślała, że podarcie czeku najlepiej świadczy o tym, jak bardzo Kavita była rozgniewana na przyjaciółkę.

- Czy miała jakieś plany na ten wieczór?

Aditi pokręciła głową.

- Nic mi o tym nie wiadomo, ale nie było mnie tu od blisko dwunastu tygodni.

- Nie wspominała o żadnym wyjściu?

- Nie.

- No dobrze. Ma pani nadal klucze do tego mieszkania?

- Dzwoniliśmy już do gospodarza - wtrącił Rashesh. - Aditi jest wciąż oficjalnie lokatorką. Powiedział, że nas wpuści.

Chwilę później gospodarz zaprowadził ich do mieszkania i otworzył drzwi swoim kluczem.

- Wejść pierwsza - oświadczyła Tracy. Włożyła parę niebieskich lateksowych rękawiczek i wślizgnęła się do mrocznego przedpokoju.

* * *

Kavita Mukherjee odsunęła zasuwę i ostrożnie otworzyła drzwi do mieszkania. Obawiała się nie tego, co może tam zastać, ale raczej tego, czego już tam nie zastanie. Zatrzymała się w przedpokoju, mając w pamięci euforię, z jaką razem z Aditi wchodziły tu po raz pierwszy, i zachwyt przyjaciółki, że jest tu tyle naturalnego światła.

Jak zwykle wrzuciła klucze do miski na stoliku przy drzwiach, bo obie zawsze tak robiły, i weszła do salonu. Tym razem Aditi zostawiła swoje klucze na kuchennym blacie, ale poza tym wszystko wyglądało tak jak wtedy, gdy Kavita stąd wy chodziła. Pomyślała, że zapewne Aditi i jej mężowi niepotrzebne są w Londy nie ich stare graty.

Przeszła z salonu do kuchni. Wszystkie talerze i szklanki były na swoich miejscach. Obie nie jadały zbyt często w domu. Zazwyczaj szły do jakiejś knajpki i dzieliły rachunek na pół. Zawsze tak robiły, odkąd sięgała pamięcią. Na imprezy organizowane przez któreś bractwo też zawsze chodziły razem. Jeśli tylko jedna z nich musiała się pouczyć, do biblioteki i tak szły obie. Przed sprawdzianami wzajemnie się odpytywały. Tak, to prawda, Kavita zawsze miała lepsze oceny, ale to Aditi była pilniejszą uczennicą i studentką. Z kim teraz Kavita będzie się uczyła jako studentka medycyny?

Spojrzała przez okno na rozświetlone popołudniowym słońcem dachy budynków uniwersyteckich, gdzie spędziła ostatnie cztery lata i dokąd miała

nadzieję wrócić na studia medyczne. Ale stwierdziła, że skoro ma teraz być sama, to woli nie wracać na Uniwersytet Stanu Waszyngton. Lepiej wyjedzie gdzieś daleko, gdzie nie będą jej nękały wspomnienia, gdzieś daleko od rodziny. Zaczęła się zastanawiać, w jakim stopniu decyzja Aditi o zamążpójściu została podyktowana strachem, a nie miłością. Strachem, który Kavita sama teraz czuła. Obawiała się samotności, niepowodzenia na medycynie, powrotu do domu z podkulonym ogonem.

Z całą pewnością nie mogła liczyć na wsparcie matki, z którą kontakty od pewnego czasu ograniczały się do pełnych pretensji rozmów telefonicznych. "Rola miłości jest mocno przeceniana - mówiła. - Czas na miłość jest po ślubie".

"I najwyżej nigdy jej nie będzie", odgryzała się z sarkazmem Kavita.

Czy Aditi wzięła ślub ze strachu, że już nie trafi jej się inna okazja? Czy bała się, że któregoś dnia Kavita wyjdzie za mąż i zostawi ją samą? Czy uznała, że lepiej będzie ucześcić się kogoś, wszystko jedno kogo, byleby nie żyć samotnie?

Wyszła z salonu i zanurzyła się w półmrok przedpokoju, gdzie nie docierało światło dzienne. Dziś ten półmrok wydawał się jeszcze ciemniejszy niż zwykle. Otworzyła drzwi do pokoju Aditi. Wszystkie sprzęty stały na swoich miejscach, ale z łóżka zdjęta była pościel, a z szuflad komody zniknęły rzeczy Aditi. Na drążku w szafie wisały puste wieszaki, na ścianach widniały puste miejsca po obrazkach.

Pustka w tym pokoju boleśnie uzmysłowiła Kavicie rzeczywistość. Aditi odeszła. A ona została sama.

Ze łzami w oczach zamknęła drzwi pokoju, poszła dalej i minęła łazienkę. Musi się przyszykować do dzisiejszego spotkania. Jeszcze nigdy z taką radością nie myślała o wyjściu z domu, choć robienie na siłę dobrej miny i udawanie szczęśliwej będzie trudne.

Koło łóżka dostrzegła parę granatowych sandałków od Baty, na przykrytym kapą łóżku leżał równo złożony zwój złocisto-niebieskiego materiału. Aditi. To było tak w jej stylu, żeby przywieźć przyjaciółce prezent z Indii. Kavita wzięła do ręki materiał - sari - i z po dziwem obejrzała kunsztowny wzór. W Stanach Zjednoczonych tej klasy ręczny wyrób musiałby pochłonąć dwutygodniowe zarobki Aditi. Ale nie w Indiach.

Kavita rozłożyła sari i podeszła do lustra na wewnętrznej stronie drzwi szafy. Otuliła się wzorzystą tkaniną i przypomniała sobie, jak pierwszy raz założyła sari - na annaprashan swojej kuzynki. Matka pouczyła ją wtedy, że sari to nie jest zwykły ubiór. Że dla Hinduski to sposób na wyrażenie siebie. Pokazała jej, jak przysłonięcie kawałka twarzy oznacza, że kobieta jest gotowa do zabawy, i jakie fałdy na ramieniu dowodzą jej skromności.

Kavita nigdy tak tego nie odbierała. Dla niej sari było nieporęcznym strojem, w którym czuła się niezgrabna i pozbawiona wdzięku. Śliski materiał zsuwał się jej z ramienia, a pallu, długi tren służący do upięcia na ramieniu i na ręce, włókł się za nią po podłodze. Kiedy owijała się sari na tyle ściśle, by nieśmiało podkreślić kobiece kształty, czuła się klaustrofobicznie, uwięziona w zwojach tkaniny.

Przytknęła materiał do twarzy i z zachwytem patrzyła, jak jego błękit eksponuje błękit jej oczu, a złocistość zlewa się ze złocistością jej karnacji. Aditi. Ona zawsze tak starannie dobierała prezenty. Kavita mogła się tylko domyślać, ile czasu jej najlepsza przyjaciółka poświęciła na to, by znaleźć takie sari. Po czuła smutek, że nie ma jej tu teraz, by mogła jej osobiście podziękować za prezent.

Rozwinęła sześciometrowy pas materiału na parkiecie i wtedy z jednego z załomów wysunęła się koperta. Kavita zebrała sari, wzięła kopertę i zaniósła wszystko na łóżko. Usiadła na piankowym materacu i podłożyła sobie poduszkę pod plecy. Koperta była zaadresowana do niej pięknym pismem Aditi.

Otworzyła ją i wyjęła ze środka odręcznie napisany list.

Moja kochana Vito!

Zobaczyłam to sari, robiąc zakupy ślubne, i pomyślałam, że jego błękit będzie dobrze pasował do koloru Twoich oczu, a złoto do Twojej karnacji.

Kavita roześmiała się. Znały się tak dobrze.

Następnego dnia wróciłam do sklepu, bojąc się, że już mogło zostać sprzedane. Jest takie piękne, że po prostu musiałam Ci je kupić. Wiem, że nigdy nie będziesz się w nim czuła tak jak w swoich dżinsach z dziurami na kolanach i T-shircie :), ale wyglądałabyś w nim tak pięknie. Mam nadzieję, że któregoś dnia zdecydujesz się je włożyć i wtedy pomyślisz o mnie, swojej przyjaciółce Aditi.

Pod koniec tygodnia wyjeżdżam do Londynu, a do tego czasu Rashesh i ja zamieszkamy u moich rodziców. Wiesz, obowiązki rodzinne. Tak się to robi po hindusku. :) Mam szczerą nadzieję, że mnie odwiedzisz i poznasz mojego męża, jeszcze przed naszym wyjazdem. Minęło dopiero kilka minut, od kiedy wyszłaś, a ja już za Tobą tęsknię.

Przyjedź do mnie do Londynu, Vito. Spodoba Ci się to miasto! I będziemy się razem świetnie bawić! Kiedy tylko zechcesz!

Twoja siostra na zawsze,

Aditi

Pod listem Kavita znalazła czek na kwotę czynszu przypadającego na Aditi, za dwa miesiące. Uśmiechnęła się. Jakże bardzo w stylu Aditi, żeby się o nią martwić. Westchnęła na myśl o tym, że przyjaciółka już nie musi się o nią martwić, w każdym razie jeśli chodzi o sprawy finansowe.

Ona, Kavita, zostanie lekarką. Teraz była już tego pewna.

* * *

Aditi oprowadziła ich po mieszkaniu. Ostatni pokój w głębi należał do Kavity. Wskazała niedbale zaścielone łóżko, ze zmiętoszoną kołdrą przykrywającą poduszki. Na kapie leżały skrawki papieru.

- Tu położyłam sari i list do niej.

- To strzępy tego czeku? - spytała Tracy.

- Tak, włożyłam go do koperty razem z listem.

Tracy znów przyszło na myśl, że podarcie czeku musiało oznaczać zdecydowany bunt Kavity wobec zamążpójścia przyjaciółki. Obok stolika nocnego leżał na podłodze plecak i Tracy do niego zajrzała. W środku znajdował się laptop.

- To jej - powiedziała Aditi.

Było to dziwne. W dzisiejszych czasach młodzi ludzie nie ruszają się nigdzie bez laptopa i smartfona.

- Zna pani hasło? - spytała, a gdy Aditi zaprzeczyła, Tracy podała laptop Pryor. - Zabierzemy to i wystąpimy o nakaz przeszukania jej maili i postów w mediach społecznościowych. Czy poza tym podartym czekiem widzi tu pani coś dziwnego? - zwróciła się znowu do Aditi.

Ta pokręciła głową.

- No dobrze - rzuciła Tracy. - Zrobię teraz kilka zdjęć. Spotkamy się za chwilę w salonie. Raz jeszcze proszę, by niczego nie dotykać.

Po zrobieniu telefonem ponad dwudziestu zdjęć Tracy ruszyła z powrotem do salonu.

Pryor rozmawiała z Aditi, ale gdy tylko Tracy weszła, odwróciła się do niej.

- Aditi uprzedziła rodziców Kavity, że możemy chcieć z nimi pomówić.

Tracy zerknęła na zegarek.

- Gdzie oni mieszkają?

- W Bellevue - powiedziała Aditi. - Ojciec Kavity pracuje w Microsoftzie. Myśli pani, że mogło jej się coś stać?

- Nie wiem. - Jeśli tej młodej kobiecie przytrafiło się coś złego, nie stało się to w tym mieszkaniu, w każdym razie nic na to nie wskazywało. - Aditi, muszę pani zadać trudne pytanie i z góry za nie przepraszam. Czy to możliwe, że Kavita sama coś sobie zrobiła?

- Nie ta Vita, którą znam... Nie, nie wierzę, żeby mogła coś sobie zrobić.

- Czy należy do kobiet, które mogą pójść do baru, wypić parę drinków i wyjść z kimś nieznanym?

- Nie - zaprzeczyła stanowczo Aditi. - To do niej zupełnie niepodobne.

- Czy nigdy nie zdarzyło jej się nic takiego?

Aditi milczała przez chwilę i Tracy przyszło na myśl, że jej wahanie może mieć związek z Rasheshem. Młoda kobieta raczej nie chciałaby opowiadać o seksualnych przygodach swoich i przyjaciółki w obecności mężczyzny, za którego dopiero co wyszła.

- Nie.

- Piła?

- Tylko przy jakichś okazjach. Lubiła czerwone wino.

- Narkotyki?

- Nie.

- Żadnych narkotyków? Nawet trawki?

- Może parę razy w liceum i w college'u, ale nic regularnego.

- Ile wynosi czynsz za to mieszkanie?

- Tysiąc osiemset pięćdziesiąt dolarów miesięcznie.

- I mówi pani, że rodzice Kavity przestali jej pomagać finansowo?

- Tak.

- Czy byłoby ją stać na samodzielne płacenie czynszu?

Aditi pokręciła głową.

- Dlatego zobowiązałam się płacić połowę do czasu, aż znajdzie sobie nową współlokatorkę. Miałam wyrzuty sumienia, że tak ją zostawiam.

- zaproponowałam Aditi, żebyśmy zapłacili za dwa miesiące z góry - wtrącił Rashesh.

- A ona podała wazę - powiedziała Tracy, bardziej do siebie niż do nich. - To jak zamierzała utrzymać to mieszkanie?

- Nie wiem - odparła Aditi. - Przyjęłam, że znajdzie sobie nową współlokatorkę. Pojedziecie dziś do jej rodziców?

Tracy uznała, że nie ma wyboru.

- Tak.

- To zawiadomię ich, że będziecie.

Tracy wyjęła z kieszeni wizytówkę i wręczyła ją Aditi. Pryor zrobiła to samo.

- Tu są moje numery kontaktowe. Jeśli Kavita się odezwie, proszę natychmiast zadzwonić do mnie lub detektyw Pryor.

- Co teraz zrobicie? - spytał Rashesh.

- Roześlemy policji w całym stanie powiadomienie o osobie zaginionej, łącznie z fotografią i danymi osobowymi - odparła Pryor.

- Potrzebny mi będzie numer telefonu Kavity i nazwa jej operatora komórkowego - powiedziała Tracy. - Zwrócimy się do niego o ustalenie jej ostatniego miejsca logowania. Miejmy nadzieję, że jeśli uda nam się odnaleźć telefon Kavity, to odnajdziemy także ją. A przynajmniej dowiemy się, gdzie ostatnio była.

Rozdział 13

Sąsiedzi Blaismithów wylegli przed domy, zaciekawieni widokiem jety ładowanej na lawetę. Faz podejrzewał, że w takiej społeczności plotki docierają do każdego błyskawicznie, szybciej niż dzieciaki od "cukierka albo psikusa" w Halloween.

Razem z Delem zamierzali towarzyszyć lawecie do stacji kontroli samochodów przy Park 95. Faz zdążył już wysłać Gonzalez maila z wiadomością, żeby nakaz przeszukania dostarczono do laboratorium daktyloskopijnego, które mieściło się w tym samym kompleksie policyjnym przy Park 95. Technicy z laboratorium mieli się rano zająć pobraniem odcisków z maski samochodu. Przy odrobinie szczęścia może zdołają też uzyskać profil DNA, choć to zależało głównie od tego, jak długo samochód stał na słońcu, bo promienie słoneczne niszczą ślady DNA.

Szansa na pobranie w miarę wyraźnego odcisku z maski i odszukanie go w którejś z baz danych była nikła, ale przynajmniej coś się działo.

Faz popatrzył na Douga Blaismitha stojącego na podjeździe przed swoim doskonałym domem na doskonałym osiedlu. Wyglądał tak, jakby jego dom stanął w płomieniach i niczego nie dało się już ocalić. Nawet nie próbował protestować, gdy Faz oświadczył, że rekwirują jego samochód. Pewnie sam chciałby wiedzieć, czy żona pojechała nim do South Park, choć jej zachowanie praktycznie przesądzało sprawę. Całkiem innym pytaniem było to, w jakim celu się tam udała, ale odpowiedzi na nie Faz i Del mogli nigdy nie poznać, choć też specjalnie ich to nie interesowało. Sandy Blaismith bez słowa oddała butelkę windexu oraz szmatkę, a potem tylko raz otworzyła usta, by poprosić o adwokata.

- Naoglądała się za dużo seriali kryminalnych - mruknął później Del. - Miałem ochotę spytać, czy chodzi jej o adwokata od spraw karnych, czy rozwodowych.

Faz i Del postanowili nie zatrzymywać Sandy Blaismith za utrudnianie pracy policji, bo jednak nie zdążyła usunąć śladów z maski samochodu. Praktycznie było im obojętne, czy pojechała do South Park po narkotyki, czy w jakimś innym celu, na przykład żeby spotkać się z kochankiem. To już była sprawa jej i jej rodziny.

Jechali z powrotem do Seattle, eskortując lawetę z jettą. W pewnej chwili Del przyciszył transmisję meczu Marinersów.

- Myślisz, że chodziło o prochy? - spytał. - Że pojechała je kupić?

- Sądząc po jej reakcji i po tym, jak zbladła, myślę, że to mogło być coś bardziej osobistego niż narkotyki.

- Przyprawianie rogów mężusiowi?

- Może. Ale to nie nasza sprawa - powiedział Faz. - Ważniejsza w tym jest rodzina. Dwoje niewinnych dzieci.

- Tak, jasne. - Del pokiwał głową. - Wkurza mnie tylko to, że próbowała zatrzeć ślady w sprawie zabójstwa, byle ratować własny tyłek... Kto tak postępuje?

- Nie wiem - odparł Faz, wciąż mając w pamięci sylwetkę stojącego samotnie na podjeździe Douga Blaismitha.

Napięcie związane z ich akcją zaczynało opadać i myśli Faza powędrowały do Very. Niepokoił się o nią, znów samotnie czekając na niego w domu. Przez lata jego pracy w policji Vera spędziła wiele samotnych wieczorów, ale dotąd nigdy się o nią nie martwił. Po prostu zakładał, że wszystko jest w porządku. Teraz zaczynał żałować, że częściej do niej nie dzwonił, że nie okazywał jej więcej zainteresowania i troski.

- Życie jest za krótkie, żeby przejmować się takim gównem - mruknął Del.

- Jeśli ją naprawdę kocha, to nie. - zaczął Faz, ale w tym momencie emocje, które tłumił od rana, wzięły górę i wybuchnął płaczem.

Rozdział 14

Tracy i Katie Pryor zostawiły młodych małżonków Banerjee w mieszkaniu w Village Place i ruszyły do Bellevue, by porozmawiać z rodzicami Kavity Mukherjee, ale kiedy jechały University Way, Pryor zauważyła butik, w którym pracowała Mukherjee.

- Zadzwoń do jej rodziców i uprzedź, że się parę minut spóźnimy - powiedziała Tracy.

Stwierdziła, że od razu upiecze dwie pieczenie na jednym ogniu, zwłaszcza że kiedy włączy się w sprawę w South Park, może już nie mieć czasu. Zaparkowała kawałek dalej i wysiadły. Na chodniku pełno było młodzieży w szortach i cienkich koszulkach, pływającej się w słońcu.

Kiedy otworzyły drzwi do sklepu Urban Trekking, rozległo się brzęknięcie dzwonka, choć trudno je było usłyszeć w ogłuszającym techno, które waliło z głośników pod sufitem. Rzut oka na ciuchy rozłożone na metalowych regałach i wiszące na stojakach pozwalał stwierdzić, że sklep jest mekką dla braci studenckiej; oferował w przystępnych cenach dżinsy z dziurami na kolanach i rozdarciami na udach, usiane ćwiekami T-shirty w krzykliwych kolorach i topy na ramiączkach. Tracy pomyślała, że zakupy tutaj chyba sobie daruje.

Za kontuarem stały dwie dziewczyny, biała i czarnoskóra, które rozmawiając ze sobą, składały ubrania. Zmierzyły policjantki wzrokiem i nawet lekko się uśmiechnęły, ale żadna nie ruszyła się z miejsca. Widać było, że nie liczą na sprzedanie im czegokolwiek. Tracy i Pryor podeszły do kontuaru. Afroamerykanka skinęła im głową, biała wycofała się za przepierzenie i chwilę potem muzyka z głośników znacznie przycichła.

- Szukacie czegoś? - spytała Afroamerykanka, przynajmniej okazując im trochę uwagi.

- Boję się, że mogę być ciut za stara na wasz asortyment - powiedziała Tracy.

Twarz ekspedientki wykrzywił sztuczny, wymuszony uśmiech.

- Kobiety w pani wieku często u nas kupują.

- O rany - rzuciła Tracy i Pryor się roześmiała. - Tak naprawdę jesteśmy tutaj, żeby pogadać o jednej z waszych pracownic - oznajmiła, sięgając po policyjną legitymację.

- O Kavicie? - Ekspedientka przysunęła się do kontuaru.

- Znasz ją? - spytała Tracy.

- Jasne. Ale dziś nie przyszła do pracy i szef nie mógł się do niej dodzwonić. Chyba ją zwolnił i dlatego ja tu dziś jestem. - Spojrzała pytająco na koleżankę, która wyłoniła się zza przepierzenia, ale ta tylko wzruszyła ramionami na znak, że nic na ten temat nie wie.

Pryor spytała obie o nazwiska i zapisała je w notesie. Czarnoskóra miała na imię Charlotte, biała z kolczykami w brwiach i nosie przedstawiła się jako Lindsay. Obie były wysokie, co najmniej metr siedemdziesiąt, ubrane jak manekiny reklamujące asortyment sklepowy.

- Kiedy ostatnio ją widziałyście? - spytała Tracy.

- Razem zamykałyśmy w sobotę - powiedziała Lindsay. - To był ostatni raz.

- Jak dobrze ją znałyście? - wtrąciła Pryor.

Obie wzruszyły ramionami.

- Była od nas dużo starsza - powiedziała Charlotte - więc specjalnie nie... Nie chodziłyśmy nigdzie razem po pracy ani nic takiego.

Jeśli uważały Mukherjee za dużo starszą, to Tracy musiała być dla nich staruszką.

- I nie mówiła żadnej z was, że chce sobie zrobić wolne?

Znów zgodne pokręcenie głowami i równoczesna odpowiedź:

- Nie.

- Miała chłopaka?

Dziewczyny popatrzyły po sobie.

- Nie sędzę - odparła w końcu Lindsay. - Nigdy o żadnym nie wspominała.

- Była piękną dziewczyną - powiedziała Tracy.

- O mój Boże - jęknęła Lindsay, nagle się ożywiając. - Ona była taka śliczna. Myślę, że szef przyjął ją do pracy dlatego, że tak ekstra wyglądała w naszych rzeczach. Bo wiecie, one są głównie przeznaczone dla wysokich dziewczyn. A Kavita jest naprawdę wysoka, pani wzrostu.

- Przychodzili tu do niej jacyś chłopcy, żeby pogadać? - spytała Tracy.

- Bez przerwy - wtrąciła Charlotte. - Przychodzą z uniwersytetu i nas podrywają, ciągną na różne swoje imprezy i takie tam.

- Kavita dała im się kiedyś namówić?

- Boże, skąd - odparła Lindsay takim tonem, jakby zaskoczyło ją samo pytanie. - Nigdy jednak nie była wobec nich niegrzeczna. Trochę ich

podpuszczała, ale nie złośliwie. Kupowali coś z ciuchów, bo myśleli, że w ten sposób ją namówią, żeby gdzieś z nimi wyszła. Ale ona nigdy tego nie robiła. Zawsze się w końcu wykręcała, że jest już umówiona albo ma dużo pracy.

- Zdarzyło się, żeby któryś z nich źle to przyjął?

- Źle to przyjął? - powtórzyła Lindsay.

- Czy któryś z chłopaków się na nią rozzłościł albo obraził?

- Ma pani na myśli jakiegoś stalkera? - spytała Charlotte.

- Kogoś naprawdę nachalnego - wtrąciła Pryor.

Dziewczyny znów na siebie spojrzały i obie pokręciły głowami.

- Właściwie nie. To znaczy... oni wiedzieli, że Kavita to nie ich liga, rozumie pani. Faceci to czują, ale niektórzy sobie mówią: "A co tam, nie zaszkodzi spróbować" - wyjaśniła Lindsay. - A co, coś jej się stało?

- Właśnie próbujemy to ustalić - odrzekła Pryor.

- Ale nie chodzi o to, że ona nie żyje czy coś w tym rodzaju, co? spytała Lindsay.

- Nie - odparła Tracy. - Po prostu niektórzy znajomi się o nią martwią.

- Dzwoniła jej współlokatorka, szukała jej - oznajmiła Charlotte.

- Kiedy to było? - zapytała Tracy.

- Dzisiaj. Wcześniej. Chciała wiedzieć, czy Kavita przyszła dziś do pracy.

- Jak się zachowywała, kiedy widziałyście się ostatnio? Wyglądała na przygnębioną?

Obie równocześnie wzruszyły ramionami.

- W pracy była taka jak zwykle - odparła Charlotte.

- Wspominała o jakichś barach albo klubach, do których lubiła chodzić?

Dziewczyny znów zgodnie zaprzeczyły.

- Ona chyba nie jest specjalną klubowiczką. W każdym razie nigdy o tym ze mną nie rozmawiała - powiedziała Lindsay. - Jak już mówiłam, jest od nas starsza. I dużo pracuje.

- Chce się dostać na medycynę - dodała Charlotte. - Zamierza zostać lekarką.

- Ile tu zarabiała?

- Dostawała płacę minimalną. Tak jak my - odpowiedziała Lindsay.

Tracy przeprowadziła w głowie szybką kalkulację. Jeśli Kavita pracowała trzydzieści godzin tygodniowo, dostając po piętnaście dolarów za godzinę, to zarabiała czterysta pięćdziesiąt dolarów tygodniowo, czyli mniej więcej tysiąc osiemset miesięcznie brutto. Jej czynsz wynosił dziewięćset dolarów, gdy dzieliła się nim po połowie z Aditi. Tracy poczuła uznanie dla tej młodej kobiety, która mimo wszystko nie uległa naciskom rodziców. Ale podarcie czeku od Aditi, na połowę czynszu za następne dwa miesiące, nie wydawało się rozsądne. I Tracy znów przyszło na myśl, czy Kavita nie zrobiła tego w przyływie złości.

Tracy i Pryor wręczyły ekspedientkom swoje wizytówki.

- Byłybyśmy wdzięczne za telefon, jeśli usłyszycie lub przypomnicie sobie coś, co Kavita powiedziała, a co mogłoby nam pomóc w ustaleniu, gdzie ona teraz jest.

- Naprawdę mam nadzieję, że nic jej się nie stało. - Lindsay przyglądała się chwilę wizytówce. W końcu podniosła wzrok na Tracy. Powie nam pani, jak się czegoś dowiedzie? Bo to trochę straszne tak nagle zniknąć.

- Oczywiście - odrzekła Tracy.

Obie z Pryor wyszły ze sklepu, ale Tracy nagle zdała sobie sprawę, że czeka je długa jazda do Bellevue, i zawróciła.

- Jest tu toaleta, z której mogłabym skorzystać?

Rozdział 15

Del zjechał na pobocze i wyłączył transmisję meczu Marinersów. Widział już płaczącego Faza, ale były to zawsze łzy radości, jak wtedy, gdy Vera wydała przyjęcie z okazji zaręczyn Dana i Tracy, a Tracy w swojej mowie podkreśliła, ile oni wszyscy dla niej znaczą i jak stali się jej rodziną. Faz oświadczył wtedy, jak to on, że płacz ma w swych włoskich genach. Tyle że Del też był Włochem, a raczej nie zdarzało mu się płakać. Tym razem czuł, że łzy partnera nie mają nic wspólnego z radością lub wzruszeniem, i poczuł się trochę niezręcznie.

Faz wyjął chusteczkę z tylnej kieszeni, otarł oczy i wysiakał nos. Na jego twarzy pojawiły się plamy, jakby ogarnął go wstyd. Zerkając na jego zarumienione policzki, Del zauważył, że sińce pod oczami Faza są ciemniejsze i większe niż zwykle. Coś było nie w porządku.

Faz westchnął, jakby chciał wyrzucić z siebie zły oddech, i odchrząknął.

- Vera ma raka.

Powiedział to nagle, bez żadnego wstępu czy ostrzeżenia, i Del przez krótką chwilę sądził nawet, że się przesłyszał. Ale pewnych słów nie da się źle usłyszeć, bez względu na to, jak cicho są wypowiedane. Nie da się też ich zamazać ani zignorować, ani upchnąć w jakimś zakątku umysłu po to, by zająć się nimi w dogodniejszej chwili. Jednym z takich słów jest "rak". Dla niego nie istnieje dogodniejsza chwila, nie da się go źle usłyszeć ani zignorować.

- Nie - rzucił.

Nie mógł w to uwierzyć. Nie dalej jak w ostatni weekend byli z Celią u Faza i Very na grillu. Siedzieli w ich ogrodzie za domem, pili chianti i jedli wieprzowe połówki.

Faz pokręcił głową, jakby też nie mógł się z tym pogodzić.

- Ma guza piersi - dodał i zamilkł. Zaczepnął powietrza tak głęboko, aż zarzęziło mu w piersiach, i szybko je wypuścił. - Dziś rano byłem z nią na kolejnej mammografii i na ultrasonografii. Siedzieliśmy w gabinecie lekarskim, czekaliśmy na wynik i staraliśmy się za dużo nie myśleć... wiesz, nie wyciągać pochopnych wniosków. A potem wrócił radiolog, ściągnął na komputer kliszę rentgenowską i końcem długopisu wskazał małą ciemną plamkę w piersi. Wyglądało to jak kamyczek. Po prostu, nic takiego. Ale ten lekarz nie owija w bawełnę. Wali prosto z mostu, żeby nie było nieporozumień. Patrzy na Verę i mówi: "Ma pani raka".

- Faz, tak mi przykro - wydusił Del, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, i tłumiąc własne emocje.

- Po prostu. Jakby nigdy nic mówi: "Ma pani raka". - Faz odwrócił głowę i spojrzał na partnera. Miejsce pod nosem mu poczerwieniało, oczy znów wezbrały łzami. - W tym momencie chcesz się wściec, rozumiesz? Chcesz zrobić komuś awanturę o cokolwiek, ale nie możesz, bo tak to już jest, kapujesz? Bo nic, kurwa, nie możesz poradzić. - Walnął pięścią w deskę rozdzielczą, potem w drzwi i w samochodzie coś zagrzechotało.

Del czekał w milczeniu, aż partner ochłonie.

- Taki pech - podjął Faz spokojnym głosem i wbił niewidzący wzrok w przednią szybę. - Po prostu wydaje mi się to całkiem nierealne. Jakbym w ogóle nie był rano w tym gabinecie i jakby ten lekarz nie mówił o mojej Verze. Cały zdrętwiałem. Nadal jestem odrętwiały.

Del pracował z nim od ponad dwudziestu lat i przez ten czas nigdy nie brakowało im tematów do rozmowy, teraz jednak rozpaczliwie zastanawiał się, co ma powiedzieć. Bo co tu można powiedzieć? "Współczuję ci" wydawało się zbyt banalne i zbyt oczywiste, głupie. Dlatego milczał.

- Potem zrobili jej biopsję.

- Poinformowali was o wyniku?

- Wynik będzie dopiero za parę dni, ale radiolog nie starał się nas pocieszać. Powiedział, że powinniśmy się zwrócić do onkologa i omówić z nim, co dalej.

- Słuchaj, Faz, w tej sytuacji co ty tu w ogóle robisz? Bierz wolne i bądź z Verą.

- Chciałem. - Faz pokręcił głową. - Zaproponowałem jej, że wezmę sobie wolne, ale ona oświadczyła, że siedzenie i zamartwianie się we dwójkę niczego nie zmieni i w niczym nam nie pomoże. Powiedziała, że mam wracać do pracy i próbować o tym nie myśleć.

- Cała Vera - mruknął Del.

- Tak jak mógłbym nie myśleć, prawda?

- Cóż, może ona ma rację. Obu nam praca służy. Pamiętasz, jak się rozwodziłem? Albo kiedy zmarła Allie? - Allie była siedemnastoletnią siostrzenicą Dela, która zmarła po przedawkowaniu heroiny. - Czułem się lepiej, mając coś do roboty. Wiem, że to nie to samo. Vera jest twoją żoną, ale... Cholera, jak za bardzo będziesz włąził jej w drogę, może przestać cię lubić, nie?

Faz uśmiechnął się, ale był to uśmiech pełen smutku i bólu.

- Nie wiem, co bym bez niej zrobił, Del. - Lekko zadrżał i zacisnął usta, jakby w obawie, że wyrwie mu się coś strasznego.

- W ogóle o tym nie myśl - powiedział Del, ale chyba było już za późno.

- Nienawidzę się za to, że w takiej sytuacji myślę o sobie, ale bez niej kompletnie się pogubię, jeśli przyjdzie mi samotnie starzeć się w tym domu. Nie mam żadnych zamiłowań, żadnych ulubionych zajęć. Za bardzo się oddałem tej choleralnej pracy. Co ja ze sobą zrobię, Del? Co ja zrobię bez niej?

- Słuchaj, po pierwsze, ona nigdzie się nie wybiera. Po drugie, masz mnie. Zawsze będę w pobliżu.

- Ty masz Celię. - Faz spojrział na partnera i znów smutno się uśmiechnął. - I bardzo się cieszę, że tak jest. Każdy powinien kogoś mieć.

Del nie mógł uwolnić się od myśli, że Faz ma rację. Że bez Very się pogubi. Faz i Vera byli jak lasagne i czerwone wino. Po prostu do siebie pasowali.

- Nie martwmy się na zapas - powiedział. - To tak, jak mówiłeś o tym śledztwie. Krok po kroku. Dzień po dniu, okej?

- Taaa. Taaa, okej.

- A co do Very. to powiem ci tyle, że jak ja bym był rakiem, tobym się zesrał ze strachu przed Verą.

Faz wytarł nos chusteczką.

- No, twarda jest.

- Jasne, że jest twarda. Najtwardsza kobieta, jaką w życiu spotkałem. Ona go nie zwalczy. Ona mu po prostu skopie dupę.

Faz pokiwał głową i wypuścił powietrze, po czym znów się uśmiechnął i usiadł prosto w fotelu, jak ktoś, kto budzi się z drzemki.

- Ruszajmy - rzucił Del. - Dostarczymy to auto, a potem zawieziemy cię do domu.

Rozdział 16

Tracy i Katie Pryor jechały na wschód mostem 520, prześlizgując się wzrokiem po oknach luksusowych rezydencji nad brzegiem jeziora Washington, lśniących w promieniach zachodzącego słońca. W oddali wznosił się masyw Gór Kaskadowych.

Ekspedientki w sklepie potwierdziły domysły Aditi Banerjee, że Kavita nie przysłała do pracy i nie zadzwoniła do szefa, żeby go o tym uprzedzić. Jedno i drugie nie pasowało do wizerunku młodej ambitnej kobiety, jaki wyłaniał się z relacji przyjaciółki i koleżanek z pracy: dojrzałej, inteligentnej, trochę upartej i zawziętej.

Zbliżając się do wschodniego krańca mostu, Tracy musiała zwalczyć w sobie atakujące ją złe myśli. Należało zaplanować najlepszą taktykę na spotkanie z rodziną Mukherjee. Rzadko się zdarzało, by jechała do czyjegoś domu z dobrymi wieściami. Faz zauważył kiedyś, że detektyw policyjny, który składa komuś wizytę w sprawie rodzinnej, jest jak producent programu telewizyjnego 60 minut, który przyjeżdża zaprosić gościa do udziału w nim. Rzadko robił to z przyczyn przyjemnych dla zapraszanego. Bez względu na to, jak zaproszenie było sformułowane.

Rodzina Mukherjee mieszkała w okolicy zwanej Cherry Crest. Teren był mocno zalesiony, wydawał się idealny do przejażdżek konnych i rozciągał się w pobliżu wielkiego parku stanowego. Domy stały rozrzucone na dużych działkach z ogrodzeniami dla koni. Tracy skręciła w drogę bez poboczy i chodników. Na asfaltowej nawierzchni kładły się jasne plamy słońca, którego promienie przedzierały się przez gałęzie drzew i zarośla. Przed każdą posesją stały zielone i niebieskie pojemniki ze śmieciami czekającymi na wywóz. Tracy w odpowiednim momencie skręciła i zaparkowała pod parterowym domem z ciemnego drewna, ginącym wśród drzew. Podwórko było idealnie zadbane, wyłożone białymi kamieniami i porośnięte krzewami. Spod mostka dobiegał plusk wody w oczku wodnym przykrytym siatką dla ochrony pływających w nim czarnopomarańczowych japońskich karpí koi. Tracy i Pryor minęły mostek i podeszły do drzwi.

Pryor nacisnęła dzwonek i przez boczną szybkę w drzwiach Tracy dojrzała, jak zbliża się do nich mężczyzna i je otwiera. Miał na sobie szorty i luźną białą koszulę, okrywającą wydatny brzuch, i był boso. Zaraz za nim podeszła kobieta i stanęła obok. Też była boso, w workowatych brązowych spodniach i dobranej kolorystycznie bluzce z długimi rękawami. Zaczesane do tyłu włosy miała splecione w długi warkocz. Sądząc po dostarczonej przez Aditi fotografii, Kavita była bardziej podobna do matki, która także

miała jasną karnację, piękne rysy twarzy i pełne wyrazu oczy, tyle że nie niebieskie, lecz brązowe.

- Państwo Mukherjee? - spytała Pryor, po czym przedstawiła Tracy i siebie. - Dzwoniłyśmy do państwa.

Rodzice Kavity przyglądali im się niepewnie, czemu trudno się było dziwić.

Pranav Mukherjee poprawił tkwiące na szerokim nosie okulary w czarnych oprawkach i gestem zaprosił je do środka. Tracy poczuła zapach hinduskich przypraw.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy państwu w kolacji? - powiedziała.

- Nie, proszę. - Pranav wskazał ręką na lewo i obie policjantki zatrzymały się przed drzwiami, gdzie pod ścianą stał rząd butów.

- Mamy zdjąć buty? - spytała Pryor.

- To nie jest konieczne. - Mówił z silnym akcentem.

Weszły do salonu, w którym czekało już kilka osób, zapewne członkowie najbliższej rodziny. Miejsca na kanapie zajmowało dwoje starszych ludzi, przy nich stał oparty o ścianę młody mężczyzna, a obok, na czerwonym pufie, siedział kilkunastoletni chłopak. Starsza pani na kanapie miała jasnoniebieskie oczy.

Dziadkowie.

Ścianę za kanapą zdobił mural przedstawiający bardzo kolorowe ptaki na gałęziach drzewa. Przez wielkie okno na bocznej ścianie widać było porośnięte drzewami podwórze.

Pan Mukherjee przystąpił do prezentacji.

- To moi rodzice, dziadkowie Kavity. - Wskazał ręką w stronę kanapy. Starsi państwo kiwnęli głowami, ale nie wstali ani się nie odezwali. - A to dwaj bracia Kavity, Nikhil i Sam.

Stojący z rękami w kieszeniach dzinsów dwudziestoparoletni mężczyzna nawet nie drgnął. Był szczupły, o ciemnej karnacji, wyrazistych rysach i sterczących sztywno włosach, podobny do ojca. Sam, młodszy z braci, miał długie włosy, które opadały mu na czoło i częściowo zasłaniały oczy. Ze swoją dużo jaśniejszą cerą bardziej przypominał matkę i siostrę. Miał na sobie spodenki do koszykówki i koszulkę gimnastyczną.

Pranav wskazał policjantkom dwa wolne krzesła. Tracy usiadła i przez chwilę czuła się tak, jakby znów była w sali sądowej, na miejscu dla

świadków. Pranav i jego żona Himani zasiedli na kozetce stojącej prostopadle do kanapy, twarzami do Tracy i Pryor.

- Nie wiem, co Aditi państwu powiedziała - odezwała się Pryor.

- Nic nam nie powiedziała - rzucił Nikhil. - Poza tym, że nie może skontaktować się z Kavita.

W jego tonie słyhać było bardziej rozdrażnienie niż troskę i Tracy znów przyszło do głowy, że może Kavicie już wcześniej zdarzało się znikać.

Pranav gestem ręki uciszył syna i spojrzał na Pryor.

- Co nam pani może powiedzieć?

Pryor pokrótce zrelacjonowała to, czego się dowiedziały, a gdy skończyła, w pokoju zapadła cisza.

Przerwał ją Pranav.

- Kavita i Aditi bardzo się przyjaźniły - oznajmił i popatrzył na żonę, jakby szukał u niej potwierdzenia. - Jestem pewny, że trudno jej było się pogodzić z wiadomością o małżeństwie Aditi.

- Domyślam się, że nie mieli państwo żadnych wieści od córki wtrąciła Tracy.

- Nie, nie mieliśmy - odrzekł Pranav.

- Kiedy rozmawialiście z nią ostatnio?

W pokoju znów zapadło milczenie i Tracy wyczuła, że jej pytanie wzbudziło niejaką konsternację. Dlatego, nie czekając na odpowiedź, zadała następane:

- Aditi wspomniała, że stosunki Kavitę z rodziną były dość napięte. To prawda?

Pranav znów popatrzył na żonę i dopiero potem przeniósł wzrok na Tracy.

- Tak - rzucił tylko.

Widząc, że nie zamierza dodać nic więcej, Tracy spytała:

- Czy chodziło o to, że mieszka osobno?

- Spodziewaliśmy się, że po dyplomie Kavita wróci do domu - powiedział Pranav. - Postanowiliśmy przestać opłacać jej czynsz i dalszą naukę. Uznaliśmy to za zbędny wydatek.

- Od Aditi wiemy, że Kavita chciała studiować medycynę. To prawda? - wtrąciła Pryor.

Pranav kiwnął głową, ale tym razem odpowiedziała Himani. Mówiła zaskakująco silnym głosem i tak jak w tonie syna, pobrzmiwała w nim złość. Pranav mógł być oficjalnie głową rodziny, ale Tracy podejrzewała, że w rzeczywistości rządzi tu Himani.

- Kavita jest bardzo uparta - zaczęła, a Tracy pomyślała, że tę cechę zapewne odziedziczyła po matce. - Zawsze planowaliśmy, że opłacimy college dla całej trójki naszych dzieci. Kavita wiedziała o tym od samego początku. Wiedziała też, że nie zamierzamy płacić za żadne dalsze studia.

- Za studia medyczne miała płacić sama, tak? - upewniła się Tracy.

- Jeśli chciałyby dalej studiować - odparła Himani.

- A chciała?

Skoro Kavita naprawdę pragnęła się uniezależnić i z własnej kieszeni płacić za studia medyczne, to podarcie czeku od Aditi stawało się tym bardziej niezrozumiałe. Podobnie zresztą jak porzucenie pracy w butik.

- Tak nam oznajmiła.

- Nie oczekiwaliście tego?

- Oczekiwaliśmy, że wyjdzie za mąż.

- I rozumiem, że stało się to źródłem rodzinnego konfliktu. Bo Kavita nie godziła się na zaaranżowane małżeństwo.

- Ona nie chciała być Hinduską - prychnął Nikhil.

- Nikhil - upomniał go ojciec, ale w jego tonie było więcej znużenia niż gniewu.

- Kiedy to prawda. - Nikhil oderwał się od ściany i zrobił krok do przodu. Popatrzył na Tracy. - Vita nie chciała wrócić do domu i nie chciała, żeby mama znalazła jej męża. Chciała być Amerykanką. A my mieliśmy za to płacić.

- I stąd wziął się konflikt. - Tracy spojrzała pytająco na Pranava.

- Tak, stąd wziął się konflikt - potwierdził, ale znów nie dodał nic więcej.

- Czy był tak poważny, że córka mogła nic państwu nie powiedzieć o swoim wzburzeniu z powodu małżeństwa Aditi?

- Możliwe - burknęła Himani.

- Ja nikogo nie osądzam - zaznaczyła Tracy, wyczuwając wrogość w głosie kobiety. - Próbuję tylko ustalić, czy Kavita mogła czuć się na tyle rozżalona, że postanowiła się gdzieś ukryć. I czy dlatego nikt nie wie, co się z nią dzieje. Interesuje mnie to, jakie miała relacje z każdym z was. Wy ją

znacie, ja nie. Chciałabym na przykład wiedzieć, czy już kiedyś się to zdarzyło? Czy uciekła, gdy była rozżalona?

- Nie - rzucił Pranav. - Nic mi o tym nie wiadomo.

- Czy Kavita była w jakimś stałym związku? - spytała Tracy.

- Pewnie tak - prychnął Nikhil.

- Wiesz coś o tym? - Tracy przeniosła na niego wzrok.

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Czy ktoś z was wie coś o dawnych związkach Kavity?

Pranav i Himani pokręcili głowami.

- Kavita nigdy nam o nikim nie opowiadała - oznajmił Pranav.

Tracy stwierdziła, że musiał to być świadomy wybór dziewczyny, bo przy swojej urodzie na pewno nie narzekała na brak zalotników. Mało prawdopodobne było też to, że przyprowadziłaby jakiegoś chłopaka do domu rodziców, z którymi była skłócona.

- To kiedy rozmawiali państwo ostatnio z córką? - spytała.

- Parę miesięcy temu. - W głosie Himani nie było zaniepokojenia ani troski.

- Liczyliśmy, że to taka faza w życiu Kavity i że jej to przejdzie... jak to bywa z młodymi ludźmi - powiedział Pranav. - Sądziliśmy, że zachłystnęła się niezależnością, ale wkrótce jej się znudzi i do nas wróci.

- A wy znajdziecie jej męża? - Tracy spojrzała na Himani.

Ta najwyraźniej potraktowała pytanie jako zaczepkę, bo jej oczy zapłonęły.

- Należyte hinduskie małżeństwo, zaaranżowane przez rodziców, błogosławią nasi bogowie Ganesha i Krishna. Pani nie potrafi zrozumieć naszych obyczajów, pani detektyw.

- Staram się - odrzekła Tracy.

- Amerykanie uważają, że kobieta musi się zakochać, żeby jej małżeństwo było udane, ale proszę spojrzeć na liczbę rozwodów. - Himani zawiesiła głos, jakby podkreślając wagę swoich słów. - Chcieliśmy tylko tego, co dla Kavity było najlepsze.

Jeśli Pranav poczuł się urażony sugestią, że w chwili ślubu żona mogła go nie kochać, nie dał po sobie tego poznać. W tak stresujących okolicznościach - policja rozpytuje o ich zaginioną córkę - tych dwoje w

ogóle nie okazywało sobie uczuć. Ani razu nie chwycili się za ręce i w żaden sposób nie próbowali się pocieszać.

- Nikogo nie osądzam - powtórzyła Tracy. - Próbuję tylko ustalić, czy w życiu Kavity byli jacyś mężczyźni. Albo tacy, którzy zostali przez nią odrzuceni i mogli chcieć się odegrać.

W pokoju znów zapadła cisza. Tracy już miała pytać dalej, gdy nagle z pufa dobiegł głos Sama.

- Vita miała chłopaka.

Wrażenie było takie, jakby ktoś w eleganckim towarzystwie rzucił przekleństwo. Wszyscy w milczeniu spojrzeli na chłopaka, zbyt zdumieni, by wydusić choć słowo.

- Skąd o tym wiesz? - odezwał się w końcu Pranav.

Jego syn miał niepewną minę.

- Rozmawiałaś z siostrą? - podsunęła Tracy.

- Tak - bąknął. - Znaczący... tak jakby. Pisaliśmy do siebie esemesy.

- Czemu nic nam nie mówiłaś? - W głosie Himani słychać było więcej złości niż ulgi, że córka nie zerwała wszystkich więzów z rodziną.

- Bo mnie o to prosiła.

- Kavita wspominała coś o chłopaku? - spytała Tracy.

Sam wzruszył ramionami.

- Niezupełnie. Powiedziała tylko, że nie może przyjechać na mój mecz piłki nożnej, bo jest już umówiona.

- Rozmawiałaś z nią? - wtrąciła Himani.

Sam odwrócił głowę ku Tracy, by uciec przed świdrującym spojrzeniem matki.

- I co jeszcze? - spytała Tracy. - Rozmawialiście, czy to były esemesy?

- Esesesy.

- I co jej napisałaś?

- Napisałem, że gram mecz i chciałbym, żeby przyjechała. Napisałem jej, że tata jest w podróży, a mama nie przyjdzie, więc chciałbym, żeby ona była.

- I odpisała ci?

- Tak.

- Co?

- Że jest zła, że Aditi wyszła za męża. Spytała, czy mama jest tym zachwycona.

Himani wyprostowała się i zacisnęła usta.

- Masz tego esemesa w telefonie? - spytała Tracy.

- Nie, skasowałem go.

Tracy sądziła, że zna odpowiedź na swoje następne pytanie, ale i tak je zadała:

- Dlaczego?

- Kavita nie chciała, żeby mama go zobaczyła. - Sam zerknął na kozetkę. - Mama w nocy sprawdza moje esemesy.

Tego było już za wiele i wzbierająca w Himani bańka złości musiała pęknąć i rozwiązać jej język.

- Zabieram Samowi telefon po to, żeby się uczył, a nie gadał godzinami z kolegami albo grał w jakieś głupie gry - warknęła. - Wiem, że wiele matek tak robi.

- Są wakacje - zauważył cicho Sam. - W wakacje nie muszę się uczyć.

- Powinieneś coś robić, żeby ćwiczyć umysł.

- Powtórzę raz jeszcze, że nie osądzam, tylko próbuję zebrać informacje - powiedziała Tracy. - Możemy te esemesy wydobyć od operatora sieci. Czy Kavita napisała, że wyjeżdża, że dokądś jedzie?

- Nie.

- Ale nie może przyjechać na twój mecz, bo jest z kimś umówiona, tak?

- Tak napisała.

- Wymieniła jakieś imię?

- Nie.

- Odpisałeś jej na tego esemesa? - Tracy była pewna, że to zrobił.

Sam kiwnął głową i znów zerknął w stronę kozetki. Najwyraźniej kontaktowanie się z siostrą było zakazane przez rodziców, a w każdym razie przez matkę, która ewidentnie aż kipiała ze złości.

- I co napisałeś?

- Tylko tyle, że wygraliśmy i szkoda, że jej nie było.

- Ja też wysłałem esemesa do Kavity - oznajmił nagle Nikhil.

Himani zrobiła taką minę, jakby cały świat sprzysiął się przeciwko niej. Pranav wyglądał, jakby dostał nokautujący cios w żołądek.

- Kiedy? - spytała Tracy.

- Nie wiem. Jakies parę tygodni temu. Napisałem jej, że rodzice bardzo cierpią z powodu jej postępowania. Że dla dobra rodziny powinna wrócić do domu i wyjść za mąż.

- Odpowiedziała?

- Nie.

Tracy zastanawiała się przez chwilę. To wszystko było jej całkiem obce. Jej rodzice byliby zachwyceni, gdyby postanowiła pójść drogą ojca i tak jak on zostać lekarzem. Przypuszczała też, że w przeważającej większości amerykańskich domów rodzice byliby dumni z córki, która dobrze sobie radzi i nie oczekuje od nich niczego, poza wsparciem moralnym i miłością. Jednak nie przybyła tutaj, by osądzać postępowanie i kwestionować kulturowe zwyczaje państwa Mukherjee. Przyjechała po to, aby uchwycić jakiś wątek, i wzmianka o randce Kavity mogła być jego załącznikiem. Wprawdzie Aditi nie wspominała nic o chłopaku przyjaciółki, ale od trzech miesięcy jej tu nie było.

- Możecie państwo powiedzieć mi coś więcej o waszej córce? zwróciła się do Pranava i Himani. - Wspomnieliście, że była uparta. Czy uważacie, że mogła gdzieś wyjechać, nie mówiąc o tym nikomu?

Chwilę zastanawiali się nad odpowiedzią, aż w końcu odezwała się Himani.

- Jak już mówiłam, od kilku miesięcy nie mieliśmy z Vitą kontaktu. - Popatrzyła na Sama. - Nie sądzę, żeby nagle chciała do nas dzwonić. Ale odpowiadając na pani pytanie, tak, uważam, że mogła wyjechać, nic nam o tym nie mówiąc.

- Próbuje się na nas odgrywać i specjalnie robi nam na złość - dorzucił Nikhil.

- Z całym szacunkiem, Nikhil, ale wygląda to na coś więcej niż robienie na złość. Kavita nie pojawiła się dziś w pracy, co zdaniem jej szefa kompletnie do niej nie pasuje. Zresztą porzucenie pracy w sytuacji, gdy będzie musiała płacić cały czynsz za mieszkanie, jest zupełnie nielogiczne - odparła Tracy.

- Co robi policja, żeby ją odnaleźć? - W głosie Pranava po raz pierwszy zabrzmiała troska.

Pryor poprawiła się na krześle.

- Aditi formalnie zgłosiła zaginięcie i dostarczyła nam aktualną fotografię Kavity. Tę informację rozesłaliśmy do wszystkich służb porządkowych w całym stanie. Myślę, że wiemy wystarczająco dużo, by ogłosić tak zwany alert w sprawie zaginięcia i wprowadzić sprawę do centralnej bazy danych.

- I co to da? - spytał Pranav.

- Dzięki temu nasze biuro osób zaginionych będzie mogło wszcząć poszukiwania Kavity i przekazać informacje do stanowego i krajowego centrum danych o przestępczości. Czy przychodzi państwu do głowy ktoś, do kogo córka mogła się zwrócić lub pojechać?

- Tylko Aditi - powiedziała Himani. - I może ten ktoś, z kim była umówiona.

- Rozumiem, że skoro Kavita nie dostawała od was pieniędzy wtrąciła Tracy - musiała mieć własne konto w banku oraz kartę kredytową i debetową.

- Tak - potwierdził Pranav.

- I sama płaciła swoje należności?

- Tak - powtórzył.

- Wie pan, jaki to bank?

- Będąc jeszcze w szkole, korzystała z naszego wspólnego konta w Bank of America. Po dyplomie otworzyła własne konto.

- Zna pan jego numer?

- Może gdzieś mam jakiś stary wyciąg. Ale musiałbym poszukać.

- A co z jej komputerem? Czy ktoś z was zna hasło do niego? - spytała Tracy.

Wszyscy pokręcili głowami.

- Nie szkodzi. I tak zamierzaliśmy uzyskać nakaz przeszukania jej laptopa, bo może znajdziemy w nim jakieś przydatne informacje. Wystąpimy też o wykaz połączeń z jej numeru telefonu i sprawdzimy, czy korzystała z niego od poniedziałku, po zniknięciu.

- A co my możemy zrobić? - zapytał Pranav.

Tracy poprosiła ich, by dowiedzieli się u krewnych i przyjaciół Kavity, czy po poniedziałku mieli z nią jakiś kontakt. Pryor zamierzała obdzwonić szpitale, linie lotnicze i biura wynajmu samochodów.

- Muszę też wszystkich zapytać, gdzie każde z was było w poniedziałek wieczorem - powiedziała Tracy. - Tego wymaga procedura. Nie dodała, że z

policyjnych statystyk wynika, że wiele morderstw popełniają członkowie rodziny.

- Ja byłem służbowo w Los Angeles - powiedział Pranav. - Wróciłem do domu bardzo późno.

- Ja siedziałam w domu z Nikhilem i rodzicami Pranava - oznajmiła Himani.

- Tutaj? - spytała Tracy.

- Tak.

- Wychodziła gdzieś pani?

- Nie. Czytałam.

Tracy przeniosła wzrok na Nikhila.

- Oglądałem telewizję - mruknął.

- A ty miałeś mecz piłki nożnej, tak? - zwróciła się Tracy do Sama.

- W Roosevelt. Zostałem na noc u Petera, mojego kolegi.

Spotkanie dobiegło końca. Tracy i Pryor wstały i wręczyły Pranawowi i Himani swoje wizytówki.

- Jeśli Kavita odezwie się do któregoś z was - powiedziała jeszcze Tracy, patrząc na Sama - proszę niezwłocznie nas o tym powiadomić.

Rozdział 17

Faz i Del odeskortowali lawetę z volkswagenem do stacji kontroli samochodów, która wyglądała jak wielki garaż i mieściła się w kompleksie przy Park 95. Dotarli tam po ósmej wieczorem i większość personelu skończyła już pracę. Choć obaj byli pełni optymizmu, a przynajmniej mieli nadzieję, że specjalistom od daktyloskopii uda się pobrać z maski jakieś przydatne ślady, wiedzieli, że w tych sprawach nigdy nic nie jest pewne. Po drodze Faz zadzwonił do Desmonda Andersona i Lee Coopera, ale ci nie uzyskali żadnych istotnych informacji ani od mieszkańców, ani od właścicieli i pracowników firm na osiedlu Monique Rodgers. Faz nie lubił wkładać wszystkich jajek do jednego koszyka, musiał jednak pogodzić się z tym, że jest, jak jest, jak to mawiał jego partner.

- Wracaj do Very - rzucił Del. - Ja poczekam, aż skończą z tym samochodem, i wypełnię wszystkie papierki.

Faz zadzwonił do żony zaraz po tym, jak tu przyjechali, i usłyszał, że spędziła popołudnie, pracując w ogródku, a teraz wybiera się z wizytą do starszej sąsiadki, z którą będą razem piekły chleb bananowy. Vera odwiedzała ją kilka razy w miesiącu, by dotrzymać jej towarzystwa.

- Dzięki, doceniam to - zwrócił się do Dela - ale Very nie ma w domu, a my chyba powinniśmy jeszcze dziś złożyć wizytę Małemu Jimmy'emu. Potrząśnąć drzewem i zobaczyć, co z niego spadnie, bo nie wiadomo, czy chłopaki z daktylo coś zdobędą.

- Możemy pojechać do niego jutro z samego rana.

- Możemy, ale jeśli Mały Jimmy chce rozsyłać wici i zastraszać ludzi, to wolę, żeby wiedział, że już siedzimy mu na karku i nie odpuścimy.

Pojechali więc do South Park, by przeprowadzić tak zwane przesłuchanie pozorowane, którego istotę w pełni oddawała nazwa. Chcieli podpytać Małego Jimmy'ego, nie dokonując zatrzymania. Policjanci chętnie korzystali z tej formy, bo nie musieli ubiegać się wcześniej o nakaz aresztowania ani odczytywać praw Mirandy. obrońcy narzekali, że takie przesłuchania służą zastraszaniu ich klientów, i w głębi duszy Faz i Del mieli szczerą nadzieję, że tak właśnie jest, choć nigdy nie przyznaliby tego głośno.

Del zaparkował na ulicy zastawionej szpanerskimi czerwonymi samochodami w rodzaju tego, jakim Mały Jimmy jeździł wcześniej po osiedlu. Wyglądało na to, że gdzieś w pobliżu odbywa się zjazd lokalnych luminarzy, a wymyte i nawoskowane limuzyny czekają, by ich rozwiązać. Del i Faz wysiedli i wtedy się okazało, że ulica aż dudni meksykańską muzyką, której źródło dało się bez trudu zlokalizować. Z niewielkiego

parterowego domu z szalunkiem, aż proszącego się o odmalowanie, wydobywały się kolorowe światła i głośna muzyka. Trafili na imprezę. Przed domem kręcili się mężczyźni w dżinsach i koszulkach gimnastycznych oraz kobiety w szortach bardziej skąpych niż majtki bikini. Ciała były bogato zdobione tatuażami, czasami o wyraźnie więziennym pochodzeniu, w większości nawiązującymi do liczby 13: XIII, X3 i M - trzynastej litery alfabetu. Trzynastka była symbolem gangu Sureno. Uczestnicy imprezy popijali coś z czerwonych plastikowych kubków oraz - sądząc po wiszącym w powietrzu słodkawym zapachu - popalali trawkę. W użyciu były też zapewne twardsze narkotyki.

- Wygląda mi to na niezłą balangę - powiedział Faz. - Wybraliśmy dobry moment.

- No, na pewno nas pokochają.

Przecieli zarośnięty mleczem trawnik i ruszyli przez pochyły podjazd, wywołując wśród imprezowiczów nerwowe szepty i ciche komentarze. Trawniki frontowe oddzielała od tylnego podwórza drewniana brama, przy której stało dwóch mężczyzn w czarnych bandanach, najwyraźniej pełniąc funkcję ochroniarzy. U rośniejszego z nich skóra na ogromnych mięśniach ramion była naciągnięta jak u nadmuchiwanego lalki z sex shopu.

- To prywatne przyjęcie - rzucił mięśniak.

Faz podetknął mu pod nos odznakę.

- Na szczęście, jak widzisz, mamy zaproszenia. Szukamy Małego Jimmy'ego. On mnie zna. Pomachał dziś do mnie z samochodu. Powiedz mu, że detektywi Fazzino i Castigliano chcieliby mu zająć chwilkę.

Steroidowy osiłek kiwnął głową koledze i ten bez słowa wmieszał się w tłumek za bramą.

- Dziś są jego urodziny - burknął mięśniak. - Człowieku, dlaczego chcecie mu je zepsuć?

Właściwie nie można mu było odmówić racji.

- Nie chcemy - odparł Faz. - Przyszliśmy złożyć mu życzenia i mamy dla niego prezent urodzinowy.

- Akurat! - prychnął goryl. - Wszyscy grzecznie się bawią, nikt nie rozrabia.

- I miejmy nadzieję, że tak zostanie. - Faz odwrócił się do partnera. - Ale założę się, że zostały naruszone przepisy o niezakłócaniu spokoju. Myślę też, że nikt nie zadał sobie trudu, żeby wystąpić o zgodę na tak liczne zgromadzenie.

- Pewnie nie - przyznał Del.

- Ale nie zamierzamy psuć nikomu zabawy ani jej zakazywać. Faz przeniósł wzrok na ochroniarza. - Byłoby szkoda, prawda? Zwłaszcza że to jego urodziny.

Drugi z ochroniarzy wrócił i powiedział coś po hiszpańsku do mięśniaka. Ten usunął się na bok i otworzył bramę.

- Mały Jimmy mówi, że chętnie z wami pogada.

Detektywi wmieszali się w tłum, który zdawał się ich ściśle otaczać, gdy szli przez podjazd i dalej, przez podwórze. Ludzie opierali się o siebie, siadali na leżakach i kręcili się za domem, gdzie wciąż otwierały się i zamykały z trzaskiem siatkowe drzwi. W górze wisiały rozpięte między domem a garażem sznury kolorowych lampionów. W miarę jak detektywi szli dalej, słodka woń marihuany stawała się coraz wyraźniejsza.

Centralnym punktem zgromadzenia był południowo-zachodni narożnik podwórza. Faz i Del podeszli bliżej i tłum rozstał się przed nimi niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem. Mały Jimmy siedział na brązowym skórzanym fotelu, na którym wciąż widniała etykieta z ceną. Był do pasa goły; tatuaże pokrywały mu całe ręce, od ramion po nadgarstki, oraz nieowłosioną klatkę piersiową. Był na niej jeden na wysokości serca, z twarzą, w której Faz rozpoznał Dużego Jimmy'ego. Na szyi wisiały złote łańcuchy, niektóre z doczepionymi krzyżami; zza paska dżinsów wystawał brzeg czerwonych bokserów.

Mały Jimmy uśmiechnął się na ich widok i rozłożył ręce jak na powitanie. W tym samym momencie siedzący obok mężczyzna odsunął maszynkę, którą robił tatuaż na lewym ramieniu Jimmy'ego. Ten wciągnął dym z trzymanego w ustach skręta, wyjął go spomiędzy warg i podał kobiecie siedzącej na poręczy fotela, po czym wypuścił kłęb dymu i klepnął dłonią w podłokietnik.

- Detektyw Fatso⁴! Jak ci się podoba mój urodzinowy prezent?

Mały Jimmy z twarzy przypominał ojca, ale na tym podobieństwa się kończyły. Duży Jimmy był potężnie zbudowany i miał muskularne ramiona i nogi, chociaż Faz wątpił, by kiedykolwiek zdarzyło mu się podnieść jakiś ciężar. Roztaczał wokół siebie aurę wytrawnego polityka. Mówił bardzo starannie i cieszył się wielką estymą wśród mieszkańców South Park, bo często dawał datki na cele społeczne, jak choćby na miejscowy dom kultury. Manewr taki stosowały zarówno meksykańskie kartele, jak i włoska mafia, co pozwalało im zaskarbiać sobie sympatię mieszkańców. Mały Jimmy różnił się od ojca. Był szczupły, ale umięśniony, zapewne od ćwiczeń na siłowni i może sterydów. Czaszkę miał ogoloną na łyso, nosił kozią bródkę i nieodłączne ciemne okulary. Mówił jak jego kompani z ulicy - krótkimi urywanymi zdaniem, pełnymi slangowych wyrażen.

- Fajnie, że zostawiłeś etykietkę z ceną, bo chyba będziesz musiał go zwrócić - powiedział Faz. - Nie zmieści ci się w drzwiach.

- Słuszną uwaga - przyznał Mały Jimmy. - Ale może wrzucę go przez komin, jak Święty Mikołaj. - Tatuażysta zabrał się ponownie do pracy. - Chcesz se zrobić dziarę, detektywie? Ja se robię co roku jedną na urodziny. Julio to najlepszy spec w okolicy. Mogę ci ją fundnąć za friko.

Faz pokręcił głową.

- Nigdy mnie to nie rajcowało, Jimmy. Ja na urodziny jadam urodzinową kolację.

- To widać, człowieku. Coś mi się widzi, że strasznie się spasz od naszego ostatniego razu.

- Nie, po prostu ty byłeś wtedy dużo mniejszy. Ja zawsze byłem taki.

Mały Jimmy roześmiał się i przeniósł wzrok na Dela.

- A to co za jeden? Twój młodszy brat? To czemu nie jesteś taki chudy jak on?

- Pewnie mam niedobre geny - odrzekł Faz.

- Lepiej uważaj na siebie, człowieku, bo może się to skończyć atakiem pikawy albo szlag cię trafi.

- Fajny ten tatuaż twarzy ojca. - Faz wskazał na jego pierś. - Dobrze uchwycone podobieństwo.

Mały Jimmy nie opuścił głowy, aby spojrzeć na tatuaż. Uśmiech zniknął mu z ust, twarz mu spochmurniała.

- Zrobiłem go sobie, jak skończyłem piętnaście lat. Żeby zawsze pamiętać, jak wyglądał. Czasami trudno mi go sobie przypomnieć, bo byłem bardzo mały, kiedy umarł. - Zamilkł i po chwili dodał: - Ale widzę, że ty sobie nieźle radzisz. Słyszałem, że jesteś teraz szychą, detektywem od zabójstw. No to mi powiedz, detektywie Fatso, po cholere żes tu przylazł na moje urodziny? Liczysz na jakieś zabójstwo?

- On się nazywa Fazzio - warknął Del tonem, który partner już nieraz u niego słyszał.

Dela niebezpiecznie było wkurzać. Rozzłoszczony, dałby sobie radę z całą bandą tych gnojków.

Jimmy popatrzył na Dela.

- Tak powiedziałem - rzucił. - Może powinienes przeczyścić sobie uszy.

- Pewnie byś się zdziwił, gdybym ci powiedział, co słyszałem - odparował Del.

- My już mamy zabójstwo, Jimmy - wtrącił Faz. - Przecież wiesz. Jeździłeś autem koło bloku i podskakiwałeś, jakbyś tańczył pogo. Powiedz mi teraz, dlaczego to robiłeś. Bo mnie to wyglądało na brak szacunku dla czyjejś śmierci.

- Nie. To na nic nie wyglądało. Po prostu byłem ciekaw, człowieku. Ludzie sterczeli na chodniku i gapili się, to chciałem zobaczyć, co się stało.

- Czyli nic nie wiesz o tej strzelaninie, tak?

- Ja? Jasne, że nie, człowieku! A skąd miałbym wiedzieć?

Faz zerknął na Dela, po czym znów przeniósł wzrok na Jimmy'ego.

- Naprawdę? Bo ludzie gadają, że coś o tym wiesz. Że to ty dałeś zlecenie na sprzątnięcie Monique Rodgers.

Mały Jimmy uśmiechnął się.

- No, teraz to mi już dupę trujesz, detektywie Fatso. Spytaj tych kolesi. Oni ci powiedzą, że ze mnie jest kochanek, nie żaden fajter. Jimmy nadstawił twarz i siedząca obok niego kobieta pocałowała go w usta. - Widzisz? Niby czemu miałbym coś o tym wiedzieć?

- Z tego samego powodu, dla którego twój stary zlecił sprzątnięcie członków konkurencyjnego gangu - powiedział Faz. - Bo nie jesteś za inteligentny.

Jimmy zerwał się z fotela tak gwałtownie, że tatuażysta aż odskoczył, a siedząca na poręczy kobieta zsunęła się z oparcia fotela. Po ramieniu Jimmy'ego płynęła strużka krwi.

- Baja la musica! - wrzasnął i muzyka niemal natychmiast ucichła. Jimmy zdjął ciemne okulary, wyszedł na środek podwórza i wbił w Faza groźne spojrzenie, niczym bokser przed walką. - Nie obrażaj pamięci mojego ojca, detektywie Fatso. Nie w moje urodziny. Nie w moim domu. - Jeszcze przez chwilę mierzył Faza wzrokiem, a potem uśmiechnął się, rozłożył ręce i krzyknął: - Słuchajcie, ludzie! Detektyw Fatso chce wiedzieć, czy ktoś tu słyszał coś o jakiejś strzelance w South Park. Ktoś coś wie?

Goście zaczęli kręcić głowami i mamrotać zaprzeczenia, po czym zapadła cisza i wiele par ciemnych oczu wwiерciło się w Dela i Faza. Jimmy przez chwilę rozglądał się po podwórzu, a potem znów spojrzął na Faza i zrobił krok do przodu. Był teraz tak blisko, że Faz mógł wyczuć w jego oddechu woń marihuany. Szkliste oczy Jimmy'ego były jak dwie krople brudnej wody.

- Widzisz, detektywie, staram się pomóc policji. Nikt nie słyszał o żadnej strzelance ani o żadnym trupie. Ale obiecuję ci, że będę bardzo

pilnie nasłuchiwał, czy ktoś czegoś nie powie. - Uśmiechnął się.

- Ja też będę bardzo pilnie nasłuchiwał, czy nie dosłyszę twojego imienia, Jimmy - zapewnił go Faz. - Jeszcze tu wrócę, ale następnym razem nie będziemy już rozmawiać na podwórku. Porozmawiamy w celi miejskiego aresztu. Bo wsadzę cię za kratki, Jimmy. Tak jak wsadziłem twojego ojca, i obaj wiemy, czym to się dla niego skończyło. Zmierzył Jimmy'ego wzrokiem. - A on był dużo większy od ciebie i chyba znacznie twardszy.

Jimmy uśmiechnął się wyzywająco.

- No to się zobaczymy, jak się zobaczymy - powiedział, po czym krzyknął do tłumu gości: - Ludzie, co to za gówniana impreza?! Niech ktoś włączy tę pieprzoną muzykę!

Z głośników ponownie popłynęły dźwięki muzyki.

Mały Jimmy opadł na swój fotel, nie spuszczać wzroku z Faza. Tatuażysta przetarł mu ramię antyseptycznym gazikiem i znów przystąpił do barwienia swego dzieła. Del i Faz bez słowa się odwrócili, by odejść.

- Detektywie Fatso! - zawołał Jimmy i obaj się obejrzeli. - Nawet nie spytałeś o mój urodzinowy tatuaż. Nie jesteś ciekaw?

- Niespecjalnie - odparł Faz. - Mój ojciec zawsze mawiał, że tylko durnie się tatuują.

Jimmy wystawił ramię. Na bicepsie miał wytatuowaną płytę nagrobną.

- Trzymam to w pogotowiu, detektywie. - Uśmiechnął się. - Bo nigdy cię nie zapomnę. O nie, człowieku, zawsze cię będę pamiętał.

- Czuję się zaszczycony, Jimmy, i zainspirowany - odrzekł z uśmiechem Faz. - Może w końcu też sobie coś wytatuuję. Może poproszę Julia, żeby mi na tyłku wytatuował twój portret. Żebym nigdy nie zapomniał, jaki z ciebie zasraniec.

Rozdział 18

Tracy patrzyła, jak oba psy powarkują na siebie i zawzięcie się przepychają, by ją powitać w drzwiach domu. To miłe być tak kochanym, nawet jeśli był to z ich strony tylko odruch Pawłowa wywołany chrzęstem opon na żwirze przed domem. Dan pojawił się tuż za nimi i stanął w otwartych drzwiach. Wiedziała, że jego miłość nie ma nic wspólnego z odruchem Pawłowa, i czuła się dzięki niej wyjątkowa. Najwyraźniej Dan długo dziś pracował, bo wciąż miał na sobie garnitur, tyle że zdjął krawat i rozpiął kołnierzyk koszuli.

Tracy wysiadła z pick-upa i poklepała skaczące wokół niej psy.

- Byliście już, chłopcy, na spacerze? Bo nie wyglądacie mi na wybieganych. Za dużo w was energii. - Ruszyła do drzwi. - Myślałam, że jesteś w domu już od paru godzin - zwróciła się do Dana. - Taki piękny dzień. Sądziłam, że leżysz na tarasie i wygrzewasz się na słońcu w swoim urodzinowym garniturze.

Dan wykrzywił usta w niepewnym uśmiešku.

- To nie dla takiego bladoliciego Irlandczyka jak ja - powiedział z przesadnie irlandzkim akcentem. - My się tak opalamy, jak prawnicy mówią prawdę. Nigdy celowo i nigdy całkowicie.

Cmoknął ją w policzek i odsunął się, aby mogła wejść. Psy kręciły się na zewnątrz. Dan zostawił im uchylone drzwi, ale zwierzaki wyraźnie nie były zainteresowane wchodzeniem do domu. Na dworze mogły wywęszyć królika lub wiewiórkę i mieć zabawę, uganiając się za nimi.

Tracy położyła aktówkę na krześle w jadalni, zdjęła płaszcz i powiesiła go na oparciu.

- Z ich entuzjastycznego powitania wnoszę, że jeszcze z nimi nie wychodziłeś - powiedziała.

- Przykro mi to mówić, ale gdy tak szaleją na twój widok, to nie z miłości. - Dan nadal mówił z przesadnie irlandzkim akcentem. - To tylko ich reakcja na wyrwanie się z niewoli. Wróciłem do domu tuż przed tobą.

Zarzuciła mu ręce na ramiona.

- A ty? Podszedłeś do drzwi też dlatego, że uciekasz z więzienia?

- Uciekłbym z każdego więzienia, żeby tylko być z tobą. - Znów ją pocałował.

Zachodzące słońce rozświetlało wnętrze domu snopami światła, a przez otwarte drzwi wpadł do środka powiew wiatru, wypełniając wnętrze

zapachem suchej trawy.

- Zanim zaczniemy - Dan uśmiechem reagował na pocałunki Tracy - powinienem się przebrać i pójść pobiegać, nim zrobi się całkiem ciemno. Wybierzesz się ze mną?

Już od paru dni nie biegała i czuła napięcie mięśni ramion.

- Tak, ale tylko jeśli obiecasz pozbyć się tego akcentu.

Przygryzł dolną wargę, skrzywił się i rozpoczął walkę z cieniem, tańcząc wokół niej i bardzo udanie naśladowując mowę Muhammada Alego.

- Nic na to nie poradzę, te słowa są takie piękne, Howard, zupełnie jak ja. Spójrz na tę twarz. Pięćdziesiąt walk i ani razu mnie nie dziabnęli.

Tracy parsknęła śmiechem i pokręciła głową.

- Co tam psy! To ty musisz się wybiegać.

Włożyli stroje do biegania, chwilę się pogimnastykowali i pobiegli ścieżką za domem, która zygzakami prowadziła ku zalesionym wzgórzom. Psy pędziły przodem, z nosami przy ziemi, co chwilę zbacząc ze ścieżki. Po przeprowadzce do tego wiejskiego domku Dan wytyczył kilka tras różnej długości i zależnie od tego, jak byli zmęczeni i ile czasu pozostało do zapadnięcia zmroku, wybierali jedną z nich. Pod wieczór trochę się ochłodziło i w gałęziach drzew szumiał wiatr, ale wciąż było na tyle ciepło, że Tracy nie musiała wkładać bluzy i jej zeszywniałe mięśnie szybko się rozluźniły. Zabrała ze sobą butelkę wody, podobnie zresztą jak Dan. Lekarz powiedział jej, że w pierwszych tygodniach ciąży nie musi odmawiać sobie biegania, jeśli ma na nie ochotę, ale ostrzegł ją przed odwodnieniem. Od tej pory Dan pełnił funkcję domowego strażnika i pilnował, by odpowiednio dużo piła.

- No to czemu wróciłaś tak późno? - rzucił Dan między kolejnymi oddechami.

Oboje starali się równomiernie oddychać, co dla Tracy z każdym tygodniem ciąży było coraz trudniejsze. Tupot ich nóg po ubitej ścieżce stawał się nieregularny.

- Chyba ci o tym nie mówiłam. Zadzwoiła do mnie Katie Pryor. Pamiętasz ją?

- Policjantka mieszkająca w zachodnim Seattle, tak? Chcesz stanąć i złapać oddech?

- Nie, tylko trochę zwolnijmy. - Tracy czuła, jak jej oddech przyspiesza przy pierwszym wzniesieniu. Dan biegł przed nią, zajmując całą szerokość ścieżki. - Kilka miesięcy temu zmieniła pracę. Pracuje teraz w biurze osób zaginionych.

- Czy to nie ty pomogłaś jej się przenieść?

- Ja. Zadzwoiła, bo pracuje nad sprawą zaginionej młodej kobiety. Ma złe przeczucia i poprosiła, żebym się temu przyjrzała.

Dan z niepokojem spojrział na Tracy, pamiętając, co spotkało jej siostrę.

- Od kiedy jej nie ma?

- Dopiero od poniedziałkowego wieczoru, ale okoliczności są dość niezwykle.

Psy, które zostały w tyle, teraz pędem ich wyprzedziły.

Tracy pokrótce zrelacjonowała okoliczności zaginięcia Kavity Mukherjee i stosunki panujące w jej rodzinie.

- A więc nie wiesz, czy tak ją to poruszyło, że potrzebowała chwili spokoju, czy też coś jej się stało - zauważył Dan, gdy skończyła opowiadać.

- Niestety, w przypadku młodych kobiet na ogół mamy do czynienia z tym drugim.

- Ale pewna nie jesteś.

- Nie, nie jestem.

- I zajmiesz się tą sprawą?

- Katie poprosiła mnie o pomoc. Rozmawiałam dziś ze współlokatorką i z rodziną zaginionej.

- Unikasz odpowiedzi na moje pytanie, bo się boisz, że Nolasco nie pozwoli ci się tym zająć?

- Nie unikam... ale tak, wątpię, żeby się zgodził. Tylko pamiętaj, że w zeszłym roku zignorowaliśmy zgłoszenie o zaginięciu, a potem znaleźli kobietę pociętą na kawałki, w pojemnikach na śmieci w różnych punktach miasta. Dostaliśmy wtedy polecenie od szefostwa, że mamy działać bardziej zdecydowanie, zwłaszcza w ciągu pierwszych czterdziestu ośmiu godzin.

- No dobrze, ale dlaczego ty? Masz przecież sprawę w sądzie.

- Dziś były mowy końcowe. Poza tym wiem, z czym to się wiąże, Dan. I to nie w teorii, ale w praktyce. Wiem, co przeżywa ta rodzina, bo sama przez to przeszłam. Oni muszą znać odpowiedź. Nie chcę, by ktokolwiek musiał na nią czekać dwadzieścia lat, tak jak ja... tak jak moja rodzina. To zabiło moich rodziców.

- Po prostu martwię się tym dodatkowym stresem, zwłaszcza w połączeniu z ciążą.

- Wiem i doceniam twoją troskę, ale stres jest nieodłącznym elementem mojej pracy. - Chwilę biegli w milczeniu, po czym Tracy zmieniła nieco temat rozmowy. - Ciekawa była rodzinna dynamika w tym domu. Ojciec zdecydowanie chciał uchodzić za głowę rodziny, ale wydaje się, że to matka o wszystkim decyduje. Gdyby spojrzenia mogły zabijać, to jej młodszy syn padłby zimnym trupem po tym, jak powiedział, że wymieniał z siostrą esemesy.

- I takie całkowite zerwanie kontaktów córki z rodzicami bierze się tylko stąd, że matka chce, by córka wróciła do domu i zgodziła się na zaaranżowane małżeństwo?

- Sądzę, że jest coś jeszcze, ale sprawa zamążpójścia wydaje się kluczowa.

Dotarli do jednego z ustalonych punktów nawrotu. Dan otarł brzegiem koszulki pot z czoła i przez chwilę oboje dreptali w miejscu.

- Jak się czujesz? - spytał. - Wracamy czy chcesz biec dalej?

- Mogę jeszcze pobiec.

- Na pewno? Nasza kijanka ma się dobrze? Pijesz wystarczająco dużo?

- Wszystko w porządku - rzuciła, przytykając do ust butelkę z wodą.

Słońce zeszło już prawie poniżej linii horyzontu i ścieżkę zaczynał zasnuwać mrok. Dan ruszył pierwszy.

- Muszę powiedzieć - mówiła dalej Tracy do pleców męża, bo na wąskiej ścieżce zmuszeni byli biec gęsiego - że aranżowanie małżeństw brzmi dość barbarzyńsko. Przypomina mi to trochę wożenie bydła na targ i pozwalanie kupcom na obmacywanie zwierząt i zagładanie im w zęby. Tyle że teraz odbywa się to w internecie.

- Myślałem, że internet służy do oglądania pornosów. - Kilka miesięcy wcześniej byli w Seattle Rep na musicalu Avenue Q i pochodząca z niego piosenka Internet jest do porno zapadła mu w pamięć. - Nie osądzaj ich tak pochopnie.

- Nie uważasz tego za barbarzyństwo?

- W Bostonie miałem sekretarkę Hinduskę, której małżeństwo zostało zaaranżowane przez rodziców, ale dziewczyna wydawała się szczęśliwa. Mówię tylko, że nie powinniśmy osądzać spraw, których nie rozumiemy. Procent rozwodów w Indiach jest niższy niż w Stanach.

- Jej matka powiedziała dokładnie to samo - przyznała Tracy.

- W hinduskiej rodzinie dominuje bardzo silne poczucie obowiązku, w tym także wobec dziadków. W odróżnieniu od Amerykanów, oni swoich

seniorów nie pakują do domu starców.

- Rodzice ojca mieszkają razem z dziećmi i wnukami w jednym domu. - Tracy przypomniała sobie dwoje starszych ludzi, którzy przez cały czas nie powiedzieli ani słowa i nie okazali żadnych emocji.

- Z czego wnoszę, że i rodzice, i dzieci opiekują się dziadkami. Kiedy syn się żeni, żona wprowadza się do jego rodziców i wszystko gra.

- Mówisz poważnie?

Dan wzruszył ramionami.

- Jayanti, ta moja sekretarka, mieszkała u rodziców męża. Czasami widziałem, że ma czerwone z niewyspania oczy i ledwo powłóczy nogami. Pracowała w biurze przez cały dzień, potem wracała do domu i szykowała kolację, robiła pranie i pomagała dzieciom w lekcjach. Twierdziła, że w Indiach tak się robi i że któregoś dnia jej syn i jego żona przejmą opiekę nad nią i jej mężem.

Dan poprowadził ich w dół zbocza i Tracy zaczęła stawiać mniejsze kroki, by na niego nie wpaść i nie podciąć mu nóg. Przy zbieganiu poczuła lekki ból w kontuzjowanym kiedyś kolanie.

- Mówiła chociaż, że kocha tego swojego męża? - spytała.

- Nie pamiętam - rzucił Dan, oglądając się przez ramię. - Poznałem go na jakiejś imprezie biurowej i wydał mi się całkiem w porządku. Ale nie wiem. Mówię tylko, że nie powinniśmy wydawać sądów w sprawach, które są nam obce. Spójrz na nas. Szybko się pobraliśmy.

- Dwa lata byliśmy razem.

- Ja miałem wrażenie, że to i tak szybko.

Tracy stuknęła go w plecy i Dan parsknął śmiechem. Ścieżka znów stała się szersza i Tracy przyspieszyła, by do niego dołączyć.

- Ja bym wolała, żeby nasz syn czy córka najpierw pokochali tego kogoś, z kim wezmą ślub. I to tak, żeby nie mogli przestać się dotykać.

- Hej, uważaj, mówisz o mojej córce. - Dan przeszedł znów na sposób mówienia Muhammada Alego. - Zwałę tego drania z nóg.

- To chyba tekst Mr. T, nie Muhammada Alego.

Dan się roześmiał.

- A skoro mowa o tym, że nie możemy przestać się dotykać...

- Kto tu mówi o nas?

- Zaraz, zaraz, to ty zaczęłaś, jak tylko wróciłaś do domu. Nie oczekuj po mnie, że teraz przestanę odliczać do startu. Ścigamy się do domu? Zwycięzca rozbiera przegranego.

- Jeśli obiecasz, że nie będziesz śmiał się z mojego brzucha.

- W ramach solidarności mogę sobie sprawić taki sam brzuch.

- O Boże, ratuj - jęknęła.

Dan poklepał się po brzuchu.

- Nie, ratuj mnie.

- Pajac z ciebie.

Przyspieszył i puścił się biegiem do domu.

Rozdział 19

Jadąc do domu, Faz opuścił szybę, w nadziei że chłodne powietrze pozwoli mu się nieco uspokoić. Wybrali się z Delem do Małego Jimmy'ego, aby go trochę postraszyć, co zwykle świetnie im wychodziło, ale Mały Jimmy się nie dał i sam dał im niezły pokaz. Faz nie lubił być przezywany "detektywem Fatso", ale mógł to zlekceważyć, uznając za szczeniacki wybryk, natomiast popisywanie się Jimmy'ego w kwestii zabójstwa było już prawdziwym problemem. Faz był pewien, że za tym, co stało się w South Park, stoi Jimmy, a ten bezczelnie rzucał mu wyzwanie, aby spróbował to udowodnić.

Zaparkował na podjeździe, zgasił silnik i poczuł dochodzący z ogródka zapach dojrzewających pomidorów. Jeszcze miesiąc i zbiorą ich tyle, że Vera będzie mogła narobić przecieru pomidorowego dla wszystkich znajomych, którzy tradycyjnie dostawali po słoiku w prezencie gwiazdkowym.

Oby. Do Gwiazdki zostało jeszcze wiele miesięcy i nic nie było pewne. "Kurwa", mruknął pod nosem i obiecał sobie, że nie będzie się katował takimi myślami.

Popatrzył na tablicę do kosza i pomyślał o Antoniu. Vera nie chciała nic mówić synowi o swojej chorobie, dopóki sami nie dowiedzą się czegoś więcej. Uważała, że Antonio ma wystarczająco dużo na głowie z restauracją i znalezieniem odpowiedniego momentu, by oświadczyć się swojej dziewczynie. Faz nie był pewny, czy rzeczywiście nie należy nic mówić synowi. Antonio nie był już dzieckiem, a Vera była jego matką. Z drugiej jednak strony, rozumiał - teraz może nawet lepiej niż kiedyś - że Vera zawsze tak postępowała: nie martwiła ich sprawami, na które nie mieli wpływu.

Wysiadł z samochodu i zobaczył stojącą pod domem taczkę. Był w niej worek ziemi ogrodniczej i wiadro z narzędziami Very. Przeniósł wzrok na rododendron, o którego przesadzenie prosiła go jeszcze w zeszłym tygodniu. Powiedział wtedy, że nie może wykopać go i przenieść w inne miejsce, ponieważ bołą go plecy. Ale to była tylko wymówka. Spojrzał na puste miejsce w krzakach, gdzie rósł rododendron.

- Cholera - mruknął pod nosem.

Wszedł na werandę i już miał włożyć klucz do zamka, ale coś go powstrzymało. A jeśli tak ma wyglądać jego przyszłe życie, że będzie wracał wieczorami do ciemnego i pustego domu? A jeśli Very nie będzie przy tym, jak Antonio się ożeni i otworzy swoją nową restaurację? Czarne myśli opadły go jak złe duchy i zmusiły do cofnięcia się o krok. Skarcił się

w myślach. To nie pora, by wpadać w panikę i uważać się nad sobą. Vera go teraz potrzebuje, nawet jeśli sama tego nie przyzna. Musiał wziąć się w garść.

Kilka razy głęboko odetchnął i wszedł do kuchni. W oświetlonym piekarniku widać było foremki z chlebem bananowym, z których roznosił się cudowny zapach.

- Vera?

Rozluźnił krawat, zgasił światło w piekarniku i dotknął chleba. Był jeszcze ciepły. Musiała się przy nim napracować.

Przeszedł do ciemnej jadalni i usłyszał szum wody w rurach. Widać Vera bierze prysznic. Wszedł na górę i zajrzał do pokoju Antonia. Ściany były wciąż obwieszane proporczykami Marinersów, zasłony w oknie i kapa na łóżku pasowały kolorystycznie do niebiesko-turkusowych barw klubu. Vera uparła się, żeby niczego tu nie zmieniać, bo jak Antonio będzie miał dzieci, to będą mogły nocować w jego dawnym pokoju. Faz zamknął oczy i wbrew sobie pomyślał, czy żona tego dożyje.

Sypialnia tonęła w ciepłym świetle lampy na toalecie. Usłyszał, że woda w łazience przestaje płynąć, i żeby Vera nie wystraszyła się, gdy niespodziewanie zobaczy go w sypialni, głośno zawołał:

- Vera?

- Hej! Już wychodzę.

Rozwiesił marynarkę na stojaku i narzucił na nią krawat, zdjął koszulę i wsadził ją do kosza na brudną bieliznę, po czym przysiadł na krawędzi łóżka, żeby zdjąć buty.

Vera wyłoniła się z łazienki w obłoku pary. Była w jasnoniebieskim szlafroku, głowę miała owiniętą ręcznikiem.

- Hej - powtórzyła i nachyliła się, by go pocałować. - Jak ci poszło?

- Co? A, tak. Chłopaki z daktylo zajmą się tym jutro z samego rana, jak tylko dostaniemy nakaz przeszukania. - Nie wspomniał o wizycie w South Park i rozmowie z Małym Jimmym, bo nie chciał jej denerwować.

- Udało się wam wyjaśnić, dlaczego ta kobieta chciała usunąć ślady z samochodu?

- Nie. Ale tak naprawdę to nie nasza sprawa. - Wstał i ustawił buty na półce w szafie. - Del myśli, że chodziło o narkotyki, ja sądzę, że baba zdradza męża. Z narkotyków mogłaby się jakoś wytłumaczyć mężowi, może nawet wzbudzić jego współczucie. A ona ani słowa nie pisnęła. Pewnie nigdy się nie dowiemy.

- Jesteś głodny? Mogę ci odgrzać ravioli i kurczaka z wczoraj. Albo ukroję ci kawałek chleba bananowego i zjesz z masłem.

- W kuchni cudownie pachniało, ale poczekam do rana. Zjadłem coś w pracy - skłamał. Nic nie jadł, bo nie był głodny i nadal nie czuł głodu. - Jak ci minął dzień? Widziałem, że się napracowałaś w ogrodzie.

Vera wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

- Nie szkodzi. Miałam zajęcie.

- Dostałaś nawet rumieńców. Czy to może od tego twojego wrzątku?

Nikt na świecie nie brał tak gorących pryszniców jak Vera. Nawet w młłym świetle lampki nocnej było widać, że twarz ma mocno zaróżowioną.

Podeszła do toaletki, otworzyła słoik z kremem i zaczęła smarować sobie czoło i skórę pod oczami. Była wciąż jeszcze młoda, ale w tym oświetleniu Faz widział, jak się postarzała. On zresztą też. Czasami spoglądał rano w lustro i wręcz nie poznawał swego odbicia. W środku wciąż czuł się jak trzydziestolatek.

- Wreszcie wypieliałam grządki i przesadziłam tego rododendrona pod płot.

- Zauważyłem. Przepraszam. Powinienem był to zrobić.

Machnęła ręką i posmarowała sobie kremem szyję i ramiona.

- Przepraszam, Vero. Nie powinienem był się migać.

- Tylko nie zaczynaj przeproszać.

- Nie, chodzi mi tylko o to...

- Mnie też! - rzuciła ostro.

Faz zamilkł i wbił spojrzenie w jej odbicie w lustrze. Vera opuściła wzrok.

- Po prostu... po prostu nie przepraszaj za wszystko - dodała po chwili. - Jakby. jakby mnie tu miało nie być. albo jakbym miała zostać kaleką, z którą trzeba obchodzić się jak z jajkiem.

- Dobra. Nic takiego nie miałem na myśli. Po prostu wiem, jak musiałaś się napracować przy tym przesadzaniu.

Vera kiwnęła głową.

- Dostałam wyniki biopsji - powiedziała.

- Co? - Faz aż zmartwiał. - Zdawało mi się, że mówił o piątku.

- Zadzwonili od lekarza, że mam się umówić na wizytę w piątek po odbiór wyników, a ja powiedziałam, że nie chcę czekać i niech mi podadzą wyniki przez telefon.

Faz czuł w gardle rosnącą gulę.

- I co ci powiedzieli? - wydusił z trudem.

- Mam w prawej piersi guza drugiej wielkości.

- Co to znaczy drugiej wielkości? To dobrze?

- Wielkość guzów określa się od jednego do trzech, więc nie jest najgorzej, ale dobrze też nie.

Dwa na trzy, pomyślał Faz. Kurwa.

- Zaatakowane jest czterdzieści procent tkanki piersi. Lekarz powiedział, że guz zaczął się w kanale mlecznym, przebił się dalej i zaatakował tkankę tłuszczową i układ limfatyczny. Węzły chłonne.

Faz poczuł się, jakby całe jego ciało stanęło w ogniu.

- I co teraz?

- Rozmawiałam z onkologiem z Centrum Onkologicznego w Seattle, którego mi ten lekarz polecił, i umówiłam się na wizytę. Pielęgniarka powiedziała, że pewnie zaproponuje wycięcie guza albo mastektomię, a później naświetlanie lub chemioterapię. Być może jedno i drugie.

- Czyli mają ci to wyciąć, tak? Nie ma się co z tym chrzanić. Niech usuną całą pierś, a potem zastosują radio- albo chemioterapię.

- Nie wiem - rzuciła. - Pewnie zostawią mi wybór. Może uda się ją uratować.

- Pieprzyć to. Zostawisz ją i będziesz się potem martwiła, czy guz nie powróci. Usuń ją. Lewą też.

Pokręciła głową i odwróciła się do niego twarzą.

- A jak ty byś się poczuł, gdybyś miał raka jąder i mieli ci obciąć oba jaja?

Jakby dostał cios w żołądek.

- Słuchaj, nie chciałem... Chciałem tylko powiedzieć, że to nieważne, czy...

- To jest ważne dla mnie! Rozumiesz? Dla mnie jest to ważne. Nie chcę być okaleczona. - Vera zaczęła płakać. - I nie chcę tego, Vic. Nie teraz. Nie teraz. Nie w tym momencie mojego życia. Nie chcę tego.

Podszedł do niej i mocno ją objął.

- Wiem - powiedział. - Ja też nie chcę tego dla ciebie. - I w tym momencie uświadomił sobie, że rak piersi nie dotyczy jego i nigdy nie będzie dotyczył. Będzie rzutował na jego życie i może na jego przyszłość, ale dotyczy Very, a ona, być może pierwszy raz w życiu, naprawdę się boi. - Trzymaj się mnie, dobrze? Po prostu się mnie trzymaj.

Rozdział 20

Czwartek, 12 lipca 2018

Rano Faz stał w sypialni, przewlekając pasek przez szlufki spodni i myśląc o wczorajszym wieczorze. Vera była szczerze wystraszona tym, co ma się wydarzyć, i był to tak rzadki widok, że przeraziło go to bardziej niż wiadomość o jej chorobie.

Leżąca na toalecie komórka zabrzęczała i Faz spojrzął na wyświetlacz. Dzwonił Del.

- Wczoraj wieczorem załatwiłem sobie plecy - oznajmił posępnym głosem.

- Jakim cudem?

- Wygłupiłem się. Byłem umówiony z Celią i poszliśmy razem na zajęcia z gorącej jogi.

- Uprawiasz gorącą jogę? - spytał z niedowierzaniem Faz.

- Wiem, że pożałuję, że ci o tym mówię, ale spociłem się jak byk w wełnianym płaszczu. Po powrocie do domu musiałem jeszcze wyjść z Sonnym na spacer, bo cały dzień siedział zamknięty. W pewnej chwili zaplątał się w smycz, nachyliłem się, żeby go wyplątać, i wtedy coś chrupnęło mi w plecach. Ledwo dowlokłem się do domu.

- To chyba nie dysk, co?

- Nie, kiedyś już to miałem. To jakiś skurcz mięśnia. Zdarza mi się to, gdy po wysiłku za szybko wychodzę na zimno i robię zbyt gwałtowny ruch. Mam nadzieję, że to tylko skurcz. Ale na razie nie mogę się ruszyć z łóżka, nie mówiąc już o chodzeniu. Wziąłem środki rozkurczające, ale w tym stanie nie mógłbym prowadzić auta. Mam nadzieję, że do popołudnia wydobrzeję, ale pewny nie jestem. Możesz do mnie zadzwonić, czy udało im się zidentyfikować ten ślad?

- Dobra, nie ma sprawy, ale raczej dopiero po południu. Rano biorę sobie wolne, bo idę z Verą do onkologa. - Faz ściszył głos, żeby żona nie usłyszała go z kuchni. Dochodził stamtąd zapach świeżo zaparzonej kawy i chleba bananowego. - Dostała wczoraj wyniki biopsji. Ma raka, Del. Guza drugiej wielkości. - Wyjaśnił, co to oznacza. - Zaatakowane są węzły chłonne.

- O cholera, to straszne. Liczyłem na lepsze wieści.

- Ja też. Tak bardzo mi jej żal. Że musi przez to przechodzić.

- Jaki jest plan? - spytał Del. - Znaczy w sprawie Very? Co jej będą robić?

- Dziś dowiemy się więcej. Pewnie będzie musiała zdecydować, czy chce przejść mastektomię, a potem serię naświetlań lub chemioterapię, albo jedno i drugie.

- Cholera, niech sobie to usunie. Niech nie ryzykuje nawrotu.

Faz wyjrzał za drzwi, aby sprawdzić, czy Vera nie idzie przypadkiem na górę.

- To samo jej mówiłem - odrzekł cicho. - Ale to nie takie proste. Spytała, jak bym się poczuł, gdybym miał raka jąder i chcieli mi obciąć jaja.

Del parsknął śmiechem.

- Tak powiedziała?

- Jest bardzo zdenerwowana. Już widzę, że najlepiej, jak siedzę i nic nie mówię.

- No, to akurat potrafisz.

Faz westchnął.

- Jestem jej winien dużo więcej, wiem. Wczoraj wieczorem przez godzinę nie przestawała mówić. Nie wiedziałem, co mam zrobić i co powiedzieć. Kiwałem tylko głową i trzymałem ją za rękę.

- Może właśnie tego potrzebuje, Faz.

- Może. Jest przerażona. I ja też.

- Słuchaj, poświęć jej tyle czasu, ile trzeba. Weź sobie dzień wolny. Znajdę jakiś sposób, żeby pojechać do roboty, a jak nie, to będę pracował z domu.

- Kiedy właśnie w tym rzecz. Nie mogę tu siedzieć. Vera nie chce, żebym się kręcił po domu i nad nią użalał. Mam szczęście, że pozwoliła mi jechać z nią dzisiaj do lekarza.

- Może mówić jedno, a chcieć czego innego. Po prostu nie czuj się w obowiązku, że musisz gnać do biura.

- Dam ci znać, jak tylko się czegoś dowiem od daktylo. Tak samo ty, gdybyś dowiedział się czegoś przede mną.

- Tak, oczywiście. Powiedziałeś już Tracy albo Kinsowi... to znaczy o Verze? - spytał Del.

- Nie, jeszcze nie. Vera nie chce nikomu mówić, dopóki nie spotkamy się z onkologiem. Dopiero wtedy poinformuję wszystkich, łącznie z Billym. W razie gdybym musiał wziąć sobie wolne.

- Może to dobrze, że mamy tę Andreeę - mruknął Del. - Będzie mogła zdjąć z nas trochę obowiązków.

- To nigdy nie zawadzi - przyznał Faz.

Rozdział 21

Tracy dotarła do swojego boksu później, niż zamierzała. Po drodze wstąpiła do biura ICAC, którego nazwa była skrótem od Internet Crimes Against Children⁵, i w sekcji kryminalnej zostawiła laptopa Kavity Mukherjee, prosząc pracującą tam znajomą o złamanie hasła dostępu, przegranie wszystkich odczytanych maili na pendrive'a i przesłanie go do biura Katie Pryor. Oficjalnie Tracy nie zajmowała się tą sprawą i nie mogła firmować prośby swoim nazwiskiem. To Pryor musiała uzyskać nakaz przeszukania komputera Mukherjee oraz zgodę na dostęp do jej wyciągów bankowych. Pryor miała też wystawić wniosek do operatora sieci Verizon, powołując się na "nadzwyczajne okoliczności", co było formułką konieczną, żeby Verizon mógł prześledzić historię logowań telefonu Mukherjee i dostarczyć policji mapę jej ostatnich ruchów.

W Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych panował harmider, a odgłosy rozmów telefonicznych i stukotu klawiatur komputerowych mieszały się z dźwiękami płynącymi z telewizorów. Tracy odnotowała, że jej komputer nie był uruchamiany od chwili, gdy sama go wyłączyła.

Kins siedział przy swoim biurku, plecami do niej, i rozmawiał przez telefon. Faza i Dela nie było w ich boksach, ale komputer Faza był włączony. Andrei Gonzalez Tracy nie zauważyła nigdzie w pobliżu, co ją ucieszyło, bo dzięki temu mogła swobodnie zrelacjonować Kinsowi historię Kavity Mukherjee.

- Hej - rzucił Kins, odkładając słuchawkę i obracając się na krześle w stronę Tracy. - Myślałem, że jesteś jeszcze w sądzie. - Zerknął na zegarek. - Rozumiem, że werdyktu nie ogłoszono.

Tracy pokręciła głową.

- Hoetig obiecał, że da mi znać, kiedy przysięgli powiadomią, że są gotowi. - Podeszła do boksu Kinsa i wyciągnęła szyję ponad krawędź

ścianki działowej, aby sprawdzić, czy po drugiej stronie nikogo nie ma. - Muszę z tobą o czymś pogadać. Chodźmy na kawę.

- Ma to coś wspólnego z tym, że Nolasco już tu był i pytał o ciebie?

Tracy domyślała się powodu nagłego zainteresowania Nolasca.

- Mówił, czego chce?

- Nie. Powiedział tylko, że zaraz jak przyjdiesz, masz się do niego zgłosić. Wyjaśniłem mu, że czekasz w sądzie na werdykt w sprawie Stephensona. Co tym razem narozrabiałaś, że znów się wkurzył?

- Kto, ja? Byłam grzeczna jak aniołek.

- Jasne. Oczywiście.

Popatrzyła na dwa puste boksy.

- Del i Faz mają coś w sprawie tych śladów na samochodzie?

- Ostatnia wiadomość jest tylko taka, że auto stoi w stacji kontroli samochodów i czeka na badanie. Ale Del jest w domu. Dzwonił, że nabawił się kontuzji pleców. Nie wiem, co z Fazem, może pojechał do stacji kontroli. Del powiedział, że miał dostarczyć nakazy przeszukania chłopakom z daktylo.

- Jak poważna jest ta kontuzja?

Kins wzruszył ramionami.

- Mówi, że plecy są sztywne i go bolą. Zażywa środki rozkurczające, więc nie może prowadzić.

- O której przysłała Gonzalez?

- Nie wiem. Jeszcze jej nie widziałem. A co się między wami stało? Co masz przeciwko niej?

- Nie podoba mi się sposób, w jaki Nolasco ją nam tu wcisnął.

- To ciut niepoważny zarzut, nie uważasz? Przecież nie ona decyduje o tym, jak ją zatrudniają.

Tracy znów wyjrzała nad krawędź ścianki, przysunęła się do biurka Kinsa i ściszyła głos.

- Wracając wczoraj z sądu, natknęłam się na Rona. Spytałam go, dlaczego odszedł z zespołu A. Odpowiedział, że nie miał wyboru. To Nolasco przeniósł go do zespołu C.

Kins lekko uniósł brwi.

- No cóż, Tracy, Nolasco jest tu kapitanem i ma do tego prawo. Z zespołu C odchodzi Arroyo. Lubię Rona, ale dla niego to chyba lepsza perspektywa kariery.

- Pewnie tak. - Tracy pokiwała głową. - Ale Nolasco kazał Ronowi się przenieść dlatego, że w zespole A nie ma szansy na awans, bo w najbliższym czasie nikt z nas nie odejdzie, na emeryturę ani w ogóle.

- I to znów jest zgodne z prawdą, zgadza się?

- Tak, tylko że Nolasco tego nie wie.

- Czego nie wie?

- Nie wie, czy zamierzam wrócić po urodzeniu dziecka.

- Zaraz, nie rozumiem. Przecież on nawet nie wie, że jesteś w ciąży, prawda?

- W każdym razie ja mu nie mówiłam. Ale zakładam, że wie. Ron sam się domyślił, więc to nie takie trudne. I sądzę, że właśnie dlatego Nolasco zatrudnił Gonzalez i przeniósł Rona do zespołu C.

- Nic nie kapuję.

- Będzie mu dużo łatwiej się mnie pozbyć, jeśli na moje miejsce zatrudni kobietę, i to Latynoskę. A nie białego mężczyznę w średnim wieku. Nie mogliby go wtedy oskarżyć o dyskryminację.

Kins nie wyglądał na przekonanego.

- Nie uważasz, że brzmi to trochę paranoicznie? Sądzisz, że Nolasco myśli aż tak piętrowo?

- Oboje wiemy, że chciał się mnie pozbyć od chwili, gdy tylko zaczęłam tu pracować.

- No cóż, to prawda. Jesteś jak guma do żucia, która przykleiła mu się do podeszwy.

- I kiedy ostatnio się zdarzyło, żeby ktoś zaczynał karierę od ciężkich przestępstw? Jakim cudem Gonzalez przeskoczyła całą kolejkę?

Kins już miał coś powiedzieć, ale odezwał się dopiero po chwili namysłu.

- O tym nie pomyślałem.

- Nie podoba mi się również to, że zastałam Gonzalez przy moim biurku, zalogowaną do mojego komputera.

- Myślisz, że coś namieszała?

- Nie wiem. Twierdzi, że w LA mieli zwyczaj korzystać z pierwszego wolnego komputera.

- No to się nie przejmuj. - Wzruszył ramionami.

Tracy zmieniła temat:

- Słuchaj, zanim pójde do Nolasca, chcę cię prosić o radę. - Opowiedziała mu o telefonie Katie Pryor i okolicznościach zniknięcia Kavity Mukherjee.

- Przy obecnym nawale spraw nie masz szans przekonać Nolasca, żeby ci pozwolił się tym zająć. Powie, że od szukania osób zaginionych jest biuro osób zaginionych, i tyle.

- Tak, wiem. Ale jednocześnie nie może beczynn timer siedzieć i czekać, aż znów zaczniemy znajdować kawałki ciała w pojemnikach na śmieci.

Zostawiła Kinsa i ruszyła do gabinetu Nolasca. Przez okna w korytarzu widziała prześwitujące między wzgórzami w centrum Seattle błękitne wody Zatoki Elliotta pod bladoniebieskim bezchmurnym niebem. Drzwi do gabinetu Nolasca były otwarte i Tracy zapukała we framugę. Kapitan siedział za biurkiem i rozmawiał przez telefon. Widząc ją, wskazał, żeby weszła i usiadła na jednym z dwóch nowych krzeseł. Któraś z policjantek zauważyła kiedyś, że Nolasco wygląda jak starzejący się gwiazdor filmów porno - szczupły, z obfitym wąsem i włosami z przedziałkiem pośrodku, opadającymi na uszy.

Niesnaski między nim a Tracy sięgały czasów studiów Tracy w akademii policyjnej, gdzie Nolasco był jednym z instruktorów. Popełnił wtedy błąd i złapał ją za pierś, demonstrując, jak wygląda rewizja osobista. Skończyło się to dla niego złamanym nosem oraz mocno obolałym kroczeniem i wzbudziło w nim szczerą niechęć do młodej adeptki.

- Szukałeś mnie - odezwała się, gdy Nolasco odłożył słuchawkę.

Miał zawsze taki grymas twarzy, jakby raziło go słońce albo zmagał się z ostrym bólem głowy.

- Kins mi powiedział, że jesteś w sądzie i czekasz na werdykt.

- I wciąż czekam.

- Rozumiem, że miałś jakiś problem z Gonzalez.

Kapitana łatwo było przejrzeć, ale Tracy postanowiła darować sobie sarkastyczne uwagi i uśmiezki, bo wiedziała, że będzie musiała uzyskać jego zgodę na zajęcie się sprawą Mukherjee.

- Nie z nią. Miałam problem z używaniem przez nią mojego komputera.

- Dlaczego?

Tracy wzruszyła ramionami.

- Przecież już o tym rozmawialiśmy. To moje biurko i mój komputer, niezależnie od tego, gdzie w tym czasie jestem, w sądzie czy gdzie indziej.

- Mówiłem ci, że chcę, żeby się zapoznała z twoimi bieżącymi sprawami. Masz jakiś problem z tym, że zagląda do twoich plików?

Tracy pokręciła głową.

- Właśnie po to są ogólnie dostępne. Mam natomiast problem z jej szperaniem w moich śledztwach osobistych. Są osobiste nie bez powodu. Ja tego nie wymyśliłam. To kwestia polityki naszej instytucji.

Nolasco obrzucił ją wściekłym spojrzeniem.

- To wszystko? - spytała.

- Tak, to wszystko.

Pochylił się nad papierami i Tracy ruszyła do drzwi, ale nagle przystanęła, jakby o czymś sobie przypomniała.

- Dzwonili do mnie z biura osób zaginionych. Mają zgłoszenie o zaginięciu dwudziestoczteroletniej kobiety i proszą, żebyśmy się temu przyjrzeliby.

Podniósł głowę znad biurka.

- Od jak dawna jej nie ma? - zapytał.

- Od poniedziałkowego wieczora.

- Co wskazuje na przestępczy charakter zaginięcia?

- Zero kontaktu z rodzicami, współlokatorką i przyjaciółmi. Nie odpowiada na telefony i nie stawiała się do pracy. To do niej niepodobne. Wiadomo też, że była z kimś umówiona.

- Nie widzę w tym nic, co wskazywałoby na przestępstwo.

- Chodzi nam chyba o to, żeby nie doszło do przestępstwa - zauważyła Tracy.

- A co mówi ten jej chłopak?

- Nie wiem. Nikt nie zna jego nazwiska i nawet nie wiadomo, czy jest jej chłopakiem.

- Nikt tego nie wie?

- Współlokatorki nie było w kraju, a zaginiona jest skłócona z rodziną.

- W zniknięciu nie ma nic nielegalnego - oświadczył Nolasco. Niech biuro osób zaginionych się tym zajmuje do czasu, aż będzie wiadomo coś więcej.

- Zadzwonili do mnie z prośbą o pomoc. Nie chcą czekać do czasu, aż ktoś znajdzie odciętą rękę w pojemniku na śmieci.

Nolasco wiedział, że szefostwo dałoby mu nieźle popalić, gdyby doszło do czegoś takiego. Policja wyszłaby na bezduszną instytucję. Tracy zagrała kartą atutową.

- Zaginiona pochodzi z Indii - oznajmiła.

- Możliwe, że Del i Faz trafili na ślad w sprawie zabójstwa Monique Rodgers - powiedział Nolasco. - Del ma kontuzję pleców. Jeśli rzeczywiście

znajdzie się ten ślad, Fazowi będzie potrzebna pomoc.

- W porządku. Jeśli Faz będzie potrzebował mojej pomocy, to mu pomogę, ale myślę, że powinniśmy się też zająć tą zaginioną. Jest świeżo upieczoną absolwentką college'u i stara się dostać na studia medyczne.

Nolasco znieruchomiał, niczym jaszczurka między dwoma kamieniami, i Tracy w milczeniu pozwoliła mu rozważyć możliwe konsekwencje jego decyzji.

- Niech w biurze prowadzą tę sprawę, a ty udzielaj im pomocy tylko wtedy, gdy okaże się to naprawdę konieczne. Nie przejmujemy tej sprawy, dopóki nie będzie niezbitych dowodów, że doszło do przestępstwa.

- Tak jest - powiedziała Tracy i ruszyła do drzwi, starając się powstrzymać uśmiech.

Rozdział 22

Kiedy Faz zjawił się na komendzie, od razu poszedł do toalety i obmył twarz zimną wodą, by nie było widać, że płakał. Po obejrzeniu wyników rezonansu magnetycznego, biopsji i tomografii lekarz onkolog stwierdził, że zaatakowane zostały węzły chłonne, i zalecił mastektomię, a następnie chemioterapię. Aby nieco złagodzić tę diagnozę, lekarz zaznaczył, że Vera odkryła zmiany stosunkowo wcześniej i mastektomii będzie mogła od razu towarzyszyć rekonstrukcja piersi. Vera ciężko przyjęła te wiadomości, ale po namyśle i zadaniu lekarzowi dodatkowych pytań zdecydowała, że nie podda się równocześnie obu operacjom, w obawie przed komplikacjami i zbytym osłabieniem organizmu. Chciała zachować maksimum sił na chemioterapię, która miała nastąpić po mastektomii, i dopiero potem zajmie się rekonstrukcją.

Po wyjściu z gabinetu lekarskiego Faz zaproponował żonie, że weźmie sobie wolne i resztę dnia spędzi razem z nią, ona jednak znów się uparła, żeby poszedł do pracy.

- Rodzina Monique Rodgers liczy na ciebie, a ty może wpadłeś na jakiś trop - oświadczyła. - A poza tym co będziesz robił w domu?

Przy niej próbował zachowywać spokój, ale jadąc do biura, nie mógł się uwolnić od słów lekarza, że mają żyć dniem bieżącym. Uznał, że lekarz próbuje im w ten sposób pomóc, jednak gdy usłyszał, jak radzi Verze, żeby nie myślała o przyszłości, ogarnęło go zwątpienie. I gdy potem na częstotliwości 98,1 FM, na której nadaje radio Seattle z muzyką poważną, usłyszał arię Sono andati z Cyganerii, kiedy to Mimi umiera, nie wytrzymał i rozplakał się.

Ucieszył go widok ich pustej "zagrody". Del był w domu, Tracy i Kins pewnie czekali w sądzie na werdykt. Złakniony działania, chwycił za słuchawkę i zadzwonił do daktylo.

Jason Rafferty, którego dobrze znał, prychnął, słysząc jego głos.

- Strasznie niecierpliwy z ciebie koleś, Fazzio. Co, myślałeś, że sami nie zadzwonimy, jak znajdziemy coś na tym rzęchu, który zholowaliście wczoraj?

- Jesteś genialny! - wykrzyknął Faz, starając się ukryć emocje.

- Nie, to wy, kolesie z zabójstw, jesteście po prostu przewidywalni.

- Chciałem tylko wiedzieć, czy mam na co liczyć.

- Rozumiem. - Rafferty się roześmiał. - Poczekaj. Zadzwonię i sprawdzę, jak wygląda sprawa.

Rafferty przełączył go na oczekiwanie i Faz położył sobie słuchawkę na ramieniu, włączył opcję głośnomówiącą i zaczął cierpliwie słuchać muzyczki. Chwilę potem weszła Andrea Gonzalez i wskazała głową słuchawkę.

- Powiedz, że to nie twoja wersja Pandory.

- Pan... czego?

- Ta muzyczka. Nieważne.

- Czekam na wiadomość, czy chłopaki z daktylo znaleźli ślady na samochodzie, który przyholowaliśmy im z Delem wczoraj wieczorem.

- W sprawie Monique Rodgers?

- Tak. I dzięki za zdobycie nakazu przeszukania.

Gonzalez spojrzała na puste biurko jego partnera.

- A Dela dziś nie ma?

- Wczoraj wieczorem nadwerężył sobie plecy i pewnie dziś go nie będzie. Liczy, że do jutra mu przejdzie.

Skinęła głową i przeniosła wzrok na biurko Tracy.

- Podobno Crosswhite siedzi w sądzie i czeka na werdykt przysięgłych. Wiesz może, czy dziś w ogóle dotrze do biura?

- Nie wiem. Pewnie będzie później.

- Jakoś nie najlepiej zaczęłyśmy - powiedziała z uśmiechem Gonzalez.

- Dogadacie się. Możesz zająć jej biurko.

- Wolę nie. Lepiej niech to przyschnie. Tylko że nienawidzę siedzieć w kącie i nie mieć z nikim kontaktu.

- To usiądź przy biurku Dela.

- Dzięki. - Położyła torebkę obok krzesła Dela, usiadła przy biurku i wzięła do ręki myszkę. - O cholera!

- Co się stało?

- Nie znam hasła do jego komputera.

- Gumba dwa!

- Co?

- To hasło Dela. Gumba dwa! Ja mam gumba jeden!

W słuchawce odezwał się głos Rafferty'ego.

- Faz?

Wyłączył funkcję głośnomówiącą.

- Tak, jestem - powiedział do słuchawki.

- Przepraszam, że czekałeś. Dobra, mówią, że mamy wstępne trafienie.

Rafferty wyjaśnił, że w miejscu na masce, gdzie opierał się podejrzany, jak było widać na wideo ze sklepu, znaleziono odcisk palców i dłoni. Nie udało im się pobrać wszystkich śladów, ale wystarczająco dużo, by wyeliminować odciski męża, żony i syna. Faz i Del, zanim odjechali stamtąd, pobrali odciski palców całej trójki.

- Wpuściliśmy je do ABIS-u - powiedział Rafferty, używając skrótu od Automated Biometric Identification System, systemu znanego wcześniej jako Automated Fingerprints Identification System⁶.

Zmiana nazwy odzwierciedlała stałe doskonalenie techniki badań daktyloskopijnych. Śledczych wysłano nawet na kurs doszkalający, na którym prowadzący zajęcia instruktor podkreślił, że odciski palców są obecnie tylko jedną z form badań biometrycznych, które poza tym obejmują też badanie odcisków dłoni, tęczówek oczu i rozpoznawanie rysów twarzy. Także FBI zmieniło nazwę swego systemu na NGI, co było skrótem od Next Generation Identification. Instruktor z dumą podkreślał, że obecny system tworzy największą i najefektywniejszą bazę danych biometrycznych na świecie i w całej historii kryminalistyki. Wszystko to brzmiało kosmicznie dla Faza, któremu chodziło tylko o ślad jednej dłoni jednego podejrzanego.

- Udało się go zidentyfikować? - zapytał.

- Niejaki Eduardo Felix Lopez - powiedział Rafferty, a Faz zanotował to na kartce. - Zapisaleś? - upewnił się i przeliterował całość.

- Tak - potwierdził Faz. Dwukrotnie podkreślił zapisane nazwisko, myśląc już o tym, jak będą mogli powiązać Lopeza ze strzelaniną.

- Koleś jest w systemie. Ściągniesz go sobie czy my mamy to zrobić?

- Sam się tym zajmę. Powiedzieli, kiedy mogę dostać pełny raport?

- Dziś pod koniec dnia. Wyślę ci mailem, żebyś nie musiał czekać. Wiem, że sprawa robi się głośna w mediach. Dopadnijcie tego skurwiela, dobra?

- Taki mamy zamiar. - Faz odłożył słuchawkę i walnął pięścią w biurko.
- Mamy go!

- Dobra wiadomość? - spytała Gonzalez.

- Zidentyfikowali zabójcę, a w każdym razie tego, kto zostawił ślad dłoni na masce zaparkowanego samochodu. Zadzwoń do Dela, a potem ściągnę tego drania z bazy i zobaczymy, co o nim wiadomo: wcześniejsze przestępstwa, ostatni adres i tak dalej.

- Mam ci go wyszukać w czasie, gdy będziesz dzwonił do Dela?

- A mogłabyś? Może Dela nie zerwie to z łóżka, ale na pewno sprawi mu radość.

Rozdział 23

Tracy obserwowała twarze przysięgłych, kiedy wchodzili do zatłoczonej sali. Szli gęsiego, jak skazańcy, wbijając oczy w wytarte linoleum lub ślizgając się wzrokiem po stojącej za stołem sędziowskim sędzi Miriam Gowin, byle nie patrzeć na oskarżonego, doktora Johna Stephensona, i jego obrońcę. Adam Hoetig chyba też zwrócił na to uwagę, bo zerknął znacząco na Tracy.

Gdy wszyscy zajęli swoje miejsca, sędzia Gowin poinstruowała przysięgłych o obowiązującej procedurze, po czym zwróciła się do przewodniczącej z pytaniem, czy ława przysięgłych ustaliła werdykt. Wybór przewodniczącej nieco zaskoczył Tracy, a sądząc po minie Hoetiga, jego także. Po chwili jednak Tracy uznała, że wybranie kobiety w średnim wieku i matki dwojga dzieci na przewodniczącą ławy przysięgłych miało sens, zwłaszcza jeśli werdykt miał brzmieć "Winny". Zona Stephensona też była matką.

- Czy przysięgli uzgodnili werdykt? - spytała sędzia Gowin.

Przewodnicząca potwierdziła, po czym odczytała z kartki:

- W sprawie zarzutu morderstwa z premedytacją, przysięgli uznają oskarżonego za winnego.

Werdykt ławy przysięgłych był niczym akt płciowy: wszystko, co działo się wcześniej, można było uznać za grę wstępną, która miała wabić, drażnić, czasami denerwować. Moment odczytania werdyktu był kulminacją, po czym napięcie raptownie opadało i wszyscy czuli wyczerpanie.

Hoetig lekko skinął głową, patrząc na Tracy. Publiczność za ich plecami płakała albo cicho wiwatowała. Niektórzy zaciskali pięści, inni opuszczali głowy i ramiona.

Litwin poprosił o odpytanie przysięgłych i ci po kolei, jeden po drugim, wypowiadali słowo "Winny".

Po zakończeniu procesu członkowie ławy przysięgłych mieli wolne - zwykle około dwóch tygodni - po czym wszyscy spotykali się w sądzie, by uczestniczyć w procedurze wydania wyroku, co niekiedy trwało równie długo jak proces. Ale na razie mogli uznać swój obywatelski obowiązek za spełniony.

Sąd ogłosił przerwę, Hoetig podziękował Tracy i oboje umówili się na tradycyjnego drinka w późniejszym terminie.

- Wracasz do biura? - spytał Kins, gdy spotkali się z Tracy w wyjściu z sali sądowej.

Werdyktu ławy przysięgłych Kins wysłuchał z galerii dla publiczności.

- Nie od razu - odrzekła. - Najpierw muszę coś załatwić. Zobaczmy się, jak wrócę.

- Czy to coś ma związek z dziewczyną z Dzielnicy Uniwersyteckiej?

- Informatycy mają jej komputer. Otrzymałam wiadomość, że udało im się dostać do środka i odzyskać jej maile.

* * *

Biuro informatyki wydziału kryminalnego z jego wysoce specjalistyczną aparaturą i ogromną liczbą monitorów komputerowych przypominało wyglądem salę wykładową na politechnice. Tracy zaprzyjaźniła się z informatykami w czasach swojej pracy w CSI, mieszczącym się w tym samym budynku. Jednym z pracowników, z którym szczególnie dobrze się rozumiała, był Andrei Vilkotski.

Ten Białorusin, który na początku lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku wyemigrował do USA, był powszechnie uważany za geniusza od komputerów i innych urządzeń elektronicznych. O jego przeszłości krążyły różne plotki, łącznie z pogłoską, że był agentem KGB, który skorzystał z upadku Związku Radzieckiego i szybko stamtąd zwiął. Żadna z wersji nie odpowiadała prawdzie, poza tym, że faktycznie był wybitnym znawcą komputerów.

- Jak leci, Andrei? - odezwała się Tracy, wchodząc do jego boksu.

Vilkotski spojrzał na nią i wzruszył ramionami. Łysa czaszka, okolona wianuszkami włosów, nadawała mu wygląd mnicha.

- Nie najgorzej - odrzekł, tak jak zwykle. - Niech zgadnę. W końcu postanowiłaś zaprosić mnie na lunch, po którym wreszcie mi się oświadczysz. - Wciąż mówił z silnym akcentem.

Tracy oparła się o jego biurko.

- Co by na to powiedziała twoja żona, Andrei?

Zrobił taką minę, jakby się zastanawiał nad reakcją żony, po czym oświadczył:

- Pewnie kazałaby mi zabrać moje brudy do prania i bylibyśmy kwita.

Tracy roześmiała się i usiadła.

- Rozumiem, że włamałaś się do tego laptopa, który podrzuciłam dziś rano - powiedziała.

Vilkotski spojrział na nią znad okularów do czytania, jakby jej pytanie go zaskoczyło.

- Czyżby ci chodziło o komputer zostawiony przez Katie Pryor, bez nakazu przeszukania, który pozwoliłby mi zajrzeć do środka?

To z kolei zaskoczyło Tracy.

- Powinieneś być otrzymać formalny nakaz przeszukania. Katie go załatwiła.

Wykrzywił usta w grymasie mogącym uchodzić za uśmiech.

- Gdybym dostawał dziesięć centów za każdym razem, kiedy to słyszę, byłbym bogatym człowiekiem.

- Sprawdź swoją pocztę. Jeśli nie ma tam nakazu, dopilnuję, żebyś go dostał.

Vilkotski postukał w klawiaturę.

- Masz szczęście, że już się oduczyłem wstrzymywać oddech, bo inaczej dawno bym się udusił, a skórę miałbym na stałe siną. - Przerwał, ujrawszy maila od Katie Pryor. - No coś takiego! Popatrz na to. - Wskazał palcem ekran.

- A widzisz, Andrei. Przecież nie prosiłabym cię o coś niezgodnego z przepisami.

- Teraz poleciałaś Władimirem Putinem.

- Czy z ciebie czyni to Donalda Trumpa?

- Oczywiście bez jego włosów.

Tracy się roześmiała.

- No to jak? Udało ci się dostać do tego laptopa?

- Błagam cię! Mój wnuk umiałby się dostać do tego laptopa. A ma dopiero trzy lata.

- Wnuk?

Vilkotski powiedział kiedyś Tracy, że pobrali się z żoną bardzo młodo i wcześniej mieli dzieci. Oceniała, że nie skończył jeszcze pięćdziesiątki.

Wskazał fotografię wnuka, przypiętą do ścianki działowej jego boksu.

- Mieliśmy go w ostatni weekend. Syn z synową wyjechali. Do tej chwili ledwo dyszę. - Sięgnął do tyłu i przysunął sobie laptopa Kavity Mukherjee z wpiętym pendrive'em, na który przegrał jej maile. - Tak go przeprogramowałem, że uruchamia się po wpisaniu tymczasowego hasła.

Zrobiłem to, zanim dostałem nakaz przeszukania, więc hasło brzmi: "Nie rozmawiam z tobą i nic o tym nie wiem".

Tracy się uśmiechnęła.

- Trochę przydługie, nie uważasz? Całość wersalikami?

Vilkotski też się uśmiechnął.

- Potem idzie hasło dostępu: "Hasło Jeden, Dwa, Trzy", każde słowo dużą literą.

- Sprytnie.

- Nie mam czasu na spryt. Dzięki twojemu szefowi muszę być do dyspozycji dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, i pomagać ludziom znajdować skradzione iPhone'y. - W głosie Vilkotskiego nie słyhać było zbytniego entuzjazmu.

- Słyszałam o tym.

Sandy Clarridge, komendant policji w Seattle, dostał raport, że w ciągu pierwszych sześciu miesięcy tego roku złodzieje ukradli ponad dwa tysiące smartfonów, i wydał rozporządzenie, które miało ukrócić ten proceder.

- No i przez to za dobrze nie sypiam.

Tracy wzięła laptopa.

- Doceniam twoją pomoc, Andrei.

- Dobra, dobra - mruknął.

Mogła go poprosić o przesłanie jej mailem odzyskanych wiadomości lub polecić Katie Pryor, aby sama odebrała laptopa Kavity, ale miała jeszcze jedną sprawę, w której także liczyła na jego pomoc.

- Andrei, czy jesteś w stanie namierzyć każdy telefon komórkowy?

- Nie rozumiem.

Wskazała na laptop.

- Jak wiesz, właścicielka tego laptopa zaginęła. Chciałabym namierzyć jej komórkę.

- Po prostu zadzwoń do operatora, żeby podał współrzędne logowania.

- Tak, o ile wiem, Katie Pryor zrobiła to dziś rano. - Nie chcąc zostawiać na papierze śladów, że sama zajmuje się tą sprawą, Tracy wszystkie czynności zlecała Katie Pryor. - Chodzi mi o to, czy istnieje jakiś inny sposób namierzenia jej telefonu, zakładając, że jest włączony. Bez użycia Płaszczki.

Vilkotski udał zaskoczenie.

- Płaszczki? Jakiej Płaszczki?

Płaszczką nazywano symulowany maszt telefonii komórkowej, którego policja używała do zbierania informacji z telefonu podejrzanego oraz do monitorowania wszelkich urządzeń mobilnych na danym terenie. Większość jednostek policji wypierała się tego, że posiada takie urządzenie. Zostało ono opracowane przez FBI i było udostępniane lokalnym służbom policyjnym, jeśli podpisały zobowiązanie, że tego nie ujawnią i nie zdradzą żadnych kwestii technologicznych. Niedawno w prasie pojawiły się doniesienia, że policja w Tacoma użyła Płaszczki i prawnicy z ACLU⁷ natychmiast się do tego przyczepili. W tradycyjnie liberalnym Seattle lepiej było pogodzić się z kradzieżą, niż naruszyć prawa obywatelskie złodzieja.

- No to istnieje jakiś inny sposób? - powtórzyła Tracy.

Vilkotski przez chwilę się zastanawiał.

- Zawsze istnieje jakiś inny sposób - powiedział w końcu. - Na przykład są pewne apki, którymi można się posłużyć.

- Na przykład jakie?

- Czy ta kobieta miała w swoim telefonie aplikację "Znajdź moich przyjaciół"?

- Nie wiem.

- Bo gdyby miała, to mogłabyś namierzyć jej telefon z telefonu przyjaciółki.

Tracy pomyślała o Aditi. Warto było spróbować. Zanotowała to sobie w myślach.

- Dobra. Jeszcze jakieś inne apki?

- W wielu telefonach jest aplikacja "Znajdź mój iPhone", ale do tego musiałabyś znać jej nazwę użytkownika Apple i hasło.

- Jak mogę je zdobyć? - Tracy znów pomyślała o Aditi jako ewentualnym źródle informacji.

- Zacząłbym od sprawdzenia jej komputera. Niektórzy zapisują takie dane w kontaktach, żeby nie zapomnieć. To taki rodzaj wytrycha. Sam też tak robię.

Tracy ponownie odnotowała w myślach: Sprawdzić jej laptopa.

- Czy ta twoja zaginiona mieszkała z rodziną? - spytał Vilkotski.

- Nie, a czemu pytasz?

- Rodziny często posługują się wspólną nazwą użytkownika Apple, bo dzięki temu mogą dzielić się muzyką, filmami czy książkami, nie płacąc osobno. Ja też tak robię.

- I możesz się dzielić z wieloma telefonami?

- To dotyczy i telefonów, i innych sprzętów, na przykład laptopów, iPadów, pecetów.

- A co z przyjaciółmi? Z nimi też można się dzielić jedną nazwą użytkownika Apple?

- Mówiłaś, że ta dziewczyna jest studentką, tak?

- Niedawną absolwentką college'u.

Vilkotski przewrócił oczami.

- Studenci nigdy za nic nie płacą, jeśli tylko znajdą sposób, by mieć coś za darmo. I zwykle znajdują. Jak prawdziwi bolszewicy.

* * *

Tracy zaniósła pendrive'a i laptopa Kavity Mukherjee do pokoju Katie Pryor w biurze osób zaginionych.

- Masz już coś od operatora jej sieci? - spytała.

- Właśnie wysłałam do nich wniosek z klauzulą o "nadzwyczajnych okolicznościach" - odparła Pryor i wskazując głową laptopa, dodała: - Dostałaś pendrive'a.

Tracy go jej podała. Katie podłączyła pendrive'a do komputera i ściągnęła wchodzącą i wychodzącą pocztę Kavity Mukherjee. Obie z Tracy natychmiast skupiły się na mailach, które przysły w poniedziałek po godzinie siedemnastej. Na żaden z nich Mukherjee nie odpowiedziała, nie było żadnych maili dotyczących spotkania w poniedziałek wieczorem, nie znalazły też potwierdzenia rezerwacji hotelowej czy biletu lotniczego.

Tracy odpała laptopa, zalogowała się tymczasowym hasłem dostępu, które dostała od Vilkotskiego, i zajrzała do historii wyszukiwań. Miała nadzieję trafić na jakiś ślad, że Mukherjee szukała połączeń lotniczych czy wypożyczalni samochodów, że wchodziła na strony internetowe innych stanów lub zagraniczne. Niczego takiego nie znalazła.

- Zobaczmy jej kontakty - rzuciła.

- A czego szukamy? - spytała Pryor.

- Vilkotski twierdzi, że ludzie czasami zapisują swoje hasła w kontaktach. Sprawdźmy, może ona też tak robiła.

Na liście kontaktów Pryor wpisała nazwisko Mukherjee i znalazła rodziców Kavity i jej dwóch braci. Było jeszcze kilka osób o tym samym nazwisku, o których Tracy nie słyszała, ale też musiały należeć do rodziny.

- Jej tu nie ma - powiedziała Pryor, nie widząc w wykazie żadnej Kavity.

Tracy przypomniała sobie rozmowy z Aditi Banerjee i członkami rodziny Mukherjee.

- Wpisz "Vita" - poleciła.

Pryor wpisała imię i na ekranie pojawiła się Vita Kumari.

- A to kto?

- Nie wiem - odparła Tracy.

Pryor weszła w kontakty i przesunęła kursor na notatki. Widniały wśród nich zapiski o stanie konta programu lojalnościowego linii lotniczej oraz numery kont bankowych, nazwy użytkownika i hasła do logowania. Lista była ułożona w porządku alfabetycznym i Pryor zauważyła numer konta w Bank of America.

- Zaczekaj. - Przejrzała papiery na biurku, żeby sprawdzić, czy ten numer zgadza się z numerem konta, który podali rodzice Mukherjee. Tak, to jej konto.

- Czyli wpisała fałszywe nazwisko - powiedziała Tracy, myśląc, że pewnie Mukherjee zrobiła to na wypadek kradzieży laptopa.

- A więc to muszą być jej nazwy użytkownika i hasła - stwierdziła Pryor.

- Wejść do Bank of America i spróbuj się zalogować tą nazwą użytkownika i hasłem.

Chwilę później Pryor była już zalogowana. Rachunek nie wykazywał żadnych operacji w sobotę. Ostatnią transakcją było wypłacenie w miniony czwartek dwudziestu dolarów z bankomatu przy University Avenue, po czym na koncie pozostały 1492 dolary, za mało, by opłacić czynsz za następny miesiąc.

- Więc czemu podarła ten czek od Aditi? - powiedziała z namysłem Pryor. - Czyżby poczucie dumy nie pozwalało jej przyjąć pomocy?

- Możliwe - odrzekła Tracy. - Aditi mówiła, że Kavita była bardzo uparta. Ale może to też znaczyć, że postanowiła się wyprowadzić lub że znalazła nową współlokatorkę.

Pryor nadal przewijała notatki Vity Kumari i zbliżała się już do ich końca.

- Stop, a to co?! - zawołała nagle Tracy. - Numer konta w innym banku?

- W Wells Fargo - powiedziała Pryor. - Rzeczywiście wygląda na konto bankowe.

- Spróbuj wejść.

Katie Pryor otworzyła stronę banku Wells Fargo i wpisała odpowiednią nazwę użytkownika i hasło. W ciągu paru sekund konto się otworzyło i Tracy aż gwizdnęła. Aktualny stan konta wynosił 29 230 dolarów.

- Może dlatego podarła ten czek - mruknęła Pryor.

Tracy odchyliła się na oparcie krzesła.

- Aditi mówiła, że Kavita zbierała pieniądze na studia medyczne, ale nie wierzę, żeby zaoszczędziła aż tyle, pracując za minimalne wynagrodzenie w sklepie z ciuchami.

- Może to jej rodzice - podsunęła Pryor.

- Rodzice chcieli zmusić ją, żeby wróciła do domu, i przestali ją finansować - przypomniała Tracy. - Spójrz na dane właścicielki konta. Vita Kumari, adres skrytki pocztowej. Najwyraźniej nie chciała, by ktokolwiek kojarzył ją z tym kontem.

Tracy przejechała palcem po kolumnie liczb. Na konto dokonywano regularnych wpłat, każdorazowo w identycznej wysokości.

- Same wpłaty gotówkowe - powiedziała.

- Taka sama kwota, wpłacana w tym samym dniu każdego miesiąca - zauważyła Pryor. - Po numerze transakcji możemy ustalić dane płatnika, ale do tego będzie mi potrzebny oficjalny nakaz przeszukania.

Tracy przypomniała sobie Aditi, a zwłaszcza to, jak zerknęła na męża - jakby pytania Tracy o Kavite wprawiały ją w zakłopotanie.

- Masz ochotę na przejażdżkę? - spytała. - Chyba znam sposób na szybsze uzyskanie odpowiedzi.

Rozdział 24

Andrea Gonzalez poinformowała Fazę, że pod nazwiskiem Eduardo Felix Lopez kryje się dziewiętnastolatek aresztowany dwa miesiące temu za posiadanie zakazanej substancji, konkretnie metamfetaminy. Podał wtedy, że mieszka w wielopiętrowym bloku w South Park. Była to jednocześnie dobra i zła wiadomość. Adres pochodził sprzed dwóch miesięcy i jeśli to Lopez był poszukiwanym zabójcą, mógł się już przeprowadzić lub nawet zwać do Meksyku. W bazie danych nie odnotowano numeru telefonu, nie udało się też odnaleźć administratora bloku, żeby go zapytać, czy Lopez nadal tam mieszka. Chłopak był już wcześniej kilkakrotnie zatrzymywany za posiadanie zakazanych substancji i dodatkowo raz za próbę ich sprzedaży, natomiast w jego kartotece nie odnotowano żadnego przestępstwa z użyciem przemocy. Z akt nie wynikało, że Lopez jest członkiem Sureho, ale skoro był dilerem narkotyków w South Park, należało przyjąć to za pewnik. Mąż Monique Rodgers mógł mieć rację, że zabójstwo jego żony było testem dla nowego adepta przed jego wstąpieniem do gangu.

Faz postanowił przeprowadzić akcję pozorowaną, w każdym razie pozorowaną do chwili, aż ustalą, czy adres Lopeza jest nadal aktualny. Jeśli się okaże, że tak, i Lopez będzie w domu, poproszą go o zgodę na rewizję mieszkania. Jeżeli się nie zgodzi, wystąpią o oficjalny nakaz przeszukania pod kątem rewolweru kalibru .40, broni, z której zastrzelono Rodgers, i dopóki nie otrzymają nakazu, nie spuszczą Lopeza z oczu.

Faz i Andrea Gonzalez wyjechali z podziemnego parkingu policyjnego i Gonzalez spojrzała przez szybę na kłębiące się ciemne chmury na północnym wschodzie.

- Co się dzieje z tą pogodą? - mruknęła. - Jakby się zanosilo na biblijny potop.

- Idzie burza.

- Słyszałam, że na zachód od Gór Skalistych burz nie ma. Uprzedzano mnie, że bywają trzęsienia ziemi, ale nie burze.

Faz przeciął Columbia Street i wjechał na estakadę wiaduktu Alaskan Way.

- Na północnym zachodzie zdarzają się jedna, dwie burze rocznie. W zeszłym roku mieliśmy burzę z piorunami mniej więcej o tej porze roku. Wywołała wiele pożarów we wschodniej części stanu. - Faz skrzywił na południe. Z góry roztaczał się widok na spienione wody cieśniny Puget. - Zeszłoroczną burzę oglądałem jak na dłoni przez okno komendy, bo akurat

miałem nocną służbę. Wieża Space Needle iskrzyła od wyładowań jak w powieści science fiction.

Gonzalez zachichotała.

- A ja myślałam, że się przenoszę do raju. Temperatura dwadzieścia siedem stopni, ani kropli deszczu, bezchmurne niebo. Poczułam się jak w LA, tylko wolnym od smogu, tłumów i piekielnego ruchu oraz o parę stopni chłodniejszym. - Raz jeszcze popatrzyła na zachmurzone niebo, po czym usiadła wygodniej. - Sądzisz, że ten Lopez jest naszym zabójcą?

- Czas i miejsce na to wskazują.

- Mógł usłyszeć strzały i rzucić się do ucieczki.

- Mógł, ale po co wtedy ten kaptur na twarzy?

Gonzalez zastanawiała się przez chwilę.

- Myślisz, że wciąż tu mieszka?

- Jeśli działał na zlecenie Małego Jimmy'ego, to możliwe, że już go odesłali do LA albo do Meksyku. Wkrótce się okaże.

- A jeśli będzie w domu, to co mu powiemy? Jak uzasadnimy naszą wizytę?

- Jeśli będzie w domu, to powiemy, że sprawdzamy w okolicy, czy ktoś może słyszał coś o strzelaninie. I spytamy, czy się zgadza, abyśmy przeszukali jego mieszkanie. Większość takich jak on nie zna swoich praw i wyraża zgodę. Jeśli odmówi, wystąpimy o nakaz rewizji i dopóki go nie uzyskamy, nie spuścimy faceta z oka.

- Myślisz, że może próbować ucieczki?

- Jeśli działał na zlecenie Małego Jimmy'ego i rozejdzie się, że go namierzaliśmy, to nie będzie miał wyboru. Mały Jimmy od razu każe go sprzątnąć.

Tracy zadzwoniła do Aditi pod pretekstem, że chce jej przekazać najświeższe wiadomości o Kavicie. Aditi wraz ze swym świeżo poślubionym mężem wprowadziła się do domu rodziców, nieco ponad kilometr od domu rodziny Mukherjee. Tracy chciała porozmawiać z Aditi na osobności, bez Rashesha i reszty rodziny. Czowała, że dziewczyna coś przed nią ukrywa i nie mówi całej prawdy. I że to coś może mieć związek z blisko trzydziestoma tysiącami dolarów na koncie Vity Kumari.

Kiedy jechały do Bellevue, Pryor dostała maila od operatora sieci komórkowej ze współzrędnymi ostatniego logowania telefonu Kavity Mukherjee - 47,652770 długości i 122,174406 szerokości geograficznej.

- To park stanowy - rzuciła, wpisawszy współrzędne. - Bardzo blisko domów rodzinnych ich obu.

Podsunała telefon pod nos Tracy, która poczuła ucisk w dołku na widok mocno zarośniętego terenu. Pryor bez trudu ustaliła, że park liczy blisko dwieście hektarów powierzchni, więc byłby wręcz idealnym miejscem na ukrycie zwłok. Dalsze dociekania Pryor wykazały, że park jest licznie odwiedzany, zwłaszcza latem, przez biegaczy, spacerowiczów, zbieraczy jagód i miłośników konnej jazdy. Dziwne, że nikt nie natknął się na zwłoki.

Tracy zerknęła na zegarek. Zostały im jakieś dwie godziny do zmroku.

- Zadzwoń do psiego patrolu i spytaj, czy mogą być w pogotowiu, w razie gdybyśmy ich potrzebowali - powiedziała. - Pójdziemy tam po rozmowie z Aditi.

Drzwi otworzyła im Aditi i przez chwilę Tracy myślała nawet, że się im poszczęściło, bo dziewczyna jest w domu sama, zaraz jednak drzwi otworzyły się szerzej i za jej plecami ukazał się Rashesh.

Zaprosił obie policjantki do pokoju, który wyglądał bardziej jak na pokaz niż do życia. Beżowe ściany. Popielate meble. Brązowy dywan. Chwilę trwało, nim Tracy zorientowała się, że kawał poskręcanej miedzi na ścianie przedstawia pawia. Po obu stronach wykuszowego okna stały po dwie plastikowe rośliny, a dalej roztaczał się widok na duże podwórze, za którym ciągnęła się ściana lasu.

- Tamte drzewa to park stanowy? - spytała Tracy, wskazując widok za oknem.

- Tak - potwierdziła Aditi. - Park Bridle Trails.

- Dom rodziców Kavity też przylega do parku?

- Nie bezpośrednio, ale jest blisko.

Tracy rzuciła spojrzenie Pryor, a ta skinęła głową.

- Twój rodzice są w domu? - spytała.

- Nie, nie ma ich.

- Wczoraj rozmawialiśmy z rodzicami Kavity i jej koleżankami z pracy - powiedziała Pryor. - W związku z tym chciałobyśmy zadać ci jeszcze kilka pytań.

- Postaram się odpowiedzieć. - Aditi poprawiła się na kanapie.

- Jakie relacje miała Kavita ze swoimi braćmi? - spytała Tracy.

Aditi wzruszyła ramionami.

- Między Vitą a Nikhilem, z uwagi na ich zbliżony wiek, zawsze istniało coś w rodzaju rodzinnej rywalizacji.

Tracy odnotowała w myślach, że Aditi konsekwentnie nazywa przyjaciółkę Vitą.

- Ma chyba bardzo zdecydowane zdanie w kwestii powrotu siostry do domu i jej poddania się zaaranżowanemu małżeństwu.

Tracy odniosła wrażenie, że Aditi aż się skuliła na wzmiankę o "poddaniu się".

- Nikhil jest wielkim zwolennikiem tradycji. Uważa, że studia medyczne Vity to strata pieniędzy rodziców. Twierdzi, że takie decyzje powinien podejmować jej przyszły mąż. - Aditi uśmiechnęła się do Rashasha, choć jej uśmiech wydawał się nieco sztuczny.

- Czemu miałyby się tym przejmować, skoro rodzice i tak nie zamierzali płacić za jej studia? - spytała Tracy.

- Uważa, że Vita swoim postępowaniem okazuje brak szacunku i uwłacza rodzinie - wyjaśniła Aditi. - Nikhil jest najstarszym synem i tak rozumie swoją rolę. Zawsze był bardziej przywiązany do tradycji niż Vita.

- A Sam?

Aditi się uśmiechnęła.

- Sam jest podobny do Vity.

- Jak Kavita zamierzała opłacać studia medyczne, skoro rodzice odmówili jej pomocy? - spytała Tracy.

- Pracowała i oszczędzała pieniądze.

- W sklepie?

- Tak.

- Gdzieś jeszcze?

Dziewczyna pokręciła głową.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Mogła podjąć jakąś pracę w czasie mojej nieobecności, ale...

- Ale nic ci o tym nie wspomniała?

- Nie.

- W tym butiku otrzymywała najniższą ustawową stawkę, tak?

- Z tego, co wiem, tak.

- Więc jakim cudem mogłaby z tego zaoszczędzić na studia? Nawet gdybyś tam nadal mieszkała i dzieliłybyście się czynszem.

Aditi milczała przez chwilę.

- Rozmawialiśmy o tym, by ubiegać się o pomoc finansową i kredyt studencki - odparła w końcu. - Vita była pewna, że jeśli podamy, że utrzymujemy się samodzielnie, i nie ujawnimy dochodu rodziców, to na pewno się uda.

- Ile udało jej się zaoszczędzić? - spytała Tracy.

- Nie wiem. - Aditi wzruszyła ramionami.

- Może dostała jakiś spadek, na przykład po dziadkach?

- Nie sądzę. - Aditi poprawiła się na siedzeniu, wyraźnie skrepowana tematem.

- Mogłabym prosić o szklankę wody? - Pryor, tak jak wcześniej uzgodniły, zwróciła się z tym do Rashsha. - Byłby pan tak miły?

Rashesh sprawiał wrażenie zaskoczonego jej prośbą.

Aditi zerwała się z miejsca.

- Zaraz przyniosę.

- Nie, nie, ty zostań z detektyw Crosswhite. - Pryor starała się, by jej głos brzmiał grzecznie, lecz stanowczo. - Zostań i odpowiadaj na pytania. Zechciałby pan?

Rashesh wstał i z lekka osłupiały, poprowadził Pryor do kuchni.

Nie spuszczać wzroku z Aditi, która patrzyła za nimi, Tracy powiedziała:

- Nie zdołamy pomóc, jeśli nie będziesz z nami szczerą.

Dziewczyna zrobiła zdziwioną minę.

- Nie wiem, o czym pani.

- Dotarliśmy do wyciągów bankowych Kavity i wiemy, że ma konto w Wells Fargo na nazwisko Vita Kumari. Jest na nim blisko trzydzieści tysięcy dolarów - oznajmiła Tracy, nadal obserwując Aditi, która wydawała się zaskoczona stanem konta, ale nie samym faktem jego istnienia. - Każdego pierwszego dnia miesiąca na konto wpływają dwa tysiące dolarów. Oczywiście możemy prześledzić drogę tych płatności, ale sądzę, że wiesz, skąd pochodzą te pieniądze.

Aditi nagle jakby wpadła w panikę.

- Rashesh nie może się o tym dowiedzieć - jęknęła niemal błagalnym tonem.

- Nie musimy mu nic mówić - zapewniła ją Tracy. - Ale musimy poznać prawdę.

- Spotkajmy się później i wszystko wyjaśnię.

Katie Pryor i Rashesh wrócili do pokoju i Aditi spojrzała na nich, uśmiechając się niepewnie. Tracy miała ochotę ją przycisnąć, powiedzieć, że nie mają czasu do stracenia, że im dłużej osoba zaginiona pozostaje zaginiona, tym mniejsze są szanse na odnalezienie jej żywej. Postanowiła jednak spełnić prośbę Aditi. Chciała jak najszybciej skończyć tę rozmowę i korzystając z resztek światła dziennego, poszukać w parku telefonu Kavity.

- Wiemy od Sama, że podobno Vita w poniedziałek wieczorem była z kimś umówiona. Mówiła ci coś o tym?

- Nie - odparła Aditi. - Nic o tym nie wiedziałam.

Tracy popatrzyła w okno.

- Znasz dobrze ten park? - spytała.

- Bridle Trails? Tak, znam.

- Czy dla ciebie i Kavity miał on jakieś specjalne znaczenie?

- Jako dzieci spędzałyśmy w nim dużo czasu. Biegałyśmy po konnych traktach, czasami nawet jeździłyśmy konno. Nasze rodziny chodziły tam na jagody i kurki. A czemu pani pyta?

- Czy w parku było miejsce, gdzie szczególnie często chodziliście?

- Nie rozumiem.

- Czy miałyście jakieś swoje ulubione miejsce?

- Nie, nie było takiego.

Tracy przypomniała sobie słowa Vilkotskiego.

- Czy ty i Kavita dzieliłyście się aplikacjami na telefony?

Dziewczyna wydawała się zaskoczona tym pytaniem.

- Nie, chyba nie.

- Czy masz w swoim telefonie aplikację o nazwie "Znajdź moich przyjaciół"?

- Nie wiem. Chce pani, żebym sprawdziła?

- Tak, proszę.

Aditi wstała, wyszła z pokoju i wróciwszy z telefonem, zaczęła przeglądać zainstalowane aplikacje.

- Nie, nie mam takiej.

- A masz aplikację o nazwie "Znajdź mój iPhone"?

- To mam. Proszę. - Aditi pokazała Tracy swój telefon.

- A Kavita? Też ją miała?

- O ile wiem, ta aplikacja jest fabrycznie instalowana w każdym iPhone. - Aditi spojrzała pytająco na Rashesha, on jednak tylko pokręcił głową.

- Być może - rzuciła Tracy. - Czy ty i Kavita miałyście wspólne konto Apple, żeby ściągać muzykę, filmy i książki?

Aditi spojrzała na nią tak, jakby chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. W jej szeroko otwartych oczach Tracy dostrzegła rodzące się zrozumienie sensu tych wszystkich pytań. Aditi zaczynała pojmować, że zmierzają one do próby odnalezienia telefonu Kavity Mukherjee.

* * *

Kavita do końca spotkania robiła dobrą minę i starała się radośnie uśmiechać, po raz ostatni trzymając na wodzy emocje, jednak gdy spotkanie i ich związek dobiegły końca, wyszła z pokoju hotelowego mocno przybita. Czuliła w sercu zbyt wielki ciężar, by zmagać się z nim w samotności. Nie chciała wracać do pustego mieszkania i siedzieć sama, roztrzęsając w myślach, co się po robiło z jej życiem w ciągu tych trzech miesięcy. Cały czas wmawiała sobie, że to pogoń nie tylko za jej marzeniem. Że marzenie jest ich wspólne, jej i Aditi.

A teraz już nie.

Aditi wyszła za mąż i zrezygnowała ze studiów medycznych.

Tymczasem słońce chyliło się już ku zachodowi, upał zelżał i na dworze było całkiem przyjemnie. Wyjeżdżając z parkingu hotelowego, Kavita ani razu nie obejrzała się za siebie. Pomyślała, że to dobra metafora początku nowego etapu jej życia. Nie będzie się oglądać do tyłu. Nie ma na to czasu. Sama postanowiła dzielić się pieniędzmi z Aditi i ani przez chwilę tego nie żałowała. Wiedziała, jak przyjaciółce trudno się pogodzić z tym, że jej wszystko przychodzi tak łatwo, mimo że nigdy nie mówiła o tym głośno i nigdy nie okazywała niechęci czy zazdrości - aż do tego poniedziałku. Może Kavita powinna to była wiedzieć. Przez całe życie były zawsze obok siebie, a ona traktowała to jak szansę dla Aditi, która dzięki niej nie pozostawała w tyle. Gdziekolwiek Kavita szła, do jakiegokolwiek szkoły się wybierała, nigdy nie myślała o zostawieniu Aditi za sobą.

W każdym razie taki był plan.

Kavita westchnęła. Ciekawe, czy sprawy wyglądałyby inaczej, gdyby powiedziała Aditi o pieniądzach. Czy wówczas inaczej potraktowałyby oświadczyzny Rashsha. Może wtedy ich marzenie o studiach medycznych wyglądałoby realniej, może pomogłoby jej przeciwstawić się naciskom rodziców w sprawie zamąż pójścia.

Może, tyle że już nigdy się tego nie dowie, już nie... I teraz nie mogła się zatrzymać i oglądać za siebie. Musi patrzeć do przodu. Musi, bo inaczej zwariuje.

Samochód przed nią gwałtownie zahamował, jej noga machinalnie przeskoczyła z pedału gazu na hamulec i z całej siły go wcisnęła. Opony zapiszczały, ciało szarpnęło się do przodu i wparło w pas bezpieczeństwa. Kierowca za nią też gwałtownie zahamował i zatrzymał. Na szczęście nie uderzyła w samochód przed sobą, a w nią nie uderzył ten z tyłu.

Zjechała do krawężnika. Potrzebowała chwili, by ochłonąć i uspokoić walące serce. Jechała na pamięć i dopiero teraz zorientowała się, że jedzie w kierunku, który знаła od lat: do domu rodziców w Bellevue, a nie do siebie w Seattle. Ciekawe, czy w jej podświadomości tkwi coś, co ciągnie ją do domu. Jakaś jej częśćka pragnęła tam wrócić, bardziej niż zwykle. Coś w niej chciało zobaczyć bliskich.

Wiedziała jednak, że nie może tego zrobić. Nie teraz, gdy jest tak emocjonalnie wyczerpana, gdy czuje się taka zgnębiona i przybita. Matka skorzystałaby z okazji i zaczęła ją kluczyć w oczy małżeństwem Aditi, tak jak zapewne robiła to pani Dasgupta wobec niej, z dumą opowiadając o rodzinie swego świeżo upieczzonego zięcia i jego zamożności oraz chwając się przeprowadzką córki do Londynu i spodziewanymi wkrótce wnukami.

Dla matki musiało to być bolesne, choć nie tak bolesne, jak było dla Kavity. Jej ból spowodowany był utratą kogoś, kogo szczerze kochała, ból matki rodził się ze złości i urazy. Te dwa rodzaje bólu nie były takie same.

Nie, nie mogła liczyć na to, że matka ją pocieszy. Co więcej, zaczęłaby znów narzekać na nią i jej samolubne postępowanie. Oskarżyłaby córkę, że pozbawia ją zięcia i wnuków oraz czyni z niej i ojca pośmiewisko wśród rodziny i przyjaciół. Ojciec zapewne zachowałby milczenie, aby nie narazić się żonie, za to Nikhil zacząłby jak zwykle rozprawiać o tradycji, spuściźnie i kulturze.

Tylko Sam ucieszyłby się na jej widok.

Sam. Kavita pomyślała o telefonie. Sam przysłał jej esemesa, bo wiedział, że wiadomość o małżeństwie Aditi sprawi jej przykrość. Zaprosił ją na mecz swojej drużyny na boisku koło uniwersytetu, ale nie mogła tam pojechać. Załowała, że nie zobaczy meczu i młodszego brata.

W oddali dostrzegła ścianę sześćdziesięciometrowych drzew w parku stanowym i uśmiechnęła się w duchu do swoich wspomnień. Przypomniała sobie zabawy, jakim w dzieciństwie oddawała się pośród tych drzew z Aditi i braćmi, oraz letnie wypady z rodzicami na zbieranie kurek i czarnych jagód na domowy dżem. Jako dziecko niemal codziennie bywała w parku, który stał się dla niej jakby dwustu hektarowym przydomowym ogrodem. W miarę jak dorastała, z placu zabaw przemieniał się coraz bardziej w schronienie, miejsce, gdzie mogła się zaszyć, kiedy coś poszło nie po jej myśli. Chodziła wtedy wśród drzew lub siadała w jakimś cichym zakątku i oddawała się rozmyślaniom.

Ruszyła od krawężnika, ponieważ już podjęła decyzję. Nie pojedzie do domu rodziców, bo nic jej to nie da. Pojedzie do parku.

Rozdział 25

Faz wjechał na parking przed Ridge Apartments, wielopiętrowym blokiem przy końcu South Cloverdale, która po przekroczeniu drogi stanowej 99 zmieniała nazwę na First Avenue South.

- Zobaczmy, czy jest ktoś w domu - powiedział.

Siedząca obok Andrea Gonzalez rzuciła okiem na smartfona i wsunęła go do kieszeni zakietu.

- Na pewno nie chcesz poczekać i wezwać SWAT-u, żeby wręczyli mu nakaz?

Faz spojrzał na nią z ukosa. Według zapewnień Nolasca, Gonzalez miała wiele doświadczenia w pracy na trudnym terenie, tymczasem wyraźnie nie była zachwycona podjęciem akcji pozorowanej.

- A co, strach cię obleciał? - spytał.

- No przestań. Robiłam to wielokrotnie w LA. Po prostu wiem z praktyki, że niby wszystko przewidujesz, a sytuacja i tak cię zaskakuje. W takich chwilach dobrze mieć za plecami opancerzonego faceta z AR piętnaście w rękach, gotowego wpakować kulkę w tyłek jakiemuś draniowi.

- Może i tak, ale to nie LA, a my i tak już jesteśmy na celowniku Departamentu Sprawiedliwości, że stosujemy nadmierną siłę. Wezwiemy SWAT bez uzasadnienia i może się okazać, że za plecami mamy kogoś całkiem innego, kto nam skopie tyłek. - Faz przyjrzał się budynkowi. - Większość z tutejszych mieszkańców to biedacy, nie przestępcy. Próbują wiązać koniec z końcem, jak ty i ja, i wcale nie lubią drani w rodzaju Małego Jimmy'ego bardziej od nas. Tyle że jeśli chcą tu mieszkać, to muszą go tolerować.

Gonzalez przechyliła głowę.

- Prawdziwe pytanie brzmi: Czy zechcą nas tolerować?

Faz wzruszył ramionami.

- Czerwonego dywanu się nie spodziewaj, ani tego, że poczęstują cię czymś zimnym do picia, ale generalnie nie wchodzi nam w drogę. Jeśli Lopez wciąż tu mieszka, to pewnie powie, że nic nie widział i nic nie słyszał. Jeśli się nie zgodzi, żebyśmy rozejrzeli się po mieszkaniu, podziękujemy mu grzecznie i wyjdziemy. Jednak będziemy już wiedzieli, że tu mieszka, i wtedy wystąpimy o nakaz rewizji.

Faz otworzył drzwi samochodu i wysiadł na porywisty wiatr. Ciemne chmury znad wschodniego horyzontu zasnuwały już teraz całe niebo i

wokół zrobiło się mroczno.

Gonzalez obeszła samochód od tyłu i przekrzykując szum wiatru, rzuciła podniesionym głosem:

- Jak jeszcze z nieba zacznie lecieć szarańcza, to ja odpadam.

Kiedy podeszli do budynku, bez wahania nacisnęła klamkę i drzwi się otworzyły, choć umieszczony na ścianie domofon wskazywał na elektroniczną blokadę zamka.

- Znam to dobrze z LA - wyjaśniła. - Mieszkańcy tak często gubią klucze, że administrator ma dość wezwań o różnych porach dnia i nocy, by otworzył drzwi, i celowo wyłącza blokadę.

Hol wejściowy wyglądał po spartańsku i był niemal pusty. Żadnych krzeseł ani innych siedzeń, żadnych roślin w donicach, mocno sfatygowana kamienna posadzka. Na ścianie w głębi wisiała skrzynka pocztowa; część skrytek miała klapki otwarte, w innych nie było ich w ogóle. Te z klapkami miały okienka na karteczkę z nazwiskiem, ale wszystkie były puste.

- To też znam - powiedziała Gonzalez. - Lokatorzy chronią anonimowość. Im mniej wiesz o innych, tym mniej inni wiedzą o tobie.

Nacisnęła guzik windy i w tej samej chwili po ich prawej stronie otworzyły się drzwi do klatki schodowej i szybkim krokiem wyszedł przez nie mężczyzna o latynoskim wyglądem. Nie zwalniając, zerknął na nich, pchnął drzwi wejściowe, ale jeszcze obejrzał się przez ramię i zmierzył ich wyzywającym spojrzeniem.

Winda brzęknęła i otworzyła się. Gonzalez dała krok do środka i natychmiast się cofnęła, krzywiąc się z obrzydzeniem. Faz nie musiał nawet pytać, co się stało, bo i jemu zrobiło się niedobrze od buchającego z windy smrodu moczu.

- Chodźmy schodami - sapnęła Gonzalez, odzyskawszy głos.

- Na piąte piętro? Mowy nie ma. - Faz wyjął z kieszeni chusteczkę, zakrył sobie nos i usta i wszedł do windy. W takich okolicznościach dobre wychowanie musiało ustąpić instynktowi samozachowawczemu. - Wsiadasz?

Gonzalez nabrała powietrza i naciągnęła żakiet na nos i usta z taką miną, jakby za chwilę miała zwymiotować. Ruszyli w górę i jak to było do przewidzenia, winda ani razu nie zatrzymała się, żeby zabrać kogoś po drodze.

- Teraz już wiemy, dlaczego ten gość wolał schody - rzucił Faz głosem stłumionym przez chusteczkę.

Wreszcie oboje z ulgą wyszli na korytarz piątego piętra, ciężko dysząc, jakby przez cały czas wstrzymywali oddechy. Faz rozejrzył się. Byli w południowym krańcu budynku. Spękane linoleum na posadzce szarzało w mdłym świetle sączącym się przez okna na obu końcach korytarza. Zapadający mrok powinien już dawno zadziałać na czujniki oświetlenia, a mimo to nie paliło się ani jedno światło.

- Ludzie kradną żarówki - mruknęła Gonzalez, wskazując na dwie lampy z pustymi oprawkami. - Administrator w końcu się poddaje i przestają wkręcać nowe.

- To też znasz z LA? - spytał Faz.

W korytarzu śmierdziało pleśnią, ściany były obdrapane, z łuszczącą się farbą. Lopez mieszkał w lokalu numer 511, ostatnim na końcu korytarza. Nie zdążyli dojść do drzwi, gdy korytarz rozświetlił się niebieskobiałym błyskiem, a po chwili rozległ się grzmot pioruna, tak potężny, że aluminiowe ramy okien aż zabrzęczały.

- Mówiłem ci - rzucił Faz. - Burza z piorunami w lipcu.

- I ani kropli deszczu. To wariactwo - odrzekła Gonzalez.

- Och, nic się nie martw. Deszczu ci tutaj nie zabraknie. Ulewy przyjdą za dwa miesiące. Nadal uważasz to miejsce za raj?

Podeszli do drzwi z numerem 511 i w milczeniu ustawili się po obu stronach framugi. Faz stanął na lewo od drzwi, twarzą do okna, Gonzalez po drugiej stronie, twarzą do korytarza. Skinął głową i kiedy ona już miała zapukać, gwałtownym ruchem ręki ją powstrzymał i przyłożył palec do ust. Wydało mu się, że przez cienką jak papier ścianę słyszczyć jakieś głosy. Oboje nadstawili uszu. Faz znów coś dosłyszał i tym razem Gonzalez kiwnęła głową. Też to usłyszała. Męski głos, mówiący po hiszpańsku.

- Hiszpański - powiedziała bezgłośnie.

Faz popatrzył na drzwi mieszkania 511, po czym przeniósł wzrok na sąsiednie, z numerem 509.

- To stamtąd? - spytał cicho.

Gonzalez wzruszyła ramionami.

- Trudno powiedzieć - szepnęła.

Odpiął klapkę kabury i położył dłoń na rękojeści pistoletu, Gonzalez zrobiła to samo. Ściany, tak cienkie, że przepuszczały głosy, z całą pewnością nie zatrzymałyby kul, gdyby ktoś zaczął do nich strzelać, ale w ciasnym korytarzu nie było gdzie się ukryć. Gonzalez ponownie uniosła rękę, by zastukać. Faz znowu usłyszał męski głos i tym razem nie miał już

wątpliwości, że dochodzi z sąsiedniego mieszkania. W tym samym momencie dobiegł go odgłos otwieranych drzwi.

Wzrok Gonzalez przesunął się nad lewe ramię Faza i policjantka wytrzeszczyła oczy - ze zdumienia lub ze strachu. Zrobiła krok w jego stronę, wyszarpnęła pistolet z kabury i pchnęła Faza tak, że aż się zatoczył.

- Broń!

* * *

Aditi wpisała nazwę użytkownika Apple i hasło, którymi posługiwały się obie z Kavita. Aplikacja "Znajdź mój iPhone" zareagowała mrugającą plamką niebieskiego światła w południowo-zachodnim kącie parku stanowego. Miejsce z grubsza odpowiadało współrzędnym geograficznym punktu, w którym operator sieci po raz ostatni namierzył telefon Kavity. Tracy i Pryor podziękowały Aditi i szybko wyszły z domu, obiecując ją powiadomić, jeśli cokolwiek odkryją.

Kiedy jechały wzdłuż granicy parku i szukały wjazdu na ogromny, gęsto zadrzewiony teren, w Tracy narastało złe przeczucie.

- Należałoby sądzić, że ktoś już by znalazł zwłoki, nie uważasz? powiedziała cicho Pryor. - Przecież park odwiedzają tłumy ludzi.

Tracy też tak uważała, ale nie podjęła tematu. Szkoda było czasu na zastanawianie się, co może oznaczać migająca niebieska kropka, bo było to oczywiste. W parku znajdą albo telefon Mukherjee, albo jej zwłoki.

Kavita jechała teraz z nowym poczuciem celu. Idź do przodu. Nie popadaj w odrętwienie. Miej plan i go realizuj. Skręciła na parking, gdzie stał tylko jeden samochód, zapewne kogoś biegającego po parku. Wysiadła z auta i otoczył ją dobrze znany zapach drzew i roślinności, który przeniósł ją w myślach do jakże przyjaźniejszych czasów, gdy wszystko, co jej było potrzebne do życia - rodzina, przyjaciele, szkoła - znajdowało się na wyciągnięcie ręki.

Ruszyła szybkim krokiem, po chwili jednak stanęła i spojrzała na swoje czółenka na płaskim obcasie - włożyła je na spotkanie, nie chcąc podkreślać swego wzrostu. Nie wzięła żadnych butów na zmianę, bo nie planowała wyieździć do parku. Machnęła na to ręką i ruszyła w górę zbocza. Słońce skryło się już za czubkami drzew i jego promienie sączyły się przez gałęzie strugami bladego światła. Kavita tyle razy była w tym parku i tak dobrze знаła wszystkie ścieżki, że mogła się tu po ruszać z zawiązanymi oczami. Kilkaset metrów dalej ścieżka się rozwidła i Kavita wybrała Trakt Trójlistu, blisko trzykilometrową pętlę wokół centrum parku. Po paru minutach wdychania znajomych zapachów poczuła się na tyle lepiej, że zaczęła rozmyślać o swojej sytuacji i co ważniejsze, o tym, jak z niej wybrnąć.

Po pierwsze, musi zdecydować, czy zostaje w tym mieszkaniu, przynajmniej do chwili rozpoczęcia studiów medycznych. Nie zamierzała korzystać z pomocy Aditi, tak jak ona nie chciała korzystać z jej pomocy. Aditi do końca wyboru i Kavita mogła wykorzystać część odłożonych pieniędzy na opłacanie czynszu do czasu, aż znajdzie nową sublokatorkę, najlepiej absolwentkę college'u, tak jak ona. Znalezienie kogoś w środku lata mogło być trudne, ale jesienią, kiedy zjadą się studenci, mieszkanie tak blisko uniwersyteckiego kampusu szybko znajdzie amatorkę. Czyli to z głowy.

Po drugie, weźmie więcej godzin w butik, aby zbytnio nie uszczuplać kapitału. Właściciel ją lubi i na pewno da jej dodatkową zmianę. Większa liczba godzin pracy pomoże jej też uporać się z samotnością, zwłaszcza wieczorami, które z Aditi miały zwyczaj spędzać poza domem. Aby zagospodarować ten czas, Kavita postanowiła zapisać się na wieczorowy kurs przygotowawczy do egzaminu wstępnego na medycynę. Jeśli dobrze jej pójdzie na egzaminie, złoży wnioski o przyjęcie na kilka różnych kierunków studiów medycznych, gdzie wszystko będzie nowe i nikt nie będzie jej znał. Zacznie od nowa, z dala od rodziny i wszystkiego innego.

Myśl o tym jednocześnie ją cieszyła i przerażała. Porzuci wszystko i wszystkich, których dotąd znała i kochała.

Poczuła, że dławi ją w gardle na myśl o młodszym bracie Samie i ojcu. Niewidywanie ich będzie się równało śmierci.

Nagle za szlochała, gwałtownie i niepowstrzymanie. Stała pod gałęziami drzewa i zaniósła się płaczem, ale po chwili ofuknęła się w duchu i powróciła do swej nowej mantry. Idź do przodu. Nie wolno ci się poddawać.

Pochyliła głowę i puściła się biegiem, czując przez cienkie podeszwy czółenek każdy kamyczek na drodze. Kiedy dobiegła do następnego rozwidlenia, wybrała Trakt Kojota, który prowadził w głąb parku. Biegła długo, walcząc ze smutkiem, aż zmęczyła się tak, że musiała się zatrzymać i odsapnąć. Potem chodziła w kółko, z głową odrzuconą do tyłu, czując kłujący ból w piersiach i łapczywie wciągając powietrze. Światło dzienne niemal już zgasło i wszystko wokół poszarzało. Czas wracać do domu.

Coś się poruszyło. Odwróciła się.

Coś w krzakach. Ponownie się obejrzała, potem jesz ze raz. Coś wokół niej krążyło.

Raz jeszcze odwróciła głowę, ale zobaczyła tylko drzewa, proste i wysokie, niczym mroczni strażnicy. Wstrzymała oddech i zaczęła nasłuchiwać. Grały świerszcze, brzęczały owady - nic poza tym. Lekki

podmuch wiatru poruszył gałęziami, które lekko zaskrzypiały. Gdzieś niedaleko odezwała się żaba rycząca.

Kavita raz jeszcze głęboko odetchnęła i ruszyła przed siebie.

* * *

Pogoda szybko się załamała i wiatr przygnał znad Gór Kaskadowych ciemne zwały chmur, które zawisły nad Seattle. Zbliżała się potężna burza.

- Może to tylko jej telefon - powiedziała Pryor, gdy Tracy skrzyła w północno-wschodni odcinek 116 Avenue. - Mogła go po prostu zgubić albo wyrzucić.

Może, pomyślała Tracy, choć to nie dawało odpowiedzi na podstawowe pytanie: Co Kavita robiła tak blisko domu rodzinnego, w parku wyraźnie mającym dla niej znaczenie sentymentalne? Na chwilę przyszło jej do głowy, że dziewczyna mogła się załamać, przyjechać w miejsce, które znała z dzieciństwa, i tu odebrać sobie życie. Szybko jednak odrzuciła tę myśl. Takie postępowanie zupełnie nie pasowało do obrazu zdeterminowanej, pewnej siebie młodej kobiety, jaki przedstawiała Aditi.

- Ty tak nie myślisz, prawda? - odezwała się Pryor. - Nie wierzysz, że to tylko jej telefon.

- Próbuję zachować optymizm, ale... nie, nie myślę tak. - Trzymanie się złudnej nadziei było wbrew zdrowemu rozsądkowi. - Nie znajduję żadnego logicznego powodu, dla którego miałyby go wyrzucić akurat w tym parku. Jeśli leży tam tylko jej telefon, to bardziej prawdopodobne, że wyrzucił go ktoś inny. Tyle że wtedy i tak nie poznamy odpowiedzi na pytania, kto i dlaczego. I co się stało z tą dziewczyną?

Tracy zwołniała przed brązowymi znakami, oznaczającymi wejście do parku. Jeden przedstawiał piechura z laską, drugi kowboja na koniu. Wjechała na parking i zaparkowała obok trzech aut ustawionych przodem do ściany lasu. Zgasiła silnik, wysiadła i do jej uszu dobiegł szum samochodów pędzących po autostradzie 405, która biegła jakieś sto pięćdziesiąt metrów dalej na zachód.

- Sfotografujmy tablice rejestracyjne tych samochodów - powiedziała. - Nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie, ale na wszelki wypadek to zrobimy. Potem je sprawdzimy.

Pryor zrobiła zdjęcia, a Tracy tymczasem wyjęła podręczną torbę z zawartością przydatną przy oględzinach miejsc przestępstwa, którą trzymała zawsze za oparciem fotela. Na głowę włożyła czapkę z emblematem policji w Seattle, przewlekając włosy przez otwór z tyłu; włożyła też czarną wiatrówkę z takim samym emblematem i białym napisem POLICJA na plecach. Wyciągnęła latarkę, skierowała strumień

światła w dół i podała ją Pryor, kiedy ta obeszła pick-upa od tyłu i dołączyła do niej.

Nagły poryw wiatru szarpnął gałęziami drzew, powodując głośny szelest liści.

- Pamiętasz tę burzę z lipca zeszłego roku? - spytała Pryor.

- Trudno ją zapomnieć. Ruszajmy, zanim ta nas dopadnie i stracimy resztkę dziennego światła.

Pryor spojrzała na ekran swojego telefonu.

- Sygnał miga prosto stąd na wschód - oznajmiła.

Weszły na wyraźnie widoczną ścieżkę, przez pierwsze sto metrów biegnącą w górę zbocza. Ubita ziemia zasłana była końskimi odchodami i masą żołądki. Na szczycie wzniesienia ścieżka się rozwidlała. Tabliczka na wbitym w ziemię słupku informowała, że w tym miejscu zaczynają się dwa różne trakty. Tracy przystanęła i Pryor znów spojrzała na telefon. Trakt Trójlistu miał niecałe dwa metry szerokości i prowadził mniej więcej prosto, z grubsza w kierunku migającej niebieskiej kropki.

- Tędy - powiedziała.

Ruszyły naprzód pod zwartym baldachimem koron drzew i zanurzały się w coraz gęstszy mrok. Ojciec uczył Tracy i Sarę rozumieć las, kiedy dorastały w miasteczku na północy Gór Kaskadowych. Stąd wiedziała, że najpotężniejsze drzewa to drugie pokolenie czerwonych cedrów, nawet stuletnich, o wysokości blisko sześćdziesięciu metrów. Pomiędzy nimi rosły dużo niższe sosny i jodły, a także gdzieś tam klony i topole. Poszycie, zasłane butwiejącymi pniami drzew, pełne było paproci, wrzosów, czerwonego bzu, śliwokrzewów i berberysów. Choć jeszcze nie padało, w powietrzu czuło się wilgoć płynącą od bujnych paproci. Wiatr coraz bardziej się wzmacniał, miotając gałęziami drzew, aż trzeszczały.

Kilkaset metrów dalej dróżka ponownie się rozwidliła i odbijający w lewo Trakt Kojota prowadził w kierunku migającej w telefonie niebieskiej kropki. Skręciły w tę stronę.

Gdzieś daleko na wschodzie rozległo się głucho dudnienie pierwszego grzmotu i Tracy przez chwilę się nawet zastanawiała, czy nie lepiej zawrócić na parking, przeczekać burzę i wezwać patrol z psami. Sekundę później las rozświetliła oślepiająca błyskawica i powietrze aż zaiskrzyło, a zaraz potem huknął potężny piorun, do złudzenia przypominający wystrzał. Burza szybko się zbliżała.

- Blisko było! - rzuciła Tracy, przekrzykując rozlegające się echo.

- Za blisko. - Pryor spojrzała w niebo.

Niebieska kropka w telefonie nie przestawała migać.

- Jesteśmy prawie na miejscu. Chodźmy.

Tracy zbcoczyła z końskiego traktu i ledwie widoczną ścieżką wspięła się na kolejne wzniesienie, zeszła po drugiej stronie i minęła wąski mostek. Tu ścieżka skręcała na południe i w oddali prześwitywały między drzewami spadziste dachy domów stojących wzdłuż południowego skraju parku. Tracy przystanęła, by znów sprawdzić niebieską kropkę.

- Tędy. - Pryor wskazała ręką.

- Tam jest ścieżka. - Tracy poświeciła latarką na niknącą w zaroślach wąską dróżkę.

Kolejna błyskawica rozświetliła mrok na niebiesko, powietrze aż zadrgało i niemal natychmiast rozległ się grzmot tak potężny, że Tracy i Pryor instynktownie się skuliły.

- Cholera - prychnęła Pryor.

Tracy znów pomyślała o tym, by zawrócić, ale kropka mrugała na nią zachęcająco z coraz bliższej odległości, a w dodatku, jak stwierdziła, bateria w telefonie Mukherjee mogła być na wyczerpaniu i sygnał wkrótce zaniknie. Z drugiej strony pamiętała też, że dzieci Pryor czekają na nią w domu.

- Proponuję, żebyś wróciła na parking - odezwała się. - Ja sama dokończę i spotkamy się przy samochodzie.

- Nie. - Pryor zdecydowanie pokręciła głową. - Chodźmy. Jesteśmy już prawie na miejscu.

- Zejdz ze ścieżki i idź po poszyciu - powiedziała Tracy.

Na ścieżce mogły być jakieś ślady i nie należało ich zadeptywać.

Ruszyły wolno do przodu, ostrożnie stawiając nogi i rozglądając się za czymś, czego nie powinno tu być. Domy za południową granicą parku były coraz bliżej. W końcu Tracy stanęła. Z telefonu wynikało, że znajdują się dokładnie w miejscu migającej niebieskiej kropki.

- To gdzieś tutaj - rzuciła.

Zaczęły obie zataczać coraz szersze kręgi, przyświecając sobie latarkami i wpatrując się w poszycie. Zapadające ciemności dodatkowo utrudniały zadanie. Kilka razy potknęły się o korzenie drzew i krzewów. Błyskawica znów rozświetliła las i tym razem towarzyszył jej huk pioruna i głośny trzask rozłupującego się drewna. Tracy poderwała głowę i zdążyła dojrzeć, jak pień cienkiego drzewa rozpada się na dwie części i górna

połowa wali się, obłamując po drodze gałęzie sąsiednich drzew, i uderza w ziemię z takim impetem, że Tracy poczuła w stopach drżenie podłoża.

- To wariactwo - mruknęła. Tak mogła się zachowywać dawna Tracy, z czasów, gdy była sama i nie miała nic do stracenia. Teraz narażała nie tylko siebie, ale także Pryor i jej rodzinę. Najwyższy czas się wycofać. - Wracajmy na parking, niech ta burza przejdzie i potem tu wrócimy z psami.

Ale Pryor już się zawzięła.

- Spróbuj zadzwonić na jej numer - rzuciła. - Może usłyszymy dzwonek.

To był dobry pomysł. Tracy wybrała numer Mukherjee i obie wyteńczyły słuch, starając się dosłyszeć coś przez szum wiatru.

- Słyszysz coś? - spytała.

- Tylko wiatr - odparła Pryor.

Odezwała się poczta głosowa Mukherjee. Tracy rozłączyła się i spróbowała ponownie. Odpowiedzią znów było jedynie wycie wiatru.

- Wbijmy tu jakiś patyk i oznaczmy to miejsce taśmą policyjną powiedziała Tracy. - W ten sposób znajdziemy je, nawet jeśli bateria się rozładuje lub apka przestanie działać.

Odłamała uschniętą gałąź i nożem ze swojego podręcznego zestawu zaostriła jej czubek. Pryor podała jej kamień i Tracy wbiła patyk w ziemię, po czym nożem i kamieniem rozplatała jego drugi koniec. Wyjęła z torby rolkę żółtej taśmy policyjnej, odcięła kawałek i wcisnęła w szparę patyka, po czym obwiązała go sznurkiem, żeby wiatr nie wyrwał taśmy. Wreszcie mogły wracać. Okazało się jednak, że tak kołowały i zmieniały kierunki, że Tracy nie była pewna, w którą stronę mają iść.

- Pamiętasz, skąd przyszliśmy? - spytała.

Pryor rozejrzała się.

- Nie stamtąd? - Wskazała na zbocze.

- Chyba masz rację - potwierdziła Tracy.

Ruszyły przed siebie, omiatając zarośla światłami latarek. Tracy właśnie się obejrzała, aby sprawdzić, czy widać furkoczące na wietrze żółte wstęgi, gdy Pryor gwałtownie szarpnęła ją za rękę i krzyknęła. Tracy odwróciła ku niej głowę i zdążyła dostrzec, jak Pryor nagle znika w zaroślach. Błyskawicznie chwyciła jej dłoń i usiadła, zapierając się nogami, żeby jej nie puścić. Okazało się, że Pryor dała krok w głęboki dół, ukryty w poszyciu. Trzymając się kurczowo ręki Tracy, zdołała się wygramolić. Obie runęły do tyłu, ciężko dysząc.

- Nic ci się nie stało? - spytała Tracy.

- Chyba nie. - Pryor pokręciła głową i zajrzała do jamy. - Jak tam jest głęboko?

Tracy wstała i pomogła jej podnieść się z ziemi, po czym obie zbliżyły się do krawędzi, ostrożnie sprawdzając stopami podłoże i próbując ustalić gęsto zarośnięty obwód jamy. Wyglądało na to, że ma nieco ponad metr średnicy.

Tracy znów ogarnęło złe przeczucie.

Opadła na czworaki przy brzegu dołu, a Pryor uklękła obok niej.

- Rozgarnij te rośliny - powiedziała Tracy.

Pryor rozchyliła łodygi i Tracy skierowała promień latarki w głąb jamy. W plamie światła na dnie ukazała się zgięta w pół ludzka sylwetka. Głowa była skręcona w prawo, a rozrzucone ciemne włosy przysłaniały, niczym wachlarz, twarz młodej kobiety.

Znalazły Kavitę Mukherjee.

* * *

Faz się zachwiał i grzmotnął ciałem w przeciwległą ścianę korytarza, zdołał jednak na tyle odwrócić głowę, by dostrzec, że z otwartych drzwi sąsiedniego mieszkania wyłania się ludzka postać. Jednocześnie korytarz rozświetliły trzy błyski i huknęły trzy głośne strzały. Faz odbił się od ściany, rozpaczliwie próbując odzyskać równowagę.

Przed sobą widział Andreę Gonzalez, której usta otwierały się i zamykały. Najwidoczniej coś do niego mówiła, ale zupełnie nie słyszał co, bo głośne dzwonienie w jego prawym uchu tłumilo wszelkie inne odgłosy. Czuł się trochę tak, jakby oglądał niemy film. Wszystkie ruchy były spowolnione, jakby się odbywały w gęstym przezroczystym płynie. Gonzalez znów popchnęła go na ścianę, tym razem dalej od drzwi i ewentualnej linii strzału, w razie gdyby w mieszkaniu był ktoś jeszcze.

W końcu dotarł do niego jej głos.

- ...w porządku? Nic ci nie jest? - mówiła, przebijając się przez krzyk kobiety i płacz dziecka, dochodzące z wnętrza mieszkania.

- Nic mi nie jest. Nic mi nie jest - usłyszał własny głos i po minie Gonzalez poznał, że chyba wrzeszczy.

Ciało mężczyzny o latynoskim wyglądem leżało na podłodze, sącząca się krew zabarwiła jego biały T-shirt i zdążyła już wypełnić pęknięcia posadzki. Dzinsy mężczyzny osunęły się poniżej pasa, ukazując brzeg czarnych majtek. Faz zrobił krok do przodu i wyciągnął nogę, by wykopać

pistolet z jego ręki, zamarł jednak w pół ruchu, widząc, że leżący wcale nie trzyma broni. W prawej dłoni ścisnął telefon komórkowy. Faz przyjrzał się jego twarzy i rozpoznał Eduarda Felixa Lopeza, którego cyfrową podobiznę widział w aktach.

Gonzalez weszła do mieszkania, a Faz pochylił się nad leżącym i zgodnie z procedurą zatrzasnął mu kajdanki. A potem dotknął jego nadgarstka, by sprawdzić puls. Pulsu nie było.

Wyprostował się i wszedł za Gonzalez do mieszkania. W kącie siedziała skulona kobieta, tuląc do siebie płaczące dziecko. Kiedy Faz machnął ręką i skierował broń w jej stronę, kobieta znów zaczęła krzyczeć i odwróciła się twarzą do ściany.

Gonzalez stanęła w wejściu do sąsiedniego pomieszczenia i odezwała się do kobiety po hiszpańsku:

- *?Hay alguien mas aqui? ?Hay alguien mas aqui?*

Kobieta zwiesiła głowę.

Faz szybko sprawdził resztę mieszkania, najpierw kuchnię, potem łazienkę.

Gdy wrócił do pokoju, zobaczył, że Gonzalez klęczy przed kobietą i wskazuje ręką otwarte drzwi wejściowe.

- *Dime tu nombre. Dime tu nombre.*

W uszach Faza mieszał się głośny płacz dziecka z uporczywym dzwonieniem, tak że nie mógł zrozumieć, co kobiety mówią.

- *El hombre en el pasillo, ecómo se llama?* - spytała Gonzalez, a gdy kobieta nie odpowiedziała, policjantka chwyciła ją za ramię i zwróciła ku sobie. - *Ecómo se llama?*

- *iLopez!* - krzyknęła kobieta. - *iSe llama Eduardo Lopez!*

Gonzalez zerknęła na Faza i zaraz znów zwróciła się do kobiety:

- *?Quien vive en el apartamento del al lado?*

Kobieta wskazała na drzwi.

- *El lo hizo. El lo hizo.*

Gonzalez wstała i głęboko westchnęła.

- Tak jak mówiłam, można wszystko zaplanować, a i tak dać dupy powiedziała do Faza. - Mówi, że Lopez mieszka w sąsiednim mieszkaniu, pod pięćset jednaście, a do niej wszedł tuż przed naszym przyjściem.

Faz odwrócił się w stronę korytarza i spojrzał na leżące tam ciało Lopeza. Mężczyznę, który mówił po hiszpańsku, był on. Być może rozmawiał przez telefon. Zabili kogoś, kto był ich jedynym tropem prowadzącym do zabójstwa Monique Rodgers. Co gorsza, wyglądało na to, że Gonzalez zastrzeliła nieuzbrojonego człowieka.

Rozdział 26

Tracy stała przy swoim pick-upie na parkingu Parku Stanowego Bridle Trails, oczekując przybycia zmasowanych sił policyjnych i techników. Burza atmosferyczna wprawdzie się skończyła, ale policyjna dopiero się zaczynała. Pierwsze grzmoty rozlegną się w potyczce o jurysdykcję.

Wprawdzie Kavita Mukherjee mieszkała w Seattle i zawiadomienie o jej zaginięciu Aditi Banerjee złożyła w tamtejszym komisariacie, lecz jej ciało zostało znalezione w Bellevue, które miało własną policję, i to ich jurysdykcja obejmowała tamtejszy park stanowy i wszelkie popełniane w nim przestępstwa. Jedynym wytłumaczeniem tego, że Tracy nie zwróciła się właśnie do nich, mogła być jej niepewność - ponieważ było całkiem możliwe, że Kavite zamordowano w Seattle i następnie porzucono jej zwłoki w parku w Bellevue.

Ustalić to mogli dopiero odpowiedni specjaliści.

Jedno było pewne: Tracy nie zamierzała oddawać sprawy, dopóki śmierć Kavitę Mukherjee nie zostanie wyjaśniona. Tyle że jej kapitan mógł mieć odmienne zdanie i dlatego wiadomość o znalezieniu zwłok przekazała nie jemu, lecz swojemu bezpośredniemu zwierzchnikowi, sierżantowi Billy'emu Williamsowi. Rozmawiając z nim przez telefon, zwróciła uwagę na problem z jurysdykcją, bo postanowiła od razu się z tym zmierzyć. Oświadczyła Williamsowi, że pozostanie na miejscu przestępstwa - jeśli rzeczywiście jest to miejsce przestępstwa - i poprosiła o przysłanie specjalistów z biura koronera hrabstwa King i techników z Seattle, którzy mieli dopilnować, by żadne ślady nie zostały zatarte lub przeoczone. O sprawie jurysdykcji będą mogli porozmawiać później. Billy wyraził zgodę, uprzedził ją jednak, że tę walkę będzie musiała stoczyć bez jego udziału, bo on jest właśnie w drodze do South Park, gdzie miała miejsce strzelanina z udziałem Faza i Andrei Gonzalez, i zwali się tam zapewne całe szefostwo, łącznie ze Stuartem Funkiem, koronerem hrabstwa.

Upewniwszy się, że ani Faz, ani Gonzalez nie ucierpieli, Tracy oznajmiła Williamsowi, że spotka się z ekipą CSI na parkingu, gdzie najpierw zorientuje ich w sytuacji, a potem zaprowadzi do ciała.

Rozłączyła się i wybrała numer komórkowy Kelly Rosy, antropolożki w biurze koronera hrabstwa. To ona w swoim czasie dokonała ekshumacji szczątków siostry Tracy z miejsca ich ukrycia w Cedar Grove i była powszechnie uważana za jedną z najlepszych specjalistek od antropologii kryminalistycznej w całym stanie, jeśli nie w całym kraju. Formalnie rzecz biorąc, w tej sprawie antropolog nie był potrzebny, zwłaszcza że specjalnością Rosy było badanie szczątków kostnych i zwłok w stanie rozkładu, ale Tracy ufała wiedzy Rosy równie mocno, jak ufała wiedzy

Stuarta Funka. Chciała, by ktoś jej powiedział, jakim materiałem dowodowym dysponują, i go z nią omówił. Byle nie musiała mieć do czynienia z kimś niepewnym swego, kto nie umiałby stwierdzić, czy Mukherjee zabito tu, czy gdzieś indziej, a tutaj tylko wrzucono ciało do dołu. Wiedziała, że dla Rosy ustalenie tego i wielu innych szczegółów nie będzie problemem.

Zadzwoiła też do Kaylee Wright, która pracowała w Sekcji Zadań Specjalnych w biurze szeryfa hrabstwa King, pełniąc obowiązki "tropiciela". To ona wytropiła ciała ofiar seryjnego mordercy Gary'ego Ridgwaya, które ten ukrywał przez kilkadziesiąt lat, a także pomogła Tracy rozwiązać dawną sprawę zabójstwa młodej kobiety. Na podstawie fotografii odcisków stóp i śladów opon, zrobionych przez młodego policjanta, który odkrył ciało na leśnej polanie, Wright zdołała ustalić przebieg zdarzeń sprzed czterdziestu lat.

Podczas gdy Tracy czekała na parkingu, aż przyjadą ekipy techników, Katie Pryor pilnowała jamy w lesie. Tracy kazała jej ogrodzić dół żółtą taśmą policyjną, od drzewa do drzewa, oraz wytyczyć do niego ścieżkę inną niż ta, którą same tam doszły. Chodziło o to, by zachować tamtą ścieżkę w nietkniętym stanie, bo może uda się znaleźć na niej, a także na prowadzących do niej traktach, jakieś przydatne ślady: odciski stóp, włosy lub zaczepione o kolce strzępy materiału, ułamane gałązki lub stratowane liście. Piękne letnie dni niewątpliwie przyciągały do parku wielu jeźdźców, biegaczy, spacerowiczów z psami i zbieraczy jagód, którzy mogli zatrzeć ślady na traktach i ścieżkach, ale Tracy nie mogła tego z góry zakładać. Potrzebny był jej ktoś z doświadczeniem Wright, kto jej powie, co można uznać za materiał dowodowy, a co nie.

Pierwszy zjawił się Kins, który ze swego domu w Madison Park miał najbliżej, bo wystarczyło przejechać przez most 520. Zaparkował niebieskie bmw obok pick-upa Tracy, wysiadł i pokręcił głową.

- Jak zwykle masz rację, co? - rzucił.

Zastanawiała się przez chwilę nad jego słowami.

- W tym przypadku wołałabym nie mieć - mruknęła.

- Wszystko z tobą w porządku? - spytał, wyczuwając jej ponury nastrój.

Znał szczegóły tego, co spotkało jej siostrę, i domyślał się, że znalezienie w lesie ciała zamordowanej młodej kobiety mogło obudzić w Tracy najgorsze wspomnienia.

- Tak. Tylko wiesz, czuję się taka kompletnie bezradna.

- Przecież to nie twoja wina.

- To bez znaczenia.

- Nie ma nic złego w tym, że się przejmujesz - stwierdził. - Jak przestanę się kiedyś przejmować, to zrezygnuję z tej roboty. Bo to będzie znaczyło, że w środku jestem martwy. - Rozejrzał się po parkingu. - Ale skąd my tutaj?

Tracy wyjaśniła, że Pryor dała operatorowi sieci nakaz sprawdzenia telefonu Mukherjee, a ona usłyszała od Andreia Vilkotskiego o dzieleniu się kontami i w rezultacie to doprowadziło je do telefonu Mukherjee.

- Czyli jak Nolasco spyta, możesz powiedzieć, że to Pryor znalazła ciało - zauważył Kins.

- Ona je naprawdę znalazła. Omal w nie nie uderzyła, gdy wpadła do dołu.

- To naturalna jama czy ktoś ją specjalnie wykopał? - spytał Kins.

- Nie wiem. Myślę, że to nie jest naturalny wykrot, ale nie wygląda też na świeżo wykopany dół. Jest głęboki. Ma pewnie ze dwa, dwa i pół metra głębokości i ponad metr szerokości. To może być jakaś stara studnia, częściowo zasypana i zarośnięta.

Wysłuchawszy jej, Kins nie mógł nie zadać oczywistego pytania.

- A może to był wypadek? Może po prostu tam wpadła i skręciła kark?

- Może, ale jeśli tak było, to powstaje następne pytanie.

- Skąd się tam wzięła i co tam robiła?

Tracy pokiwała głową.

- Dorastała w domu niedaleko parku. Ona i jej najbliższa przyjaciółka mieszkały w domach sąsiadujących z parkiem, który praktycznie był dla nich przydomowym ogrodem. Ale ostatnio była skłócona z rodziną i nie miała powodu tu wracać.

- Jeśli ktoś ją zabił i tam wrzucił, to musiał wiedzieć o tym dole.

- Też tak myślę.

- Współlokatorka?

- Może. A może ktoś z rodziny. Ktoś, kto zna park i tamtejsze ścieżki. Ale jest też możliwe, że wróciła w dobrze sobie znane miejsce i w odruchu rozpaczy sama się zabiła.

- Wskakując do dołu? Jakim cudem?

- Nie wiem. Po prostu rozpatruję różne możliwości. Dlatego wezwałam na pomoc Kelly Rose.

- Miała broń? - spytał Kins.

- Niczego nie dostrzegłam. Ale broń może leżeć pod ciałem lub gdzieś w krzakach. Na razie nie ma co spekulować. Wkrótce się tego dowiemy.

- Będzie problem z jurysdykcją - zauważył Kins.

- Chyba tak. Ale mogła też zginąć gdzie indziej, a tu wrzucono potem jej ciało.

- Naprawdę sądzisz, że to możliwe?

Tracy rozejrzała się po pustym parkingu.

- Jak się tutaj dostała? Jej samochodu tu nie było. Stoi zaparkowany w uliczce obok jej mieszkania. To zwiększa prawdopodobieństwo, że ktoś ją zabił gdzieś indziej i tylko przywiózł tu jej ciało. A wtedy podpadałoby to pod naszą jurysdykcję.

- Pryor jest tutaj?

- Zostawiłam ją w lesie, żeby przyszykowała pole działania.

Kins spojrział przez ramię na majestatyczną ścianę lasu.

- Lepiej, że ona, a nie ja - mruknął i zaciągnął suwak kurtki. - Billy powiedział ci o Fazie?

- Tylko coś wspomniał. Co się tam, u diabła, stało? Pomylili lokale? - spytała.

- Nie wiem. Mnie też Billy przekazał tylko skróconą wersję. Ale muszą tam mieć na karku wszystkich świętych, łącznie z WKD.

Skrót WKD oznaczał Wewnętrzną Komisję Dochodzeniową. Był to zespół sześciu śledczych, który miał pilnować porządku w policji Seattle, a powołano go na skutek ustaleń Departamentu Sprawiedliwości, że tamtejsi funkcjonariusze często podczas interwencji nadużywają siły. Inspektor federalny, nadzorujący funkcjonowanie komisji, niedawno pochwalił szefostwo za skrupulatne wprowadzanie w życie zaleceń sądowych w tym zakresie, więc sprawa na pewno odbije się szerokim echem.

W takich chwilach Tracy opadały wątpliwości, czy Kins nie ma jednak racji. Może po urodzeniu dziecka powinna dać sobie spokój i zostać w domu.

* * *

Faz stał w korytarzu. Zwłoki Lopeza leżały przykryte białą płachtą, obok czekała torba w kolorze khaki, do której zapakują ciało, by je przewieźć do biura koronera, gdy tylko Stuart Funk zakończy swoje czynności na miejscu zdarzenia. Ratownik medyczny co chwilę pytał Faza, czy dobrze się czuje, a on odpowiadał, że tak, choć dzwonienie w uszach nie mijało i przypominało buczenie telewizora, kiedy kończyło się

nadawanie - w czasach, gdy nie było jeszcze kablówki i całodobowego programu. Bolała go też głowa i choć mówił każdemu, kto pytał, że wszystko z nim w porządku, ratownicy najwyraźniej mu nie wierzyli, a może nie mieli nic lepszego do roboty, bo na ratowanie Lopeza było już za późno. Andrea Gonzalez wpakowała mu trzy kule w klatkę piersiową, wszystkie trzy prawie w to samo miejsce.

Lokatorom z piątego piętra kázano zostać w mieszkaniach i nikt się nie kwapił, by łamać to polecenie. Śledczy z WKD mieli wszystkich kolejno wypytać, co widzieli i słyszeli. Na razie korytarz, hol wejściowy i parking wypełniali funkcjonariusze różnego szczebla, wśród nich także wyżsi oficerowie, co było formalnym wymogiem w przypadku użycia broni przez przedstawiciela sił policyjnych, zwłaszcza że inspektor federalny tylko czekał, żeby im wszystkim nakopać w zbiorową dupę.

A tu zanosilo się na poważną sprawę. Pod ciałem Eduarda Lopeza ani nigdzie w pobliżu nie znaleziono żadnej broni.

Po sprawdzeniu sąsiedniego mieszkania Faz zjechał do holu, zadzwonił do Billy'ego Williamsa i przekazał mu skróconą wersję wydarzeń. Billy od razu przyjechał na miejsce i jako starszy stopniem przejął dowodzenie. Miał też na tyle przytomności umysłu, by zadzwonić do Andersona-Coopera i polecić im szybkie wystawienie nakazu rewizji mieszkania Lopeza. Dowództwo Williamsa skończyło się w chwili przybycia pełniącego akurat dyżur porucznika Andrew Lauba z Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych. Stwierdziwszy, że chodzi o użycie broni ze skutkiem śmiertelnym przez funkcjonariuszkę policji, Laub zadzwonił do WKD.

Zadaniem śledczych WKD było ustalenie, czy siła użyta w trakcie interwencji policyjnej była uzasadniona, po czym mieli spisać protokół i dostarczyć go Komisji do spraw Interwencji Siłowych. Zanim Departament Sprawiedliwości powołał WKD, przypadkami użycia broni przez funkcjonariuszy policji zajmowali się śledczy z Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych. Stworzenie tej nowej jednostki było jasnym dowodem na to, że Departament Sprawiedliwości nie wierzył w obiektywizm śledczych, co od razu doprowadziło do obopólnej niechęci obu służb. Członkowie WKD nigdy nie znaleźli się w sytuacji zmuszającej ich do użycia broni, a Faz i inni detektywi z sekcji wiedzieli, że tylko ktoś, kto ma własne doświadczenia w tym zakresie, potrafi zrozumieć, co się dzieje wtedy w umyśle gliny. Na skutek potężnego stresu policjant często widzi coś, czego nie ma lub w rzeczywistości jest inne, niż mu się zdaje. Ludzie, którzy nie przeżyli czegoś takiego, nie wiedzą, że umysł policjanta potrafi bezwiednie wypełniać braki w obrazie, starając się nadać sens bezsensownej sytuacji. Faz nie czuł niechęci do śledczych z WKD. Jak większość detektywów z Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych, uważał ich za przyzwoitych ludzi, którym przyszło wykonywać paskudną

robotę, pod ścisłym nadzorem zwierzchników. Co nie znaczyło, że im w pełni ufał.

Laub, Williams i Johnny Nolasco wcisnęli się do ciasnego mieszkania Lopeza, podczas gdy śledczy z WKD przesłuchiwali Andreę Gonzalez. Porucznik z WKD zdążył już skonfiskować jej pistolet i przeliczyć pozostałe naboje. Miał też sprawdzić, czy broń i amunicja posiadają atest policyjny, choć akurat to było najmniejszym problemem Gonzalez.

Jej prawdziwym problemem było strzelanie do nieuzbrojonego człowieka.

I właśnie temu miał służyć nakaz rewizji mieszkania Lopeza. Najważniejsze teraz było znaleźć trzydziestkęósemkę - i daj Boże, żeby pasował do niej pocisk, który zabił Monique Rodgers. Zabicie nieuzbrojonego przestępcy było problemem. Zabicie nieuzbrojonego niewinnego człowieka stanowiło nieporównanie większy problem.

Faz i Gonzalez musieli złożyć oficjalne oświadczenia oraz napisać szczegółowe raporty na temat przebiegu wydarzeń, zanim będą mogli wrócić do domu. Od tej chwili oboje mieli przebywać na urzędowym urlopie. Byli także zobowiązani poddać się badaniu psychiatrycznemu i dopiero wtedy sprawa ich powrotu do czynnej służby mogła być w ogóle rozważona. W niektórych przypadkach taka procedura potrafiła się ciągnąć ponad rok, a jeśli w końcu funkcjonariusza przywracano do czynnej służby, trafiał do zupełnie innej jednostki i nosił piętno przestępcy, choćby oficjalnie został uznany za niewinnego.

Wiedząc, że ta historia trafi do wieczornych wiadomości, Faz zadzwonił do Very, aby ją uprzedzić. Zapewnił, że jest cały i zdrowy, ale znów ma przed sobą długi wieczór, więc niech na niego nie czeka z kolacją i kładzie się spać. Kiedy spytał ją, jak się czuje, odpowiedziała krótko, że dobrze, i zmieniła temat.

Faz usłyszał brzęknięcie windy i spojrzał w głąb korytarza, ciekaw, co za kretyn pakuje się w to szambo i jaką zrobi minę, gdy zobaczy, co tu się dzieje. Z windy wysiadł Del i chwiejnym krokiem, zakrywając dłonią usta i nos, ruszył korytarzem. Miał w oczach takie przerażenie, że Faz, wbrew wszystkiemu, aż się roześmiał. Zrobił kilka kroków w stronę Dela, chcąc uciec z pola widzenia szefów, którzy w mieszkaniu rozmawiali z Gonzalez.

- Święty Boże, Zbawicielu, Faz, co to za piekielny smród w tej windzie? Przez chwilę myślałem, że to od trupa.

Faz się uśmiechnął.

- Gdybym wiedział, że się tu wybierasz, tobym cię uprzedził.

- Akurat! Nic byś nie powiedział.

- No tak, chyba rzeczywiście bym nie powiedział - przyznał Faz.

Obaj dużo przeżyli w ciągu dwudziestu lat wspólnej pracy, dobrze się rozumieli i poczucie humoru bardzo im pomagało w krytycznych sytuacjach.

- Dobrze się czujesz? - spytał Del.

- Chyba lepiej niż ty. - Faz wskazał ręką stopy Dela w butach nie do pary. Oba były brązowe, ale jeden dużo ciemniejszy. - Ubierałeś się po ciemku?

- Ledwo mogę się schylić. Ale przynajmniej oba są brązowe. Poważnie, nic ci nie jest?

- Nie, nic. Dzwoni mi w uszach i łupie w głowie, ale chyba bardziej na myśl o tym, co mnie czeka: pisanie raportów, przesłuchania, całe to gównno.

- A co się stało? Billy nie chciał mi nic powiedzieć.

Faz rozejrzał się, czy nikogo nie ma w pobliżu.

- Tak naprawdę to sam nie wiem. Stałem dokładnie tam - wskazał ręką - twarzą do mieszkania Lopeza. Gonzalez była po drugiej stronie drzwi. I nagle zobaczyłem, jak wytrzeszcza oczy i popycha mnie na ścianę. I zaraz potem strzela. Trzy razy: trach, trach, trach.

- Zaraz, czekaj. To gdzie był Lopez?

- W sąsiednim mieszkaniu.

- I co tam robił?

- Nie wiem.

- Był uzbrojony?

Faz pokręcił głową.

- O kurwa! Jesteś pewny, że to Lopez? - Del spojrzał na okryte płachtą ciało.

- Tak, jestem.

- Departament Sprawiedliwości nie będzie zachwycony. Miejmy nadzieję, że balistyka dopasuje jego spluwę do pocisku, który zabił Monique Rodgers. To by trochę pomogło, ale problemu nie rozwiąże, w każdym razie nie dla Gonzalez. Co ona mówi? Dlaczego strzeliła?

- Mówi, że dojrzała w ręce Lopeza coś srebrzystego i zdawało jej się, że facet celuje mi w głowę. Okazało się, że to był telefon komórkowy.

Del potarł nieogolony podbródek.

- No, to już coś - zauważył.

- Może. Ale śmierć Lopeza stwarza nam inny problem, nawet jeśli jego broń będzie pasowała do pocisku.

- No tak, to nie to samo co przyznanie się do winy.

- I nie dowiemy się, dlaczego to zrobił ani czy działał na czyjeś zlecenie. Bo tak naprawdę zależy nam, by dopaść Małego Jimmy'ego - powiedział Faz, patrząc w głąb korytarza.

Larry Pinnacle, śledczy z WKD, właśnie wyszedł z mieszkania i zbliżył się do nich. Przywitał się z Delem i zwrócił się do Faza:

- Jesteśmy gotowi do powrotu na Park Dziewięćdziesiąt Piątą. Będzie nam potrzebny twój pisemny raport. Złóż go, zanim zejdiesz ze służby.

- Jasne.

Pinnacle się oddalił, a Del spojrzął za nim.

- Nigdy mi się ten koleś nie podobał - mruknął.

- Nie jest taki zły.

- Co z Verą?

- Zrobiła się płaczliwa. Dla niej to bardzo trudne. I moje późne powroty do domu też jej nie pomagają.

- Chcesz, żebym do niej podjechał i powiedział jej, co się dzieje?

- Już do niej dzwoniłem. Jest okej.

- Słuchaj, Faz. Chcę, żebyś wiedział, jak bardzo mi przykro, że mnie tu nie było.

- Wiem. Czasami człowiek wdepnie w gówno. Nic się nie przejmuj.

W głębi korytarza dały się słyszeć głosy i Faz popatrzył w tamtą stronę. Cała grupa wyszła z mieszkania na korytarz. Gonzalez obrzuciła ich przelotnym spojrzeniem i skupiła wzrok na stojących obok niej śledczych z WKD.

- Paskudny początek pracy w nowym wydziale - zauważył Faz.

- Może ją stracić, zanim na dobre zaczęła - dodał Del.

Rozdział 27

Tracy wiedziała, że największym problemem dla ludzi z CSI będzie logistyka. Nie mogli tak po prostu wsadzić wtyczki do gniazdka i zaświecić lampy na którymś z drzew. CSI dysponowało wprawdzie własnym agregatem, ale nie było mowy, by podjechać nim w pobliże grobu, jak Tracy nazywała teraz w myślach dół z ciałem. Jedynym sposobem było przetransportowanie generatorów na miejsce - zadanie trudne i wymagające czasu. Wtedy dopiero śledczy rozciągną nową żółtą taśmę policyjną, zabezpieczając nią większy obszar, niż wcześniej zrobiła to Pryor, i od tej chwili każdy, kto wejdzie na ten teren, będzie musiał wpisać się do rejestru. Potem ustawią nad grobem namiot z lampami wewnątrz, tak by oświetlały dół jak stanowisko archeologiczne, gdzie poszukiwany jest zaginiony skarb.

Tracy na to liczyła.

Ekipa CSI, przeprowadzając to wszystko, starała się nie zatrzeć ewentualnych śladów bardziej, niż już to zrobiły Tracy i Pryor, kiedy wcześniej tędy szły. Kaylee Wright przybyła na miejsce i wraz z ludźmi z CSI zaczęła dokładnie odtwarzać drogę Katie Pryor w pobliże dołu. Oznaczono ją czerwoną taśmą i każdy, kto przekraczał taśmę, musiał podpisać oświadczenie, co miało zniechęcać szefów do zbędnego kręcenia się w pobliżu miejsca przestępstwa. Tyle że akurat dziś szefowie raczej nie powinni stanowić problemu, bo większość z nich była zajęta na miejscu policyjnej strzelaniny w South Park.

Po odtworzeniu drogi Wright zajęła się oględzinami najbliższego otoczenia dołu. Przyświecając sobie potężną latarką, przepatrywała trakty i ścieżki, którymi spacerowicze wchodzili do parku i z niego wychodzili. Próbowwała znaleźć wszelkie możliwe ślady: odciski stóp zbliżających się do dołu i od niego oddalających lub nagle zmieniających kierunek, zdeptane rośliny, połamane gałązki czy ślady kopania. Towarzyszący jej ludzie z CSI fotografowali ślady i zrobili nawet parę odlewów odcisków stóp.

Pobrali też odciski butów Pryor, by je wykluczyć, i Tracy odesłała ją do domu. Pryor zaczęła wprawdzie protestować, ale włączenie się Kinsa oraz to, że zwykłe zaginięcie zamieniało się w prawdopodobne zabójstwo, sprawiało, że dalsza obecność Pryor była zbędna. Choć tak naprawdę nie to skłoniło Tracy do podjęcia takiej decyzji. Uznała po prostu, że Pryor powinna wrócić już do swojej rodziny.

Przyjechała też Kelly Rosa i od razu zeszła po drabinie na dno dołu, w towarzystwie fotografa CSI, aby obejrzeć i utrwalić wygląd grobu i ułożenie w nim ciała. Pierwszym zadaniem Rosy było jednak stwierdzenie śmierci i pozytywna identyfikacja, a dopiero potem sporządzenie szkicu pokazującego ułożenie ciała. Po zrobieniu serii zdjęć Rosa próbowała

ustalić, czy Kavita Mukherjee była ofiarą zabójstwa lub nieszczęśliwego wypadku, czy też sama odebrała sobie życie.

W trakcie tych wszystkich działań - mimo że uczestniczyła w nich liczna grupa policjantów i techników - wokół panowała pełna szacunku cisza, jakby cały las spowił całun smutku. Słysząc było tylko buczenie generatorów i pojedyncze stłumione głosy.

Tracy usłyszała odgłos kroków i wraz z Kinsem odeszli od dołu, by powitać nadchodzącą Kaylee Wright. Wright pełniła funkcję starszej analityczki kryminalistyki, była w podobnym wieku i podobnej postury jak Tracy, ale miała ciemne włosy i dużo ciemniejszą karnację. W ręce trzymała ołówek i plik niebieskich kartoników, na których notowała wielkość i kształt wszystkich znalezionych odcisków butów. Z jej obojętnej, profesjonalnej miny trudno było cokolwiek wyczytać.

- Nie mogę jeszcze nic powiedzieć - oznajmiła cicho.

- Ale coś już znalazłaś. - Tracy знаła ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że coś już podejrzewa.

- Może. - Wright zmarszczyła czoło. - Przeszłam dwoma głównymi traktami... - Zajrzała do notatek. - Traktem Kojota i Traktem Trójlistu. - Pociągnęła ołówkiem po mapce parku, pokazując przybliżony przebieg traktów oraz ścieżki prowadzącej do dołu w ziemi. - Nie sądziłam, że kiedykolwiek powiem coś takiego o Seattle, ale tydzień słonecznej pogody bez kropli deszczu bardzo utrudnił mi życie. Zazwyczaj wcześniej rano i późno wieczorem w powietrzu jest wystarczająco dużo wilgoci, by podeszwa buta zostawiała odcisk, ale teraz prawie nic nie znajduję. Mogę jedynie powiedzieć, że kręciło się tu mnóstwo ludzi i trochę koni.

- A co z ofiarą? Znalazłaś jej odciski stóp gdzieś w pobliżu dołu? spytała Tracy.

- Nie. A miała na nogach dość charakterystyczne obuwie. Czółenka na płaskich obcasach. Gdyby gdzieś były ich ślady, tobym je rozpoznała.

- Czyli niezbyt odpowiednie obuwie do chodzenia po gęstym lesie zauważył Kins.

- To prawda. - Wright przerzuciła plik niebieskich kartoników i pokazała im rysunek podeszwy. - Produkuje je firma American Rag. Zwróćcie uwagę na charakterystyczny wzór na podeszwie.

Tracy spojrzała na rysunek: po cztery kwadratowe wypukłości w dwóch rzędach, między czubkiem buta a piętą. Osiem kwadracików.

- I nie znalazłaś takich śladów na ścieżce prowadzącej do dołu lub w jej pobliżu? - spytała z nadzieją w głosie, bo to byłby już jakiś trop, wskazujący, że ciało denatki zostało tu przeniesione.

Wright pokręciła głową.

- Ani na ścieżce, ani nigdzie w pobliżu. Natomiast na Trakcie Trójlistu i Trakcie Kojota znalazłam jej odciski świadczące o tym, że szła w tę stronę.

- Czyli wiemy już na pewno, że sama chodziła po parku - zauważył Kins.

- W każdym razie po jego części - uzupełniła Wright.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała Tracy.

- Bo po innej części biegła.

- Ktoś ją gonił? - zapytała Tracy.

- Nie wiem. Początkowo szła, ale w pewnej chwili, sądząc po wydłużonym kroku, zaczęła biec. A potem się zatrzymała. W jednym miejscu traktu znalazłam jej ślady skierowane w różne strony. I żadnych innych śladów, które by wskazywały, że przed kimś uciekała.

- Stała i kręciła się w kółko?

- Na to wygląda.

- Może się zgubiła - wtrącił Kins. - I próbowała zorientować się w terenie.

- Raczej nie - powiedziała Tracy. - Aditi twierdzi, że obie z Kavita dobrze znają ten park. Ale mogło jej się zdawać, że coś usłyszała. I dlatego zaczęła biec. Usłyszała coś i puściła się biegiem, a potem przystanęła, by złapać oddech albo sprawdzić, czy ktoś jej nie goni.

- Ale nie znalazłaś żadnych śladów świadczących o tym, że był tam ktoś jeszcze? - zwrócił się Kins do Kaylee Wright.

- Nie, w miejscu, gdzie się zatrzymuje i obraca, są tylko jej ślady.

- I żadnych jej śladów wokół dołu? - upewniła się Tracy.

- Żadnych.

- A powinny tam być, nie uważasz?

- Owszem, gdyby sama tam przysła lub przybiegła. I nawet jeśli po prostu wpadła do dołu, oczekiwałabym śladu jej buta, choćby fragmentarycznego, gdzieś na krawędzi tej dziury. Znalazłam na przykład ślady Katie Pryor w miejscu, gdzie straciła równowagę, a także twoje odciski. Oraz niepełny odcisk płaskiego buta, ale nie wiem, czy to się do czegoś przyda.

- Czyli logiczny wniosek, jaki można wysnuć z braku jej śladów w pobliżu dołu, jest taki, że wprawdzie sama weszła do parku i w pewnej chwili zaczęła biec, ale z jakiegoś powodu sama nie przybiegła ani nie podeszła do tego dołu - powiedział Kins.

- Nic nie wskazuje na to, żeby tak zrobiła - odrzekła Wright.

- Czyli możemy wykluczyć wersję, że był to wypadek. Że biegła i przypadkiem tam wpadła - wtrąciła Tracy.

- Brak na to dowodów. Samo z siebie niewiele to znaczy, ale jeśli Kelly stwierdzi, że przyczyną śmierci ofiary nie było wpadnięcie do dołu, to brak jej śladów w pobliżu będzie zdecydowanie wskazywał na to, że została zabita gdzieś indziej w parku, a potem ciało tam wrzucono.

Kins spojrzał na Tracy. Domyśliła się, co mu chodzi po głowie: jeśli Wright ma rację, zabójca musiał wiedzieć o istnieniu tego dołu, a nie natknął się na niego przypadkiem, szukając miejsca, gdzie mógłby ukryć ciało. Mogło to również znaczyć, że nigdy nie odkryją, co się naprawdę wydarzyło, bo Bellevue przejmie tę sprawę pod swoją jurysdykcję.

Wright popatrzyła w stronę oświetlonego namiotu.

- Przyjrzałam się dokładnie roślinności porastającej dół - powiedziała. - Nie znalazłam ani jednej złamanej gałązki, poza tymi, które zgmiotła Pryor. Nie było też żadnych włosów ani włókien jakiegokolwiek tkaniny. Również Kelly stwierdziła, że wstępne oględziny ubioru ofiary nie wykazują żadnych uszkodzeń. Ale nim sformułuję wnioski, będę chciała przyjrzeć się temu dokładniej w powiększeniu, a także sprawdzić krzaki i ziemię wokół dołu w dziennym świetle.

- Chcesz powiedzieć, że gdyby ofiara sama przez przypadek tam wpadła, to na jej ubiorze i na gałęziach powinny być jakieś ślady, tak? - upewnił się Kins.

- Tak. A jak dotąd niczego takiego nie znalazłam.

- Czyli ześlizgnięcie się Pryor może dostarczyć przydatnego materiału dowodowego - zauważył Kins.

- W każdym razie stanowi dowód na to, że zdrowy i fizycznie sprawny człowiek chwyta się wszystkiego, co ma pod ręką, żeby się ratować przed upadkiem. Powinniśmy więc znaleźć jakieś połamane gałązki i stratowane liście.

- Natomiast jeśli ciało zostało tam wrzucone, to zabójca mógł potem zamaskować dół całymi gałęziami, których liście byłyby nietknięte - dodała Tracy.

- Przynajmniej tak mówi moja robocza hipoteza - potwierdziła Wright.

- A to znaczy, że musiał wiedzieć o jego istnieniu - powiedział z naciskiem Kins. - Czyli znał ten park. Czy coś może świadczyć o tym, że ktoś tu wrócił i próbował zasypać dół?

- Nie ma tego rodzaju śladów.

Tracy wskazała na kartoniki w dłoni Wright.

- Znalazłaś coś jeszcze?

- Jak dotąd nie, ale powtórzę, że będę chciała jeszcze raz wszystko obejrzeć za dnia. Widać, że na tych traktach panuje duży ruch, więc oglądanie ich po ciemku niewiele daje. Jak już mówiłam, znalazłam wiele zatartych śladów stóp ludzi, którzy tu spacerują i biegają, a także ślady końskich kopyt, ale nic konkretnego.

- Nic, co by sugerowało, że ktoś z tych ludzi mógł tu przynieść ciało?

- Jak dotąd nie.

- Czyli nasze dowody to właściwie to, czego nie ma - mruknęła Tracy. - Nie ma połamanych gałązek ani stratowanych liści, wskazujących na to, że ofiara wpadła do dołu przez przypadek. Nie ma włókien materiału ani włosów na gałęziach i nie ma śladów stóp ofiary w pobliżu dołu.

- Właśnie.

- Ale są takie ślady na fragmentach traktów, co dowodzi, że ofiara z własnej woli przyszła do parku i że w pewnej chwili zaczęła biec w tę stronę.

- Zgadza się - potwierdziła Wright.

- Może miała się tu z kimś spotkać. Z kimś znającym park równie dobrze jak ona - podsunął Kins.

Tracy pomyślała o Aditi.

- Wrócę tu jutro za dnia i jeszcze raz wszystko obejrzę - oznajmiła Wright. - Jak długo będziemy mieć to miejsce do dyspozycji?

- Jak długo będzie trzeba.

Tracy miała taką nadzieję. Spojrzała w stronę namiotu i w padającym z niego świetle zobaczyła, jak mężczyzna w granatowym mundurze policji Bellevue podchodzi do jednego z techników z CSI i coś do niego mówi, a ten rozgląda się, odnajduje wzrokiem Tracy i Kinsa i wskazuje na nich ręką.

Rozdział 28

Faz siedział w sali konferencyjnej budynku przy Park 95, trzymając w dłoniach kubek z czarną kawą. Poprosił o espresso lub mocną czarną, bo czuł się wykończony. Może po prostu jestem już za stary na takie zabawy, pomyślał. A może choroba Very zgnębiła go bardziej, niż przyznawał to sam przed sobą. Miał przepracowane dość lat, by przejść już, tak jak Arroyo, na pełną emeryturę, tylko co będzie wtedy robił? Rozmawiali nawet z Verą, że mogliby podróżować, zobaczyć miejsca, w których nigdy nie byli, głównie z powodu braku czasu. Chciałby też jeszcze raz pojechać do Włoch, gdzie spędzili swój miesiąc miodowy, a przy okazji odwiedzić Paryż i Barcelonę, jak kiedyś obiecał Verze, ale teraz podróże trzeba będzie odłożyć na lepsze czasy.

Wyciągnął przed siebie nogi i rozmasował kark, gdzie umiejscowiło się największe zmęczenie. Dwie tabletki advilu nie uporały się jeszcze z bólem głowy, nie pomogły też na uporczywe dzwonienie w uszach. Ręce i nogi miał ciężkie jak ołów i wiedział z doświadczenia, że taki stan jest u niego skutkiem silnego stresu, fizycznego i umysłowego. Teraz marzył tylko, żeby ten wieczór jak najszybciej się skończył, żeby wrócić do domu i porządnie odpocząć. Czuł jednak, że jego udręka dopiero się zaczyna.

- Wszystko w porządku, Faz? - rzucił Larry Pinnacle, wchodząc do sali konferencyjnej i zamykając za sobą drzwi.

Niegdysiejszy detektyw od włamań, Pinnacle stał się jednym z sześciu śledczych WKD, gdy powołano tę komórkę do życia w 2014 roku. Faz go znał, bo zetknął się z nim kiedyś w pracy. Z uśmiechem mówili sobie "Dzień dobry" i na tym ich zażyłość się kończyła. Faza wcale to nie martwiło. Nie zamierzał zawierać nowych przyjaźni ani wdawać się w towarzyskie pogawędki. Chciał jedynie złożyć oświadczenie i wrócić do domu.

- Taaa, jestem tylko trochę skonany. - Faz wyprostował się na krześle. - Bierzmy się do roboty.

- Postaramy się to załatwić jak najszybciej - zapewnił go Pinnacle.

Faz miał co do tego poważne wątpliwości.

- Odczytano ci Prawa Garrity'ego i podpisałeś papier, tak? - upewnił się Pinnacle.

Prawa Garrity'ego chroniły funkcjonariuszy publicznych przed samooskarżeniem w dochodzeniu prowadzonym przez ich pracodawcę i wynikały z piątej i czternastej poprawki do konstytucji, w których jest mowa o tym, że obywatel nie ma obowiązku zeznawać przeciwko sobie.

Faz przesunął po stole podpisany formularz, Pinnacle rzucił na niego okiem, odłożył na bok i powoli usadowił się na krześle. Z powodu sumiastych wąsów, które zakrywały mu górną wargę, wielkiej głowy i gruszkowatego tułowia kojarzył się Fazowi z morsem.

- No dobrze, masz jakieś pytania, nim zaczniemy?

Faz pokręcił głową, a Pinnacle włączył stojący na stole magnetofon.

- Będziemy to nagrywać, okej? - Nie czekając na odpowiedź, wcisnął klawisz nagrywania i przesunął mikrofon bliżej Faza.

Ten wyjął z kieszeni telefon.

- Ja też będę nagrywał - oświadczył, włączył nagrywanie i położył telefon obok magnetofonu.

Pinnacle popatrzył na telefon, ale zostawił to bez komentarza. Najpierw podał swoje nazwisko, stanowisko i numer służbowy oraz cel spotkania: "Przesłuchanie detektywa Vittoria Fazzia w związku ze śmiertelnym postrzeleniem Eduarda Felixa Lopeza przez funkcjonariuszkę policji". Po tych wstępnych formalnościach Pinnacle wziął do ręki następną kartkę i zaczął z niej czytać. Faz nigdy wcześniej nie uczestniczył w tej procedurze, ale słyszał od kolegów, że WKD postępuje według ustalonego scenariusza oraz że śledczy zostali nauczeni, że w trakcie przesłuchania mają nie okazywać żadnych emocji. Do tego stopnia, że za plecami zaczęto ich nazywać Robocopami.

- Detektywie Fazzio, ma pan świadomość, że będę pana pytał o okoliczności użycia broni palnej?

- Tak - odrzekł Faz.

Pinnacle rozparł się na krześle i wlepił w niego spojrzenie.

- Dobrze, więc na początek proszę wyjaśnić, co było powodem waszej wizyty w bloku mieszkalnym w South Park.

- Powodem było ustalenie adresu Eduarda Lopeza.

- Kto to jest...

- Och, przepraszam. - Faz pokręcił głową, jakby chciał zrzucić z niej zasnuwające ją pajęczyny, i łyknął kawy. - To podejrzany w sprawie zabójstwa Monique Rodgers.

- Dziękuję. Proszę kontynuować.

- Mieliśmy informację, że mieszka w lokalu numer pięćset jedenaście. Zamierzaliśmy przeprowadzić akcję pozorowaną.

- Dlaczego nie włączyliście w to SWAT-u?

- Nie było takiej potrzeby. To miała być akcja pozorowana.

- Kto podjął taką decyzję?

- Ja.

- Czy podejrzewał pan, że Lopez jest uzbrojony?

- Nie mieliśmy w tej sprawie żadnych informacji.

- Ale było to możliwe? - drażył Pinnacle.

- Każdy może być uzbrojony, zwłaszcza w takim miejscu i w tych czasach. Ale czy myślałem, że jest uzbrojony i stanowi zagrożenie? Nie.

- Czy podejrzewał pan, że Lopez jest sprawcą zabójstwa Rodgers?

Faz wzruszył ramionami. Wiedział, po co Pinnacle zadaje to pytanie, i nie zamierzał dać mu się podejść. Gdyby odpowiedział twierdząco, Pinnacle od razu by zapytał, na jakiej podstawie uznali, że zabójca nie jest uzbrojony.

- Nie wiedzieliśmy, czy jest sprawcą - odparł. - Wiedzieliśmy, że odcisk jego dłoni znalazł się na masce samochodu zaparkowanego w pobliżu miejsca przestępstwa. To mogło wskazywać, że Lopez dokonał zabójstwa, a potem, uciekając, oparł się o maskę samochodu. Jednak zamierzaliśmy to dopiero ustalić.

- Czy pan lub pana partnerka chcieliście włączyć SWAT do nakazu przeszukania?

- Jak już mówiłem, na tym etapie nie potrzebowaliśmy SWAT-u ani nakazu przeszukania. Natomiast jeśli chodzi o to, co myślała lub chciała Andrea Gonzalez, musi ją pan samą spytać. Ja nie będę spekulował.

- Oświadczyła panu, że chciałaby w to włączyć SWAT?

Faz starał się wyczuć, do czego zmiierają te pytania. Nie brzmiały tak, jakby Pinnacle realizował obmyślony wcześniej scenariusz.

- Wspomniała po drodze, że czasami czuje się lepiej w obecności SWAT-u.

- Pamięta pan, że tak powiedziała?

- Coś w tym rodzaju, tak.

- A co dokładnie?

Faz westchnął. Wydawało mu się, jakby od tamtej chwili minęła cała wieczność.

- Mniej więcej coś takiego, że czuje się bezpieczniej, kiedy w pobliżu stoi ktoś z AR piętnaście w garści, gotów wpakować draniowi kulę w

tyłek.

- Ale pan nie uważał, że potrzebna jest obecność SWAT-u?

- W tym momencie? Nie. Jak już mówiłem, była to akcja pozorowana. Nie mieliśmy dowodów, że Lopez będzie uzbrojony ani że to on jest zabójcą Monique Rodgers, ani też że wie o naszym przybyciu i uzna nas za zagrożenie. Powtarzam: to miała być akcja bez skutków prawnych.

- Jakimi jeszcze dowodami dysponowaliście, poza nagraniem wideo, na którym widać, że Lopez dotyka zaparkowanego samochodu i zostawia na nim ślad?

Faz znów łyknął kawy, odstawił kubek i przeciągnął paznokciem po jego brzegu.

- Żadnymi.

- Czy nie należało oczekiwać, że Lopez może być uzbrojony, skoro podejrzewaliście go o zabójstwo Monique Rodgers?

- Ile razy mam to powtarzać? Jestem pewny, że istnieje mnóstwo nagrań facetów, którzy znajdowali się wtedy w tym rejonie. Czy każdego z nich mamy uważać za uzbrojonego i groźnego? Po prostu chcieliśmy z nim porozmawiać, dowiedzieć się, co tam wtedy robił, czy może coś widział, i zobaczyć, czy nie zachowuje się podejrzanie, a potem ewentualnie przystąpić do dalszego działania.

- Ale nie spytał pan o to swoich zwierzchników, tak?

- O co? Czy mamy wezwać SWAT? Nie, nie spytałem.

Faz widział obracające się w głowie Pinnacle'a trybiki i nagle zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. I tak źle, i tak niedobrze. Jeśli działali, zakładając, że Lopez jest nieuzbrojony, to dlaczego Gonzalez tak szybko sięgnęła po broń? Będzie musiała sama na to odpowiedzieć.

Pinnacle nie odpuszczał.

- Czyli udaliście się do tego mieszkania, by przeprowadzić akcję pozorowaną.

- I żeby spytać Lopeza, czy możemy przeszukać jego mieszkanie.

- Szukaliście czegoś konkretnego?

Faz chwilę się zastanawiał.

- Broni i kaptura.

- Co to znaczy "kaptura"?

- Bluzy z kapturem. Na nagraniu Lopez ma naciągnięty na głowę kaptur.

- I jaki wyciągnął pan z tego wniosek?

- Że może starał się ukryć swoją tożsamość.

- Jakiej broni szukaliście?

- Rewolweru kalibru trzydzieści osiem. Na miejscu zabójstwa Monique Rodgers nie znaleźliśmy żadnych łusek, więc założyliśmy, że zabójca posłużył się rewolwerem. Pocisk, który ją zabił, był kalibru trzydzieści osiem.

- I co się wydarzyło po waszym przyjeździe?

Faz znów chwilę się zastanawiał. Był wyczerpany i dzwonienie w uszach stawało się jeszcze bardziej dokuczliwe. Pociągnął za ucho, jak pływak, który chce wytrząsnąć z niego wodę.

- Stałem pod drzwiami mieszkania, z lewej strony, detektyw Gonzalez stanęła po prawej.

- Detektyw Gonzalez nie jest pana stałą partnerką, zgadza się?

- Tak. Mój stały partner, Del Castigliano, miał kontuzję pleców i wziął dzień wolnego.

- I nigdy wcześniej nie pracował pan z detektyw Gonzalez?

- Nie. Zaczęła pracować u nas dopiero w poniedziałek.

- Czy nie miał pan jakichś obaw, zabierając funkcjonariuszkę o niewiadomym doświadczeniu, żeby dokonać dynamicznego przeszukania?

- Nie powiedziałem, że to miało być dynamiczne przeszukanie zaznaczył Faz. Dynamicznym nazywano przeszukanie lokalu osoby podejrzanej, że jest uzbrojona i niebezpieczna. - Już mówiłem, że to była akcja pozorowana. A czy miałem jakieś obawy, zabierając ze sobą Gonzalez? Nie, nie miałem. Wiedziałem, że pracowała w dochodzeniówce w Los Angeles i że ma duże doświadczenie.

- Skąd pan to wiedział?

- Sama mi powiedziała.

- Nie próbował pan zweryfikować tej informacji?

- Jak zweryfikować, Larry? - prychnął Faz. - Jeśli mi ktoś mówi, że ma doświadczenie, to mu wierzę.

Pinnacle'owi nie drgnęła nawet powieka.

- Czyli nie próbował pan zweryfikować tej informacji? - powtórzył.

Faz nie odpowiedział od razu. Wiedział, że Pinnacle wykonuje tylko swoją pracę, ale co takiego jest w stanowiskach urzędniczych, że śledczy nagle zapominają o swojej przeszłości i zamieniają się w zasranych biurokratów?

- Założyłem, że skoro przyjęto ją do pracy w Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych, to została dokładnie sprawdzona, ale takie sprawy nie mieszczą się w moich kompetencjach. Może trzeba spytać o to porucznika Lauba albo kapitana Nolasco.

- Zaczął pan mówić, co się wydarzyło, kiedy stanęliście pod drzwiami mieszkania Lopeza.

Faz milczał, usiłując sobie przypomnieć, do którego momentu doszedł. Zaczynał się czuć tak, jakby te pytania wcale nie służyły odświeżeniu jego pamięci, tylko miały wpędzić go w pułapkę. Zmuszały go, żeby mówić, przeskakując z tematu na temat, i wprowadzały zamęt, tak by utrudnić mu trzymanie się jakiegoś porządku. Faz stosował podobne techniki w swoich przesłuchaniach, tyle że w tym wypadku nie było mowy o żadnym przemyślanym scenariuszu, a on nie był podejrzanym. A może był? Czuł się śmiertelnie zmęczony, i to nie tylko z powodu wydarzeń tego wieczoru. Był emocjonalnie wyczerpany z powodu tego, co się działo w jego życiu od chwili diagnozy Verry. I nie stawał się przecież coraz młodszy.

Przez chwilę w milczeniu sączył kawę. Dzwonienie w uszach nie ustawało i znów pociągnął za ucho.

- Może pan kontynuować? - spytał Pinnacle.

- Tak, mogę - odrzekł Faz i po chwili podjął relację. - Stałem po lewej stronie drzwi do mieszkania, detektyw Gonzalez stała po prawej. To było mieszkanie numer pięćset jedenaście. Już miała zapukać, gdy usłyszałem męski głos, który jakby dochodził zza drzwi, więc wyciągnąłem rękę i ją powstrzymałem.

- Czy na tym etapie pan albo detektyw Gonzalez wyjęliście broń z kabury?

- Nie wtedy. - Faz starał się sobie przypomnieć, w którym momencie sięgnął po broń.

- Jest pan pewny?

- Tak.

- Czy detektyw Gonzalez oznajmiła, że jesteście funkcjonariuszami policji Seattle?

- Nie miała okazji. Tak jak mówiłem, usłyszałem nagle...

- I co ten ktoś mówił?

- Nie wiem. To było chyba po hiszpańsku.

- Ten ktoś mówił po hiszpańsku?

- Gonzalez tak uznała. Ruchem warg rzuciła "hiszpański", a ona zna przecież ten język.

- Skąd dochodził ten głos?

- Zza drzwi mieszkania. Tak mi się zdawało. Ale nie byłem pewien, więc spytałem Gonzalez i wtedy.

- Nie wiedział pan skąd?

- Nie byłem pewny. Zdawało mi się, że z mieszkania Lopeza. Gonzalez też tak myślała. Ale możliwe, że z mieszkania obok.

- Słyszał pan, co ten ktoś mówi?

- Już mówiłem, że tak, ale nic nie rozumiałem.

Pinnacle zapisał coś w notatniku.

- Dalej.

Czy to miało być pytanie? Faz nie sądził, ale chciał jak najszybciej dobrać do końca tego przesłuchania.

- Detektyw Gonzalez już miała zapukać, gdy usłyszałem za sobą jakiś dźwięk, odgłos otwieranych drzwi, i zobaczyłem, jak ona wytrzeszcza oczy, jakby za moimi plecami działo się coś niezwykłego.

- Patrzyła na pana czy na drzwi, w które pukała?

- Patrzyła na mnie. Nie, nie na mnie, tylko za mnie. Za moje lewe ramię. - Faz machnął prawą ręką w stronę lewego ramienia. - I zobaczyłem, że jej oczy robią się wielkie jak spodki. A potem zrobiła krok w moją stronę i uniosła rękę z pistoletem nad moje ramię.

- Czy usłyszał pan coś, nim zobaczył, że patrzy ponad pana lewym ramieniem?

- Jak już mówiłem, usłyszałem kogoś mówiącego po hiszpańsku i odgłos otwieranych drzwi.

- Odwrócił pan głowę, żeby sprawdzić, co się dzieje?

- Tego akurat nie pamiętam. Patrzyłem na Gonzalez i skupiałem uwagę na drzwiach, w które miała zapukać.

- I co dalej?

- Odepchnęła mnie, a ja zatoczyłem się na ścianę po drugiej stronie korytarza.

- Pchnęła pana tak, że stracił pan równowagę?

Faz wyczuł w jego głosie nutkę niedowierzania. Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ważył ponad sto dwadzieścia kilogramów. Gonzalez miała metr sześćdziesiąt pięć i ważyła chyba niespełna sześćdziesiąt kilogramów.

- Tak było. Uniosła rękę i krzyknęła: "Broń!".

- Krzyknęła "Broń"?

- Unosząc rękę z pistoletem, wrzasnęła "Broń" i oddała trzy szybkie strzały, jeden po drugim.

- Odepchnęła pana przed tym okrzykiem czy po nim?

- Wszystko działo się prawie jednocześnie. Krzyczy: "Broń!", unosi prawą rękę z pistoletem i odpycha mnie lewą. - Faz zademonstrował jej ruchy.

- Powiedział pan, że krzyknęła "Broń"?

- Tak jest.

- Ale pan tego nie krzyknął?

Faz wlepił wzrok w Pinnacle'a.

- Słucham?

- Pan nie krzyknął "Broń"?

- Już powiedziałem, że stałem plecami do drzwi. Dlaczego miałbym coś krzyczeć?

- Staram się tylko dokładnie odtworzyć tę scenę.

- Wcale nie. Stara się mnie pan sprowokować, żebym chlapnął coś, co nie będzie pasować do tego, co mówiłem wcześniej. Zaczyna mnie to wkurwiać.

Pinnacle puścił to mimo uszu.

- Stał pan twarzą do drzwi, do których pukaliście, zgadza się?

- Nie zgadza się. - Fazowi było coraz trudniej opanować irytację. Stałem pod kątem do drzwi, twarzą do okna na końcu korytarza, i skupiałem uwagę na drzwiach do mieszkania Lopeza - wycedził, gestykulując, żeby zobrazować tę sytuację. - Do tych drzwi Gonzalez miała pukać.

- Nie widział pan, jak podejrzany otwiera drzwi?

- Jak mogłem wiedzieć? Te drzwi były za moimi plecami - warknął ze złością Faz.

- Tylko pytam.

- A ja to już powiedziałem. Idźmy dalej.

Pinnacle przez chwilę jakby się zastanawiał.

- Czy ma pan jakiegokolwiek wątpliwości, że to detektyw Gonzalez krzyknęła "Broń"? - spytał wreszcie.

- Czy mam jakiegokolwiek wątpliwości?

- Tak.

Faz przesłuchał tak wielu podejrzanych, że umiał czytać mowę ciała. Pinnacle spuścił wzrok i odchylił się na oparcie krzesła. Przypuszczał, że Faz kłamie.

- Nie. Nie mam wątpliwości - oświadczył.

- I nie ma pan wątpliwości, że Gonzalez spojrzała ponad pana ramieniem, zobaczyła podejznanego i zaatakowała, odpychając pana na bok?

- Nie mam.

- Powiedział pan, że zapukała do drzwi.

- Powiedziałem, że miała zapukać.

- Czyli stała pod drzwiami i była gotowa zapukać.

- Właśnie tak.

- Nie zwrócił jej pan uwagi na podejznanego?

- Jak miałem zwrócić jej uwagę?

- Nie krzyknął pan "Broń"?

- Larry, o co, kurwa, chodzi? - warknął Faz i chwilę odczekał, ale Pinnacle milczał. - Ona twierdzi, że to ja krzyknąłem "Broń"?

- Więc nie krzyknął pan "Broń"?

- Już mówiłem.

- Czy krzyknął pan "Broń"?

- Już powiedziałem, że nie.

- I w żaden inny sposób nie zwrócił pan uwagi detektyw Gonzalez na podejznanego, który wychodził z mieszkania obok?

- Koniec z tym gównem. - Faz odsunął się z krzesłem i wstał.

- Powiem panu, detektywie, kiedy skończymy.

- Nic mi nie powiesz. To ja ci mówię, że mam tego dość. A jak nie, to zanim odpowiem na następne pytanie, życzę sobie obecności przedstawiciela związku.

Pinnacle też wstał i uniósł obie ręce, w jednej dłoni trzymając długopis.

- Dobra, dobra. Idźmy dalej, okej? Zostawimy to i pójdziemy dalej.

- Co tu jest grane? Ona powiedziała, że to ja krzyknąłem "Broń"?

- Idźmy dalej. Proszę mi powiedzieć, co było potem, jak pchnęła pana na ścianę.

Faz przysunął sobie krzesło, usiadł i przez chwilę sącył wystygłą kawę. Wreszcie zebrał się w sobie.

- W uszach mi dzwoniło od huku wystrzałów z jej glocka, tuż przy moim lewym uchu - odparł. - Następne, co pamiętam, to pytanie Gonzalez, czy nic mi nie jest.

- Dlaczego? A co się stało?

Faz wlepił wzrok w Pinnacle'a.

- Właśnie powiedziałem. Wystrzeliła trzy razy tuż przy moim uchu. W ogóle nie słyszałem, co do mnie mówi.

- A mówiła coś?

- Nie słyszałem.

- Ale usłyszał pan, jak spytała, czy nic panu nie jest?

- Po chwili tak.

- Jak długo trwało, zanim znów ją pan usłyszał?

- Nie wiem.

- Kilka sekund? Minut?

- Nie, kilka sekund.

- I co potem?

- Potem weszła do tego mieszkania, z którego wyszedł Lopez. W środku była kobieta. Siedziała na podłodze, plecami do ściany, tuląc małe dziecko. Jedno i drugie krzyczało.

- Co krzyczała kobieta?

- Nie wiem. To znaczy coś głośno wołała.

- Nie słyszał pan słów, bo dzwoniło panu w uszach?

- Gonzalez o coś zapytała ją po hiszpańsku, a ona po hiszpańsku odpowiedziała.

- Ile pan waży?

Faz znów przez moment milczał.

- A to ważne?

Pinnacle obrzucił go spojrzeniem.

- Nie wiem.

- Około stu dwudziestu kilogramów.

Pinnacle zapisał coś w notatniku, po czym odchylił się na oparcie krzesła.

- Kiedy Gonzalez weszła do mieszkania, co pan zrobił?

- Sprawdziłem podejrzanemu puls, a kiedy go nie wyczułem, zacząłem szukać broni.

- Podejrzany nie żył?

- Z całą pewnością.

- Znalazł pan broń?

- Nie znalazłem. W prawej dłoni miał tylko telefon komórkowy. Pomyślałem, że może broń leży pod nim.

- Zajrzał pan pod ciało?

- Nie od razu.

- To co pan zrobił?

- Skułem Lopeza, wszedłem za Gonzalez do mieszkania i pomogłem jej sprawdzić resztę pomieszczeń.

- Co robiła Gonzalez?

- Jak już mówiłem, w mieszkaniu była kobieta z małym dzieckiem. Siedziała wciśnięta w kąt. I ona, i dziecko histerycznie zawodzili. Gonzalez mówiła coś do niej po hiszpańsku.

- Nie rozumiał pan co?

- Nie. Ale jestem pewny, że spytała ją o nazwisko mężczyzny leżącego w korytarzu.

- I co ona odpowiedziała?

- Że to Eduardo Lopez.
 - Detektywie Fazzio, czy znalazł pan w końcu tę broń?
 - Nie znalazłem.
 - A w mieszkaniu? Znaleźliście w mieszkaniu jakąś broń?
 - W mieszkaniu, w którym była ta kobieta z dzieckiem? Nie. Nie mieliśmy nakazu rewizji, więc tylko pobieżnie się rozejrzeliśmy, ze względów bezpieczeństwa.
 - A do mieszkania podejrzanego nie wchodziliście?
 - Nie. Poczekaliśmy na przyjazd ekipy CSI.
 - Śmierć Monique Rodgers... to pana jedyna bieżąca sprawa, czy tak?
 - Tak.
 - Pan i detektyw Castigliano pomyślnie rozwiązaliście wszystkie sprawy zabójstw, z jakimi mieliście do czynienia. To też prawda?
 - Owszem.
 - A Lopez był jedynym tropem prowadzącym do śmierci Rodgers?
 - Jak do tej pory tak.
 - Czy chciałby pan jeszcze coś dodać?
 - Nie.
 - Na tym kończę nagrywanie.
- Pinnacle wyłączył magnetofon i spojrzał przez stół na Faza.
- Dziękuję, detektywie. Skończyliśmy.
- Faz wziął ze stołu swój telefon. Chciał, żeby Pinnacle miał rację, ale doświadczenie mówiło mu, że do końca sprawy jest jeszcze daleko. Bardzo daleko.

Rozdział 29

Rozmowa Tracy i Kinsa z kapitanem Rayem Giacomoto z policji w Bellevue była profesjonalna i szczerą. Giacomoto chciał wiedzieć, co Tracy i Kins robią "po tej stronie jeziora" i dlaczego o niczym go nie powiadomili.

- Ofiara była mieszkanką Seattle i zawiadomienie o jej zaginięciu wpłynęło do tamtejszej policji - wyjaśniła Tracy. - Nie przyszło nam do głowy, że natkniemy się w parku na jej zwłoki. Podążałyśmy za sygnałem jej telefonu komórkowego. Gdy znalazłyśmy ciało, uznałam, że najlepiej będzie najpierw dokonać oględzin miejsca, aby nie tracić czasu i nie ryzykować ewentualnej utraty dowodów przestępstwa.

- Jesteśmy w pełni wyposażeni, by przeprowadzać oględziny miejsca przestępstwa, pani detektyw. - Giacomoto uśmiechnął się kwaśno. - Mam nadzieję, że wie pani o tym.

- Oczywiście - odrzekła Tracy.

- Więc skąd ten pośpiech? Znała pani ofiarę?

- Tylko z rozmów z jej współlokatorką i rodziną. Sprawą jej zaginięcia zajmujemy się już od paru dni.

- Ale zwłoki nigdzie się stąd nie wybierały.

- Nie, to prawda.

- I powinny podlegać pod jurysdykcję Bellevue.

- Być może, nie mogłam jednak wiedzieć, i nadal tego nie wiemy, czy ofiara na pewno została zabita tutaj. Wokół dołu nie ma żadnych odcisków stóp i według wstępnej opinii naszej specjalistki, Kavite Mukherjee zabito gdzie indziej i wrzucono jej zwłoki do tego dołu. - Tracy nie dodała, że według tejże wstępnej opinii, Kavite Mukherjee zabito gdzie indziej w parku. - Poza tym od dawna nie mieliśmy deszczu i synoptycy zapowiadali gwałtowną burzę. Dlatego uznałam, że najbezpieczniej będzie bezzwłocznie dokonać oględzin miejsca znalezienia zwłok, zanim mogłoby dojść do rozmycia odcisków stóp i innych śladów.

Giacomoto nie wyglądał na przekonanego, ale najwyraźniej postanowił chwilowo odpuścić i dać Tracy pracować dalej.

- Chcielibyśmy tylko dostać kopie wszystkich raportów - oświadczył.

- Oczywiście - powiedziała Tracy.

- A co do jurysdykcji, to podejrzewam, że decyzja i tak zapadnie gdzieś ponad naszymi głowami. Do tej chwili chętnie sobie posiedzę i nie będę do niczego się wtrącał.

Wszyscy troje odwrócili głowy, słysząc jakiś rumor. Z dołu wygramoliła się Kelly Rosa. Wyglądała jak archeolog prowadzący wykopaliska. Miała ubłocone do kolan dżinsy, na nogach robocze buciorzy, na głowie bejsbolówkę Marinersów. Zgasiła czołówkę, żeby nie świecić im po oczach, ściągnęła zakrywającą jej nos i usta maskę, zdjęła lateksowe rękawiczki i strząsnęła z koszuli grudki błota. Na kolanach miała gumowe ochraniacze i poruszała się w nich dość niezdarne.

- Pierwszy raz je u ciebie widzę - zauważył Kins.

- Kupiłam w Costco - wyjaśniła. - Są przeznaczone dla brukarzy, ale moje kolana nie są już takie młode jak kiedyś.

- A już pomyślałem, że trenujesz bejsbol - zażartował Kins.

- Tak, no cóż, Marinersom przydałby się ktoś naprawdę dobry. Zawiesiła głos, po czym dodała: - Mogę wam już powiedzieć, że to nie był rabunek, chyba że sprawca to najgłupszy złodziej pod słońcem. Przy wzroście niewiele ponad metr pięćdziesiąt, Rosa szczyciła się wielką osobowością. - Ofiara ma w kieszeni dwanaście dolarów, prawo jazdy wydane w stanie Waszyngton i kartę kredytową, a także złoty łańcuszek na szyi i złotą bransoletkę na ręce.

- Czyli to nie był napad rabunkowy, a zabójca nie próbował ukryć jej tożsamości - stwierdził Kins.

- Tyle że zabójca wrzucił ją do dołu zarośniętego krzakami - zauważyła Rosa.

- Nikt nie lubi efekciarzy - bąknął Kins.

- Powiedziała pani "wrzucił". Czyli to nie był wypadek? - spytał Giacomoto.

- Nie - mruknęła Rosa. - Nie sądzę, żeby to był wypadek.

- A według pani, co to było?

Rosa uniosła rękę i machnęła nią tak, jakby waliła w głowę.

- Umarła od obrażeń głowy. Kilka silnych ciosów w skroń, co najmniej dwa lub trzy. Nie będziemy wiedzieć dokładnie, póki nie zrobimy fotografii obrażeń w zbliżeniu. Uderzono ją w prawą skroń czymś twardym i chropowatym, prawdopodobnie kamieniem. Na waszym miejscu kazałabym mundurowym poszukać w parku kamienia ze śladami krwi.

- Równie dobrze mogliby szukać igły w stogu siana - mruknął Kins. - I to w dwustuhektarowym stogu.

- Zabójca mógł go zwyczajnie odrzucić i kamień gdzieś tu leży - powiedziała Rosa.

- Jest pani pewna, że zabójca użył kamienia? - spytał Giacomo.

- Pewna będę, kiedy obejrzę wszystko pod mikroskopem, ale to bardzo prawdopodobne.

- Czyli poniosła śmierć tu, w parku? - upewnił się Giacomo.

- Ustalenie tego nie należy do mnie - odrzekła Rosa i Tracy pomyślała, że antropolożka celowo nie przesądza sprawy. - Mogę tylko stwierdzić, że nie została zabita ani w tym dole, ani nigdzie w pobliżu, ale gdzie...? - Rosa wzruszyła ramionami.

- Oddeleguję kilku moich mundurowych do przeszukania parku oświadczył Giacomo. - Ktoś od pani sprawdził już końskie trakty? zwrócił się do Tracy.

- Właśnie to robią. Ale dodatkowe pary oczu zawsze się przydadzą. Giacomo wręczył Rosie wizytówkę.

- Chciałbym dostać kopię pani raportu, gdy będzie gotowy - powiedział, po czym obrócił się na pięcie i odszedł.

Ustalenia Rosy przemawiały za hipotezą Kaylee Wright, że zwłoki Mukherjee przyniesiono tu i wrzucono do dołu.

- Coś jeszcze? - spytała Tracy.

- W dole jest bardzo mało krwi. Gdyby tam wpadła i rozbiła sobie głowę, krwi byłoby dużo więcej. Pośmiertne zasinienia odpowiadają ułożeniu zwłok w dole, ale to zapewne dlatego, że została do niego wrzucona zaraz po śmierci. - Rosa miała na myśli sinofioletowe wybroczyny, jakie występują w tych częściach ciała, które znajdowały się najbliżej ziemi. - Kiedy ostatni raz widziano ją żywą?

- W poniedziałek wieczorem - odparła Tracy. - Gdzieś około szóstej.

Rosa zwróciła głowę w stronę dołu, mówiąc jakby do siebie:

- Brak stężenia pośmiertnego, a więc nie żyje co najmniej od dwunastu godzin, ale prawdopodobnie dłużej. Ma odbarwienia w okolicach jamy brzusznej i lekkie wzdęcie, czyli jest martwa od trzydziestu sześciu do czterdziestu ośmiu godzin. Są też pierwsze objawy marmurkowatości skóry.

- Czyli poniedziałkowy wieczór jest możliwy - wtrąciła Tracy.

- Zdecydowanie tak, ale spróbujemy określić to precyzyjniej.

- Ale żeby ktoś wielokrotnie walił ją w głowę kamieniem... - wtrącił Kins.

- Tak, wiem, co chcesz przez to powiedzieć - odrzekła Rosa. - I w dodatku były to potężne ciosy.

- Ktoś musiał być naprawdę rozeźlony.

Rosa wzruszyła ramionami.

- Ustalenie tego to już wasza działka. Ja mogę powiedzieć tyle, że siła, z jaką zadano te ciosy, dowodzi, że sprawca chciał świadomie wyrządzić jej krzywdę. Właśnie szykujemy się, żeby zabrać ciało. Potem dół będzie do waszej dyspozycji.

- Jakieś ślady przemocy seksualnej? - spytała Tracy, przerzucając w myślach listę pytań i kolejno je odhaczając.

- Pewności nie ma, póki nie zbadamy ciała laboratoryjnie, ale nie zauważyłam żadnych zewnętrznych śladów szamotaniny: rozdartego ubrania, otarć czy zasinień naskórka, połamanych i zabrudzonych paznokci. Ale jak mówię, wszystko to jeszcze raz sprawdzimy.

- Znajdziesz chwilę, żeby to wszystko opisać w raporcie?

- Jestem dość zajęta - odparła Rosa z uśmiechem. - I w każdej chwili mogę być odwołana do czegoś innego. - Mrugnęła porozumiewawczo i zawróciła w stronę dołu.

- Czyli to nie napad rabunkowy i prawdopodobnie nie napaść seksualna - powiedziała Tracy po jej odejściu. - I silne ciosy w głowę.

- Mówiłaś, że nie miała chłopaka?

- Nic nam o żadnym nie wiadomo, ale była z kimś umówiona.

Tracy odwróciła się, bo znów ktoś się zbliżał. Tym razem mundurowy, z twardą podkładką w dłoni, prowadził kobietę w brązowych bojówkach z wieloma kieszeniami, botkach i grubej czarnej kurtce.

- To jest Margo Paige - odezwał się. - Szefowa straży parkowej.

Tracy podała jej rękę i przedstawiła siebie i Kinsa.

- Od jak dawna pani tu pracuje? - spytała.

Wzrok Paige prześlizgnął się po Tracy i zatrzymał na namiocie ustawionym nad dołem.

- Około trzech lat. - Mówiła łagodnym głosem, dużo niższym, niżby Tracy się spodziewała po jej posturze.

- Czyli zna pani ten park na wylot.

- Na ile to możliwe.

- Proszę, niech pani ze mną podejdzie.

Tracy poprowadziła Paige ścieżką wytyczoną przez CSI, do taśmy otaczającej miejsce przestępstwa.

- Zna pani tę jamę?

Paige wyglądała na zaskoczoną.

- W jakim sensie mam ją znać?

- Wiedziała pani o jej istnieniu?

- A nie została wykopana?

- Nie ostatnio.

Paige pokręciła głową.

- Nie, nic o niej nie wiedziałam. Gdybym wiedziała, kazałabym ją zasypać.

- Ile może tu być takich dołów?

Paige przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Proszę pamiętać, pani detektyw, że park ma około dwustu hektarów powierzchni, jest tu ponad czterdzieści pięć kilometrów traktów końskich i otaczają go liczne domy mieszkalne, ale z tego, co wiem, nie ma w nim zbyt wielu podobnych dołów. Prawdę mówiąc, nic mi nie wiadomo, żeby w ogóle jakieś były.

- Ani jednego? - wtrącił Kins.

- Ja w każdym razie o żadnym nie słyszałam.

- Domyśla się pani, skąd ten się tutaj wziął? Do czego mógł służyć?

- Sądząc po bliskości domów mieszkalnych tuż za obrzeżem parku - Paige wskazała głową prześwitujące między drzewami światła - myślę, że to może być stara studnia, pewnie wykopana nielegalnie lata temu przez kogoś, kto już dawno nie żyje.

- A może to być coś innego? - spytała Tracy.

Paige wzruszyła ramionami.

- Może to wykrot po przewróconym drzewie, które padło pod naporem ulew, jakie mieliśmy tu ostatniej zimy. Burze potrafią wyrwać drzewa z korzeniami, a deszcze powodują erozję gleby i przyspieszają rozrost roślinności. Jak szeroki i głęboki jest ten dół?

- Dwa do dwóch i pół metra głębokości, trochę ponad metr szerokości.

Paige pokręciła głową.

- Nie, to nie może być wykrot. Najpewniej jest to stara studnia.

- Zdarzyło się już, żeby ktoś wpadł do starej studni w parku?

- Za moich czasów nie. Ale słyszałam o wypadku, który wydarzył się jakieś dziesięć lat temu, nim zaczęłam tu pracować. Jakaś młoda kobieta jechała w parku konno, gdy koń nagle się pod nią zapadł. Podobno wyglądało to tak, jakby otworzyła się pod nim jakaś zapadnia. W wypadku zginął koń, mogła też zginąć ona, ale udało jej się w porę zeskoczyć. W archiwum powinna być jakaś wzmianka na ten temat. Mogę jutro poszukać.

- Czyli jest mało prawdopodobne, by ktoś przypadkiem natknął się na ten dół - podsumował Kins.

- Trudno powiedzieć. Ten koń i ta kobieta też nie szukali dołu. Ja bym raczej spytała, dlaczego ktoś, kto wiedział o istnieniu tego dołu, nie powiadomił straży parkowej, która by go szybko zasypała.

Rozdział 30

Faz podjechał pod dom wyczerpany, zły i rozgoryczony. Larry Pinnacle mógł mu w nieskończoność wmawiać, że chce tylko poznać jego wersję, ale Faz sam był detektywem i wiedział, kiedy przesłuchujący próbuje szukać dziur w zeznaniach, licząc na to, że któraś z nich uda się na tyle rozwiercić, by cała konstrukcja się zawaliła.

Pytanie tylko: dlaczego?

To, co Pinnacle zrobił - być może nieudolnie - było pełnowymiarowym przesłuchaniem, w którego trakcie dał mu wyraźnie do zrozumienia, że wersje jego i Gonzalez są rozbieżne. Wydawał się najbardziej zainteresowany tym, które z nich krzyknęło "Broń". Jadąc do domu, Faz rozważył wersję, w której Gonzalez oświadcza Pinnacle'owi, że to Faz zawołał "Broń", i uznał, że mogły istnieć trzy możliwe powody takiego jej postępowania. Albo pod wpływem stresu, wywołanego całą tą sytuacją, Gonzalez pomylił się przebieg zdarzeń. Albo świadomie nie mówiła prawdy. Albo to naprawdę on zawołał "Broń".

Od razu wykluczył trzecią ewentualność. Jak mógłby wołać coś o broni, skoro stał zwrócony plecami do drzwi, z których wyszedł Lopez? Nie widział go, a tym bardziej tego, czy ma broń. Zostawały dwie pierwsze możliwości. Albo Gonzalez nie pamiętała, co się wydarzyło, albo świadomie kłamała.

Łatwo było przyjąć wersję, że Gonzalez kłamie, by ratować własną skórę, ale Faz wiedział, że to nie takie proste. W ramach wdrażania reform Departamentu Sprawiedliwości detektywi policji Seattle zaliczyli niedawno kurs szkoleniowy na temat deeskalacji przebiegu zdarzeń ulicznych, co miało ograniczyć stosowanie przez nich zbędnej siły. Faz i Del wzięli udział w tym obowiązkowym szkoleniu, czując się jak uczniacy, których zmuszają do nauki obcego języka. Początkowo uważali to za stratę czasu, zważywszy na ich wieloletnie doświadczenie w tej pracy, ale szybko zmienili zdanie. Na zajęciach dowiedzieli się, że mocno stresujące spotkanie z uzbrojonym przeciwnikiem może znacząco zmienić zarejestrowany w pamięci obraz, nawet w przypadku doświadczonych policjantów. Dwaj współdziałający ze sobą funkcjonariusze mogą zupełnie inaczej zapamiętać to, co się wydarzyło, i w dodatku obaj mogą się mylić. Doświadczeni policjanci widywali broń u kogoś, kto jej nie miał, a ręce uniesione na znak poddania odbierali jako przejaw agresji.

Faz nie potrafił się opędzić od myśli, że pamięć Gonzalez mogła zostać podobnie skażona.

Popatrzył w okno ich sypialni na pierwszym piętrze. Zadzwoił do Very zaraz po przesłuchaniu, ale ukrył przed nią jego przebieg, bo nie potrzebowała teraz dodatkowych zmartwień. Zamierzał jej powiedzieć, że ma trochę papierkowej roboty, i prosić, by poszła spać, nie czekając na niego, choć zawsze czekała, ale tym razem go wyprzedziła.

- Jestem zmęczona. To były długie dni. Idę się położyć.

Faz po cichu wślizgnął się do domu tylnym wejściem i wszedł na górę do sypialni. Z najwyższego stopnia schodów dostrzegł okrytą kołdrą sylwetkę żony, skąpaną w szaroniebieskiej poświacie zza okna. Okno ze szprosami, podzielone na cztery szybki, kładło na nią cień w kształcie krzyża i ta pełna spokoju scena przypomniała mu obraz Normana Rockwella, przedstawiający pozornie idealny obraz życia, bez śladu rzeczywistych kłopotów.

Wszedł do sypialni i Vera odwróciła się do drzwi.

- Vic? - wymamrotała sennym głosem.

- Tak. Przepraszam, że cię obudziłem.

- Nie szkodzi. Oglądałam telewizję. Która godzina?

- Już po północy.

- Co się stało?

- Opowiem ci rano. Nic się nie martw. Wszystko się wyjaśniło. Usiadł na krawędzi łóżka, by rozwiązać sznurowadła.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

- Tak, wszystko okej - rzucił, myśląc o setkach razy, kiedy go o to pytała, podczas gdy on pytał ją o to tak rzadko. - A ty?

- Dobrze. To ten, który się oparł o maskę volkswagena?

Faz wstał i schował buty do szafy.

- Tak, ten.

- Co się stało?

Rozpiął pasek i zdejmując spodnie, zaczął mówić.

- Zapukaliśmy do drzwi mieszkania, zgodnie z adresem, który ustaliliśmy, i wtedy nagle drzwi obok się otworzyły, facet wyszedł na korytarz i moja obstawa go zastrzeliła.

- Del?

- Nie, partnerka. - Nie zdążył powiedzieć Verze, że Del nadwerężył sobie plecy i nie przyszedł do pracy. - Del leżał w domu z kontuzją, a ze

mną była ta nowa detektyw.

- I zabiła tego chłopaka?

Powiesił spodnie na haku po wewnętrznej stronie drzwi szafy.

- Zabiła. Zleciało się więcej szarzy niż na defiladę. Wiesz, jak to teraz jest. Włączyło się WKD i musiałem pojechać na Park Dziewięćdziesiąt Pięć i złożyć zeznanie.

- Jesteś na przymusowym zwolnieniu?

Wślizgnął się pod kołdrę.

- Tak, ale to potrwa tylko parę dni. Tyle że wyślą mnie jeszcze do psychiatry. Dostanę zaświadczenie, że z moją głową wszystko w porządku, i na tym się skończy.

- Na pewno dobrze się czujesz?

- Na pewno. Wiesz, jak to jest. Na wszystko są teraz odpowiednie procedury. Schody, które trzeba pokonać. Śpij. Będzie dobrze.

Faz czuł ulgę, że światło jest zgaszone i Vera nie widzi wyrazu jego twarzy. Uważał się za dobrego detektywa, ale żona czytała w nim jak w otwartej książce. Raz jeszcze przebiegł myślami wydarzenia tego wieczoru, zastanawiając się, czy to jednak nie on krzyknął "Broń". Czy na pewno to nie jemu się pomieszały w pamięci tamte wydarzenia. Był zmęczony i przybity wiadomościami o zdrowiu Very, więc to możliwe, ale... Nie, nie umiał sobie wyobrazić, że mógłby do tego stopnia odjechać.

- Vic? Coś jest nie tak? - spytała Vera.

Chciałby wszystko jej opowiedzieć i wysłuchać jej opinii. Vera myślała trzeźwo i nigdy mu nie pozwalała nadmiernie roztrząsać problemów. Ale tym razem nie mógł tego zrobić. Nie mógł jeszcze dokładać jej zmartwień.

- Nie, wszystko w porządku - zapewnił ją.

- Bo nie umyłeś zębów. I położyłeś się do łóżka w skarpetkach.

Rozdział 31

Piątek, 13 lipca 2018

Kiedy Tracy i Kins dotarli z powrotem na parking, nastał już ranek i ich dzień pracy właśnie się zaczynał. W pierwszej kolejności musieli zająć się czymś, czego Tracy serdecznie nie znosiła w swojej pracy detektywa.

Z mocy prawa to koroner hrabstwa miał obowiązek powiadomić najbliższą rodzinę denata o jego śmierci, ale w takich sytuacjach jak ta, kiedy Tracy wcześniej rozmawiała z rodziną ofiary, z własnej woli brała na siebie tę przykrą powinność. Inni detektywi z jej wydziału kwestionowali takie postępowanie, argumentując, że ich praca i bez tego jest wystarczająco stresująca. Tracy nie miała na to jednoznacznej odpowiedzi. Może wynikało to z poczucia winy, że nie ochroniła siostry w noc jej zniknięcia, a może z bardziej racjonalnych pobudek. Może to, że sama kiedyś znalazła się w sytuacji członka rodziny otrzymującego tragiczną wiadomość i wiedziała, jak jest to druzgoczące, pozwalało jej spojrzeć z innej perspektywy, nieznanej tym, którzy sami tego nie przeżyli.

Tracy i Kins dotarli do domu państwa Mukherjee tuż po szóstej rano. Wcześniej Tracy do nich zadzwoniła, żeby upewnić się, czy ich zastanie. Ojciec rodziny, Pranav, właśnie miał wychodzić do pracy. Tracy poprosiła go, by na nią zaczekał, a on nawet nie spytał po co. Nie spytał też, czy odnaleźli Kavite i czy jego córka żyje. Nie chciał usłyszeć potwierdzenia tego, co w głębi duszy - w tym ciemnym zakamarku, w którym utyka się straszliwe wieści, jakie o świecie usłyszeć można tylko od policji - sam musiał podejrzewać.

Otworzył drzwi i oboje z żoną spojrzeli na Tracy jak na anioła śmierci. Próbowali wyczytać coś z jej twarzy, wiedząc, z czym do nich przychodzi, i nie chcąc tego usłyszeć. Sekundy płynęły i jak to zwykle bywa, ich obawy zamieniły się w pewność, która mimo wszystko była jak cios w żołądek, pozbawiający tchu i pogrążający człowieka w bolesnej rozpacz. Nim Tracy zdążyła się odezwać, z oczu Pranava popłynęły łzy.

- Znaleźliśmy Kavite - powiedziała. - Bardzo mi przykro. Niestety, nie żyje.

Pranav i Himani przez chwilę milczeli, potem bez słowa wycofali się w głąb domu, by powiadomić resztę rodziny. Wszyscy zebrali się w holu - Himani i Pranav, ich dwóch synów, Nikhil i Sam, oraz dziadkowie Kavity - i stanęli, obejmując się i próbując wzajemnie się pocieszać. Tracy i Kins dali im chwilę na ochłonięcie, a jednocześnie bacznie obserwowali ich reakcje. Oboje doskonale znali statystyki policyjne, z których wynikało, że

wiele ofiar zabójstw ginie z rąk członków najbliższej rodziny czy przyjaciół.

Nikhil sprawiał wrażenie najbardziej opanowanego, jakby już wcześniej pogodził się z utratą siostry, za to Sam wyglądał na kompletnie oszołomionego, jak gdyby nie bardzo rozumiał słowa ojca. W swoim bardzo młodym życiu nie miał jeszcze czasu oswoić się ze śmiercią i było to dla niego wciąż obce pojęcie. Gdy prawda w końcu do niego dotarła, usiadł na dolnym stopniu schodów i zaczął głośno płakać.

Pranav szlochał i boleśnie wzdychał. Żal Himani był dyskretniejszy. Trzęsły jej się ramiona, ale nie wydawała żadnych dźwięków. Ręka Tracy podświadomie powędrowała na wypukłość brzucha pod kurtką. Nie umiała sobie wyobrazić nic gorszego od utraty dziecka, zwłaszcza w tak bezsensownych i brutalnych okolicznościach. I w tym momencie, w obliczu tej rozpaczającej rodziny, do Tracy nagle dotarło to, co Kins próbował jej powiedzieć w sali konferencyjnej. Że bycie rodzicem nie jest dla słabych duchem. Że bycie rodzicem oznacza niewysłowioną radość i szczęście, ale także ryzyko przeżywania niewyobrażalnej rozpacz i bólu. Przeraziła ją myśl, że pukanie do drzwi o tak wczesnej godzinie może oznaczać wiadomość, która na zawsze odmienia życie rodzica.

Rozdział 32

Faz odczekał z telefonem do przedstawiciela związku do godziny dziewiątej, po czym poprosił go o skontaktowanie z adwokatem, bo może go potrzebować. Potem zadzwonił do przychodni psychiatrycznej i umówił się na wizytę, w nadziei że psychiatra zakwalifikuje go do dalszej pracy, choć zdawał sobie sprawę, że to nigdy nie przebiega tak prosto. Do tego stopnia, że Sandy Clarridge, szef policji Seattle, wstawił się niedawno za swoimi funkcjonariuszami, nalegając, by śledztwa w ich sprawach uległy przyspieszeniu, tak żeby oczyszczony z zarzutów funkcjonariusz mógł jak najszybciej wrócić do pracy na dawnym stanowisku.

A i tak cała procedura wlokła się niemiłosiernie.

W pierwszym odruchu Faz uznał, że jego przymusowe zwolnienie może być najlepszym rozwiązaniem z uwagi na żonę. Mógłby jej służyć moralnym wsparciem podczas czekających ją wizyt i badań, ale to nie było w stylu Very. Oznajmiła mu, że ich życie już wystarczająco się zmieniło i nie chce w nim żadnych dodatkowych zmian. Stwierdziła, że najlepiej dla nich obojga będzie, jeśli Faz wróci normalnie do pracy i zajmie się swoimi sprawami, bo dzięki temu poczuje się potrzebny. A beczynne siedzenie w domu doprowadzi go do szaleństwa.

Ale na razie nie miał w tej kwestii wyboru.

Pukanie do drzwi zaskoczyło go, bo nie oczekiwał żadnych gości. Otworzył i ujrzał stojącego na zalanym słońcem ganku Dela. Miał na sobie garnitur i krawat i najwyraźniej wstąpił tu po drodze do pracy.

- Hej - rzucił Faz. - Co się stało?

Del wręczył Fazowi poranną gazetę, zdjął okulary przeciwsłoneczne i zerknął ponad ramieniem partnera w głąb holu.

- Vera w domu? - spytał.

- Nie. Przyjaciółki wyciągnęły ją, żeby zająć jej głowę czymś innym.

- Jak sobie radzi?

- Raz lepiej, raz gorzej - odrzekł Faz. - Puszczają jej nerwy, kiedy dzwoni Antonio albo kiedy zaczynamy rozmawiać o przyszłości. Uczę się mówić tylko o teraźniejszości i tylko o codziennych sprawach.

- No tak. Wyznaczyli już termin operacji?

- Za trzy tygodnie od wczoraj.

- Tak długo?

Faz wzruszył ramionami.

- Po mastektomii jej przypadek zostanie omówiony na konsylium specjalistów od nowotworów. To oni zdecydują o dalszej kuracji. Lekarz przewiduje, że zalecą chemioterapię. Ale nie przyszedłeś tu, żeby rozmawiać o Verze, przyznaj się.

Del wskazał głową na gazetę.

- Czytałeś dzisiejszą prasę?

- Unikam wiadomości. - Faz odsunął się na bok. - Wejdz do środka.

Del wszedł do holu, wciąż poruszając się ostrożnie, bo ból pleców wyraźnie mu jeszcze doskwierał. Zamknął za sobą drzwi i podążył za Fazem, przez salon i jadalnię do kuchni. W powietrzu nadal wisiał zapach bananowego chleba, zmieszany teraz z aromatem świeżo zaparzonej kawy.

- Piszą o tym na drugiej kolumnie działu miejskiego - powiedział Del. - Jest notatka o zastrzeleniu przez policję bezbronnego Latynosa i komentarz redakcyjny, że to przeczy niedawnej opinii Departamentu Sprawiedliwości, jakoby sytuacja w tej dziedzinie uległa znaczącej poprawie.

- Należało się tego spodziewać - rzucił Faz, biorąc dzbanek z kawą.

- Napijesz się? Vera zaparzyła przed wyjściem.

- Tak, jasne. Chętnie.

Faz wyjął z szafki dwa kubki, napełnił je i wręczył jeden Delowi.

- Miałem nadzieję, że skoro Gonzalez też jest Latynoską, tak jak Lopez, to prasa przynajmniej nie będzie insynuować rasowego podłoża tej sprawy.

- Nigdy nie można na to liczyć.

- Nie, nie można.

Prasa miała tendencję traktować wszystkie policyjne kule jako białe, niezależnie od koloru skóry strzelającego.

- Jak twoje plecy? - spytał Faz.

- Lepiej. Jeszcze przez jakiś czas muszę uważać przy ruchach, ale ból nie jest już taki nieznośny.

- Chcesz kawałek chleba bananowego?

- Lepiej nie. Znam chleb bananowy Very i mógłbym zjeść cały bochenek.

Obaj usiedli przy stole kuchennym. Lodówka cicho brzęczała i pykała, przez tylne drzwi dochodziło z ogrodu szczekanie golden retrievera sąsiada,

który bawił się z nim frisbee, i krążek właśnie przeleciał ponad płotem oddzielającym działki.

Del w milczeniu sączył kawę, ale Faz czuł, że coś go gryzie. Jego partner miał niewyraźną minę i przypominał mu syna, gdy ten zbierał się w sobie, aby do czegoś się przyznać.

- Co się dzieje? - spytał. - Czy zawdzięczam twoją wizytę wydarzeniom z wczorajszego wieczoru?

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Bo mnie coś w tej sprawie dręczy.

- Naprawdę?

- Pinnacle parę razy mnie zapytał, czy jestem pewny, że to Gonzalez krzyknęła: "Broń!". Jakby nie wierzył moim słowom, nie wierzył, że mówię prawdę. - Faz wzruszył ramionami. - Niby dlaczego miałbym kłamać?

- Nie masz powodu.

- Wkurwił mnie. Przez pół nocy o tym myślałem.

Del odstawił kubek na stół.

- Dziś rano dzwonił do mnie Billy. Podobno wasze wersje, twoja i Gonzalez, się różnią.

- Tak czułem. I co Billy ci mówił?

- Gonzalez powiedziała śledczym z WKD, że chciała wezwać ekipę SWAT-u, aby zajęli się Lopezem. Obawiała się, że może być uzbrojony i sprawy mogą wymknąć się spod kontroli. I że ty uznałeś, że SWAT-u nie trzeba.

Faz zmarszczył czoło.

- To z grubsza odpowiada prawdzie. Że SWAT w tym momencie był niepotrzebny. To miała być akcja pozorowana. Ale Gonzalez wcale nie nalegała, by ich wezwać.

- Mówi się, że może to nie powinna być akcja pozorowana.

Faz pokręcił głową.

- Nie uważasz tego za kpinę? Najpierw się martwią, że nadużywamy siły, a teraz będą się wymądrzać, że mieszkanie Lopeza należało zdobywać przy użyciu czołgów i broni maszynowej. I kto tu mówi o nadużywaniu siły?

- Zgadzam się.

- Dysponowaliśmy tylko odciskiem dłoni na masce samochodu. Nie mieliśmy wiarygodnych dowodów na to, że Lopez jest zabójcą lub że jest uzbrojony. To były tylko poszlaki. Był notowany za kupno narkotyków, ale nawet nie za handel. Nigdy nie oskarżono go o przestępstwo z użyciem przemocy.

- Nie nawracaj nawróconego, pastorze Faz.

- Chcieliśmy go sprytnie podejść, pogadać z nim, udać, że chodzi nam tylko o informacje o strzelaninie, spytać, czy przypadkiem nie było go w pobliżu, czy czegoś nie widział lub nie słyszał. Przyłapać go na jakimś kłamstwie. Ty i ja robiliśmy to milion razy.

- Wiem i zgadzam się, ale w wersji Gonzalez wychodzisz na kowboja. Przedstawia to tak, jakbyś z góry zamierzał położyć Lopeza trupem.

- Kowboja? Ja? Kurwa, ja nawet nie umiem wsiąść na konia.

- Twierdzi, że oznajmiłeś jej, że zabójstwo Rodgers jest naszą jedyną otwartą sprawą i ty zamierzasz ją zamknąć.

- Tak powiedziała?

Del kiwnął głową.

- Zaraz, ja niczego takiego nie mówiłem - obruszył się Faz.

- I to do ciebie niepodobne.

- Dlaczego miałbym jej mówić, że Rodgers jest naszą jedyną otwartą sprawą?

- Nie sądzę, żebyś tak powiedział.

- Skąd w ogóle o tym wiedziała?

- Tego nie wiem.

Faz wyprostował się na krześle, nagle poruszony. Co innego kwestionować jego postępowanie, a co innego wkładać mu w usta słowa, których nie wypowiedział.

- Co jeszcze Billy ci mówił?

- Że Gonzalez zeznała śledczemu WKD, że chciała zapukać do drzwi i przedstawić się, że jest z policji Seattle, ale ty ją przed tym powstrzymałeś.

- To akurat prawda, tak było. Usłyszałem, że ktoś mówi coś po hiszpańsku, i wydało mi się, że głos dochodzi z mieszkania Lopeza. Teraz myślę, że dochodził z mieszkania obok, tego, z którego Lopez wyszedł.

- Podobno, jak mówi Billy, w mieszkaniu Lopeza nie było nikogo.

- Tak, wiem. Dlatego teraz myślę, że głos dochodził z mieszkania obok. Co jeszcze powiedziała?

- Twierdziła, że skupiła się na drzwiach, a ty stałeś na prawo od niej, trochę z tyłu, i miałeś widok na cały korytarz.

- To nieprawda. Stałem po drugiej stronie framugi, plecami do mieszkania obok. Chodziło mi o to, że jak Lopez otworzy drzwi, to będę mógł zajrzeć do środka i sprawdzić, czy nie ma tam kogoś jeszcze.

- No więc ona mówi, że stała twarzą do drzwi, usłyszała twój krzyk: "Broń!" i dlatego strzeliła do Lopeza.

- Tak przypuszczałem, że musiała powiedzieć, że to ja krzyknąłem "Broń" - mruknął Faz.

Del nie zareagował. Sączył w milczeniu kawę, ale głównie po to, by zająć czymś ręce.

- Myślisz, że to ja mogłem krzyknąć "Broń"? - spytał Faz.

- Nie. To znaczy... bo ty nie krzyknąłeś, tak?

- O co ci chodzi?

Del odstawił kubek.

- Słuchaj, wiem, że ostatnio dużo się na ciebie zważyło w związku z chorobą Very.

- Nawiązujesz do tego szkolenia, na które nas wysłali? Że niby stres wynikający z sytuacji i stres związany z diagnozą Very mogą sprawiać, że szwankuje mi pamięć i zapominam, co się naprawdę wydarzyło?

- Przyszło mi to do głowy - bąknął Del, ale zaraz szybko dodał: Ale Billy'emu niczego takiego nie powiedziałem. Ty też o tym pomyślałeś?

- Oczywiście, że tak. Jakżeby inaczej? - Faz również odstawił kubek. - Tylko że sprawa wygląda następująco. Stałem tyłem do drzwi sąsiedniego mieszkania. Wiem to na pewno, bo pamiętam, jak patrzyłem w okno na końcu korytarza, za plecami Gonzalez, i widziałem przewalające się po niebie chmury. Nie ma takiej możliwości, żebym mógł zobaczyć Lopeza. Pamiętam też oczy Gonzalez, które w pewnej chwili zrobiły się wielkie jak spodki, oraz to, jak rusza ku mnie i unosi pistolet. Jak mógłbym to widzieć, gdybym patrzył w drugą stronę?

- Nie mógłbyś.

- A poza tym, gdybym patrzył na drzwi mieszkania, z którego wyszedł Lopez, czy nie rodziłoby to innego pytania?

- Dlaczego sam nie strzeliłeś?

- Właśnie.

Del pokiwał głową, ale jednocześnie uciekł wzrokiem.

- Co? - burknął Faz.

- Świadek potwierdza jej wersję.

- Jaki świadek? Nie było żadnych świadków. Byliśmy tylko my dwoje... Zaraz, chodzi o tę kobietę w mieszkaniu?

- Chyba tak. Billy mówił, że kobieta zeznała, że usłyszała głos mężczyzny krzyczącego "Broń" i kobiety, która spytała: "Dlaczego krzyknąłeś «Broń»? Dlaczego krzyknąłeś «Broń»?".

Faz odchylił się od stołu, głęboko zaczerpnął powietrza i wolno je wypuścił. Przez chwilę się zastanawiał.

- Niemożliwe, Del - oświadczył w końcu. - Ta kobieta zanosila się głośnym płaczem i trzymała w ramionach małe dziecko. Oboje histerycznie zawodzili. Niemożliwe, żeby cokolwiek słyszała z korytarza i żeby w ogóle zwracała uwagę na cokolwiek innego poza dzieckiem.

- Może nie, ale Billy mówi, że śledczym WKD zeznała co innego. Posłuchaj, Billy twierdzi, że z uwagi na wiszące nad nami dochodzenie Departamentu Sprawiedliwości sprawa będzie tak długo wałkowana, aż nam wszystkim wyjdzie bokiem. Więc muszę cię spytać: Czy istnieje jakakolwiek możliwość, że się mylisz?

- Co takiego?

- Jak sam powiedziałeś, byłeś ostatnio mocno zestresowany.

Faz nie wierzył własnym uszom.

- Niczego takiego nie powiedziałem - prychnął. - Ty to powiedziałeś.

- Hej, Faz, ja tylko pytam. Nie zabijaj posłańca. Przecież sam wiesz, że myślami byłeś gdzie indziej, i jest to całkiem zrozumiałe.

Faz wcale nie chciał wyładowywać się na partnerze.

- Nie myślę się, Del. Nie wiem, co się, u diabła, dzieje, ale na pewno się nie myślę. Nie krzyknąłem "Broń". Nawet nie widziałem żadnej broni.

- Pamiętasz, że Gonzalez coś do ciebie mówiła, cokolwiek?

- Nie wiem. Kurwa, w ogóle nic nie słyszałem. W uszach mi dzwoniło od strzałów, bo strzelała znad mojego ramienia. Kiedy w końcu słuch mi wrócił, usłyszałem, jak mnie pyta, czy u mnie wszystko w porządku. Spytała dokładnie: "Nic ci nie jest?".

- Wspomniałeś o tym Pinnacle'owi?

- Tak, nie miałem powodu tego... - Faz przerwał, bo nagle uświadomił sobie, jak to może być interpretowane. - Kurwa! Ona teraz powie, że nie usłyszałem, co mówi ta kobieta, i nie usłyszałem jej pytania, dlaczego wrzasnąłem: "Broń!".

- Billy też właśnie tak powiedział.

Faz potarł nieogolony podbródek.

- Niepotrzebny mi teraz cały ten szajs - mruknął.

- Przykro mi, że cię w to pakuję - powiedział Del. - Może ta świadek też coś pomyliła, tak jak mówili na szkoleniu. Albo nie słyszała tego, co twierdzi, że słyszała, a tylko jej się zdawało.

- Albo ktoś jej podsunął, co miała usłyszeć - burknął Faz. - Gonzalez rozmawiała z nią pierwsza.

- I co jej mówiła?

- Nie wiem. Byłem na korytarzu, zakładałem kajdanki Lopezowi i szukałem jego spluwy. Kiedy wszedłem do środka, Gonzalez już z nią rozmawiała, wprawdzie po hiszpańsku, ale jestem pewien, że pytała ją o nazwisko mężczyzny leżącego w korytarzu.

- Może i tak, ale mogła ją też spytać o coś, co miało tamtej zapaść w pamięć. Wiesz, coś w rodzaju: "Słyszałaś mężczyznę krzyczącego «Broń»?.

Faz pokiwał głową.

- Jeśli tak, znaczyłoby to, że Gonzalez nie tak po prostu źle zapamiętała, co się naprawdę wydarzyło. To by znaczyło, że świadomie kłamie i nakłania świadka do kłamstwa, aby podeprzeć swoją wersję wydarzeń.

- Pytanie tylko dlaczego? - rzucił Del. - Dla ratowania własnej kariery?

- Może - mruknął Faz. - Nie wiem. Ale z całą pewnością zrobię wszystko, żeby się tego dowiedzieć.

Rozdział 33

Pranav wystąpił z rodzinnego kółka, zdjął okulary i przetarł napuchnięte i zaczerwienione oczy. A potem niemal szeptem zwrócił się do Tracy:

- Wie pani, jak to się stało?

- Nie - odparła. - Przykro mi, ale jeszcze nie. Czekamy na raporty ekspertów.

To chyba było dla Tracy najtrudniejsze w tym zadaniu: że nie mogła poinformować rodziny o wszystkim, co wykryto w dotychczasowym śledztwie. Musiała z tym poczekać do czasu, aż uzyska całkowitą pewność co do przebiegu zdarzeń. I nawet wtedy nie będzie mogła powiedzieć im wszystkiego, dopóki nie zostaną całkowicie oczyszczeni z wszelkich podejrzeń.

- Gdzie ją znaleźliście? - spytała Himani.

Dowiedzą się tego wkrótce od nękających ich reporterów lub sąsiadów, tyle że bez szczegółów.

- W parku stanowym, niedaleko stąd.

- W Bridle Trails? - Pranav lekko wytrzeszczył oczy. - Była tu?

Tracy czuła, że informacja, że córka była tak blisko domu, jest dla niego dodatkowym ciosem.

- Rozumiem, że państwo dobrze znacie ten park? - spytała, chcąc zweryfikować wersję Aditi.

- Oczywiście. - Pranav zamknął oczy i boleśnie westchnął. - Była tak blisko - jęknął i znów się rozpłakał.

Tracy i Kins w milczeniu czekali. Gdy Pranav opanował się na tyle, że mógł mówić, Tracy zaproponowała, by usiedli i porozmawiali. Wskazał w stronę jadalni i kazał Nikhilowi przynieść dodatkowe krzesła z kuchni.

Detektywi usiedli naprzeciwko Pranava i Himani. Nikhil, Sam i dziadek zajęli krzesła po bokach, a babka poszła do kuchni zrobić herbatę. W smugach porannego słońca z okien za plecami Tracy tańczyły drobiny kurzu i lśniły kryształowe kulki wiszącego nad stołem żyrandola. Tracy rozpoczęła od prostego pytania:

- Czy Kavita dobrze знаła ten park?

Pranav zrobił głęboki wydech, jakby chciał się pozbyć złych myśli, złożył dłonie w piramidkę i wbijając w nie wzrok, zaczął mówić cichym, łagodnym głosem:

- Kavita go kochała. Kiedy dzieci były małe, często chodziliśmy tam na jagody i maliny. - Popatrzył na synów, ci jednak nie zareagowali. Zbieraliśmy też kurki. - Przeniósł spojrzenie na Tracy i Kinsa. - Park był spokojnym miejscem, gdzie mogliśmy spędzać czas razem jako rodzina i cieszyć się swoją obecnością.

Opuścił głowę, a jego ramionami wstrząsnął szloch. Siedząca obok Himani nie pogładziła go po ramieniu ani w żaden inny sposób nie próbowała go pocieszyć.

Babka wróciła z kuchni z tacą, na której stał ceramiczny czajnik i czarki do herbaty. Postawiła ją na stole przed Pranavem, nalała herbaty do czarki i podała synowi, a następną mężowi. Himani i obaj chłopcy odmówili, Tracy i Kins przyjęli od niej czarki. Mieli za sobą długą noc, a ponadto Tracy wiedziała, że babka chce się poczuć przydatna.

Pranav odstawił czarkę na stół, nawet nie moczając ust.

- Z jagód robiliśmy dżem - powiedziała Himani, jakby należało im się wyjaśnienie. - Wkładaliśmy go do słoików i rozdawaliśmy sąsiadom. - Spojrzała na męża, a potem znów na Tracy. - Jak ją znaleźliście?

- Operator sieci komórkowej namierzył jej telefon i określił współrzędne geograficzne - powiedziała Tracy.

Nie wspomniała o aplikacji w telefonie ani nie podała żadnych szczegółów na temat dołu w lesie.

Sam poderwał głowę, jakby słowa Tracy zaskoczyły go lub zdziwiły, ale zaraz znów ją opuścił.

Nikhil poruszył się i oparł łokcie na stole. Tracy obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Choć uronił trochę łez, jego rozpacz nie wydała jej się tak wielka jak u reszty rodziny. Może należało się tego spodziewać. Może jako najstarszy syn starał się trzymać fason. Wydawał się nieobecny, zatopiony w myślach. Błądził wzrokiem między stołem a panoramicznym oknem, ale wyraźnie na nic tak naprawdę nie patrzył.

Odwrócił głowę i spojrzał na Tracy.

- Jak ona to zrobiła?

- Nie rozumiem pytania - odparła, choć doskonale wiedziała, co miał na myśli.

Na tym etapie nie mogła ujawnić żadnych szczegółów śmierci Kavity. Kelly Rosa nie dokończyła jeszcze analizy i chodziło o to, że szczegóły mógł znać tylko jej zabójca.

- Jak się zabiła? - zapytał Nikhil.

Tracy patrzyła prosto na niego, ale kątem oka dostrzegła, że Pranav i Himani unieśli głowy i spojrzeli najpierw na syna, potem na nią. Serw Nikhila wymagał returnu Tracy.

- Czemu zakładasz, że sama się zabiła? - spytała.

Nikhil zmarszczył czoło.

- To chyba oczywiste, nie?

- Co jest oczywiste?

Wybałuszył oczy, jakby chciał przejrzeć jej grę. Lub może ją rozumiał i nie był nią zachwycony.

- Ostatnim razem powiedziała nam pani, że moja siostra była przybita. Aditi też nam mówiła, że Kavita wyszła z mieszkania bardzo wzburzona.

Rzeczywiście tak było i Tracy nawet rozważała ewentualność, że będąc w stanie silnego wzburzenia emocjonalnego, dziewczyna odebrała sobie życie.

- Nie znamy szczegółów jej śmierci - powiedziała. - Biuro koronera nie skończyło jeszcze analizy wszystkich okoliczności.

- Ale coś pani musi wiedzieć - wtrąciła Himani. - Widziała ją pani? Była tam pani?

- Tak, byliśmy tam oboje.

- Tylko nie chce nam pani powiedzieć - mruknął Nikhil.

- Nie wiemy, czy Kavita sama odebrała sobie życie - odezwał się Kins. Był kimś nowym w rozmowie, nie mieli z nim wcześniej kontaktu i mogli go uważać za autorytet w kwestii przepisów i procedur, a on nie musiał się z nich tłumaczyć. - Musicie zrozumieć, że takie sprawy to nie pojedyncza czynność, tylko proces. Cały proces. I że ten proces właśnie się zaczyna. Mamy specjalistów, którzy wykonują swoją pracę...

- I żaden z tych specjalistów nie wie, czy Kavita użyła broni palnej, czy noża? To nie jest takie trudne pytanie, państwo detektywi - powiedział Nikhil zjadliwym tonem, przenosząc wzrok z Tracy na Kinsa i z powrotem.

Tracy patrzyła na niego, analizując jego słowa. Czy mówił szczerze?

- Prace w biurze koronera wymagają czasu - oznajmiła. - Tak jak wspomniał detektyw Rowe, po ich zakończeniu dostaną państwo kopię raportu, ale na razie możemy jedynie spekulować. Wiem, że to trudne, ale muszą państwo zachować cierpliwość.

- Wspomniałeś coś o broni palnej - zwrócił się Kins do Nikhila. Czy to znaczy, że twoja siostra miała broń?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Sądzicie, że to mogło być morderstwo? - wtrącił Pranav.

- Przyjmujemy takie założenie - odrzekła Tracy. - Chyba że okaże się coś innego.

- Ale kto? - jęknął Pranav. - Kto mógł ją zabić?

- Nasze śledztwo dopiero się zaczyna - powiedział Kins. - Będziemy was na bieżąco informować o jego postępach, na ile będzie to możliwe, ale jak wspomniała detektyw Crosswhite, działamy przy założeniu, że państwa córka nie odebrała sobie życia, chyba że dowody wskażą na coś innego.

- To absurd. - Nikhil wyprostował się na krześle. - Przecież to oczywiste, że się zabiła. Spójrzcie na okoliczności. Spójrzcie, gdzie znaleźliście jej ciało. Była rozgoryczona i rozczarowana. Coś takiego doskonale do niej pasuje.

- Nie mów tak! - wykrzyknął Sam drżącym głosem. - Nie wolno ci tak o niej mówić! - Odepchnął się z krzesłem od stołu, zerwał się na nogi i zawołał do rodziców: - Dlaczego jej nie pomogliście?! Co było takiego strasznego w tym, że chciała zostać lekarką?

- Sam! - Pranav uniósł się na krześle.

- Nie! - krzyknął chłopak. - Chciała być lekarką, a wy nie daliście jej pieniędzy, bo sądziliście, że w ten sposób zmusicie ją do powrotu do domu i wyjścia za męża. To wy za to odpowiadacie!

- Sam! - syknęła Himani.

Pranav ruszył w stronę syna z wyciągniętymi rękami, ale Sam się od niego odwrócił. Nikhil złapał go za ramię, lecz chłopiec wyrwał się, skoczył do drzwi, jednym szarpnięciem je otworzył i wybiegł z domu, z hukiem zatrzaskując je za sobą. Cały dom aż zadygotał.

Zapadła cisza i dopiero po chwili Pranav spojrzał na Tracy i Kinsa.

- Przepraszam państwa - powiedział z lekkim zażenowaniem. - To dla nas wszystkich straszny szok. - Westchnął głęboko. - Kiedy możemy zobaczyć Vitę? Kiedy będziemy mogli odebrać jej ciało?

- Udało nam się ją zidentyfikować na podstawie dokumentów i zdjęć w Wydziale Komunikacji, więc identyfikacja ciała nie będzie potrzebna. Podam państwu numer telefonu do biura koronera oraz nazwisko kogoś z wydziału pomocy rodzinom ofiar, kto pomoże wam załatwić formalności. To ta osoba poinformuje was, kiedy koroner zakończy swoje działania i będziecie mogli odebrać ciało.

- Zakończy działania? - powtórzyła Himani. - Jakie działania?

- Badanie zwłok - odrzekła Tracy.

- My nie chcemy sekcji zwłok - prychnęła i spojrzała na męża. Nie chcemy, żeby bezczęścili ciało Kavity.

- Kiedy przyczyna śmierci nie jest oczywista, decyzję o wykonaniu lub zaniechaniu sekcji zwłok podejmuje koroner hrabstwa King. To nie jest kwestia wyboru. To konieczność...

- I nie mamy w tej sprawie nic do powiedzenia? - przerwała jej Himani, ze złością przyciskając dłonie do blatu stołu.

- Niestety, nie - wtrącił Kins. - Najważniejsze jest ustalenie, co się naprawdę stało.

Była to standardowa odpowiedź w tych okolicznościach, ale Himani wyraźnie to nie przekonało. Pranav uniósł ręce.

- Oczywiście my też chcemy wiedzieć, co się stało - oświadczył. Dziękuję, że państwo przyszli. Na pewno rozumiecie, że rodzina potrzebuje teraz trochę czasu dla siebie.

Tracy i Kins wstali od stołu.

- Mogą was nękać ludzie z mediów - dodała jeszcze Tracy. - Nie macie obowiązku z nikim rozmawiać i radziłabym, abyście tego nie robili. Pomoże wam w tym ktoś z wydziału pomocy rodzinom ofiar.

- A co z rodziną i przyjaciółmi? - spytała Himani. - Co możemy im powiedzieć?

- Oczywiście możecie ich zawiadomić - odrzekł Kins. - Ale nie mówcie nic z tego, o czym tu rozmawialiśmy. Nie podawajcie żadnych szczegółów...

- Nie znamy żadnych szczegółów - prychnął z ironią Nikhil. - O niczym tu nie rozmawialiśmy.

- Co mamy im powiedzieć? - wtrącił Pranav.

- Zrzućcie wszystko na nas - odparł Kins. - Powiedzcie, że Kavita nie żyje, a policja bada okoliczności jej śmierci i nie pozwala ujawniać żadnych szczegółów do czasu zakończenia śledztwa.

Pranav ruszył do drzwi, jakby chciał uciąć dalszą dyskusję.

- Zrobimy tak, jak mówicie - oświadczył, otwierając przed nimi drzwi.

- Przykro mi, że musiałam przekazać państwu taką straszną wiadomość - odezwała się na koniec Tracy. - Serdecznie współczuję całej rodzinie.

- Temu, co z niej jeszcze zostało - powiedział Pranav i cicho zamknął za nimi drzwi.

Rozdział 34

Del wszedł do boksu zespołu A i okazało się, że nie ma tam nikogo, co go trochę zmartwiło. Współpracownicy byli dla niego największą wartością w tym miejscu, a ich wieczne żarty i wzajemne docinki sprawiały, że często nieznośna praca stawała się całkiem do zniesienia. Podejrzał, że Tracy i Kins zajmują się sprawą ciała, które znaleziono w parku w Eastside, o czym wspomniał mu Billy, choć zapewne wkrótce przejdzie ona pod inną jurysdykcję, a Faz i Gonzalez przebywali na przymusowym zwolnieniu, które dla jednego z nich może się okazać ostateczne.

Miał chwilę spokoju, by wszystko przemyśleć, ale nie bardzo wiedział, w co ma wierzyć. Całym sercem był po stronie Faza, a skoro Faz mówi, że nie krzyknął "Broń", to on też będzie się tego trzymał. Niemniej...

Del wiedział, co znaczy pracować, gdy jest się w rozpacz. Doświadczył tego po śmierci swojej siostrzenicy Allie, która zmarła z przedawkowania, i pamiętał, jak niekiedy nie był w stanie się skupić. Zaczynał błądzić gdzieś myślami i tracił przez to masę czasu. Faz coś do niego mówił, a on nawet nie wiedział, o czym rozmawiają. Bywało tak źle, że zastanawiał się, czy nie pójść na zwolnienie. Nie chciał, by z powodu jego rozkojarzenia ktoś ucierpiał.

I choć bardzo kochał siostrzenicę, nie dało się tego porównać z relacją mąż-żona. Wręcz nie wyobrażał sobie udreki partnera.

A więc czy to możliwe, że Faz wykrzyknął jednak to nieszczęsne słowo "Broń" i tego nie pamięta?

Del nie chciał dalej o tym myśleć. Już to przerabiał i wiedział, że jest to możliwe.

Przytrzymał krzesło obiema rękami i ostrożnie usiadł. Plecy wciąż miał mocno obolałe.

- Del. - Do boksu wkroczył kapitan Johnny Nolasco.
- Witam, kapitanie - powiedział Del, lekko się obracając.
- Jak twoje plecy?
- W porządku. Trochę jeszcze bolą.
- Słyszałeś, że przez jakiś czas będziemy działać w okrojonym składzie.
- Tak, słyszałem. Dlatego przyszedłem.

- Właśnie dostałem wiadomość, że w jutrzejszym "Timesie" ukaże się kolejny artykuł o strzelaninie w bloku i o tym, jak to przeczy zaleceniom Departamentu Sprawiedliwości co do stosowania siły przez policję.

- Będą to wałkować, ile się da i jak długo się da.
- Reporter już wie, że zastrzelony był nieuzbrojony.
- Czytałem dzisiejszy artykuł. Wiemy, skąd mieli informacje?
- Ze źródła - powiedział Nolasco.

W miejskiej policji istniał przeciek. Od zawsze wyciekały z niej różne poufne informacje i próby uszczelnienia przecieku przypominały bajkę o chłopcu, który palcami zatyka dziury w tamie. Policji już od dawna brakowało palców u rąk i nóg do zatykania.

- Czyli możemy przyjąć, że artykuł nie będzie dla nas miły - dodał Nolasco.

- A kiedy ostatnio napisali o nas coś miłego? - rzucił Del.
- Tak... no cóż, szefostwu się to nie spodoba.
- Myśli pan, że będą chcieli znaleźć kozła ofiarnego?

Nolasco skrzywił się na znak, że nie jest to wykluczone.

- Nikt nie dzieli się ze mną takimi informacjami - oznajmił. Chciałem tylko, żebyś o tym wiedział.

Del zrozumiał, że Nolasco mówi mu o tym po to, by mógł uprzedzić Faza.

- Dzięki, kapitanie.
 - Jeśli ktoś zadzwoni z prośbą o komentarz, odeślij go do Bennetta Lee.
- Lee był rzecznikiem prasowym komendy policji.

- Jasne, nie ma sprawy - odrzekł Del. - Kiedy możemy się spodziewać powrotu Faza i Gonzalez?

- Nie wiem. Ale pewnie nieprędko. Słyszałeś, że wczoraj w nocy Tracy i Kins natknęli się na zabójstwo?

- Tak, słyszałem, że gdzieś w Eastside znaleziono zwłoki. Ale dlaczego my się tym zajmujemy?

- Dobre pytanie. - Nolasco lekko się skrzywił. - Niestety, jeszcze przez chwilę będą tym zajęci. Może będę cię prosił, żebyś zajrzał do niektórych ich spraw.

- Nadal mam na głowie sprawę Monique Rodgers - przypomniał mu Del.

Nolasco pokręcił głową.

- Wczoraj Gonzalez zastrzeliła zabójcę Rodgers.

- Nie mamy pewności, że to był zabójca. Bez odnalezienia broni nie udowodnimy tego.

- Ludzie z CSI znaleźli w jego mieszkaniu trzydziestkęósemkę special i balistyka już to sprawdza. Zadzwoń do nich i spytaj, co już mają i kiedy dostaniemy raport. Jeśli dopasują broń do pocisku, będzie po sprawie.

Del poczuł się jak odstawiony na boczny tor. A przecież nie było go zaledwie jeden dzień.

- Mamy świadka, który mówi, że to było zabójstwo na zlecenie. Że Rodgers otwarcie występowała przeciwko gangom i narkotykom.

- Zdobyliście jakieś tropy, które mogą nas doprowadzić do zleceniodawcy?

- Dopiero co zaczęliśmy, kapitanie. Pojawiło się nazwisko Małego Jimmy'ego, ale wiemy, że ludzie się go boją. Że im grozi.

- Nie mamy czasu ani ludzi, żeby się w tym babrać. Jeśli są jakieś konkrety, zbierz wszystko i przekaz do narkotykowego. Jeżeli Lopeza i Małego Jimmy'ego coś łączy, jeżeli Mały Jimmy zlecił to zabójstwo, w narkotykowym mają wystarczająco dużo tajnych kontaktów, żeby to rozgryźć.

- A jeśli się okaże, że to faktycznie zlecił Mały?

- Wtedy pójdziemy z tym do prokuratury.

Del miał ochotę zaprotestować i przedstawić swoją przemyślaną koncepcję, problem jednak polegał na tym, że Nolasco prawdopodobnie miał rację. Bez Lopeza nie było innego podejrzanego, który pozwoliłby im dotrzeć do Małego Jimmy'ego. A jeśli się okaże, że broń Lopeza i pocisk, który zabił Rodgers, do siebie pasują, sprawa zabójstwa Monique Rodgers będzie tym samym rozwiązana. Jeżeli Mały Jimmy zlecił to zabójstwo, ci z narkotykowego, korzystając ze swoich płatnych informatorów, łatwiej zdołają to ustalić.

Nolasco kiwnął mu głową i opuścił boks. Gdy tylko się oddalił, Del sięgnął po słuchawkę.

* * *

Piętnaście minut później Del skończył rozmowę z Fazem. Przekazał mu najważniejsze ustalenia z przeszukania, po czym wykonał następny telefon. Koledzy z balistyki poinformowali go o wynikach badań i obiecali wysłać mailem pełny raport. Rewolwer Lopeza i pocisk, który zabił Monique Rodgers, pasowały do siebie. I Bogu dzięki. Mając na karku prasę rozpisywającą się o zastrzeleniu nieuzbrojonego podejrzanego, mogli przynajmniej ogłosić, że Lopez nie był niewinną ofiarą. Z zimną krwią

zabił aktywistkę społeczną Rodgers, na co mieli dowody w postaci jego rewolweru i nagrania wideo. Ponadto Lopez wyszedł z mieszkania ze srebrzystym smartfonem w ręce, co tłumaczyło, dlaczego Gonzalez uznała, że mężczyzna trzyma broń. W każdym razie mógł to być przemawiający na jej korzyść argument.

Ale wszystko to miało charakter myślenia życzeniowego. W nieskończenie liberalnym Seattle, w którym policję wiecznie oskarżano, że coś zrobiła lub że czegoś nie zrobiła, można było spodziewać się wylania na nią kubłów pomyj, zwłaszcza jeśli jakiś przedsiębiorczy adwokacina odszuka rodzinę Lopeza.

Teraz udział Faza i Dela w sprawie uległ zawieszeniu. Zgodnie z poleceniem, Del miał całość materiałów przekazać do wydziału narkotykowego z prośbą, by koledzy postarali się ustalić związki łączące Lopeza z Małym Jimmym. Del wparł dłonie w blat biurka, wstał z krzesła i podszedł do stołu zajmującego środek boksu. Na półkach pod blatem zespół A trzymał teczki z bieżącymi sprawami. Del schylił się i ostrożnie wyciągnął teczkę z aktami zabójstwa Monique Rodgers. Był w tej sprawie detektywem prowadzącym i do jego obowiązków należało aktualizowanie zawartości teczki i pliku komputerowego. Musiał dołożyć do akt notatkę o rozmowie z Tannym ze sklepu spożywczego, bo to wyjaśniało, jak wpadli na odcisk dłoni na masce volkswagena, co doprowadziło ich do Eduarda Lopeza. Należało też dodać raport balistyczny.

Przeniósł teczkę na swoje biurko, włożył okulary, zalogował się do komputera i otworzył plik "Rodgers". Spojrzał na ekran i zobaczył coś, czego się nie spodziewał. Z rejestru logowań wynikało, że otwierał swój osobisty plik wczoraj, co było fizycznie niemożliwe, bo cały wczorajszy dzień spędził w łóżku, kurując plecy. Wziął komórkę, aby zadzwonić do Faza i upewnić się, że to on zaglądał do jego pliku, bo znali nawzajem swoje hasła, ale w tym momencie zadzwonił jego telefon na biurku.

- Del - zabrzmiał w słuchawce głos Nolasca - Tommy Fritz potrzebuje pomocy w przesłuchaniach w sprawie zesłotygodniowej strzelaniny między gangami. Jego partnera nie ma dziś w pracy. Powiedziałem mu, że może na ciebie liczyć. Zadzwoń do niego.

- Jasne, nie ma sprawy. - Del odłożył słuchawkę, nie odrywając wzroku od ekranu komputera. A potem uniósł głowę i ponad przepierzeniem oddzielającym go od sąsiedniego boksu zawołał: - Hej, Fritz! Kapitan mówi, że trzeba cię dziś dopieścić!

Rozdział 35

Tracy podała Aditi Banerjee papierową serwetkę. Dziewczyna co chwilę ocierała oczy i starała się opanować, ale nie bardzo jej to wychodziło. Tracy i Kins siedzieli z nią na drewnianych fotelach ocienionych czerwonym parasolem w ogródku kawiarni o nazwie Down Pour⁸, co miało być dowcipną aluzją do ilości opadów w Seattle.

Tracy jej nie poganiała. Rozumiała ból dziewczyny i współczuła jej, ale jednocześnie uważnie obserwowała jej reakcję. Jak powiedział Kins, zabójca musiał dobrze znać ten park.

Aditi wzięła głęboki, spazmatyczny oddech, po czym wypuściła powietrze i pokręciła głową. Wyglądała na oszołomioną i wstrząśniętą. Odsunęła się od stolika i objęła się rękami, jakby było jej zimno, mimo że temperatura wyraźnie już wzrosła i czuło się to nawet w cieniu parasola.

Zdołali wyciągnąć z domu Aditi samą, choć nie obyło się bez protestów Rashesha.

- Dlaczego Kavita użyła fałszywego nazwiska, by założyć konto w Wells Fargo? - spytała Tracy. - Przed kim się ukrywała?

Aditi przymknęła oczy i westchnęła.

- Przed wszystkimi.

Tracy spojrzała na Kinsa, a ten tylko wzruszył ramionami.

- Dlaczego? I skąd wzięła tyle pieniędzy? - spytała.

- Nie wiedziałam, że jest ich aż tak dużo.

- Wiesz, skąd się wzięły?

Dziewczyna kiwnęła głową, ale nim zdążyła wydusić słowo, znów wybuchła płaczem. Kins podał jej kolejną serwetkę. Wzięła ją i otarła oczy. Jeszcze przez chwilę milczała, aż wreszcie zaczęła mówić:

- Vita miała bardzo silną wolę... - szepnęła. - Jak coś sobie postanowiła, to... - Spojrzała na Tracy i przełknęła ślinę. - Pod tym względem bardzo się różniłyśmy. Vita nie zamierzała się poddawać woli rodziców. Nie zamierzała wychodzić za mąż. Trzeba było ją znać.

- I co zrobiła? - spytała Tracy.

Aditi popatrzyła na parę młodych ludzi, którzy przeszli obok ich stolika, trzymając się za ręce, po czym przeniosła wzrok na Tracy.

- Nikt nie może się o tym dowiedzieć - powiedziała cicho. - Zwłaszcza rodzice Vity. Zhańbiłoby to ich rodzinę. - Znow umilkła, a po chwili dodała: - Rashesh też nie może się dowiedzieć.

- Rashesh? - rzuciła Tracy. - Nie rozumiem.

- Bo to skomplikowane.

- Spróbuj mi wyjaśnić.

Dziewczyna upiła łyk kawy, odstawiła filiżankę na stół i po raz kolejny westchnęła.

- Vita była nie tylko moją przyjaciółką. Była moją siostrą. Po tym, jak rodzice stwierdzili, że nie będą dłużej płacić za nasze wykształcenie ani za mieszkanie, któregoś wieczoru siedziałyśmy długo w nocy, zastanawiając się, co teraz zrobimy. Żadna z nas nie wiedziała. Obie od dziecka marzyłyśmy, że zostaniemy pediatrami i razem będziemy praktykować. Ale musiałyśmy najpierw skończyć studia medyczne. A samo chesne jest tak wysokie, że nie udźwignęłybyśmy tego bez pomocy rodziców.

Znow łyknęła kawy, a Tracy spokojnie czekała.

- Kavita była dużo bardziej zdeterminowana. Może po prostu odważniejsza. Nie wiem. Ja już właściwie byłam gotowa wrócić do domu, ale Vita powiedziała, że bym nic nie robiła, dopóki nie będziemy zmuszone opuścić mieszkania. Zgodziłam się dać jej ten czas. Parę dni później wróciła do domu strasznie podekscytowana.

- Z jakiego powodu? - spytała Tracy, by trochę ją przynaglić.

- Załatwiła sobie pracę w butik przy Avenue. Nie zarabiała dużo, ale szef jej obiecał, że po dyplomie zwiększy jej liczbę godzin. Twierdziła, że jej zarobki plus moja pensja laborantki w laboratorium chemicznym na terenie kampusu pozwolą nam zostać w mieszkaniu przez lato i dadzą czas, żeby obmyślić, co dalej. Podobał mi się pomysł dalszego mieszkania tam i zarabiania, ale bałam się, że to może nie potrwać długo, bo po zapłaceniu czynszu zostawało nam bardzo mało na życie, nie mówiąc już o odkładaniu na chesne. Ale Vita powiedziała, że bym się nie martwiła i że na pewno coś wymyślimy. Zaczęłam się nawet interesować kredytami i stypendiami studenckimi. Któregoś dnia, kilka tygodni po podjęciu pracy w sklepie, Vita wróciła do domu smutna i zamyślona. Wyjaśniła, że rozmawiała z koleżanką ze sklepu. Nie pamiętam jej imienia, ale Vita mówiła o niej, że nosi kilka kolczyków, w tym jeden nawet w nosie.

- Lindsay - podrzuciła Tracy, pamiętając młodą ekspedientkę z butiku.

- Tak. Vita opowiedziała tej Lindsay o naszej sytuacji z rodzicami, a ta odparła, że zna sposób, żebyśmy mogły zarobić więcej pieniędzy. Włączyła

swojego laptopa i weszła na stronę jakiegoś serwisu randkowego. Nazywała to sponsoringiem.

Przed paroma miesiącami Tracy czytała w "Seattle Times" artykuł o internetowym randkowaniu. Dyskutowali też o tym w pracy. Młode kobiety wypełniały profil online, w nadziei że "sponsor" - starszy bogaty mężczyzna - zechce się z nimi umówić. Serwis zapewniał młode kobiety, że bez trudu znajdą mężczyzn gotowych obsypywać je prezentami i pieniędzmi oraz wozić po całym świecie prywatnymi odrzutowcami i jachtami w zamian za to, że będą dotrzymywały im towarzystwa, co w tłumaczeniu na zwykły język oznaczało seks.

- I Vita wypełniła profil na jednej z takich stron - powiedziała Tracy.

Aditi znów się rozplakała i otarła oczy serwetką.

- Lindsay mówiła jej, że zarabia po pięćset dolarów miesięcznie, czasami więcej. Powiedziałam Vicie, że to idiotyczny pomysł, ale ona była wściekła na rodziców. Uznała, że skoro matka chce ją oddać komuś zupełnie obcemu, to równie dobrze może to robić sama i jeszcze na tym zarabiać.

Tracy odchyliła się na fotelu. Nie takiej opowieści się spodziewała, ale w tym kontekście sprawy nabierały sensu. Vita nie była zwyczajną absolwentką college'u, mieszkającą w stosunkowo bezpiecznej dzielnicy. Sama zdecydowała się na życie w środowisku pełnym zagrożeń i ryzyka. Tracy pamiętała też słowa Sama, że Kavita była z kimś umówiona tego wieczoru, kiedy zniknęła.

- A co ty o tym myślałaś, Aditi?

- Że to absurdalny pomysł i powiedziałam jej to. Ale upierała się, że wcale nie trzeba iść z tymi mężczyznami do łóżka, że często szukają tylko osoby do towarzystwa. Nie chciałam w to wchodzić, ale czułam, że jestem to winna Kavicie, bo powinnam więcej zarabiać. Że przebyłyśmy razem długą drogę i powinnam przynajmniej spróbować. Nie chciałam jej zawieść.

- I też wypełniłaś profil - podsumowała Tracy i zerknęła na Kinsa. Teraz stało się jasne, dlaczego tak jej zależało, żeby Rashesh się o tym nie dowiedział. - Na jakiej stronie?

- Sponsorzy.com.

- I co było dalej?

- To co zawsze. - Aditi podniosła na nich wzrok. W jej głosie pojawiło się rozdrażnienie, może nawet cień zazdrości. - Mężczyźni ledwie spojrzeli na profil Vity, natychmiast się zgłaszali. Ona większość zgłoszeń odrzucała, z paroma się umówiła.

- A ty? - spytała Tracy.

- Dostałam jedną czy dwie propozycje, ale od jakichś kompletnych nieudaczników. I od razu było widać, że wcale nie szukają osoby do towarzystwa.

- Szukali seksu - dopowiedziała Tracy.

- Tak.

- Umówiłaś się z którymś?

- Raz jeden. Mężczyzna był Hindusem i myślałam, że z nim będę bezpieczna. Z jego profilu wynikało, że jest programistą komputerowym i właśnie otwiera własny start-up. - Prychnęła szyderczo. W rzeczywistości był bezrobotnym programistą i mieszkał w garażu przy domu rodziców. Poszliśmy na kolację. W drodze powrotnej zjechał na parking i zaproponował, żebym mu obciągnęła za pięćdziesiąt dolarów.

- Współczuję - mruknęła Tracy.

- Poczułam się strasznie upokorzona. Wsiadłam z samochodu i zadzwoniłam do Vity, żeby po mnie przyjechała. To była moja jedyna randka internetowa i po niej zdecydowałam się ulec życzeniom rodziców.

- A Vita?

- Vita nie zamierzała się poddawać. Początkowo trafiali jej się tacy sami palanci jak mnie, ale po prostu ich odrzucała. Aż w końcu odezwał się do niej lekarz z Medyny.

Medina była zamożnym przedmieściem po wschodniej stronie jeziora Washington, znanym z eleganckich rezydencji i bogatych mieszkańców.

- Spotkała się z nim w restauracji i po powrocie do domu opowiedziała, że facet zaproponował jej stałe stypendium w wysokości dwóch tysięcy dolarów miesięcznie za to, że zawsze będzie miała dla niego czas, kiedy on zadzwoni, ale uzgodnili, że nie będzie to częściej niż raz w tygodniu. Powiedziała też, że podzieli się ze mną swoją kasą, żebyśmy obie mogły opłacić chesne na medycynie. Oświadczyłam jej wtedy, że nie mogę się na to zgodzić i nie przyjmę od niej takich pieniędzy. Prosiłam, żeby też tego nie robiła i nie narażała się na kompromitację.

- Ale ona cię nie posłuchała - stwierdziła Tracy.

- Nie. Więcej o tym nie rozmawiałyśmy, wiedziałam jednak, że się z nim spotyka.

- Co to za jeden? - spytała Tracy, czując budzącą się w niej złość.

- Doktor Charles Shea. - Aditi odchyliła się od stolika. - Mnie się trafił jakiś gówniarz, a jej lekarz, i to w dodatku pediatra. Zawsze tak z nami

było.

- Sypiała z tym Shea? - spytała Tracy.

- Nie jestem pewna.

- Aditi...

- Nigdy nie wtajemniczyła mnie w swoje układy, pani detektyw odparła Aditi podenerwowanym głosem. Odchyliła się na oparcie fotela i po chwili dodała spokojniej: - Nie chciałam nic o tym wiedzieć i nie chciałam jej pieniędzy. Ale biorąc pod uwagę okoliczności i stan konta, o którym pani wspomniała.

Tracy nie bardzo wierzyła, że Aditi mogła o tym nie wiedzieć.

- Nic ci nie mówiła?

- Nie.

- Jak myślisz, dlaczego?

- Bo nie chciałam wiedzieć. - Dziewczyna skrzywiła się. - I myślę, że Vita mi współczuła i chciała mi tego oszczędzić.

- Dlaczego ci współczuła?

Ale zanim Aditi się odezwała, Tracy zrozumiała już dlaczego. Z tego samego powodu, z którego jej siostra Sara była taką buntowniczką jako dziecko. I tak zawzięcie z wszystkimi konkurowała, zwłaszcza z nią. Sarze było trudno żyć w cieniu starszej siostry, zwłaszcza takiej, którą wszyscy uważali za ideał. Tracy z pewnością nie była ideałem, ale jej siostrze w niczym nie ułatwiało to życia. Kavita była wysoka, szczupła, miała jasną karnację i była śliczna. A w dodatku wybitnie inteligentna.

- Było aż tak źle, Aditi? - spytała. - Tak źle, że Kavita musiała się sprzedawać?

- Nigdy tak tego nie traktowała. W jej pojęciu była to okazja do zarobienia pieniędzy, które pozwolą jej i mnie osiągnąć to, co sobie wymarzyliśmy.

- Ale umieszczenie profilu w internecie... - wtrącił Kins. - Czy nie równało się to temu, przed czym tak się broniła? Temu, do czego namawiała ją matka?

- Może spróbuję to wyjaśnić. Od wczesnej młodości obie słyśmy, jakimi jesteśmy skarbami dla naszych rodzin. W Indiach od zawsze oddaje się młode kobiety w prezencie i dla podtrzymania tradycji. Małżeństwo jest równoznaczne z przekazaniem dziewczyny z jednej rodziny do drugiej. Ale nie jesteśmy tak cenne jak nasi bracia. Nie jesteśmy traktowane na równi z nimi. Jesteśmy towarem. Widzi się w nas tylko panny młode. - Aditi

pokręciła głową. - Z Kavitą to nie mogło się udać i to, co robiła, było jej sposobem na okazanie niezależności. Chciała podjąć walkę i wyrwać się z błędnego koła. Udowodnić rodzicom i wszystkim innym, że potrafi postawić na swoim.

Rozdział 36

Po odwiezieniu Aditi do domu rodziców Tracy i Kins sprawdzili doktora Charlesa Shea w policyjnej bazie danych, ale okazało się, że nie ma żadnych wpisów i brak nawet mandatów za parkowanie. W bazie danych wydziału komunikacji znaleźli jego adres, z wyszukiwarki Google dowiedzieli się, że jest renomowanym pediatrą, praktykującym w Bothell. Tracy zadzwoniła do jego gabinetu i usłyszała od recepcjonistki, że doktor ma przedpołudnie wolne, ale będzie w pracy po południu. Podjechali do jego domu nad brzegiem jeziora Washington, ale wjazd na posesję zagrażała brama. Nikt nie zareagował na domofon, a na podjeździe nie widać było żadnych samochodów.

- Pewnie gra w golfa - mruknął Kins. - Podobno wszyscy lekarze to golfiści.

Tracy starała się stłumić rozczarowanie. Mieli już kierunek i poczucie celu, ale mogło zabraknąć im czasu na wykrycie zabójcy Kavity Mukherjee. Podejrzewała, że lada chwila szefowie w Bellevue i Seattle dogadają się i ona i Kins zostaną odsunięci od tej sprawy. Musieli działać szybko.

Popijając kawę, czekali na doktora Shea pod jego domem.

- Przećwicz ze mną ten scenariusz - powiedziała Tracy, która obmyślała go przez cały ranek. - Z tego, co wiemy, Kavita korzystała ze sponsorowanego randkowania po to, by zaoszczędzić pieniądze na opłacenie czesnego jej i Aditi na medycynie, prawda?

- Aditi tak twierdzi, ale powiedziała też, że ona nie przyjęłaby tych pieniędzy - odparł Kins.

- Zostawmy to na chwilę i załóżmy, że taka była motywacja Kavity.

- Okej.

- Po czym Aditi wyjeżdża do Indii i wraca jako mężatka. Co to oznacza?

- Nie wiem. Że nie potrzebuje tych pieniędzy?

- To oznacza, że Aditi nie wybiera się już na medycynę.

- Zgoda. Czyli nie potrzebuje tych pieniędzy.

- Tak. Czyli Kavita ma nagle dwa razy więcej forsy, niż potrzebowała na opłacenie czesnego.

- Chyba brzmi sensownie.

- A jeśli dowiedziawszy się o zamążpójściu przyjaciółki i jej wyprawdzie do Londynu, Kavita oświadcza facetowi, że nie musi się już z nim spotykać?

- Do czego zmierzasz? Że gość się wścieka i ją morduje? Skąd Shea miałyby wiedzieć o starej studni w parku?

- Tego nie wiem. - Tracy wzruszyła ramionami. - Ale tu pracuje i mieszka. Może znać ten park. Zostawmy to na razie. Jak mógł zareagować, kiedy Kavita powiedziała mu, że z nimi koniec?

- Myślę, że to możliwe, ale...

- Rosa uznała, że zabójca był w amoku. Kavita była piękną dziewczyną. A jeśli ten Shea się w niej zadurzył?

- Okej - rzucił Kins. - Przystopujmy, nim zabrnijemy za daleko. Wright stwierdziła, że Mukherjee sama przysłała do parku. Po co się tam wybrała?

- Nie wiem.

- I co Shea robił w parku?

- Tego też nie wiem. Może przed pracą lub po niej chodzi tam pobiegać.

- I przypadkiem się na nią natyka?

- Mogli biegać razem.

- Nie. Kaylee ustaliła, że Mukherjee miała na nogach czółenka i na trakcie były odciski tylko jednej pary stóp.

Kins miał rację. Teoria Tracy nie pasowała do znalezionych śladów.

- Tak tylko rozważam - zaznaczyła. - Od czegoś trzeba zacząć.

Kins spróbował przeanalizować jej teorię.

- Gość jest zawiedziony, że dziewczyna chce z nim skończyć, zabija ją i wrzuca zwłoki do dołu? Nawet gdyby miał broń i zmusił ją, żeby poszła do parku, to nadal mamy problem ze śladami stóp jednej osoby. - Poprawił się na fotelu. - Zadzwoń do Vilkotskiego i spytaj, czy Pryor dostarczyła mu telefon.

Tracy prosiła Katie Pryor, żeby po zdjęciu odcisków i śladów DNA z telefonu ofiary przekazała go Vilkotskiemu. Teraz zadzwoniła, ale odezwała się poczta głosowa. Vilkotskiego nie było w biurze lub przy biurku, zostawiła więc wiadomość, że chciałyby poznać treść wszystkich esemesów w telefonie Mukherjee, przychodzących i wychodzących, z ostatnich sześciu miesięcy.

Rozłączyła się i zadzwoniła do Pryor. Ta odebrała po drugim dzwonku i potwierdziła, że zniosła telefon do biura Vilkotskiego.

- Będzie nam potrzebny nowy nakaz przeszukania - oznajmiła Tracy. - Tym razem portalu randkowego.

Opowiedziała Pryor, czego się dowiedzieli, i poprosiła o przygotowanie nakazu przeszukania, żeby mogli ściągnąć profil randkowy Vity Kumari z serwisu sponsorzy.com, a także całą jej korespondencję, wychodzącą i przychodzącą. Poprosiła też Pryor o sprawdzenie nazwiska Charlesa Shea, choć podejrzewała, że lekarz występował na portalu pod innym nazwiskiem.

Kiedy się rozłączyła, Kins zaproponował, żeby sprawdzić hasło "sponsor".

- Zobaczmy, z czym mamy do czynienia - dodał.

Tracy wpisała do wyszukiwarki słowo "sponsor" i pojawiły się dziesiątki adresów, od banalnego "nawiazywanieznajomosci.com" po zupełnie jednoznaczne "slodkitatus.com". Zawęziła poszukiwania, dodając "Seattle", i natrafiła na artykuł opublikowany w "Stranger", alternatywnym tygodniku o liberalnym charakterze. Jedna z reporterek zamieściła zmyślony profil dziewczyny szukającej sponsora i odbyła kilka randek, a nawet wzięła udział w konferencji na temat sponsoringu, zorganizowanej w Los Angeles, bo gdzieżby indziej.

- Nigdy nie brak chętnych aktoreczek, które szukają dodatkowych źródeł dochodu, żeby uzupełnić swoje iluzorycznie wysokie zarobki w branży filmowej - zauważył Kins po wysłuchaniu relacji Tracy.

- Nie mówiąc o starych przykach, którzy wykorzystują młode kobiety i ich marzenia - dodała Tracy.

- Wykorzystują? - Kins zmarszczył brwi.

- Nie czepiaj się słów - mruknęła, stukając w klawiaturę. - Nie istniałyby słodkie córeczki, gdyby nie było słodkich tatusiów.

- Tak jak nie byłoby prostytutek, gdyby nie było ich klientów?

- Mniej więcej.

- Myślę, że jesteś naiwna. - Wzruszył ramionami. - Nie przypadkiem jest to najstarszy zawód świata.

- Tak, bo są mężczyźni, którzy wykorzystują kobiety, zwłaszcza te z marzeniami, nieważne jak bardzo wydumanymi. Wyzyskują kobiety.

- Nie wszystkie kobiety mają marzenia, Tracy.

- To prawda. Bo niektóre zrezygnowały ze swych marzeń i zostało im życie w biedzie i desperacji. Tak lepiej?

- Niektóre chcą po prostu zarobić. Mężczyźni im płacą, a one to akceptują.

- I to jest w porządku?

- Jeśli mają skończone osiemnaście lat i robią to z własnej nieprzymuszonej woli, to tak. Nigdy się tego nie pozbędziemy, obojętnie, ile wysiłku temu poświęcimy.

Już to słyszała. Kins od dawna był zwolennikiem legalizacji prostytucji, żeby policja mogła się bardziej skupić na walce z innymi przestępstwami. Tracy patrzyła na to inaczej. Jej zdaniem prostytucja była czubkiem ogromnej góry lodowej - hańbiła i odczłowieczała kobiety, a także prowadziła do brutalnych przestępstw w rodzaju gwałtów, napaści, maltretowania i morderstw, nie mówiąc już o zmuszaniu do narkomanii i szerzeniu chorób wenerycznych. Podobnego argumentu o oszczędzaniu środków i sił policyjnych używano w dyskusji na temat legalizacji marihuany. Upierano się, że dzięki temu policja będzie mogła zająć się innymi, groźniejszymi, przestępstwami. W teorii wyglądało to całkiem nieźle, potem jednak meksykańskie kartele narkotykowe spostrzegły, że tracą lukratywny rynek, zaorały uprawy marihuany i w to miejsce założyły plantacje maku. W rezultacie zalały rynek amerykański smolistą heroiną i wywołały epidemię prowadzącą do znacznie poważniejszych przestępstw.

- Zgódźmy się, że się nie zgadzamy - zaproponował Kins. - Zadzwoń do redakcji i poproś o kontakt z tą reporterką. Być może wykonała za nas całą czarną robotę, co przyda nam się w rozmowie z doktorem Sukinsynem.

W redakcji usłyszeli, że reporterka jest wolnym strzelcem i nazywa się Tami Peterson. Redaktor odmówił podania jej numeru telefonu, ale obiecał przekazać jej numer Tracy i wiadomość, że chce się z nią skontaktować.

Z reportażu wynikało, że Peterson ma dwadzieścia dwa lata i jest singielką. Zamieszczono w nim także dwie fotografie autorki - na jednej pracowała przy laptopie, na drugiej była wymalowana do zdjęcia profilowego. Na obu prezentowała się atrakcyjnie: szczupła, wysoka, o jasnej karnacji. Na zdjęciu przy pracy miała na nosie okulary w grubych oprawkach, co nadawało jej wygląd pilnej studentki. Do zdjęcia profilowego zdjęła okulary, aby lepiej wyeksponować niebieskie oczy i długie rzęsy, oraz rozchyliła wargi w seksownym uśmiechu. W profilu podała swoje prawdziwe nazwisko i napisała, że mieszka w Seattle i kocha teatr. W rubryce "Płatność" wpisała "Do uzgodnienia".

- Spójrz na te strony - powiedziała Tracy. - Umów się z milionerem! Zwiedzaj świat prywatnym odrzutowcem i mieszkać w pięciogwiazdkowych hotelach!

- Obciągaj frajerowi w jego samochodzie! - dorzucił Kins, przedrzeźniając brytyjski akcent prezentera telewizyjnego programu Życie bogatych i sławnych.

- Tego nie wolno mówić - zauważyła Tracy. - Z jej artykułu wynika, że temat seksu jest ściśle zabroniony w profilach, natomiast pary zachęca się do prywatnych uzgodnień w tej kwestii, kiedy nawiążą już bezpośredni kontakt. Co za kupa gówna! Pod płaszczykiem romantycznej przygody.

- Jak to, nie uważasz doświadczeń Aditi Banerjee za romantyczne?

- Jasne, to marzenie każdej dziewczyny.

- Prawdziwe pytanie brzmi: Co na takim portalu robi pan doktor pediatra? - powiedział Kins.

- Myślę, że dla żadnego zawodu nie ma zakazu taplania się w bagnie.

Rozdział 37

Del wsiadł do windy w bloku Eduarda Lopeza, tym razem od razu zakrywając sobie nos i usta chusteczką. Zastanawiał się, czy nie skorzystać ze schodów, ale tylko przez krótką chwilę. Wchodzenie na piąte piętro z bolącymi plecami byłoby proszeniem się o kłopoty. Wysiadając, miał zażawione oczy i kręciło mu się w głowie od smrodu i wstrzymywania oddechu. Na dół zejście po schodach i do diabła z plecami.

Przyjechał do South Park, by powiadomić męża i matkę Monique Rodgers o śmierci Eduarda Felixa Lopeza oraz o wyniku badania balistycznego, potwierdzającym zgodność pocisku, który zabił Monique Rodgers, z rewolwerem kalibru .38, znalezionym w mieszkaniu Lopeza. Mąż Monique spytał, czy istnieją jakieś dowody na powiązania Lopeza z Małym Jimmym, na co Del odpowiedział, że śledztwo w tej sprawie jest w toku.

Idąc po splekanej posadzce korytarza, Del odczytywał kolejne numery na drzwiach mieszkań. Tak jak mówił Faz, oświetlenie zapewniały tu okna na obu końcach. Formalnie rzecz biorąc, Dela nie powinno teraz być w tym bloku. Zgodnie z poleceniem Nolasca, powinien był zamknąć teczkę z aktami zabójstwa i przekazać ją do wydziału narkotykowego. I zamierzał to zrobić, ale dopiero wtedy, gdy dopnie kilka spraw i wyjaśni jedną palącą kwestię.

Dotarł do przedostatnich drzwi po tej stronie korytarza - z tego, co wiedział, ostatnie prowadziły do mieszkania Eduarda Lopeza - i rozejrzał się, próbując wyobrazić sobie tamtą scenę z Gonzalez i Fazem. Wydawało się, że to, co Faz zeznał śledczemu WKD, odpowiada prawdzie. Jego ustawienie się na lewo od drzwi mieszkania Lopeza, a nie za Gonzalez, było dużo sensowniejsze, bo pozwalało mu obserwować drzwi, a jeśli się otworzą, zobaczyć, czy w środku jest ktoś jeszcze, kto mógłby stanowić zagrożenie. Nie mówiąc już o zejściu z linii ognia, w razie gdyby ktoś otworzył drzwi i od razu zaczął strzelać.

Del zapukał do drzwi sąsiedniego mieszkania. Nikt nie otworzył. Zapukał po raz drugi, tym razem mocniej. Drzwi zadrżały w futrynie, jednak znów nie było żadnej reakcji. Zapukał po raz trzeci, chwilę odczekał i przytknął ucho, ale nic nie usłyszał. Odsunął się od drzwi i zauważył, że brak w nich wizjera. Należało więc przyjąć, że jeśli ktoś tam jest, to nie otwiera drzwi nie dlatego, że zobaczył gliniarza. Co ważniejsze, również Lopez nie mógł przed wyjściem z mieszkania sprawdzić, kto stoi na zewnątrz.

Z głębi korytarza dobiegł odgłos otwierania drzwi. Potem się zatrzasnęły, a z klatki schodowej wyłoniła się kobieta z dzieckiem na ręce i

postawiła je na podłodze. W jednej ręce trzymała plastikową torbę z zakupami, w drugiej klucz. Chłopczyk wyglądał na dwa, trzy lata i coś ścisnął w rączce - gumowego dinozaura. Kobieta podeszła bliżej, spojrzała na Dela i stanęła jak wryta. Rzuciła coś półgłosem do chłopca, złapała go za rękę, odwróciła się i pomaszerowała z powrotem w stronę klatki schodowej. Chłopiec obejrzał się przez ramię na Dela, ale matka szybko pociągnęła go dalej.

- Przepraszam panią - powiedział Del.

Kobieta nie zareagowała.

- Przepraszam! - zawołał i ruszył za nią tak szybko, jak pozwalały mu na to bolące plecy. - Pani Reynoso? Pani Reynoso! - Nazwisko kobiety występowało w protokole przesłuchania WKD. Del dogonił ją tuż przed drzwiami na klatkę schodową. - Pani Reynoso?

- No hablo ingles. - Na jej zmęczonej twarzy pojawił się nerwowy uśmiech.

- ¿Hablas espanol?

Kobieta pokręciła głową.

- Tengo prisa. No puedo hablar ahora.

Spieszyła się i nie mogła teraz rozmawiać. Del uczył się hiszpańskiego w liceum i bezpośrednio po skończeniu akademii policyjnej pracował we wschodniej części stanu Waszyngton. Rozumiał uliczny hiszpański i potrafił się porozumieć, choć daleko mu było do biegłej znajomości tego języka. Ale i bez tego wiedział, że Reynoso kłamie.

Wskazał na jej drzwi i spytał, dlaczego na jego widok zawróciła, zamiast wejść do mieszkania.

- Estabas volviendo a casa. ¿Por que te volviste cuando me viste? zapytał.

- Nie, nie. Nie mogę teraz rozmawiać. Jestem już spóźniona.

- A więc jednak mówisz po angielsku?

- Si. Tak, trochę.

- Dlaczego uciekłaś na mój widok?

Reynoso wyglądała na przestraszoną.

- Proszę.

Del pokazał jej odznakę.

- Jestem detektywem z policji Seattle - oświadczył, ale nie zrobiło to na niej większego wrażenia. - Chcę ci zadać jeszcze kilka pytań. Wolisz porozmawiać u siebie w mieszkaniu czy tu, na korytarzu?

Reynoso mogła w ogóle nie zgodzić się na rozmowę z detektywem, tyle że - podobnie jak większość ludzi - nie wiedziała o tym. Zrezygnowana, wskazała głową na mieszkanie i wszyscy troje podeszli do drzwi. Del stanął trochę z boku, a chłopiec przyglądał się mu podejrzliwie, nieco wystraszony. Del uśmiechnął się, jednak naburmuszona mina chłopca się nie zmieniła.

Reynoso otworzyła drzwi i pierwsza weszła do środka. Del spojrzał w głąb mieszkania, ale nikogo tam nie zobaczył. Kobieta położyła torbę z zakupami na kuchennym blacie i zwróciła się do chłopca:

- Daniel, ve a jugar a tu cuarto con tu dinosaurio.

Dziecko popatrzyło niepewnie na matkę, jakby bało się zostawić ją samą.

- Seguid - dodała. - Hare quesadillas en un rato.

Chłopiec podszedł do drzwi w głębi pomieszczenia, raz jeszcze obejrzał się na Dela i wyszedł.

Kobieta skrzyżowała ręce na piersiach i opuściła głowę.

- Byłaś tu tego wieczoru, kiedy zastrzelono Eduarda Lopeza. Chcę ci tylko zadać kilka pytań - powiedział Del.

- Mówiłam już z policją. Ich zapytaj. - Nie patrzyła na niego.

- Już to zrobiłem. Ale wysłali mnie ponownie, bo twoja opowieść nie pasuje do relacji innych naocznych świadków. Kazali mi ustalić, czemu twoja wersja różni się od innych.

Wzruszyła tylko ramionami.

- Sąsiadka z tego korytarza mówiła, że usłyszała, jak kobieta krzyczy: "Broń!", i zaraz potem padły strzały. A według twoich słów, to mężczyzna krzyknął: "Broń!". Nikt inny tak nie zeznał.

- Ja nic nie wiem.

Del zmienił taktykę.

- Skąd znałaś Eduarda Lopeza?

- On był mój sąsiad.

- Coś cię z nim łączyło?

- Nie. - Zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

- To co robił w twoim mieszkaniu?

- Już mówiłam...

- Nie, nie odpowiedziałaś na to pytanie. Bo nikt ci go nie zadał. Więc teraz pytam: Co robił w twoim mieszkaniu? - Del przeczytał wszystkie zeznania, jej także.

Znów wzruszyła ramionami, chyba po to, by zyskać na czasie.

- On tu przyszedł.

- Byliście zaprzyjaźnieni?

- Si. Tak, byliśmy zaprzyjaźnieni.

- Jak się poznaliście?

- Ja już mówiłam. On był mój sąsiad.

- Gdzie pracował?

- Nie. nie wiem.

- O czym rozmawialiście?

- Proszę - jęknęła. - Muszę dać dziecku jeść.

- Dlaczego zeznałaś, że słyszałaś, jak mężczyzna zawołał: "Broń!"?

- Bo tak sły...

- Nie, wcale tego nie słyszałaś. Policjanci noszą teraz kamery osobiste. Wiesz, co to jest kamera osobista? Taka mała kamera wideo, która nagrywa wszystko, co się wokół dzieje i kto co mówi. - Tak naprawdę funkcjonariusze nie nosili kamer, w każdym razie jeszcze nie wszyscy. Sprawa kamer osobistych była nadal przedmiotem rozmów między władzami miasta a związkiem policjantów, ale Del chciał się przekonać, czy kobieta zmieni swoją śpiewkę. - Więc my wiemy, że to nie mężczyzna zawołał: "Broń!". Dlaczego tak zeznałaś?

- Nie wiem. Może pomyliłam.

- Posłuchaj, za mówienie prawdy nic ci nie grozi, ale za okłamywanie funkcjonariusza policji.

- Proszę.

- Ktoś kazał ci powiedzieć, że słyszałaś głos mężczyzny?

- Proszę...

- Ktoś ci kazał?

- Wy tak kazali. - Podniosła głos i po raz pierwszy spojrzała na Dela. - Wy. Policja. Ta policjantka. Ona mi mówi: "Słyszałaś, jak mężczyzna krzyknął «Broń!»". A potem mówi, że słyszałam, jak go pyta, tego policjanta: "Dlaczego krzyknęłaś «Broń!»?".

- Słyszałaś, że tak powiedziała do tego drugiego policjanta?

- Nic nie słyszałam. Tak mówię, bo ona tak mówi.

- Powiedziała ci, dlaczego masz tak mówić?

- Mówi, że Eduardo Lopez kogoś zabił. Mówi, że ja go ukrywam i mogę mieć kłopoty. Że mogą mi zabrać Daniela, jak nie posłucham. To ja tak mówię.

- Ukrywałaś Lopeza?

- Nie - zaprzeczyła stanowczo. - On puka do mnie i mówi, że ktoś do niego idzie. Mówi, że nie może być u siebie.

- Wiedział, że ktoś do niego idzie?

- Mówi, że potrzebuje miejsca, żeby poczekać, aż sobie pójda. Mówię mu, że nie chcę się do tego mieszać, ale on mówi, że tylko na chwilę. Mówi, że z imigracyjnego.

- I wpuściłaś go?

- Bałam się. Do niego ciągle przychodzili jacyś ludzie.

- Wiesz po co?

Pokręciła głową.

- Handlował narkotykami?

- Ja nic nie wiem. - Wzruszyła ramionami.

- Był członkiem gangu?

- Ja nic nie wiem.

- Powiedział ci, kto do niego idzie? Przed kim się kryje?

Kolejne wzruszenie ramion.

- On tylko mówi "z imigracyjnego".

Del przypomniał sobie relację Faza i podszedł do drzwi wejściowych.

- Stał pod tymi drzwiami? - spytał.

- Tak. On słucha. Ktoś na korytarzu puka do jego drzwi i on.

- Słyszałaś pukanie do jego drzwi? - Faz zeznał, że Gonzalez nie zdążyła zapukać.

- Tak, mocno puka. Bam, bam, bam.
- Do tych drzwi? - Del wskazał drzwi jej mieszkania.
- Nie. Do jego drzwi. Obok.
- Słyszałaś, że ktoś pukał?
- Tak. Bam, bam, bam. Tak mocno.

Delowi przyszła do głowy nowa myśl.

- Rozmawiałaś wtedy z Lopezem? - spytał.
- Ja nic nie mówiła.
- Policjanci, którzy tu wtedy byli, powiedzieli, że słyszeli kogoś mówiącego po hiszpańsku. Lopez rozmawiał z tobą po hiszpańsku?
- Nie - odparła i nagle umilkła.
- Coś sobie przypomniałaś?
- Ktoś do niego telefonuje. On mówi po hiszpańsku przez telefon.
- Co mówił?
- Ja nie wiem.
- Nie pamiętasz, co wtedy powiedział?

Kobieta pokręciła głową.

- To było przed czy po tym, jak usłyszałaś pukanie do jego drzwi? Jego telefon zadzwonił wcześniej czy później?
- Później. - Reynoso sprawiała wrażenie, jakby walczyła z bólem głowy.
- Ktoś wali do jego drzwi, ale Lopez tylko słucha. Nie odpowiada. Potem już nikt nie wali i Lopez idzie do okna. - Wskazała ręką.

Del podszedł do okna. Widać z niego było parking pod blokiem.

- Podszedł i wyjrzał przez okno po tym, jak usłyszał pukanie?
- On słyszy pukanie. Idzie do okna i patrzy. Potem patrzy na mnie, mówi gracias i idzie do drzwi, żeby wyjść. I potem jego telefon dzwoni.

To by tłumaczyło, dlaczego Lopez wyszedł z mieszkania z telefonem w ręce, a także dlaczego zaskoczył tym Faza i Gonzalez. Kimkolwiek był ten, przed kim Lopez się krył i kto pukał do jego drzwi, Lopez uznał, że już sobie poszedł. Być może nawet dojrzał tego kogoś przez okno z mieszkania Reynoso. Otwierając drzwi na korytarz, nie spodziewał się tam nikogo. A z braku wizjera w drzwiach nie mógł się o tym upewnić, zanim je otworzył. Widok Faza i Gonzalez go zaskoczył.

A ich zaskoczył jego widok.

Rozdział 38

Tami Peterson mieszkała na Capitol Hill, ale umówiła się z nimi w narożnym pubie Stumbling Monk. Przez telefon brzmiała młodzieńczo i radośnie, kipiła entuzjazmem i najwyraźniej zupełnie nie przejmowała się tym, że wzbudziła zainteresowanie policji. Tracy i Kins mieli nadzieję, że Peterson pomoże im lepiej zrozumieć zwyczaje panujące w randkowym sponsoringu, a uzyskane od niej informacje przydadzą im się w rozmowie z doktorem Shea, jeśli nie zechce nic mówić lub zacznie kłamać. Im więcej będą wiedzieć - a w każdym razie Shea będzie sądził, że wiedzą - tym łatwiej uda im się przełamać jego opór.

Peterson wyraziła się precyzyjnie, nazywając Stumbling Monk "miejscowym pubem". Wejście do parterowego budynku z czerwonej cegły znajdowało się na skrzyżowaniu East Olive Way z Belmont Avenue East, tuż pod szyldem przedstawiającym łysego mnicha i beczki piwa. Kins pociągnął ciężkie drewniane drzwi z metalowymi okuciami, mające udawać wrota średniowiecznego opactwa. W środku wystrój też był odpowiednio ascetyczny. Wzdłuż porysowanego i wyszczerbionego drewnianego kontuaru stał rząd prostych barowych stołków. Uwagę zwracał brak ekranów telewizyjnych i towarzyszącego im zwykle jednostajnego zgiełku. Na regale bibliotecznym stało kilkadziesiąt książek w podniszczonych oprawkach, obok leżały stosy gier planszowych. Na stołkach przy barze i w boksach przy stolikach siedziało parę osób, sącząc belgijskie piwa - ich nazwy były wypisane ręcznie na białej tablicy.

Tracy dostrzegła Peterson, która na ich widok wstała od stolika w jednym z boksów. Była dużo bardziej podobna do swego wizerunku przy pracy, ze zdjęcia w gazecie: okulary w czarnych oprawkach, dżinsy, sandały i biała bluzka bez rękawów. Przedstawili się sobie i Tracy z Kinsem wsunęli się na ławkę po drugiej stronie stołu. Przed Peterson stała filiżanka czarnej kawy i leżał otwarty laptop.

- Ciekawe miejsce - zauważył Kins, przyglądając się stojącemu na szafce w rogu sali staromodnemu bcyklowi.

- Przychodzę tu pisać - powiedziała Peterson. - Pozwala mi to wyrwać się z domu i daje złudzenie, że w ciągu dnia wychodzę do ludzi.

- O czym pani pisze? - spytała Tracy.

- O wszystkim, co się sprzedaje. Głównie wolne tematy, lokalne sensacje i takie różne. No i jestem jedną z tych, które piszą powieści.

- Coś już pani wydała?

- Jeszcze nie skończyłam pierwszej. Strasznie wolno mi to idzie. Piszę coś w rodzaju romansu. - Wzruszyła ramionami i łyknęła kawy. Mój redaktor powiedział, że interesuje was artykuł o sponsorowanym randkowaniu. Ukazał się prawie dwa miesiące temu.

- Chcielibyśmy zadać kilka pytań na temat tego, co pani wie o tym rynku - wyjaśnił Kins.

- Chodzi wam o moją mistyfikację w roli sponsorowanej panienki. - Peterson się uśmiechnęła. - Mogę spytać, po co to wam? Oboje macie obrączki na palcach, więc sądzę, że żadne z was nie zamierza umieszczać na stronie swojego profilu. Chociaż poznałam paru panów, którym obrączki nie przeszkadzały.

Tracy i Kins też się uśmiechnęli.

- Pracujemy nad jedną sprawą... - powiedziała Tracy. - Pewna młoda kobieta korzystała z takiego serwisu i chcemy się dowiedzieć więcej, jak to działa. Z pani artykułu widać, że na zbadanie tego tematu poświęciła pani dużo czasu i wysiłku.

- Chodzi o zabójstwo? - spytała Peterson.

Najwyraźniej odrobiła pracę domową i pytanie Tracy uruchomiło w jej głowie reporterskie trybiki. Niewątpliwie tuż po rozmowie z nimi wejdzie do internetu i zacznie w nim grzebać, aby namierzyć ofiarę zabójstwa.

- Tak, tylko na razie nie mamy pewności, czy te dwie sprawy się łączą. Zaczynamy dopiero się rozglądać.

- Ale ofiara miała swój profil i umawiała się z mężczyznami, którzy się zgłaszali, tak?

- Tak nam powiedziano - odrzekła Tracy. - Z tonu pani artykułu wnoszę, że nie ma pani zbyt dobrego zdania o sponsorowanym randkowaniu.

- Chodzi o moją uwagę, że wprowadzie wielu obiecuje ferrari, ale zwykle kończy się na kii? Zdawało mi się, że ujęłam to dość subtelnie.

- Ale my to zrozumieliśmy. - Kins odwzajemnił uśmiech. - Jesteśmy świetnie wyszkolonymi detektywami.

- Tak naprawdę to wszystko wydało mi się dość przygnębiające. Część dziewczyn, z którymi rozmawiałam, upatrywało w tym swoją szansę rodem z Pretty Woman. Widzieliście ten film z Julią Roberts?

Tracy widziała go i uważała, że ta bajeczka o prostytutce i zakochującym się w niej milionerze, ze łzawym happy endem, jest bardziej niż trochę naciągana.

- A nie tak się kończy każda randka? - rzucił Kins z udawanym zdziwieniem. - Jestem rozzarowany!

- Na pewno niektórzy słodcy tatusiowie wmawiają sobie, że okazują tym dziewczynom serce, pomagając im spełniać marzenia, że są ich dobrymi duchami czy czymś takim. - Znowu wzruszyła ramionami, jakby odruchowo. - Mogą sobie wmawiać, co im się podoba, i po pewnym czasie sami nawet zaczynają w to wierzyć, przynajmniej częściowo. Ale są też tacy, którzy podchodzą do tego bardziej pragmatycznie. Tłumaczą sobie, że przynajmniej nie korzystają z usług prostytutek.

- A dziewczyny jak to racjonalizują? - spytała Tracy. - Te, które nie wierzą w marzenie rodem z Pretty Woman?

- To jest właśnie najsmutniejsze. Niektóre, jak mi mówiły, wiedzą, że są wykorzystywane, ale przynajmniej na tym zarabiają. Inne twierdziły, że te pieniądze uzupełniają ich zarobki, jeszcze inne wyjaśniały, że wciąż się uczą i potrzebują pieniędzy na opłacenie nauki. - Peterson znowu wzruszyła ramionami, tym razem również się krzywiąc. W moim odczuciu wszystkie uprawiały nierząd i wszystkim się zdawało, że dobrze na tym wychodzą. A tak naprawdę wszystkie były przegrane.

- Z komentarzy w internecie wynika, że zarabiają ponad trzy tysiące dolarów miesięcznie, niektóre nawet więcej - powiedziała Tracy. - Rozumiem, że pani w to nie wierzy.

- W internecie można przeczytać różne rzeczy. - Peterson odchyliła się do tyłu. - Nie wiem, może niektóre tyle zarabiają, ale nie mam na to dowodów. Większość tych, z którymi rozmawiałam, w gruncie rzeczy zarabiała marne grosze. Bo zastanówmy się. Ilu facetów stać na to, żeby wydawać trzy tysiące miesięcznie na dziewczynę? Z moich badań rynku wynika, że atrakcyjną prostytutkę można wynająć za czterysta do pięciuset dolarów. Więc nawet jeśli się zdarza, że wydają trzy tysiące na sponsorowanie dziewczyny, to na pewno niezbyt często.

- Jak to możliwe, że te portale randkowe w ogóle mogą legalnie działać? - wtrącił Kins. - Udało się pani ustalić, dlaczego nie jest to uznawane za prostytutkę? Seks za pieniądze wydaje się w nich otwarcie promowany.

- Portale randkowe latają poza zasięgiem radaru organów ochrony porządku publicznego, bo wszystkie kategorycznie zabraniają umawiania się na płatny seks. Z tego, co słyszałam od pracowników obyczajówki, wynika, że aby można było zgodnie z prawem uznać jakąś działalność za prostytutkę, musi dojść do aktywności seksualnej bezpośrednio lub bardzo szybko po zawarciu umowy na świadczenie płatnej usługi. Portale internetowe, nazywane się randkowymi, twierdzą, że jedynie pomagają zawierać znajomości i seks nie jest głównym celem.

- Ale z pani badań wynika, że taki właśnie jest ich główny cel, tak? - spytała Tracy.

W artykule Peterson była wzmianka o tym, jak podczas seminarium w Los Angeles zwróciło się do niej dwóch mężczyzn z propozycją, by udali się we trójkę do hotelu po drugiej stronie ulicy na seks grupowy.

- Z moich badań wynikało, że seks jest zasadniczą częścią całego pakietu. Zawsze była o nim mowa. Czasem mówiono także o czymś innym, ale o seksie zawsze.

- Co na to właściciele portali?

- Mówią, że gdy dwie osoby nawiązują znajomość i zaczynają się spotykać, seks zawsze wisi w powietrzu, ale żadna z nich nie ma obowiązku go uprawiać, jeśli on czy ona tego nie chce. - Peterson uśmiechnęła się smutno. - Jednocześnie portale mocno podkreślają, że zawierane znajomości są dobrowolne i nie powodują żadnych zobowiązań, a zaangażowanie uczuciowe jest nie tylko nieobowiązkowe, lecz wręcz niepożądane. Czyli żadnej miłości, tylko seks, a kobiety dostają za to pieniądze. Więc z czym się to wam kojarzy?

- Kto korzysta z tych portali?

- Nie da się tego stwierdzić na pewno - odrzekła Peterson. Wszystko jest utajnione. Kobiety zachęca się do używania pseudonimów i tworzenia zmyślonych profili. Jestem pewna, że mężczyźni postępują tak samo. Nic nie jest takie, na jakie wygląda, i tak naprawdę to jedna wielka ściema. Wystarczy pomyśleć o dziewiętnastolatkach, które wsiadają do samochodów obcych mężczyzn, nic o nich nie wiedząc i nawet nie znając ich prawdziwych imion. Wiedzą tylko tyle, ile wyczytały w ich profilu. I często nikomu nie mówią o tym, co robiły, bo się wstydzą przyznać.

- A pewnie większość informacji podanych w profilu to kompletne bzdury - zauważył Kins.

Peterson pochyliła się nad stołem, nagle ożywiona.

- Przygotowując się do tego artykułu, rozmawiałam z terapeutką zdrowia psychicznego, która mi powiedziała, że tego typu związki kojarzą się mężczyznom z czasami beztroski, gdy byli młodzi i umawiali się z dziewczynami. Tyle że teraz są już starsi i mają pieniądze, a więc także władzę. Kontrolują wszystko i mogą kierować związkiem tak, jak nie mogli w czasach młodego randkowania. Terapeutka stwierdziła, że to prowadzi do ogromnego braku równowagi w takim związku. Przeciętny wiek mężczyzn korzystających z tych portali to czterdzieści pięć lat, przeciętny wiek kobiet wynosi dwadzieścia sześć. Do tego dochodzi jeszcze liczebna przewaga płci żeńskiej na portalach, a także często nierówności klasowe i rasowe. Rodzi się więc pytanie, czy kobiety rzeczywiście robią to

z własnej woli, czy też zmuszają je do tego okoliczności: brak środków do życia, utrata pracy lub brak szans na spełnienie swoich marzeń, kiedy się pracuje dorywczo w Starbucksie i dostaje minimalne wynagrodzenie. - Peterson wzruszyła ramionami. - Wszyscy z reguły obwiniają kobiety i rozgrzeszają mężczyzn, podczas gdy tak naprawdę mężczyźni są tak samo, jeśli nie bardziej, winni.

Tracy zerknęła na Kinsa, ale on udał, że tego nie widzi.

- Muszę przyznać, że pisząc ten artykuł i kończąc go w taki sposób, nigdy nie sądziłam, że sprowadzi to do mnie detektywów z wydziału zabójstw, ale chyba nie powinnam się dziwić.

- A jak go pani skończyła? - spytał Kins.

- Internet to niebezpieczne środowisko - odparła bez zastanowienia Peterson. - Możesz działać online, chroniąc swoją tożsamość, ale to samo dotyczy osoby będącej twoim celem. Może z tego wyniknąć śmiertelnie niebezpieczna gra.

Rozdział 39

Del zaparkował zielonego chevroleta impalę z 1965 roku w przyzwoitej odległości od tablicy do koszykówki, bo nie chciał, aby odbita od obręczy piłka walnęła w jego ukochane auto. Faz stał pod tablicą, obejmując piłkę rękami. Del grywał z nim w kosza, kiedy obaj byli młodszy, a jego plecy nie groziły poważną awarią. Jak na swoją posturę, Faz był zaskakująco zwinny i z dumą wspominał, że w liceum regularnie grywał w szkolnej drużynie na pozycji atakującego.

Wysiadłszy, Del usłyszał dobiegającą z radia transmisję końcowych fragmentów meczu Marinersów.

- Miałeś tu być godzinę temu - zauważył Faz. - Vera przyrządziła takiego łososa, że życie można za niego oddać. - Rzucił piłkę do partnera, a ten ją złapał, ale tylko odrzucił.

- Lepiej nie - powiedział. - Plecy mam jeszcze obolałe. Rzucę do kosza, a ty będziesz wzywał pogotowie.

Faz wycelował w stronę kosza, piłka odbiła się od tablicy, uderzyła w obręcz i spadła na ziemię.

- Jak ci minął wolny dzień? - spytał Del.

- Jestem na powietrzu i rzucam sobie do kosza, jak widzisz. Mija niecała doba, a ja już zaczynam dostawać kota i doprowadzać Verę do obłędu. Wolisz kieliszek wina czy piwo?

- Nic, dziękuję. Przyjechałem pogadać.

- Domyślam się. - Faz wskazał głową stół ogrodowy z krzesłami na werandzie. - Usiądźmy tutaj.

Rzucił piłkę za siebie. Odbiła się dwa razy od ziemi i wpadła w krzaki przy podejździe. Ze stojącego na stole radia popłynęły oklaski i głośne owacje.

- Znów wygrywają? - spytał Del, przysuwając sobie krzesło.

Po nieudanym początku sezonu, Marinersi wygrywali dziewięć z dziesięciu rozegranych meczów.

- Ostatni wynik, jaki słyszałem, to cztery do zera. Teraz jest już chyba więcej.

Del usiadł naprzeciwko partnera.

- Byłem dziś w South Park, w bloku Lopeza - oznajmił.

- Taaa? - Faz się uśmiechnął. - Jak rozmawialiśmy po południu, powiedziałaś mi, że Nolasco kazał ci przekazać akta do narkotykowego.

- Jeszcze nie zdążyłem tego zrobić - odparł z uśmiechem Del. - Musiałem wyjść, żeby powiadomić rodzinę Rodgers o wynikach badań balistycznych.

- Jak to przyjęli?

- Jak można się było spodziewać. Nadal są przekonani, że Lopez działał na zlecenie Małego Jimmy'ego. Powiedziałem im, że pracujemy nad ustaleniem ich powiązań. A skoro już byłem w okolicy, uznałem, że podjadę i pogadam z sąsiadką Lopeza.

Faz oparł ręce na stole i nachylił się do przodu.

- Zgodziła się z tobą porozmawiać?

- Początkowo nie chciała. - Del zrelacjonował swoje spotkanie w korytarzu. - Ona się boi, Faz.

- Małego Jimmy'ego?

- Nie. Boi się nas, policji.

Faz przez chwilę się zastanawiał.

- Nie chciała, by ktoś widział, że z tobą rozmawia?

- Może, ale to nie był strach przed policją w ogóle. Chodziło o coś bardziej konkretnego.

Faz spojrzał na niego pytająco.

- Czego się bała?

- Nie czego, tylko kogo. Gonzalez. Spytałem, kto jej kazał mówić, że usłyszała męski głos wołający: "Broń!".

- A ona powiedziała, że Gonzalez?

- Trochę się motała i kręciła, ale w końcu przyznała, że to policjantka.

- Nie pierdol.

- Nie pierdołę. - Del powtórzył swoją rozmowę z Reynoso. - Gonzalez jej powiedziała, że za wpuszczenie Lopeza do mieszkania może mieć kłopoty, ona i dziecko.

- Nagrałeś to?

- Nieee. Bałem się, że się wystraszy i przestanie mówić. Ale nawet gdybym ją nagrał, to ci z WKD, czy kto by tam tego słuchał, mogliby uznać, że ją podszedłem i wprowadziłem w błąd, zwłaszcza że jej

powiedziałem, że miałeś kamerę osobistą, która wszystko nagrała, i dzięki temu wiemy, że ona kłamie.

Faz odchylił się od stołu.

- Tak jej powiedziałaś?

Del kiwnął głową.

- Kurwa, stary, nie chcę, żebyś się za mnie podkładał.

- Tak, no cóż, ale to jeszcze nie wszystko... Kiedy Nolasco kazał mi zamknąć śledztwo i przekazać akta do narkotykowego, zajrzałem do nich, żeby wszystko uporządkować. I wtedy się okazało, że Tracy przeglądała te akta w poniedziałek i wtorek po południu.

- Po co Tracy miałyby przeglądać. Zaraz. w poniedziałek i we wtorek po południu Tracy była w sądzie na procesie Stephensona.

- Tak, wiem.

- No to.

- W rejestrze był jeszcze jeden zapis, z którego wynikało, że logowałem się do tego pliku wczoraj, kiedy leżałem w domu z bólem pleców.

- Zalogowałeś się zdalnie?

- Nie. I właśnie chciałem ciebie spytać o to samo.

- O kurwa, Del.

- Co?

- Jasna cholera. Wczoraj pozwoliłem Gonzalez skorzystać z twojego komputera, bo zaczęła narzekać, że nie może dogadać się z Tracy. I podałem jej twoje hasło.

Del pokiwał głową i zaczął głośno myśleć.

- Jeśli używała komputera Tracy w poniedziałek lub wtorek, musiała wiedzieć, że to ja jestem detektywem prowadzącym śledztwo w sprawie zabójstwa Rodgers, a nie Tracy, i że z jej komputera nie zdoła się dostać do plików osobistych.

- Ale dlaczego? Po co miałyby grzebać w twoich aktach?

- Tego nie wiem. Wyraźnie jednak interesowała się sprawą Monique Rodgers.

- Spytałeś Reynoso, po co Lopez do niej przyszedł?

- Spytałem, a ona odparła, że Lopez musiał się przed kimś ukryć.

- Wiedział, że tam idziemy?

- Nie sędę.

- No to przed kim?

- Reynoso mówi, że w czasie, gdy Lopez u niej był, ktoś pukał do jego drzwi. Ty powiedziałaś, że nie zdążyliście do niego zapukać.

- To prawda, nie zdążyliśmy.

- Czyli ktoś pukał do mieszkania Lopeza tuż przed waszym przyjściem. Reynoso twierdzi, że walenie do drzwi powtórzyło się kilka razy, po czym ten ktoś odszedł. Chwilę potem Lopez podszedł do okna i wyjrzał na parking, a wtedy zadzwonił jego telefon. Lopez odebrał i zaczął rozmawiać po hiszpańsku.

- Słyszałem kogoś mówiącego po hiszpańsku - rzucił Faz.

- Tak, wiem. Myślę też, że Lopez nie spodziewał się nikogo innego pod drzwiami i dlatego wyszedł. Pewnie wiedział, że ten, przed kim się krył, już wyszedł z bloku. W drzwiach tych mieszkań nie ma wizjerów, więc przed wyjściem nie mógł się upewnić, że korytarz jest pusty. Myślę, że wasz widok zaskoczył go tak samo jak jego widok was.

Faz przypomniał sobie coś jeszcze.

- Gonzalez chciała sprawdzić Eduarda Lopeza - powiedział, nachylając się nad stołem. - Była u nas, kiedy dostałem wyniki badania daktylo. Poprosiła mnie wtedy, żebym pomógł jej sprawdzić go w bazie.

- Czyli wiedziała, że zidentyfikowaliśmy odcisk dłoni Lopeza - zauważył Del. - A potem znalazła go w bazie i już знаła jego ostatni adres.

- Sądzisz, że uprzedziła Lopeza, że się do niego wybieramy?

- Może. Ale to i tak nie wyjaśnia, kto odwiedził Lopeza tuż przed wami. Przed kim Lopez się krył.

Faz przypomniał sobie mężczyznę, który zszedł na dół po schodach, gdy on i Gonzalez czekali na windę. Czas by się zgadzał.

- Niewykluczone, że go widziałem - powiedział.

- Kogo?

- Nie wiem kogo, ale kiedy Gonzalez i ja staliśmy pod drzwiami windy, widzieliśmy jakiegoś Latynosa, który wyszedł z klatki schodowej. Popatrzył na nas, a potem opuścił budynek i skierował się na parking.

- Według relacji Reynoso, Lopez podszedł do okna i patrzył, jak odjeżdża - dodał Del.

- A my w tym czasie dojechaliśmy na piąte piętro. Ale jeśli Gonzalez uprzedziła Lopeza, że przyjdziemy, to czemu go zastrzeliła?

- Może to nie jego uprzedziła. Może dała znać temu drugiemu gościowi, a gdy nikt nie zareagował na jego walenie, facet doszedł do wniosku, że Lopeza nie ma w domu.

- To nadal nie wyjaśnia, dlaczego go zastrzeliła.

- Na to nie umiem odpowiedzieć - przyznał Del. - Jeszcze nie. Ale jednego jestem pewien już teraz: tego, że martwy świadek nie może zeznawać przeciwko Małemu Jimmy'emu. A zastrzelenie Lopeza praktycznie kończy nasze śledztwo, zwłaszcza że pocisk, który zabił Monique Rodgers, pasuje do trzydziestkiósemki znalezionej w mieszkaniu Lopeza.

- Nie mamy dość dowodów, żeby ją oskarżyć - mruknął Faz. - Reynoso może zeznać, że Gonzalez kazała jej tak mówić, a Gonzalez temu zaprzeczy i na tym koniec.

- A jak jeszcze wyjdzie na jaw, że skłamałem o tej osobistej kamerce...

- To twoje jaja usmażą się na jednej patelni z moimi.

- Pewnie tak. Zadzwoń jutro do Los Angeles i spróbuję pogadać z kimś i czegoś się o niej dowiedzieć.

- Ustal jej adres - powiedział Faz.

- Wiesz przecież, że nie mogę tego zrobić.

Policjantom nie wolno było ustalać prywatnych adresów, o ile nie wynikało to z potrzeb konkretnego śledztwa.

- Znajdź mi jej adres - rzucił Faz. - Bo dostaję już kota z tej bezczynności. Będę ją miał na oku w jej wolnym czasie. Czy ktoś zajrzał do telefonu Lopeza i sprawdził jego połączenia i esemesy?

- Jeszcze nie. Przyjechałem prosto do ciebie. Zajmę się tym jutro. Del wyprostował się na krześle, pokręcił głową i po chwili milczenia mruknął: - Co za szambo.

- Szambo w szambie.

Rozdział 40

Uzbrojeni w fotografię uśmiechniętego Shea w białym kitlu lekarskim i w dane z bazy wydziału komunikacji, z których wynikało, że pan doktor jeździ białą teslą model X z roku 2017, Tracy i Kins wjechali na wielopiętrowy parking ośrodka medycznego. Tracy ponownie zadzwoniła do przychodni i udając matkę chorej dziewczynki, spróbowała umówić wizytę u doktora Shea. Usłyszała, że pan doktor nie ma na dziś wolnego terminu.

Parking dla lekarzy znajdował się na poziomie zero, najbliżej wejścia do budynku ośrodka. Białej tesli tam nie było.

- Takie auto kosztuje około stu dwudziestu pięciu tysięcy dolarów zauważył Kins, kiedy wjechali na parking i znaleźli wolne miejsce. Więc sędzę, że nie ma ich tu więcej niż dwa albo trzy.

- Mój tata był lekarzem i jeździł pick-upem - powiedziała Tracy. Jeśli Shea jeździ samochodem za sto tysięcy dolarów i mieszka w Medynie, to albo odziedziczył kupę forsy, albo się w nią wzenił. Dzisiaj to rzadkość, żeby pediatra zarabiał taką forszę w swoim zawodzie.

- Nie wspominając o paru tysiącach miesięcznie na konkubinę.

- Nie wspominając - przyznała Tracy.

W tym momencie na parking wjechała biała tesla.

- To on - mruknął Kins.

Shea zaparkował na swoim miejscu i wysiadł. Tylne drzwi samochodu uniosły się niczym skrzydła ptaka.

Tracy i Kins szybkim krokiem podeszli do auta.

- Doktor Shea? - spytała Tracy.

Lekarz wziął z tylnego siedzenia sportową marynarkę i drgnął na dźwięk swojego nazwiska.

- Tak. - Lekko zmrużył oczy.

Tracy machnęła policyjną odznaką.

- Detektyw Crosswhite, a to detektyw Rowe. Chcielibyśmy chwilę porozmawiać.

- O czym?

- O Vicie Kumari - odrzekła Tracy.

- Nie znam nikogo o tym nazwisku - oznajmił doktor, choć błysk w jego oczach świadczył o czymś przeciwnym.

- Ależ tak, zna pan - rzucił Kins. - Więc darujmy to sobie, dobrze? Wiemy wszystko o sponsorowanym randkowaniu, słodkich panienkach i słodkich tatusiach. Pan zalicza się do tatusiów. Ona do panienek. Zgadza się?

Z Shea zeszło powietrze jak z przekłutego balonu, o co właśnie Kinsowi chodziło.

- Czego ode mnie chcecie?

- Może lepiej będzie porozmawiać w pańskim gabinecie, a nie tu, na parkingu - powiedziała Tracy.

- Coś się stało Vicie? - spytał Shea.

Zaniepokojenie w jego głosie zabrzmiało całkiem szczerze, ale w takich sytuacjach policjanci mawiali, że Ted Bundy też brzmiał szczerze.

- Czemu pan pyta? - odezwał się Kins.

- Bo dwoje policjantów stoi przy moim samochodzie i chce rozmawiać o Vicie.

Kins spojrzał na Tracy.

- Rozsądna uwaga - mruknął.

- Tak. Coś jej się stało - powiedziała.

Shea popatrzył w stronę szklanych drzwi do budynku.

- Chodźcie ze mną - rzucił.

Poprowadził ich schodami na piętro i otworzył kluczem drzwi z klatki schodowej na korytarz. Weszli do holu z wykładziną dywanową zasłaną torami kolejki i wagonikami. Na ścianach widniały malowidła przedstawiające sceny z afrykańskiej dżungli: małpy na drzewach, słonie i lwy, gepard wylegujący się na gałęzi. Szli dalej pośród wag, stojaków do mierzenia wysokości i tablic do badania wzroku.

- Panie doktorze... - Z jednego z pomieszczeń wyszła kobieta w niebieskim stroju pielęgniarki i zmierzyła wzrokiem Tracy i Kinsa. - Myślałam, że dziś już pana nie będzie.

O dziwo, Shea bez skrępowania przedstawił ich jako detektywów z policji Seattle.

- Wróciłem, bo jest trochę papierkowej roboty. Mam nadzieję, że nie zajmie mi to zbyt długo.

Shea podszedł do drzwi z tabliczką, na której wygrawerowane było jego nazwisko, i je otworzył. Jak na kogoś jeżdżącego tak luksusowym autem, wnętrze wyglądało dość skromnie. Za oknem z przejrzystą roletą roztaczał się widok na autostradę 405.

- Proszę, siadajcie. - Shea wskazał im dwa krzesła, a sam usiadł za biurkiem o jasnej politurze, podobnie jak reszta sprzętów w gabinecie. Większą część blatu zajmował ogromny monitor, na ścianie z tyłu wisiało kilka dyplomów. Wynikało z nich, że Shea uczęszczał na Uniwersytet Gonzaga (jezuici pewnie nie byliby zachwyceni jego profilem słodkiego tatusia) i skończył medycynę na Uniwersytecie Stanu Waszyngton, gdzie zrobił też doktorat z pediatrii. - Powiedzieliście, że coś się stało Vicie.

- Kiedy ostatni raz ją pan widział? - spytała Tracy.

- W poniedziałek wieczorem.

- Co robiliście?

Shea odchrząknął. Nie wyglądał na swoje czterdzieści cztery lata i miał odruch odgarniania z czoła chłopięcego kosmyka blond włosów.

- Poszliśmy na kolację, a potem do hotelu w Kirkland, tak jak zawsze.

- Gdzie byliście na kolacji?

- W Lila's Cafe. To restauracja w Kirkland. Rezerwacja była na moje nazwisko.

- A hotel?

- Marriott. Też w Kirkland.

- Pokój był także na pana? - spytał Kins.

Tracy robiła notatki. Jeśli Shea próbował coś przed nimi ukrywać, słabo mu to wychodziło.

- Nie - odparł.

- Na nazwisko Kavity?

- Tak.

- To dość bez troskie jak na żonatego mieszkańca Mediny, nie uważa pan? - powiedział Kins. - Nie obawiał się pan, że ktoś was zobaczy?

Shea wyprostował się w fotelu, rozluźnił krawat i rozpiął kołnierzyk koszuli.

- Gdyby nas ktoś zobaczył w restauracji, to Vita była studentką szykującą się do praktyki pediatrycznej.

- A kim była w hotelu? - spytał Kins, który potrafił nieźle dopiec, kiedy sytuacja tego wymagała.

- Nigdy nie wchodziliśmy tam razem. Vita zawsze wynajmowała pokój na siebie.

- I w recepcji nigdy nie spytano, dlaczego wynajmuje pokój zawsze o tej samej porze i w tym samym dniu tygodnia?

- Powiedziała im, że jest akwizytorką firmy farmaceutycznej i spotyka się z klientami z Eastside we wtorki rano. Na dowód zawsze miała ze sobą torby, rzekomo z próbkami.

Wszystko sprytnie obmyślane.

- Czyli był to stały układ? - wtrąciła Tracy.

- Na ogół tak.

- Co to znaczy "na ogół"?

- To znaczy, że spotykaliśmy się w każdy poniedziałek, chyba że któremuś z nas coś wypadło.

- Jak się powiadamialiście, że któreś z was nie może?

- Esemesem. Czasami dzwoniliśmy.

Tracy zerknęła na Kinsa.

- Jak często któreś z was odwoływało spotkanie? - spytała.

Tak naprawdę jej to nie obchodziło. Dużo bardziej zainteresowała ją uwaga o esemesach.

- Rzadko. Właściwie nie pamiętam, kiedy się to zdarzyło.

- Wysyłał pan do niej esemesy również w innych sprawach?

- Tylko żeby potwierdzić spotkanie, czas i miejsce.

- Nie pytał pan jej, czy lubi pina coladę i spacerować w deszczu? - Kins celowo go prowokował, by sprawdzić, jak łatwo wybuchą gniewem.

Shea przeniósł na niego wzrok.

- Nie - odparł.

- Wysyłał pan esemesy ze swojego telefonu? - spytała Tracy. - Nie obawiał się pan, że żona może się na nie natknąć?

Shea pokręcił głową.

- Nigdy nie korzystałem z mojego smartfona. Oboje mieliśmy oddzielne telefony na kartę.

- To znaczy pan i Kavita? - upewniła się Tracy.

To było coś nowego. W dole znaleźli tylko zarejestrowany na nią smartfon. Jeśli Shea ją zabił, na pewno zabrałby jej telefon na kartę. Ale skoro tak, to dlaczego im o tym mówi? Czyżby wszystko wcześniej sprytnie obmyślił i postanowił, że jeśli będzie przesłuchiwany, to powie o jej telefonie na kartę właśnie po to, by odsunąć od siebie podejrzenie? Bo przecież gdyby był winny, toby o tym nie wspominał.

- Tak - rzucił.

- Wysłał jej pan esemesa z potwierdzeniem poniedziałkowego spotkania?

- Tak.

- I Vita odpowiedziała?

- Tak.

- Ma pan ten swój telefon?

Jednym z kluczyków na kółku otworzył dolną szufladę biurka, wyjął prosty tani telefon komórkowy, włączył go, wprowadził hasło i po chwili wręczył Tracy. Na wyświetlaczu widniał esemes wysłany w poniedziałek o 16.14, w którym Kavita Mukherjee potwierdzała wieczorne spotkanie. Później, o 17.30, wysłała mu jeszcze jedną wiadomość, że może się trochę spóźnić z powodu korków. Tracy podejrzewała, że nie była to prawda, bo właśnie tego wieczoru Aditi wróciła do domu i poinformowała ją o swoim ślubie i wyprowadzce z mężem do Londynu. Co ważniejsze, zabójca Vity zabrał jej telefon na kartę, ale zostawił smartfona, i Tracy znów przyszło do głowy, czy nie jest to celowe działanie, aby zbić ich z tropu. Doktorowi z całą pewnością mogło na tym zależeć.

Tracy spojrzała na partnera, po czym przeniosła wzrok na doktora.

- Dlaczego umawialiście się akurat w poniedziałki?

- Moja żona ma spotkania klubu miłośniczek książek w każdy pierwszy i trzeci poniedziałek miesiąca. Takie babskie wieczory, w każdym razie tak je nazywa.

- Kto wtedy zajmuje się waszymi córkami?

To, że Tracy wie o jego córkach, nieco wytrąciło doktora z równowagi, tak że przez chwilę milczał. Tracy właśnie na to liczyła, bo chciała utwierdzić go w przekonaniu, że wiedzą o nim dużo więcej, niż naprawdę wiedzieli.

- Mamy gosposię.

- Pańska żona pracuje? - spytał Kins.

Shea się zaśmiał.

- Boże święty, skąd! Ona pochodzi z rodziny Umberto, wie pan, tej od sieci sklepów z narzędziami.

- Chyba czytałem w gazecie, że kilka lat temu rodzina sprzedała tę sieć sklepów. Dostali za nią kilkaset milionów dolarów, tak?

- Dwieście osiemdziesiąt sześć milionów - uściślił Shea. - Ale rodzina przez kolejne pięć lat zachowała miejsca w radzie nadzorczej firmy. W ubiegłym roku uznali, że nie są zadowoleni ze sposobu prowadzenia sklepów, i z powrotem je odkupili. Mają coś, co można by nazwać "wolnym przychodem".

- Dlaczego użył pan sformułowania "żona tak je nazywa", gdy spytałam o jej spotkania w poniedziałkowe wieczory? - zapytała Tracy.

Shea odchylił się z fotelem do tyłu.

- Podejrzewam, że żona ma kochanka i że to nie jest jej pierwszy.

- I pan postanowił pójść w jej ślady? - wtrącił Kins.

Shea wzruszył ramionami.

- Ale dlaczego sponsoring? - spytała Tracy.

- Bo nie mogę pójść i poderwać kogoś w miejscowej siłowni czy w kawiarni, prawda? Rodzina mojej żony jest za dobrze znana w całym Eastside.

- A gdyby żona się dowiedziała, to miałyby powód, żeby się pana pozbyć i odejść, wraz z całą forszą - dopowiedział Kins.

- Być może, panie detektywie. Może moja żona nie jest wzorcem moralności, ale jak ktoś ma tak duże pieniądze, to na ogół wyznacza własne wzorce.

- Czemu państwo po prostu się nie rozwiodą?

- Bo mamy dwie córki w wieku poniżej dziesięciu lat, które uwielbiają swojego ojca. Matkę nie aż tak bardzo. Więc staramy się zachować rodzinę. Z myślą o nich.

- Ile takich słodkich panienek pan utrzymuje? - spytała Tracy, lekko zacinając się przy słowach "słodkich panienek".

- Miałem trzy. Kavite i jeszcze dwie inne.

- Jak pan znajdował dla nich czas? I męską potencję? - zapytał Kins.

- Z tamtymi dwiema spotykałem się rzadziej, może raz na dwa miesiące.

- Spotykał się pan z obiema naraz czy z każdą oddzielnie?

- Naraz - odrzekł z lekkim wahaniem Shea.

- Trójkącik. - Kins nie przestawał rozdrapywać strupa, jakby chciał się przekonać, czy w końcu zacznie krwawić. - Jak pan ukrywał przed żoną płatności dla Vity i tych dwóch pańienek?

- Płaciłem bezpośrednim przelewem z mojego konta na konto Vity. Konto było numerowe, bez nazwiska. Gdyby żona mnie spytała, mógłbym powiedzieć, że to konto klubu fitness. Tyle że nie było takiej obawy. Żona nie interesuje się naszymi finansami, zwłaszcza moimi. Nie musi. Ktoś zarządza jej funduszem powierniczym, ale w praktyce żona może całkiem swobodnie korzystać z tych pieniędzy. W porównaniu z tym moje dochody są znikome i w ogóle jej nie interesują. Pozostałym dwóm płaciłem gotówką do ręki.

- Kiedy spotkał się pan z Kavitą w poniedziałek wieczorem, jak się zachowywała? W jakim była nastroju? - spytała Tracy.

Shea milczał przez chwilę, jakby usiłował sobie przypomnieć.

- W dobrym - odrzekł w końcu. - Ale taka była umowa.

- Umowa? - powtórzył Kins.

- Mieliśmy pisemną umowę, która zabraniała pytać o życie prywatne i mówić o osobistych problemach.

- Żeby nic nie przeszkadzało w radosnym seksie - mruknął Kins.

- Czy Kavita kiedykolwiek wspominała o jakimś chłopaku? - spytała Tracy.

Shea pokręcił głową.

- O czym rozmawialiście podczas waszych spotkań? - zapytał Kins.

- O wielu sprawach. Vita dużo wie na różne tematy. Chce zostać lekarzem pediatrą. Wypytywała o moją praktykę zawodową i pacjentów. Bardzo się interesuje problemami świata i lokalnej społeczności, zaskakująco dużo wie o sporcie, zwłaszcza o rozgrywkach Seahawks⁹. Nasze wieczory nigdy nie były nudne. Zawsze się na nie cieszyłem.

- I tego wieczoru nie zauważył pan nic niezwykłego w jej zachowaniu? - upewniła się Tracy.

- Właściwie to było coś... Vita oświadczyła, że zrywa naszą umowę. - Shea powiedział to bez cienia emocji, tak obojętnym tonem, że Tracy od

razu zaczęła się zastanawiać, czy wcześniej tego nie przećwiczył.

- Wyjaśniła dlaczego?

- Powiedziała, że ma już dość pieniędzy na rozpoczęcie studiów medycznych, a to zawsze było jej celem.

- Zaskoczyła tym pana? - zapytał Kins.

- Nie. Na samym początku oznajmiła mi, że zbiera pieniądze na rozpoczęcie studiów i że się wycofa, gdy będzie miała wystarczającą sumę.

- Powiedziała coś jeszcze? - rzuciła Tracy.

Shea wzruszył ramionami.

- Nic więcej nie pamiętam.

- To było w duchu waszej umowy pod hasłem: "Nie zawracaj mi dupy swoimi osobistymi problemami", czy tak? - wtrącił Kins.

- Nie wiem, panie detektywie. Powiedziała tylko, że w jej życiu zaszły pewne zmiany, że jesienią zamierza złożyć papiery w paru uczelniach i chce wykorzystać pozostały czas na przygotowanie się do egzaminu wstępnego.

- I jak pan na to zareagował? - spytała Tracy.

- Ucieszyło mnie to - odrzekł bez wahania Shea. - To inteligentna dziewczyna. Będzie z niej dobra lekarka.

Tracy odnotowała czas terażniejszy i przyszły w wypowiedzi Shea.

- Co pan poczuł, dowiadując się, że to koniec? - zapytał Kins.

- Smutek. Lubiłem nasze spotkania, nasza relacja nabrała cech stałego związku. Musiałem podjąć decyzję, czy chcę zaczynać wszystko od nowa.

- Był pan zawiedziony?

- Nie. Jak już mówiłem, od początku wiedzieliśmy oboje, że to się nigdy nie przerodzi w coś więcej. To było niemożliwe.

- A co pan do niej czuł? - spytał Kins. - Bo na miłość mi to nie wygląda. Więc co to było?

Shea przez chwilę się zastanawiał.

- Chyba myślałem o niej jak o koleżance - powiedział w końcu.

- A ona co? Po prostu przestrzegła waszej prywatnej umowy?

- Nasza umowa zawsze leżała na stole. I obowiązywała nas oboje.

- O której wyszedł pan z hotelu w poniedziałek wieczorem? - spytała Tracy.

- Około dziewiątej, trochę przed. Było jeszcze jasno. Zawsze wychodziłem o tej samej porze. Żona zwykle wracała ze swojego klubu książkowego o wpół do dziesiątej.

- A Vita? O której stamtąd wyszła?

- Nie mam pojęcia. Jak już mówiłem, zawsze wychodziłem pierwszy. Ona, jeśli chciała, mogła spędzić tam noc albo wrócić do domu.

- Zostawiał pan ją samą w pokoju hotelowym? - wtrącił Kins.

- Tak, zawsze.

- Jak często zostawała tam na noc?

- Naprawdę nie wiem.

- O tym też nie rozmawialiście?

- Nie.

- Pańska gosposia może potwierdzić, o której wrócił pan tego wieczoru do domu?

- Tak. Jak już mówiłem, wracałem zawsze o tej samej porze.

- Jak ona się nazywa? - spytała Tracy i zapisała podane przez Shea nazwisko oraz numer telefonu gosposi. - A na jakie nazwisko Vita wynajmowała pokój w hotelu?

- Nie wiem, pewnie Vita Kumari.

Kins nachylił się i położył ręce na biurku.

- Doktorze Shea, czy nie uważał pan tej relacji za wyzysk młodej dziewczyny?

Tracy omal nie przewróciła oczami, ale sytuacja była zbyt poważna.

Shea oparł się plecami o fotel. Sprawiał wrażenie zmęczonego.

- Niech pan posłucha, detektywie. Zdaję sobie sprawę, że nasza relacja odbiegała od normy, ale dobrze robiła nam obojgu. - Wzruszył ramionami. - Jakie miałem inne wyjście? Iść do baru i podrywać dziewczyny? Nie byłem w tym za dobry nawet za młodu i wątpię, żebym był w tym lepszy teraz. W dodatku ma się wtedy kontakt z różnymi kobietami, co grozi chorobą weneryczną i Bóg wie czym jeszcze. I jak miałbym znaleźć na to czas? - Zawiesił głos, jakby czekał na odpowiedź. Po chwili mówił dalej: - Dowiedziałem się o tym portalu randkowym i zamieściłem na nim swój profil, żeby sprawdzić, co się wydarzy. Ale przez pierwsze sześć miesięcy nie działo się nic ciekawego. Zgłaszające się kobiety nie były zbyt interesujące. Już chciałem zrezygnować, gdy natknąłem się na profil tej pięknej dziewczyny. Napisała, że zbiera pieniądze na studia medyczne. To

było coś nowego. Czy czułem, że postępuję niewłaściwie? Do pewnego stopnia tak, ale uznałem, że w ten sposób moje pieniądze pójda przynajmniej na dobry cel.

- Czyli jest pan taką jednoosobową Sallie Mae¹⁰ - prychnął Kins.

Jednak tym razem Shea nie stulił uszu po sobie.

- Tak, detektywie, w pewnym sensie jestem.

- A te dwie dziewczyny, z którymi urządził pan trójkącki? Też pan im płacił na chesne?

Shea zignorował tę zaczepkę.

- Pod jakim nazwiskiem występował pan w serwisie randkowym?

- spytała Tracy.

- Charles Francis. To moje prawdziwe imiona. Ale nie powiedzieliście mi, dlaczego o to wszystko pytacie. Rozumiem, że coś się stało Vicie, tak?

- Tak. Kavita nie żyje - oznajmił Kins.

Oboje z Tracy bacznie obserwowali, jak Shea zareaguje.

Zmrużył oczy, które nabiegły mu łzami, i zacisnął usta.

- Jak? - wydusił po dłuższej chwili.

Tracy wydawało się, że raczej nie udaje, ale pewna nie była.

- Właśnie próbujemy to ustalić - odrzekła.

- Uważacie, że ktoś ją zabił, i dlatego tu jesteście. Myślicie, że miałem coś wspólnego ze śmiercią Vity?

- A miał pan? - rzucił Kins.

- Nie. - Shea wbił wzrok w jakieś miejsce pomiędzy nimi. - Mój Boże. Czy mam się zwrócić do adwokata? - dodał cicho.

- Nie wiem, doktorze, to zależy od pana - odparł Kins. - My tylko zadajemy pytania i staramy się odtworzyć przebieg ostatniego wieczoru Kavity.

- Ja ją zostawiłem w pokoju hotelowym, całą i żywą - oświadczył Shea.

Rozdział 41

Sobota, 14 lipca 2018

Faz poprawił się w fotelu, czując ból i sztywność z powodu zbyt długiego siedzenia w samochodzie. Szybę miał opuszczoną. Temperatura pozostawała znośna, choć prognoza pogody na ten weekend przewidywała dla Seattle upał powyżej trzydziestu stopni. Przyjechał w okolice Capitol Hill tuż po szóstej rano i wjechał na parking przed trzypiętrowym blokiem mieszkalnym, upewniając się, że stoi tam należące do Gonzalez czerwone audi A8. Świetny samochód. Trochę starszy model, ale i tak Faz zastanawiał się, czy Gonzalez nie ma jakichś dodatkowych źródeł dochodu.

Wyjechał z parkingu, zaparkował subaru po drugiej stronie Dwunastej Alei, przodem w kierunku południowym, i zaczął czekać. Od tego czasu minęło prawie sześć godzin.

Faz sprawdził telefon, ale nie było żadnych wiadomości. Wiedział, że Del miał dzwonić do Los Angeles, by spróbować zdobyć jakieś informacje o Andrei Gonzalez. Pociągnął łyk wody z butelki, którą trzymał w małej turystycznej chłodziarce na fotelu pasażera. Powiedział Verze, że jest umówiony na wizytę u psychiatry, a potem ma spotkanie z jednym ze związkowych prawników, więc przypuszcza, że zajmie mu to prawie cały dzień. Nie lubił okłamywać żony, ale w tych okolicznościach nie chciał dokładać jej niepotrzebnych zmartwień.

Poderwał się w fotelu, gdy promień słońca załśnił na wypolerowanej masce czerwonego audi, które wynurzyło się z wjazdu na parking. Zatrzymało się, by przepuścić jadący w kierunku północnym samochód, po czym wjechało na jezdnię i skierowało się na południe. Faz schował butelkę do chłodziarki, uruchomił silnik subaru i ruszył.

Znał dobrze okolice Capitol Hill. Kawałek dalej na zachód, w parku Cala Andersona urządzali sobie z Verą pikniki; przyglądali się, jak Antonio grał w koszykówkę i piłkę nożną. Było też stąd blisko do wjazdu na międzystanową autostradę numer 5. Gonzalez skręciła w lewo, w Denny Way, i wjechała na południową nitkę wiaduktu. Faz jechał za nią w odstępie paru samochodów, trzymając się prawego pasa, na wypadek gdyby chciała wykonać typowy manewr pozbywania się ogona i nagle zjechać w prawo. Minęła centrum Seattle i ruch na autostradzie zgęstniał, aż w końcu wszyscy już posuwali się w żółwym tempie. Faz musiał bardzo uważać, by utrzymywać odpowiedni dystans od czerwonego audi, co nie było łatwe przy samochodach, które co chwilę przyspieszały i zwalniały lub przeskakiwały z jednego pasa na drugi. Wprawdzie miał na nosie ciemne okulary przeciwsłoneczne, a na głowie bejsbolówkę Marinersów, ale

zdaniem Dela, próba maskowania się Faza była równie skuteczna, co zasłanianie niedźwiedzia chusteczką.

Gonzalez minęła zjazd do International District. Jechała z równą szybkością, nie zmieniając pasów i nie starając się wyprzedzić, co mogło być sposobem na wykrycie pojazdu śledzącego. Kilka minut później zjechała na Corson Avenue, wciąż kierując się na południowy zachód, w stronę Georgetown, choć Faz zaczynał podejrzewać, że jej ostateczny cel jest zupełnie inny. Poprawił się w fotelu, czując lekki dreszczyk emocji. Na skrzyżowaniu z Marginal Way Gonzalez skręciła w lewo, w stronę lotniska Boeinga. Ruch mocno się tu przerzedził i Faz musiał zwolnić, aby nie znaleźć się zbyt blisko audi. Z daleka patrzył, jak Gonzalez skręca w prawo, w Szesnastą Aleję Południową, która prowadzi do mostu nad rzeką Duwamish i dalej w kierunku South Park.

- Bingo - mruknął pod nosem.

Oczywiście możliwe, że Gonzalez po prostu miała tam znajomych, których chciała odwiedzić, ale było to równie prawdopodobne jak to, że Sandy Blaismith pojechała do South Park na spotkanie ze swoim trenerem fitness. Faz nie wierzył w takie zbiegi okoliczności. Za działaniami ludzi zwykle kryły się konkretne przyczyny i tym razem też podejrzewał, że wizyta Gonzalez w South Park nie jest przypadkowa.

Skręciła w Cloverdale i minęła dom, w którym Faz i Del rzucili wyzwanie Małemu Jimmy'emu. Ruch na jezdni i na chodnikach ponownie się zagęścił i widać było całe rodziny w letnich strojach, które zdążyły w jednym kierunku, niczym publiczność spiesząca na jakiś koncert czy wydarzenie sportowe.

Gonzalez skręciła w Ósmą Aleję Południową, a następnie w South Sullivan. Jadąc za nią, Faz natknął się na znaki wskazujące drogę do Centrum Kultury South Park. Kawalek dalej zauważył las białych namiotów na trawniku otaczającym centrum. Przez otwarte okna samochodu dobiegły go dźwięki trąbek meksykańskiej orkiestry ulicznej, w powietrzu rozchodziły się zapachy jedzenia. Kiedy dotarł do rogu, postanowił nie skręcać, żeby nie dostrzegła go Gonzalez, która mogła teraz czujniej się rozglądać, czy ktoś jej nie śledzi. Z drugiej strony, nie mógł stracić jej z oczu w chwili, gdy będzie wysiadała z samochodu.

Audi zwolniło i wjechało na parking Centrum Kultury, choć już wydawał się wypełniony. Faz zatrzymał się przy krawężniku, blokując wjazd na czyjąś posesję, i patrzył, jak Gonzalez wjeżdża na trawnik. Od razu podszedł do niej parkingowy, ale coś, co mu powiedziała lub pokazała - zapewne odznakę policyjną - wystarczyło, bo parkingowy dał jej spokój. Wysiadała i Faz mógł się teraz przyjrzeć, jak wygląda. Miała na nosie okulary przeciwsłoneczne w białych oprawkach, ubrana była w białe szorty

i niebieski T-shirt. Sięgnęła na tylne siedzenie audi, wyjęła kapelusz z dużym rondem i włożyła go na głowę. Rondo opadało z przodu, częściowo zasłaniając twarz. Gonzalez wyraźnie nie chciała pokazywać twarzy, ale charakterystyczny kapelusz sprawiał, że śledzenie jej było dużo łatwiejsze.

Przecinała trawnik, zmierzając w stronę białych namiotów.

Faz dostrzegł ruszający od krawężnika samochód i błyskawicznie wcisnął się na jego miejsce. Przy drzwiach kierowcy natychmiast zjawił się przedsiębiorczy młodzieniec i zażądał pięciu dolarów opłaty za miejsce na ulicy. Faz bez słowa zapłacił haracz, rzucił niebieską wiatrówkę na tylne siedzenie, wysiadł, przeszedł na drugą stronę Ósmej Alei i już był w parku.

Ludzie kręcili się po trawniku, ogryzając kolby kukurydzy i zającąc miękkie tacos i churros. Na straganach leżały artykuły sztuki latynoskiej - obrazki i wyroby rękodzielnicze. Faz wziął z jakiegoś straganu broszurkę reklamową, odmówił poczęstunku meksykańskim specjałem i rozejrzał się po kolorowej cizbie za niebieskim kapeluszem z dużym rondem, ale nigdzie go nie dostrzegł.

Wmieszał się w tłum, słuchając dźwięków gitar i trąbek. Na estradzie tańczyły kobiety w jaskrawych strojach, na środku trawnika ustawiono ring, przy którym wśród tłumu kręcili się zapaśnicy w ozdobnych maskach luchador, kolorowych rajtuzach i butach do kolan. Nie przestając się rozglądać, Faz mijał kolejne namioty, aż dotarł do skraju trawnika. Zawrócił i ruszył z powrotem wzdłuż drugiego boku. Zaglądał do straganów i wodził wzrokiem po kolejkach ludzi przy food truckach. Spod czapki płynęła mu strużka potu i ściekała po skroniach i policzkach. Zatrzymał się raptownie na widok niebieskiego kapelusza, który zniknął za jednym z namiotów. Obojętnie ruszył dalej, minął namiot i obszedł go od tyłu. Gonzalez stała z opuszczoną głową w przejściu między namiotami i zdawała się coś pisać w telefonie, nie zwracając uwagi na otoczenie. Faz wyciągnął szyję, jakby się przypatrywał zapaśnikom, ale kątem oka obserwował Gonzalez. Skończyła pisać, opuściła rękę z telefonem i zrobiła parę kroków. Z przejścia między namiotami wyłonił się mężczyzna. Stał plecami do trawnika, więc nie widać było jego twarzy. Faz wyjął z kieszeni telefon i uniósł go tak, jakby chciał zrobić zdjęcie zapaśnikom, po czym na tyle rozszerzył panoramę, by objąć Gonzalez rozmawiającą z mężczyzną.

Już miał pstryknąć zdjęcie, gdy ktoś go nagle potrącił i tamci oboje wypadli z kadru.

- Przepraszam - bąknął młody człowiek.

- Nic nie szkodzi - rzucił Faz z uśmiechem.

Skierował obiektyw telefonu z powrotem na przejście między namiotami, ale Gonzalez i mężczyzny już tam nie było. Rozejrzał się i

dostrzegł ją idącą przez trawnik w kierunku samochodu. Po cokolwiek tu przyjechała, widać już osiągnęła swój cel. Faz chętnie dalej by ją śledził, uznał jednak, że ważniejsze będzie zająć się jej rozmówcą, zrobić mu zdjęcie, ustalić jego tożsamość. Odwrócił głowę w stronę namiotów, ale z początku go nie dostrzegł. Dopiero po chwili zobaczył go przy trzecim z rzędu namiocie, gdzie jakaś kobieta sprzedawała ozdoby z koralików, a przy stojącym w głębi stoliku dwoje dzieci nizało paciorki na sznurek. Zamienił kilka słów z kobietą, ale widać było tylko zarys jego profilu. Pochylił się, cmoknął kobietę w policzek, podszedł do dzieci i też je ucałował, po czym odwrócił się i zniknął z tyłu namiotu, zanim Faz zdołał przyjrzeć się jego twarzy. Już miał za nim ruszyć, gdy mężczyzna nagle zawrócił, najwyraźniej zawołany przez kobietę. I Fazowi wreszcie udało się zobaczyć jego twarz.

Część twarzy zakrywały okulary przeciwsłoneczne i daszek bejsbolówki, ale Faz i tak był pewien, że go poznaje.

Rozdział 42

Tracy zadzwoniła do Kelly Rosy.

- Jest już gotowy raport w sprawie Kavity Mukherjee? - spytała.

- Siedzę nad nim - odparła Rosa. - I nie ty jedna o niego pytasz.

- Bellevue?

- Mhm. Dzwonili wczoraj wieczorem, zanim wyszłam do domu.

- Jak długo dasz radę to przeciągnąć?

- Poprosili o wstępną opinię, więc boję się, że niedługo.

Kaylee Wright powiedziała Tracy niemal dokładnie to samo. Że wkrótce będzie musiała dostarczyć coś tym z Bellevue.

Tracy i Kins pojechali na Park 95, by odebrać pendrive'a, na który Andrei Vilokotski skopiował esemesy z telefonu Kavity Mukherjee z ostatnich sześciu miesięcy, oraz dowiedzieć się, na jakim etapie są starania Katie Pryor o nakazy sądowe. Tracy włożyła pendrive'a do swojego laptopa i wraz z Kinsem zaczęli przeglądać esemesy Kavity. W piątek późnym popołudniem Nolasco próbował dodzwonić się i do Tracy, i do Kinsa, ale żadne nie odebrało telefonu. Byli pewni, że chce im powiedzieć, by przekazali akta sprawy do Bellevue.

- Parę wrednych esemesów od jej brata - powiedział Kins, rozprostowując plecy. - Niezły z niego numer.

Tracy wpisała "Nikhil" w pole wyszukiwania i ściągnęła na ekran jego esemesy do siostry. W jednym z nich karmił Kavitę, że jej nieposłuszeństwo wobec matki i ojca dowodzi niedojrzałości i braku szacunku.

Całej rodzinie przysparzasz niepotrzebny stres i zmartwień. Czy tak się wstydzisz być Hinduską, że posuwasz się do ranienia Ma i Baby? Najwyższy czas, żebyś wróciła do domu i przestała zachowywać się jak dziecko.

- Wiemy, gdzie Nikhil był w poniedziałek wieczorem? - spytał Kins.

- W domu z rodzicami i dziadkami - odrzekła Tracy. - Ojciec wracał z podróży służbowej do Los Angeles, a Sam po meczu piłki nożnej został na noc u kolegi. Wszystko łatwe do zweryfikowania.

- Kavita nie odpowiedziała na żaden z esemesów Nikhila. To musiało go rozzłościć, nie sądzisz? - zauważył Kins.

- Albo już do tego przywykł.

Tracy przeczytała wysłane w poniedziałek wieczorem i we wtorek rano esemesy Aditi, w których przyjaciółka dawała wyraz zaniepokojeniu i prosiła Kavite o odpowiedź. Znalazła też esemesa od Sama, młodszego brata Kavity, z poniedziałku wieczorem.

Cześć, Vita. Właśnie pomyślałem o tobie i jestem ciekaw, co robisz. Mam dziś wieczorem mecz w Roosevelt niedaleko ciebie. Zaczyna się o 6.00. Ma i Baba nie mogą przyjść, więc będę sam. Pomyślałem, że może byś przyszła.

Kavita odpowiedziała bratu niemal natychmiast.

Cześć, Sam. Dzięki za zaproszenie. Tęsknię za tobą. Dziś miałam ciężki dzień. Pewnie słyszałeś, że Aditi wyszła za męża. Założę się, że już wszyscy o tym gadają. Wróciła z Indii i wyprowadziła się z naszego mieszkania, bo wyjeżdża do Londynu. Jej mąż jest inżynierem. Czuję się taka samotna, Sam. Jakbym straciła siostrę. Wyobrażam sobie, co mówiła Ma, jak o tym usłyszała! Pewnie pani Dasgupta nie daje jej żyć :(Bardzo bym chciała przyjść na twój mecz, ale dziś nie mogę. Jestem już umówiona. Ale będę myślałami z tobą. Daj znać po meczu i napisz, jak ci poszło. Kocham cię, braciszku.

- Chodziło o spotkanie z Shea - powiedział Kins.

- Na pewno.

- A ta ostatnia uwaga, żeby Sam napisał do niej po meczu. - Kins wskazał palcem ekran. - Tak nie pisze ktoś, kto zamierza się zabić.

- To prawda - przyznała Tracy, pokiwała głową i przeczytała esemesa wysłanego przez Sama po meczu.

Vita, wygraliśmy! Nie strzeliłem bramki, ale dobrze grałem. Zadzwoń, jak wrócisz do domu. Nocuję dziś u kolegi, więc będę miał telefon przy sobie.

- Co to miało znaczyć, że będzie miał telefon przy sobie? - spytał Kins.

- Matka wieczorem zabiera mu komórkę - wyjaśniła Tracy.

- Shannah też tak robi. Jakby nie zabierała chłopcom telefonów, toby nigdy nie odrobili lekcji.

Tracy przeczytała wiadomość wysłaną przez Sama po dziesiątej wieczorem.

Vita, dostałaś moją wiadomość? Dzwoniłem, ale nie odebrałaś. Zadzwoń.

Trzecią wiadomość Sam wysłał we wtorek, już po wizycie Tracy i Katie Pryor u ich rodziców.

Vita? Jesteś tam? Była u nas policja, szukają cię. Wszyscy się o ciebie martwią. Ma i Baba się martwią. Ja się martwię. Jak tylko to dostaniesz, to proszę, od razu zadzwoń.

Był też esemes od Nikhila.

Vita, policja cię szuka, byli u nas w domu. Skończ wreszcie te komedie i wracaj do domu.

- A od matki i ojca ani słowa - zauważyła Tracy. - Trochę to dziwne, nie uważasz?

- Faktycznie - przyznał Kins. - Może poprosili Sama i Nikhila, żeby skontaktowali się z nią w ich imieniu. Ale wiem, że Shannah co pięć minut by pisała.

- Bardzo dziwne - powtórzyła Tracy, myśląc o tym, jak zareagowali jej rodzice, gdy zaginęła jej siostra.

Wtedy jeszcze nikt nie słyszał o takim luksusie jak esemesy.

Rozdział 43

Faz patrzył, jak mężczyzna wychodzi z namiotu i rusza w stronę Ósmej Alei. Mimo że część twarzy zakrywały mu okulary przeciwsłoneczne i daszek bejsbolówki, Faz nie miał wątpliwości, że to ten sam człowiek, którego widział w bloku Eduarda Lopeza, kiedy razem z Gonzalez czekali na windę. Mężczyzna popatrzył na nich oboje i na moment zawiesił wzrok na Gonzalez, ale Faz uznał wtedy, że pewnie się domyślił, że są z policji.

Teraz jednak wyglądało to już inaczej.

Gonzalez przyjechała do South Park, by go o czymś zawiadomić lub coś od niego usłyszeć, bo chyba niczego poza słowami sobie nie przekazali. I cokolwiek Gonzalez mu powiedziała, skłoniło go to do działania. Ją najwyraźniej też.

Faz musiał zdobyć lepsze zdjęcie jego twarzy, aby można było ustalić tożsamość. Ruszył równoległe do idącego przez trawnik mężczyzny, trzymając się parę kroków za nim. Mężczyzna dotarł do Ósmej Alei i skręcił w prawo. Faz przeszedł na drugą stronę ulicy, do miejsca, gdzie zaparkował samochód, i patrzył, jak jego cel idzie do skrzyżowania z South Cloverdale i skręca w prawo. Faz szybko wsiadł do samochodu i zawrócił. Na skrzyżowaniu, gdzie natrafił na czerwone światło, wychylił się odrobinę i zlustrował całą ulicę, ale nigdzie go nie dostrzegł.

Zaklął pod nosem i skręcił w przecznice, po czym jechał powoli, przeszukując wzrokiem okna budynków i wąskie przejścia między domami. Chwilę później usłyszał odgłos uruchamianego potężnego silnika. Zza ogrodzenia z metalowej siatki, zwieńczonego drutem kolczastym, wyjechał czerwony chevelle z czarnymi pasami na masce i zatrzymał się przy krawężniku. Za kierownicą siedział śledzony mężczyzna. Faz pojechał dalej, obserwując go w lusterkach bocznych i wstecznym. Samochód wytoczył się na jezdnię i Faz rozpoznał w nim to samo auto, którym po osiedlu Monique Rodgers jeździł Mały Jimmy.

- No i robi się ciekawie - mruknął.

Skręcił w pierwszą z brzegu przecznice i upewnił się w lusterku, że chevelle nie jedzie za nim. Zawrócił, na skrzyżowaniu skręcił w prawo i ruszył za celem, oddzielony od niego jednym samochodem. Chevelle przejechał pod wiaduktem drogi stanowej 99. Ulica Cloverdale odbijała tu w lewo, zmieniając nazwę na Pierwszą Aleję Południową. Faz i Gonzalez jechali dokładnie tą samą drogą do mieszkania Eduarda Lopeza i Fazowi przyszło do głowy, że mężczyzna może mieszkać w tym samym bloku co Lopez i po prostu wraca do domu. Kawałek dalej droga się rozwidła i

chevelle skręcił w prawą odnogę, oddalając się od wejścia do tamtego bloku. Czyli to nie to, pomyślał Faz.

Chevelle przejechał wzdłuż bloku, w kierunku parkingu dla mieszkańców, i zwolnił, ale zamiast na parking, skręcił w prawo, w stronę wjazdu na plac przed jakimiś magazynami.

Faz minął wjazd i pojechał dalej, oglądając się i próbując odczytać tablicę rejestracyjną chevelle'a. Jechał teraz wzdłuż płotu z metalowej siatki, z trzema zwojami drutu kolczastego u góry. W połowie ulicy stanął przy krawężniku, pod rozłożystym drzewem, i obejrzał się do tyłu. Chevelle zatrzymał się przed wjazdem na plac. Mężczyzna wysunął przez okno rękę i wklepał kod na szyfratorze. Brama odsunęła się na bok, chevelle wjechał do środka i zniknął za jednym z budynków magazynowych.

Faz popatrzył na blok mieszkalny po drugiej stronie ulicy. Z okna swojego mieszkania Lopez mógł przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, obserwować ruch w magazynach. Z wcześniejszej wizyty Faz wiedział, że z magazynu jest około pół kilometra do autostrady 509, która w pobliżu lotniska Seattle-Tacoma przecina autostradę 518, a dalej łączy się z autostradą międzystanową I-5, główną arterią komunikacyjną, prowadzącą od granicy z Kanadą aż do Los Angeles.

Bardzo dogodnie.

Gdyby udało mu się odczytać tablicę rejestracyjną czerwonego chevelle'a, zapewne można by ustalić nazwisko mężczyzny, z którym spotkała się Gonzalez. Faz wysiadł i spojrział za siatkę, ale nigdzie nie dojrzał samochodu.

Naliczył cztery rzędy magazynów, po cztery w każdym rzędzie. Ustawiono je w szachownicę, tak by zapewnić łatwy dostęp do każdego. Główna aleja między nimi prowadziła lekko pod górę, do baraku, gdzie mieścił się kantor, w którym - sądząc po treści tablic informacyjnych - można było wynająć moduł magazynowy, zakupić opakowania i wypożyczyć bagażówkę.

Faz ruszył wzdłuż siatki, rozglądając się po alejkach między budynkami, ale samochodu nigdzie nie było widać. Mężczyzna musiał albo wjechać do któregoś z magazynów, albo zaparkować z tyłu za budynkami. Faz uznał, że najbezpieczniej będzie wrócić do samochodu i poczekać, aż chevelle znów się pojawi, spisać jego numery i zadzwonić do Dela, by odszukał je w bazie.

Już zawrócił, gdy usłyszał warkot silnika i zobaczył, że brama się otwiera, a za nią stoi czekający na wyjazd pick-up. Kiedy samochód wyjechał, Faz wślizgnął się do środka, zanim brama ponownie się zamknęła. Teraz musiał już tylko odnaleźć czerwonego chevelle'a,

pstryknąć zdjęcie tablicy rejestracyjnej i wymknąć się. Zauważył na dachach kamery monitoringu, ale je zignorował. Był pewien, że nikt ich nie pilnuje, a do nagrań zagląda się dopiero wówczas, gdy dojdzie do kradzieży.

Asfaltowym podjazdem doszedł do skrzyżowania z alejką między dwoma pierwszymi rzędami budynków magazynowych i rzucił tam okiem. Samochodu nie było. Poszedł dalej i zajrzał do drugiej alejki. Także pusto. Dotarł do końca obiektu.

Tak jak myślał, chevelle stał zaparkowany za ostatnim rzędem budynków, obok czerwonego sportowego auta i dużej bagażówki.

Faz wyjął telefon, by zrobić zdjęcie tablic rejestracyjnych, gdy usłyszał chrobot odsuwanych drzwi jednego z magazynów i męski głos mówiący coś po hiszpańsku. Uskoczył za róg i schował się za tylną ścianą magazynu, ale zdążył jeszcze pstryknąć zdjęcie tablicy rejestracyjnej chevelle'a i zaraz potem tablicy drugiego auta. Musiał przy tym odwrócić głowę, by odpowiednio skadrować zdjęcia.

Kiedy stanął za rogiem budynku, poczuł na skroni zimny dotyk lufy.

- Zrób coś głupiego, detektywie, żebym mógł ci wpakować kulkę w łeb
- usłyszał męski głos.

Rozdział 44

W sobotę po południu Tracy i Kins wrócili na komendę.

Stół pośrodku ich "zagrody" był zarzucony stertą papierów, a z pudełka na biurku Faza unosił się zapach pizzy - późny lunch lub wczesna kolacja. Zwykle Tracy nie jadała pizzy, ale skoro teraz i tak przybierała na wadze, niezależnie od diety, stwierdziła, że może sobie na nią pozwolić. Była głodna jak wilk, bo od rana oboje z Kinsem nie mieli nic w ustach.

Przez przyciemniane szyby w oknach boksu sączyło się rozproszone światło dzienne. Ludzie z zespołu C wyszli coś zjeść i Kins wyłączył płaski telewizor na ścianie, żeby im nie przeszkadzał. Żadnych głosów. Żadnych telefonów. Żadnego stukania w klawiaturę. Kompletna cisza, by mogli się skupić, ponownie przeglądając maile i esemesy Kavity Mukherjee - chcieli mieć pewność, że niczego nie przeoczyli. Zastanowić się, co tak naprawdę mogło się wydarzyć.

Tracy wyjęła kawałek pizzy, wzięła papierową serwetkę i wróciła do stołu, by raz jeszcze przyjrzeć się rozłożonym papierom. Właśnie tak lubiła pracować: mieć wszystko przed sobą w zasięgu wzroku. Wymuszało to nieliniowy sposób myślenia. Sekwencyjne myślenie zbyt często kończyło się u niej tym, że rozważała logiczne następstwa zdarzeń, a przez to mogła przegapić coś, co logicznie z nich nie wynikało. W ludzkiej naturze leży uzupełnianie luk w ciągu zdarzeń tak, by wszystko nabierało sensu, nawet jeśli nie przemawiały za tym żadne dowody. W zabójstwach trudno jest doszukać się sensu, bo w większości przypadków nie są precyzyjnie zaplanowane. Co więcej, na ogół dochodzi do nich pod wpływem impulsu.

Tracy ugryzła kawałek pizzy. Pepperoni, papryka i czosnek zaatakowały jej kubki smakowe. Od Kinsa i od niej będzie jechać czosnkiem przez resztę dnia, a może nawet jeszcze jutro rano. Uzgodnili, że jeśli zajdzie potrzeba, zostaną w pracy przez całą noc, tak jak w czwartek. Wiedzieli, że rano najprawdopodobniej będą musieli oddać sprawę.

Tracy wzięła do ręki wstępny raport Kaylee Wright, w którym ta podkreśliła to, co już powiedziała im w parku. W różnych miejscach odnalazła kilka odcisków pasujących do czółenek Kavity, w tym także na trakcie w pobliżu parkingu, co świadczyło o tym, że Kavita sama weszła do parku. Kolejne jej ślady Wright dostrzegła dalej na drodze, ale odstęp między nimi był większy, z czego można było wnioskować, że dziewczyna biegła. W jednym punkcie Wright znalazła też ślady zwrócone w różne strony, jakby Kavita przystanęła i kręciła się w kółko, może dlatego, że usłyszała coś i zaczęła nasłuchiwać. Brak jej śladów na dalszym odcinku traktu oraz w pobliżu wyrwy w ziemi świadczył, że nie wpadła tam

przypadkowo. Logicznym wytłumaczeniem było, że zabójca przeniósł ją i wrzucił do dołu.

Przy braku dowodów Tracy odwoływała się zawsze do zdrowego rozsądku.

- Załóżmy, że zabójca zaniósł ją do dołu - powiedziała. - Po pierwsze, Kavita nie była kruszynką. Miała metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i ważyła pięćdziesiąt dziewięć kilogramów.

- Silny mężczyzna dałby radę ją przenieść, ale zgadzam się, to nie było łatwe - przyznał Kins.

- Charles Shea? - rzuciła Tracy.

Podeszła do białej tablicy, którą znalazła w jednym z pokoi konferencyjnych, i niebieskim mazakiem napisała na niej "Shea".

- Tyle że musielibyśmy go jakoś połączyć z parkiem i znaleźć motyw - rzekł Kins.

W piątek późnym popołudniem skontaktowali się ze strażniczką parku Margo Paige, która poinformowała ich, że w Bridle Trails nie ma kamer monitoringu. Szkoda. Samochód Shea trudno byłoby przeoczyć. Paige obiecała, że w sobotę pojedzie do Seattle, zajrzy do archiwum i da im znać, jeśli natknie się na coś ciekawego.

- Shea mógł namówić Kavite, by przeszła się z nim po parku - powiedziała Tracy. - Był piękny wieczór. Może zaczął się dziwnie zachowywać, stał się napastliwy i Kavita puściła się biegiem, żeby od niego uciec. Mogła kręcić się w kółko, szukając drogi wyjścia z parku, a on się do niej zakradł od tyłu.

- Ale Kaylee nie znalazła na trawie innych śladów stóp. Znalazła tylko jedno - przypomniał jej Kins.

- Kaylee w ogóle niewiele znalazła, bo ziemia jest przesuszona, a poza tym na traktach końskich panuje duży ruch. Ślady nóg Shea mogły zostać zatarte przez biegaczy lub konie. Kaylee nie miała wzoru śladu, jakiego miała szukać, więc znalezienie czegoś nie jest takie oczywiste. A co do motywu, to mógł być najprostszy: Shea zadurzył się w Kavicie i jej decyzja o wycofaniu się z umowy mocno go dotknęła.

- Co by również pasowało do twojej hipotezy, że Kavita, mając teraz dwa razy więcej pieniędzy na studia medyczne, postanowiła zerwać umowę z Shea - dodał Kins.

- Co on sam potwierdził.

- No dobrze, a co z tą wyrwą? Skąd o niej wiedział?

- I znów najprostsza odpowiedź: bo znał ten park.

- Ale tego nie wiemy. Z Mediny do Bridle Trails nie jest na tyle blisko, żeby urządzać sobie wieczorne przebieżki.

- Zgoda.

- Myślę, że powinniśmy zacząć od tego, kto mógł wiedzieć o istnieniu tego dołu.

- Na pewno jej rodzina - powiedziała Tracy. - Ojciec twierdzi, że wielokrotnie wybierali się tam razem na grzyby, a więc musieli chodzić po różnych niewydeptanych ścieżkach.

- Trzeba sprawdzić rozkład lotów i zweryfikować jego alibi - rzucił Kins. - I dopisać do listy Aditi i całą jej rodzinę. Co o nich wiemy?

Tracy wypisała ich imiona na tablicy i spojrzała na Kinsa.

- Niezbyt dużo - odparła.

- Oznacz kółkiem ojca i Nikhila. Sam i matka nie daliby rady przenieść ciała. Sam nie waży chyba nawet pięćdziesięciu kilogramów. Zresztą jaki mógłby mieć motyw? To już prędzej ktoś zupełnie przypadkowy.

Tracy odrzucała jednak wersję, że zabójstwa mógł dokonać ktoś przypadkowy. Po pierwsze, przeczyły temu wyniki oględzin zwłok. Z rodzaju obrażeń czaszki - Rosa stwierdziła, że ciosy zostały zadane z dużą siłą - wynikało, że zabójca musiał działać pod wpływem wściekłości. Wzięła do ręki wstępny raport Kelly Rosy, która uznała, że przyczyną śmierci było uderzenie tępym narzędziem w lewą stronę czaszki, tuż nad skronią. Co więcej, na podstawie rozległości obrażeń stwierdziła, że Mukherjee otrzymała trzy ciosy, co uzasadniało tezę, że zbrodni dokonano w ataku furii. Rosa napisała też, że nic nie wskazuje na to, że ofiara została zgwałcona, choć na pewno odbyła stosunek płciowy w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin - co zgadzało się z zeznaniem Shea.

- Nie doszło do gwałtu - powiedziała Tracy.

- Ani do rabunku - dorzucił Kins. - Shea nie potrzebował pieniędzy i nie wzięłyby żadnych przedmiotów osobistych, które mogłyby go z nią łączyć.

- Pamiętałby też, żeby zabrać jej komórkę na kartę. I wiedział, że w jej smartfonie nie ma nic, co mogłoby go skompromitować.

- Raport Rosy sugeruje, że zabójca zaskoczył ofiarę - powiedział Kins. - Na jej ciele brak siniaków i otarć, mogących sugerować, że stoczyła walkę z napastnikiem lub próbowała się przed nim bronić.

- Tak, próbowała tylko uciekać. Ale akurat to nie wyklucza Shea, który mógłby ją zaskoczyć. Było już ciemno i nie brakowało drzew, za którymi

mógł się ukryć.

- A jeśli przyjmujemy, że zabójca pojechał za nią do parku lub że był tam już wcześniej?

- To staniemy przed innym problemem: Po co tam pojechała? - odrzekła Tracy.

- Założmy, że tak nią wstrząsnęła decyzja Aditi - powiedział Kins po chwili zastanowienia.

- Nie musimy tego zakładać. Ona rzeczywiście była wstrząśnięta.

- No to przypuśćmy, że pojechała do parku, bo zamierzała się tam z kimś spotkać albo ktoś chciał się spotkać z nią.

- Na pewno nie Sam, bo grał w piłkę. I nie ojciec, bo był w podróży. Wątpliwe, żeby miała się tam spotkać z matką albo Nikhilem.

- Pozostaje Aditi - mruknął Kins. - Lub ktoś przypadkowy. Na przykład następny słodki tatuś?

- Nie ma żadnych dowodów na istnienie następnego słodkiego tatusia, a na jej koncie brak regularnych przelewów z innego konta. I nadal nie znamy odpowiedzi na zasadnicze pytanie: Po co pojechała do parku?

Kins łyknął trochę napoju gazowanego i wbił wzrok w tablicę.

- Czyli na razie wiemy, że przyszła do parku, i musimy założyć, że zrobiła to z własnej woli, a przynajmniej tak się wydaje.

- Myślę, że to jest klucz do wszystkiego - powiedziała Tracy, rysując na tablicy linię czasu. - Przybyła do hotelu tuż po dziewiętnastej trzydzieści. - Hotelowy monitoring w głównym holu zarejestrował, jak Mukherjee odbiera klucz do pokoju. - I wyszła o dwudziestej pięćdziesiąt dwie. - Kamera na parkingu zarejestrowała, jak sama wsiada do swojego samochodu. - Kto wiedział, że będzie w tym hotelu?

- Z całą pewnością Shea - rzucił Kins.

Tracy podkreśliła jego nazwisko na tablicy.

- Może w ogóle stamtąd nie odjechał. Mógł czekać w swoim samochodzie i ukradkiem ruszyć za nią.

- A co z jego żoną? - odezwał się Kins. - Shea wspomniał, że żona podejrzewa, że ją zdradza. A jeśli go śledziła, a potem pojechała za Kavita?

Tracy dopisała na tablicy "pani Shea".

- Ani jedno, ani drugie nie tłumaczy, po co Kavita miałaby się udać do parku, ale na razie to zostawmy - powiedziała. - Co z Aditi? A jeśli wiedziała, że przyjaciółka ma schadzkę, i знаła wszystkie szczegóły? Shea

powiedział, że mieli z Kavita stały układ i zawsze korzystali z tego samego hotelu. Aditi mogła to wiedzieć.

- Czyli skłamałaby, mówiąc, że nie wiedziała o żadnym spotkaniu Kavity tego dnia?

- Może... albo... - Tracy na moment zawiesiła głos. - Nawet jeśli nie znała wszystkich szczegółów, mogła bez trudu śledzić Kavita za pomocą apki w swoim telefonie.

- Tak, tylko że podobno, jak mówiłaś, sprawiała wrażenie szczerze zaskoczonej, gdy spytałaś ją o ich wspólne konto Apple.

- Bo tak było, ale mogła przewidzieć, że o to zapytam. I mogła też zwabić Kavita do parku. Nie musiała śledzić jej z hotelu. Mieszkała u rodziców, bardzo blisko parku. Mogła zadzwonić do Kavity i zaproponować spotkanie przed swoim wyjazdem do Londynu.

- Spotkanie w parku brzmi sensownie, bo Kavita nie miałaby ochoty odwiedzać Aditi w domu i spotykać się z jej matką i resztą rodziny. Wspominałaś, że nawet nie chciała ich widzieć u siebie w mieszkaniu.

- Tak powiedziała mi Aditi.

- A park jest miejscem, które obie dobrze znają, i Kavita bez oporu tam idzie. Ale co miałyby skłonić Aditi do zabicia najlepszej przyjaciółki?

Tracy w zamyśleniu krążyła wokół stołu.

- Zazdrość? - rzuciła.

- O co?

- Może patrzymy na to ze złej perspektywy. Może powinniśmy spojrzeć na to oczami Aditi, a nie Kavity.

- To znaczy?

- Przede wszystkim Kavita czekało życie, o jakim obie marzyły od dzieciństwa. Co więcej, dzięki temu, że Aditi zrezygnowała ze studiów, Kavita mogła już teraz podjąć naukę. Marzenie staje się rzeczywistością.

- To prawda - przyznał Kins.

- A jeśli Kavita powiedziała przyjaciółce o odłożonych pieniądzech? Że jest ich tyle, że starczy dla nich obu, przynajmniej na początek.

- Ale jest za późno, bo Aditi już wyszła za mąż.

- Aditi zaczyna tego żałować i nęka ją wątpliwości, czy dobrze zrobiła. I mogła pomyśleć: Oto znów cała Kavita. Zawsze to ona była ta ładniejsza i cieszyła się większym powodzeniem u chłopaków.

- W tym także u pana doktora, który płacił jej na studia medyczne, podczas gdy Aditi trafiali się tylko frajerzy, którzy chcieli, żeby im obciągnęła w samochodzie.

- Kavita miała też lepsze wyniki w szkole, choć Aditi pilniej się uczyła - dodała Tracy.

- Myślę, że to by cię wkurwiło - rzucił Kins. - Bo mnie na pewno tak.

Tracy przez chwilę się zastanawiała.

- Wierzę, że tę dziewczynę musiało to gnębić - powiedziała.

- Ale czy aż tak, żeby zabić najlepszą przyjaciółkę?

- Zbrodnie w afekcie lub w napadzie złości nie zawsze są logicznie uzasadnione. Zabójca działa pod wpływem impulsu. Pamiętaj, że Aditi dobrze znała park. Mieszkała z Rasheshem bardzo blisko, a obie z Kavita bawiły się tutaj w dzieciństwie.

- Chcesz powiedzieć, że Aditi mogła wiedzieć o tej dziurze w ziemi?

- Owszem - potwierdziła Tracy.

- Jak przeniosłaby ciało?

- Z Rasheshem lub kimś innym z rodziny.

- Potem mogła wsiąść do samochodu Kavity i odstawić go na parking pod domem, a jej współnik jechał za nią - mruknął Kins. - To by się zgadzało. Ale najważniejszym pytaniem pozostaje motyw.

- Zgoda. A więc przypuścimy, że Aditi naprawdę pojechała do Indii na ślub kuzynki. - Tracy znów zaczęła krążyć wokół stołu. - Tam matka i reszta rodziny zaczynają wywierać na nią presję, że ona też powinna wyjść za mąż.

- Zapewne tak było.

- Presja jest bardzo silna, a tym razem Aditi nie ma obok siebie przyjaciółki, która mogłaby ją wesprzeć. Rashesh i jego rodzina też mogli w tym uczestniczyć. Aditi twierdzi, że ojcowie jej i Rashesha znali się od młodości.

- Obie rodziny dawno to zaplanowały. - Kins pokiwał głową. - Jestem pewny.

- Aditi mówiła, że obie były mocno naciskane przez rodziny, ale Kavita była z nich dwóch silniejsza. A jeśli rodzina Aditi wykorzystwała okazję, że dzielą je tysiące kilometrów, i tak ją zaczęła cisnąć, że nie mając oparcia w Kavicie, dziewczyna nie umiała sobie z tym poradzić?

- I zgodziła się na małżeństwo, by zadowolić rodziców, a nie dlatego, że sama tego chciała? Twierdzisz, że co? Dała się złamać czy coś w tym rodzaju?

- Nie to, że dała się złamać. Po prostu znalazła się w innym kraju, a mężczyzna, kawaler i człowiek sukcesu, okazał jej zainteresowanie. Powiedziała mi, że była gotowa poddać się woli matki i że nie chciała randkować ze słodkimi tatusiami. Obie rodziny spotykają się na ślubie kuzynki i argumentacja matki zaczyna do niej trafiać. Zdaje sobie sprawę, że nie będzie wiecznie młoda i nie trafi jej się wielu innych konkurentów, zwłaszcza w Stanach. A tu jest ktoś, kto ją chce. Musiała się poczuć wyróżniona. Wszystko to dzieje się daleko od domu, w Indiach, w atmosferze wesela, i wyjście za mąż zaczyna jej się podobać.

- Ale przecież czeka ją powrót do Stanów, do mieszkania dzielonego z Kavita - wtrącił Kins.

- To znaczy do dawnego życia, do rzeczywistości... I nagle ciężar tej decyzji zaczyna ją przytłaczać.

- Uświadamia sobie, że popełniła błąd, idiotyczny błąd.

- Na domiar złego Kavita mówi, że odłożyła dość pieniędzy, by obie mogły rozpocząć studia medyczne...

Kins skinął głową, jak to robił zawsze, gdy coś trafiało mu do przekonania.

- Uzmysławia sobie, jak wiele straciła. I jak była bliska spełnienia swoich marzeń.

- Zostania lekarką, jak jej najlepsza przyjaciółka - podjęła Tracy. A teraz nie tylko jest mężatką, ale w dodatku wyjeżdża do obcego kraju, gdzie będzie żyć pod jednym dachem z kimś, kogo prawie nie zna, a także z całą jego rodziną. I będzie musiała wszystkim usługiwać.

- Musiało to nią wstrząsnąć - powiedział Kins. - Może zbyt mocno.

- Załóżmy więc, że Aditi wie o spotkaniu Kavity z doktorem, bo przecież zawsze umawiali się w poniedziałki. Zna też dobrze park i wie o istnieniu dziury w ziemi.

Kins skrzywił się, nadal niezbyt przekonany.

- Słyszę, co do mnie mówisz. Ale zabić najlepszą przyjaciółkę? Walnąć ją kamieniem w głowę?

- Może nie chciała jej zabić. Mogła zaproponować spotkanie w parku tylko po to, żeby porozmawiać. Może przytłoczona tym wszystkim, co się wydarzyło w jej życiu, po prostu chce pogadać z najlepszą przyjaciółką, ze swoją siostrą. Sam na sam, bez obecności męża czy kogokolwiek z rodziny.

- No tak, nie wygląda na to, by mogła liczyć na zrozumienie u rodziców
- przyznał Kins.

- Panikuje, jest zgnębiona i nie myśli trzeźwo. A park jest miejscem, w którym wraz z Kavita dorastały. Kojarzy jej się z czasami, kiedy obie snuły wspólne marzenia. - Tracy mówiła, nie przestając krążyć wokół stołu. Chciała słyszeć, jak brzmi jej teoria wypowiedzana na głos. Brzmiała całkiem nieźle. - Może Aditi prosi ją o pomoc, a Kavita stwierdza, że nie może nic dla niej zrobić.

- Mogła się rozwieść - wtrącił Kins.

- Nie sądzę. Takich rzeczy się nie robi. W każdym razie matka Kavity tak uważa.

- Przecież Kavita miała w banku trzydzieści tysięcy dolarów. Mogła jej pomóc.

- Ale Aditi twierdzi, że przyjaciółka była na nią zła. Podarła jej czek. Mogła być urażona, że Aditi wyszła za mąż bez słowa uprzedzenia, nie dając jej szansy, by mogła ją odwieść od tego pomysłu. Może obie były urażone. Siostrzom się to zdarza. Zaczynają się o coś kłócić i dają się ponieść emocjom.

- I Kavita odwraca się plecami i odchodzi...

- A Aditi, wściekła i zdruzgotana, bo całe jej życie wali się w gruzy, bierze do ręki kamień i doskakuje do niej - dokończyła Tracy.

- Znamy takie zachowania wśród małżonków. Dwoje niby kochających się ludzi, jedno z nich robi coś głupiego, a drugie reaguje zbyt impulsywnie.

- Kavita miała od teraz żyć życiem Aditi i ta nienawidziła jej za to, przynajmniej w tamtym momencie - powiedziała Tracy.

- Brzmi to całkiem prawdopodobnie. Tylko jak możemy tego dowieść?

Tracy na chwilę się zamyśliła.

- Rejestr połączeń telefonicznych Kavity. Wiemy, że Aditi próbowała się do niej dodzwonić tamtego wieczoru. Musimy sprawdzić wszystkie rozmowy przychodzące na telefon Kavity.

Kins wskazał palcem ekran monitora i Tracy nachyliła się nad jego ramieniem.

- Nic tu nie ma - powiedział. - Ale mogła dzwonić na tę drugą komórkę.

- Co może tłumaczyć, dlaczego tej komórki tam nie było. W pamięci pozostałby ślad połączenia z numeru telefonu Aditi.

- Potrzeba nam więcej informacji, a coś czuję, że nie zdążymy ich zdobyć przed wejściem na scenę ludzi z Bellevue.

- Może nam się uda. - Tracy podeszła do swojego biurka i wzięła do ręki słuchawkę telefonu.

- Do kogo dzwonisz? - spytał Kins.

- Do Andreia Vilkotskiego - odparła.

Rozdział 45

Faz od początku był bez szans. W baraku mieścił się nie tylko kantor, ale także biuro ochrony obiektu. Przekonał się o tym, gdy wewnątrz ujrzał baterię monitorów, a na nich obrazy z kamer śledzących każdy centymetr obiektu, na okrągło przez całą dobę i pod różnymi kątami. Faza było widać co najmniej na jednym ekranie od chwili, gdy wszedł na teren obiektu, i ochrona miała go cały czas na oku. Gęstość monitoringu utwierdziła go w przekonaniu, że w pomieszczeniach magazynowych przechowywano coś dużo cenniejszego niż niepotrzebne stare sprzęty domowe.

Człowiekiem przystawiającym lufę rewolweru do skroni Faza był ten sam napakowany sterydami osiłek, który pilnował wjazdu na posesję Małego Jimmy'ego podczas jego imprezy urodzinowej. Żył na jego rękach wyglądały jak pełzające pod skórą napęczniałe glisty, materiał niebieskiej koszuli aż trzeszczał pod naporem napiętych mięśni ramion i klatki piersiowej. Rozbroił Faza i skuł go kajdankami, po czym zabrał mu telefon komórkowy, co było problemem, bo Faz nie zdążył wysłać do Dela zdjęć, które zrobił, ani wiadomości o swoim miejscu pobytu.

- Pamiętam cię z tamtego wieczoru - powiedział Faz, gdy mięśniak zaczął go przykuwać do biegnącej po ścianie rury o średnicy dziesięciu centymetrów. - Musiała cię użądlić cholernie wielka pszczoła. Powinieneś zawsze mieć przy sobie epinefrynę. To pomaga na taką straszną opuchliznę.

Osiłek spojrział na niego jak na wariata, ale się nie odezwał. Najwyraźniej żart do niego nie dotarł.

Wyszedł i po chwili wrócił w towarzystwie mężczyzny, za którym Faz przyjechał tu z festynu, oraz kogoś jeszcze, kogo Faz nie rozpoznał. Mówili po hiszpańsku i Faz nie rozumiał wszystkiego, ale nie miał wątpliwości, o czym rozmawiają.

Jak się tu dostał i co zdążył zobaczyć?

Śledzony przez Faza mężczyzna podszedł bliżej.

- To ty jesteś ten detektyw, który zastrzelił Eduarda - warknął.

- To nie ja - zaprzeczył Faz. - Ja byłem tylko świadkiem tego. - Postanowił nie ujawniać, co wie o związkach łączących tego faceta z Andream Gonzalez, póki nie rozgryzie, co się tu naprawdę dzieje. - Będą mi potrzebne wasze nazwiska do spisania raportu.

- Ale z ciebie durny gnojek - prychnął osiłek.

- Masz cholernie długie nazwisko. Musiałeś mieć straszne kłopoty z podpisywaniem klasówek w podstawówce. Może masz jakąś krótszą

ksywę?

Osilek zamachnął się hakiem, trafił tuż nad prawą skronią, a Faz odczuł to tak, jakby dostał młotem pneumatycznym. Zwaliło go z nóg i osunął się na kolana, z rękami wyciągniętymi nad głowę, bo kajdanki były przyczepione do metalowej obejmy tkwiącej w murze. W głowie mu huczało i spróbował strząsnąć z oczu przesłaniające mu widok gwiazdy.

- Kurczę - sapnął. - Musicie, chłopaki, naprawdę popracować nad swoim poczuciem humoru.

Osilek zrobił krok do przodu i zamierzył się do następnego ciosu, ale mężczyzna, za którym Faz tu przyjechał, powstrzymał go i rzucił coś po hiszpańsku. Wywiązała się między nimi gwałtowna sprzeczka, w końcu jednak osilek odwrócił się i wyszedł.

- Zdajecie sobie sprawę, że już zadzwoniłem do mojego partnera powiedział Faz, nadal klęcząc. - Zna twój numer rejestracyjny i wie, gdzie jestem. Więc jeśli mi się coś stanie, Vaquero, to rozpęta się cholerna burza. Na twoim miejscu spieprzałbym do granicy, aż by się kurzyło. Ty nas nie interesujesz. Interesuje nas Mały Jimmy. Wydajcie go i znikajcie, to może uda wam się uratować tyłki.

Mężczyzna odwrócił się plecami do Faza i powiedział coś po cichu do trzeciego faceta w pokoju. Cokolwiek to było, nie spotkało się z jego aprobatą, bo zaczął wymachiwać rękami, jakby boksował się z cieniem. W potoku niezrozumiałych słów Faz wychwytywał tylko rzucaną wielokrotnie ksywę "Mały Jimmy", po angielsku, zapewne dlatego, że Pequeno Jimmy nie brzmiałoby tak groźnie.

Po kilku minutach kłótni ten, za którym Faz tu przyjechał, odwrócił się do niego i podszedł bliżej.

- Będziesz musiał pogadać o tym z Małym Jimmym. Tylko ostrzegam: on za bardzo cię nie lubi.

Faz czuł, jak w miejscu uderzenia rośnie guz, w głowie mu huczało, pole widzenia wciąż spowijały pajęczyny. Uznał, że w tej sytuacji najlepszą obroną będzie atak. Jakikolwiek, choćby udawany.

- Mieliście szansę, wszyscy trzej. - Wzruszył ramionami. - Zapamiętajcie moje słowa. Spróbujcie zabić gliniarza, a to miejsce zostanie obrócone w perzynę. Spalą je na popiół i szlag trafi całą waszą operację, a was razem z nią. A jeśli przeżyjecie, to wszyscy traficie do cel w Walla Walla. I nie mówcie potem, że was nie ostrzegałem.

Rozdział 46

Kins spojrział na zegarek.

- Już po godzinach - zauważył. - Andrei o tej porze nie odbierze.

- Dostał nowe zadanie w związku z falą kradzieży telefonów komórkowych - powiedziała Tracy. - I mam jego numer.

- Włącz na głośnomówiący.

Vilkotski odebrał po czwartym dzwonku.

- Cześć, Andrei, tu Tracy Crosswhite i Kensington Rowe. Jesteś na głośnomówiącym.

- Czyli domyślam się, że nie dzwonisz, żeby mi wyszeptać do ucha słodkie słówka - powiedział Vilkotski.

- Ja mogę to zrobić, Andrei - wtrącił Kins.

- Bez tego się obędę. Tylko mi powiedz, że nie dzwonisz dlatego, że ktoś ci ukradł komórkę.

Tracy się roześmiała.

- Przepraszam, że dzwoniemy do domu. Mamy problem z komórkami, tylko że inny.

- Mogło być gorzej - mruknął. - No to słucham.

- Gdybym w mojej komórce użyła apki "Znajdź mój iPhone", żeby odszukać czyjś telefon, to czy ta operacja zostałaby gdzieś zarejestrowana?

- Zarejestrowana? Nie. To znaczy ta osoba, której telefon próbowałabyś znaleźć, mogłaby o tym wiedzieć, ale tylko gdyby akurat obserwowała tę aplikację - odrzekł Vilkotski.

- Co konkretnie mogłaby obserwować? - spytał Kins.

- Apka umieszcza strzałkę na wyświetlaczu, ale tylko na chwilę. Chyba na dziesięć sekund, choć tego nie jestem pewien.

- Chcesz powiedzieć, że namierzana osoba musiałaby patrzeć na wyświetlacz w chwili uruchomienia aplikacji, a w dodatku wiedzieć, na co ma patrzeć? - upewnił się Kins.

- Dokładnie tak.

- No dobrze - rzuciła Tracy. - Ale mnie chodzi o to, czy w telefonie osoby namierzającej pozostaje jakikolwiek ślad po takiej akcji. Czy

używając aplikacji "Znajdź mój iPhone", zostawiam w swoim telefonie ślad, że szukałam czyjejś komórki?

- Nie sądzę, ale musiałbym to jeszcze sprawdzić. A co próbujecie ustalić?

- No cóż... - Tracy westchnęła. - W sumie chcemy ustalić, czy ktoś poszukiwał telefonu komórkowego innej osoby, aby sprawdzić, gdzie ta osoba przebywa.

- Jak stary jest ten telefon? - spytał Vilkotski. - Znaczący ten osoby poszukującej, nie szukanej.

- Nie wiem - odparła Tracy. - A co?

- Bo można by machnąć ręką na aplikację i po prostu sprawdzić historię lokalizacji telefonu. Od razu wtedy wiesz, gdzie dana osoba się znajdowała.

Tracy popatrzyła na Kinsa.

- I jak mógłbym to zrobić, Andrei? - spytał Kins.

- Nie musisz nic robić. Telefon robi to za ciebie. Rejestruje w pamięci czas i miejsce każdej lokalizacji, by zawsze wiedzieć, gdzie się znajduje. Wchodzisz na przykład na Google Maps i twój telefon wie, w którym miejscu jesteś. Czytałem niejedną artykuł, w którym narzekano na naruszanie prywatności. Ha! - Andrei parsknął ironicznym śmiechem. - To zabawne. Jak chcesz coś wiedzieć o naruszaniu prywatności, to zamieszkać w Rosji.

- Czy da się zawiesić tę usługę? - zapytał Kins. - Po prostu ją wyłączyć?

- Da się, ale nie bardzo to sobie wyobrażam. Ktoś musiałby być paranoikiem.

Tracy spojrzała na Kinsa, a ten pokręcił głową na znak, że nie ma więcej pytań.

- Dzięki, Andrei - powiedziała. - Mam nadzieję, że nie przeszkadziliśmy ci w niczym ważnym.

- Mogło być gorzej - powtórzył. - To była główna atrakcja wieczoru.

Tracy rozłączyła się i zerknęła na zegarek.

- Musimy zdobyć telefon Aditi - oświadczyła.

- To nadal tylko nasze spekulacje, Tracy - przypomniał jej Kins.

- Przeszaną nimi być, jeśli zdobędziemy jej telefon i okaże się, że była z nim w Parku Stanowym Bridle Trails, prawda?

- A jeśli powie, że zwariowaliśmy, i nie zgodzi się udostępnić nam swojego telefonu, to co wtedy? Nie jestem pewny, czy mamy uprawdopodobnione podejrzenie.

- Ona i Kavita miały wspólne konto.

- To za mało. Potrzebne nam coś więcej.

- Zgadza się. Potrzebny nam jej telefon.

- To trochę błędne koło, nie uważasz? Powiesz sędziemu: "Potrzebny nam jej telefon, żeby udowodnić, że potrzebny nam był jej telefon"? Potrzebujemy czegoś więcej. A jeśli ją teraz dopadniemy i zaczniemy wypytywać, a nic z tego nie wyniknie, to może się pozbyć tego telefonu gdzieś w Anglii.

- A co z operatorem sieci? Może oni mogliby nam udostępnić rejestry? - podsunęła Tracy.

- Może, tylko że to nie jest sytuacja nagła, jak wtedy, gdy szukaliśmy telefonu Kavity. Musielibyśmy najpierw uzyskać oficjalny nakaz przeszukania. - Kins spojrzał na zegarek. - Nie wiem, czy mamy na to dość czasu. Mówiłaś, że o której ma ten samolot do Londynu?

- Dziś późnym wieczorem. - Na biurku Tracy zadzwonił telefon. Proponuję, żebyśmy pojechali wtedy na lotnisko i tam spróbowali. A nuż się uda - powiedziała, idąc w stronę biurka, aby odebrać. - Detektyw Crosswhite - rzuciła do słuchawki.

Chwilę słuchała, po czym odwróciła się w stronę Kinsa, który stał plecami do niej, z telefonem komórkowym przy uchu. Zapewne dzwonił do Shannah, by ją uprzedzić, że wróci do domu później. Dwukrotnie pstryknęła palcami, chcąc przyciągnąć jego uwagę, po czym wzięła z biurka długopis i w niego rzuciła.

Kins odwrócił się i Tracy włączyła funkcję głośnomówiącą.

- Przepraszam, strażniczko Paige, ale mogłaby pani jeszcze raz powtórzyć? Chciałabym, żeby mój partner też to usłyszał.

- Jasne. Powiedziała, że byłam dziś w Seattle i zajrzałam do archiwum Bridle Trails. I znalazłam protokół z tego wypadku, w którym jeździec na koniu wpadł do starej studni. Pomyślałam, że chcielibyście o tym wiedzieć.

- Kiedy spisano ten protokół? - wtrącił Kins.

- Zaraz sprawdzę. - W głośniku zaszeleściły papiery. - Dziewięć lat temu.

- Ktoś został ranny?

- Nie. Jeźdźcowi udało się w porę zeskoczyć, ale koń złamał nogę i trzeba go było uśpić.

- Czy studnia znajdowała się gdzieś niedaleko domu Kavity Mukherjee?

- Tak nazywa się ofiara?

- Tak.

- Nie wiedziałam, że mieszkała w pobliżu parku.

- To był jej dom rodzinny.

- Jeśli mi podacie dokładny adres, spróbuję to określić.

Tracy spojrzała na Kinsa, który podszedł do swojego biurka, by poszukać adresu państwa Mukherjee.

- W protokole jest jakieś nazwisko? - spytała Tracy.

- Tak, jest. To była piętnastoletnia dziewczyna. Ma takie zagraniczne nazwisko, a imię Aditi. A-D-I-T-I.

Kins odwrócił się od biurka na dźwięk tego imienia.

- Nazwisko Dasgupta. Mam przeliterować?

Rozdział 47

W pomieszczeniu na zapleczu nie było okna i jedyne światło płynęło przez szparę pod drzwiami. Faz miał wrażenie, że siedzi tu już od kilku godzin. Słyszał odgłosy rozmów dochodzące z sąsiedniego pomieszczenia, ale od wyjścia mężczyzny, za którym tu przyjechał, ani razu nikt do niego nie zajrzał. Popatrzył na rurę, do której był przykuty, i spróbował poluzować obejmę mocującą ją do ściany, ale nawet nie drgnęła.

Zastanawiał się, czy nie zacząć krzyczeć, lecz biorąc pod uwagę rozplanowanie obiektu, już nieczynny kantor od frontu budynku i pasmo ciągnących się z tyłu zarośli oraz jednostajny szum pojazdów na pobliskiej drodze szybkiego ruchu 509, nie było szans, by ktoś mógł go usłyszeć. Ludzie Małego Jimmy'ego doszli najwyraźniej do tego samego wniosku, bo nawet go nie zakneblowali. Tyle że żaden z nich nie wyglądał na konkurenta Einsteina, więc mogli o tym po prostu zapomnieć.

Zamiast toczyć beznadziejną walkę z obejmą rury, Faz postanowił spożytkować czas na analizę, kto i kiedy może zauważyć, że go nie ma. Trudno było to stwierdzić. Po zmroku Vera na pewno się zaniepokoi i spróbuje go zlokalizować, ale przywykła już do nagłych zmian jego planów i do tego, że musi zostawać dłużej w pracy, nie mogąc jej o tym zawiadomić. A poza tym miała teraz na głowie ważniejsze sprawy. Wątpliwe, żeby Del spróbował go szukać, bo pod tym względem był podobny do Faza. Dzwonił, jeśli działo się coś ważnego lub czegoś potrzebował, a nie po to, żeby gadać o budżetach. Poza tym wiedział o chorobie Very i starał się uszanować ich prywatność. A więc jeśli rozmowy Dela z kolegami z Los Angeles nie przyniosą nic istotnego w sprawie Gonzalez, nie było co liczyć na jego telefon. Innymi słowy, Faz mógł tu długo posiedzieć. A jednocześnie może nie wystarczająco długo. Był już pewien, że Mały Jimmy prowadzi handel narkotykami na całym Zachodnim Wybrzeżu, a on przypadkiem trafił do centrali jego operacji. Stawką w tej grze były miliony dolarów i Mały Jimmy nie mógł go wypuścić, nawet jeśli Faz by obiecał, że nikomu nic nie powie. Zresztą Jimmy'emu nie potrzebna była milionowa stawka, żeby go zabić. Jak powiedział tamten gość, Mały Jimmy nienawidził go i obwinił o śmierć ojca. Tyle że zabicie gliniarza nie jest łatwą decyzją dla kogoś, kto zajmuje się biznesem narkotykowym, bo wiadomo, że facet natychmiast znajdzie się na celowniku służb. Może więc należało mieć nadzieję, że Mały Jimmy będzie w rozterce. O ile Mały Jimmy w ogóle znał takie słowo jak "rozterka".

Faz usłyszał zbliżające się głosy rozmawiających po hiszpańsku mężczyzn. Drzwi się otworzyły, do pomieszczenia wpadło światło i weszło dwóch mężczyzn, osiłek i facet, za którym Faz tu przyjechał, a za ich plecami stał uśmiechnięty Mały Jimmy. O wilku mowa, pomyślał Faz.

- Co dostają cierpliwi? - rzucił Mały Jimmy.

Jego dwaj kompani nie znali odpowiedzi. Tak jak stwierdził Faz, żaden z nich nie byłby konkurencją dla Einsteina.

- No dalej, detektywie Fatso. Przecież znasz odpowiedź.

- Chyba nie bardzo, Jimmy.

- Nagrody dostają, człowieku. Ludzie cierpliwi dostają nagrody.

- O ile wiem, brzmi to: Cierpliwość będzie nagrodzona. Ale tak czy siak, na twoim miejscu zbytnio bym się nie podniecał. Bo trudno mnie uznać za twoją nagrodę.

- Trudno? Co chcesz przez to powiedzieć? Chcesz powiedzieć, że wiedzą już, że tu jesteś, i właśnie jada, by uratować ci tyłek? - Mały Jimmy uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Sprawdziliśmy twój telefon, detektywie. Tak, wyobraź sobie, że złamaliśmy hasło. Nie jesteśmy meksykańskimi tępakami, za jakich amerykańscy gringos nas mają. Masz w nim parę ładnych zdjęć Francisca, ale nic do nikogo nie wysłałeś, stary. Jesteś sam na tej wyspie. Jak ten koleś... Jak mu tam? - Spojrzał pytająco na swoich kompanów.

- Robinson Crusoe - podpowiedział Faz.

- Nie, stary. Ten aktor. Ten, co rozmawia z piłką do koszykówki. Tom Hanks. Jesteś jak Tom Hanks.

- I jak myślisz, Jimmy? Ile to potrwa, nim gliniarze zaczną się rozglądać za kolegą, który próbował rozwiązać sprawę zabójstwa?

- A bo ja wiem? Ilu tam jest takich, co cię kochają na tyle, żeby kiwnąć palcem?

- Wielu, Jimmy. Jestem cholernie lubiany.

Nie przestając się uśmiechać, Mały Jimmy zrobił krok do przodu.

- No więc tu jest inaczej. Tutaj nikt cię nie lubi. - Zerknął na swojego osiłka. - Na przykład Hector. On by cię chętnie rozszarpał gołymi rękami. Coś ty mu zrobił, że cię tak nienawidzi?

- Myślę, że mogła go urazić moja uwaga o pszczołach. - Faz spojrział na Hectora. - Chodzi ci o tę pszczołę, Hector? Że cię użądliła i od tego tak spuchłeś? Chciałem ci tylko pomóc.

Hector patrzył na Fazę tęnym wzrokiem. Widać było, że nadal nic nie rozumie.

- Wesołek z ciebie, detektywie Fatso - warknął Mały Jimmy. - Humor też ci tak dopisywał, kiedy zapuszkowałeś mojego starego?

- Z wiekiem dowcip mi się wyostrza. Myślę, że po pięćdziesiątce będę prawdziwym komikiem.

- Wiesz, co już teraz jest śmieszne? Twoje przekonanie, że dożyjesz pięćdziesiątki. - Mały Jimmy parsknął śmiechem i pozostali do niego dołączyli.

- Widzę się po pięćdziesiątce, Jimmy. Mam dobre geny. Moi obaj dziadkowie żyli po pięćdziesiąt kilka lat, a rodzice są grubo po osiemdziesiątce i świetnie sobie radzą. Wiedziałeś, że mój ojciec był nurkiem głębinowym? Nic nie zmyślam. Zeszłego lata pływał z rekinami w Afryce Południowej.

- Ciebie też możemy wrzucić do rekinów. To się da załatwić. No tak, twój stary wygląda mi na twardego sukinsyna, a ty co?

- Ja mam urodę - powiedział Faz.

Mały Jimmy się roześmiał.

- Ale nie masz szczęścia. Nie dożyjesz wieku swoich dziadków. A ja? Nie wiem, jak długo pożyję. Mój stary mógł długo żyć, ale ktoś go wsadził do pierdła i tam go zabili.

- To ryzyko zawodowe handlarza narkotyków, nie?

Mały Jimmy przestał się uśmiechać.

- No dalej, detektywie, żartuj sobie. Jak to mówią? Kto się śmieje ostatni, jest najlepszy.

- Prawie dobrze.

- Więc dalej, bohaterze, śmiej się. Jesteś odważny.

- Nie, Jimmy, nie jestem odważny. Jestem twoim problemem. Myślę, że zamiast udawać zasranego twardziela, już dawno byś mnie zabił, ale obaj wiemy, że nie możesz tego zrobić.

- Taaa? A to niby dlaczego?

- Bo to źle dla biznesu zabić gliniarza. Wiem, że handlujesz dragami. Wiem, że pewnie masz miliony w towarze ukrytym w tych magazynach. Towarze, który nie należy do ciebie. Należy do kartelu, dla którego pracujesz. Chyba nie sądzisz, że jak mnie zabijesz, to mój partner Del się o tym nie dowie? Jak myślisz, czym od dawna się zajmujemy? Zabijasz mnie, a mój partner Del urządza obławę na ciebie i całą resztę w tym biznesie na całym wybrzeżu, od Kanady aż po Meksyk, do kartelu, który cię zaopatruje. Wiesz, jak oni na to zareagują? Domyślasz się, co zrobią, żebyś nie mógł zeznawać przeciwko nim, jak zacznie się zawierucha? To samo, co zrobili z

Dużym Jimmym, kiedy trafił do kryminału. Pograsz sobie w tysiąca z robakami, Jimmy.

Jimmy zbliżył się na tyle, że Faz poczuł jego kwaśny oddech. Przechylił głowę na bok i cmoknął przez szparę w zębach.

- W Meksyku lubią takich, którzy szybko działają: szybko obracają towarem i szybko za niego płacą. A ja właśnie taki jestem, przyjacielu. Za dwadzieścia cztery godziny już nas tu nie będzie. Zamienimy się w duchy. Pyk, i już nas nie ma. Ani śladu po nas. Magazyny wyczyszczone, towar zniknął. Zostanie rozproszony daleko i szeroko, a ja zarobię na tym tyle kasy, że będę sobie żył jak król w jakimś innym miejscu. A ty? Kurwa, nie zabiję cię z powodu tego, że mi przeszkadzasz w biznesie. Bo w niczym mi nie przeszkadzasz. Zabiję cię, bo naraziłeś mi się osobiście, culero. Nie okazałeś szacunku mojemu staremu. A potem obraziłeś mnie w moim własnym domu.

- Na szacunek trzeba zasłużyć, Jimmy. Szanowałem twojego ojca, bo był prawdziwym mężczyzną. I nie ja go zabiłem. Zabili go ci, dla których pracujesz. Jak myślisz? Jak bardzo szanują chłoptysia, który wysługuje się mordercom swojego ojca?

Atak były błyskawiczny i pełen furii. Mały Jimmy rzucił się na Faza z huraganem ciosów i kopniaków, pozostali się dołączyli. Faz próbował osłaniać głowę rękami, ale bezskutecznie. Przyjmował w milczeniu przeraźliwy ból, słyszał trzask łamanych kości, czuł smak krwi tryskającej mu z nosa i spływającej do ust. Bili go tak długo, że w końcu przestał cokolwiek słyszeć i czuć.

Rozdział 48

Del wszedł do domu i zaczął uspokajać Sonny'ego, który tańcząc na tylnych łapkach i machając w powietrzu przednimi, głośno skowyczał.

- Już dobrze, dobrze. Uspokój się. Wiem, że cię zaniedbuję.

Przez ostatnie dwa dni jego shih tzu był głównie w domu lub na podwórku za domem, bo ból pleców uniemożliwiał jego panu codzienne spacerowanie po parku, a teraz jeszcze Del miał dodatkowe obowiązki z powodu przymusowego urlopu Faza. Sonny ważył niecałe cztery kilogramy, ale Del i tak uznał, że lepiej będzie dla jego nadwerżonych pleców, żeby przez najbliższe kilka dni go nie podnosił.

- Daj mi się najpierw rozgościć i za chwilę pójdziemy na spacer, zgoda?

Sonny, kulka biało-brązowego futerka, jednym skokiem wyminął Faza i ściągnął smycz z kołka przy drzwiach wejściowych.

- Tak, tak, pójdziemy, będziesz mógł załatwić swoje sprawy, ale daj mi najpierw załatwić moje.

Del przerzucił marynarkę przez poręcz schodów i ruszył w głąb przedpokoju. Zadzwoiła komórka. Machinalnie sięgnął do kieszeni spodni, ale uprzytomnił sobie, że telefon dzwoni w kieszeni marynarki. Przypuszczał, że to Celia, jednak okazało się, że jego telefon nie rozpoznaje numeru. Mimo to odebrał.

- Detektyw Castigliano?

- Tak. Kto mówi?

- Rozumiem, że wypytywał pan dziś po południu o detektyw Gonzalez.

- Owszem. Szukam informacji o jej służbie w policji Los Angeles. A kto mówi? Zna ją pan z pracy? - Odsunął aparat od ucha, żeby zobaczyć numer, ale na wyświetlaczu nic nie było.

- Mogę spytać o powód pańskiej ciekawości?

Pytanie było uzasadnione.

- Próbuję się czegoś o niej dowiedzieć. Mieliśmy tu strzelaninę, w której uczestniczyła detektyw Gonzalez, i zbieram informacje. Czy już zdarzyło jej się coś podobnego? I z kim rozmawiam? - Del przeszedł do kuchni i zaczął szperać po szufladach, szukając kawałka papieru i czegoś do pisania.

- Nazywam się Jeffrey Blackmon i jestem z DEA¹¹.

- DEA?

- Ma pan natychmiast przestać interesować się przeszłością detektyw Gonzalez. Czy to jasne?

Del przestał szperać w szufladzie.

- Słucham? Czy mi się zdawało, czy pan przed chwilą wydał mi jakieś polecenie?

- Przestać i zaniechać wszelkich pytań, detektywie. Te sprawy wykraczają poza pańskie kompetencje. I rzeczywiście jest to służbowe polecenie.

- Dla mnie pańskie słowa nie mają żadnego znaczenia. Nie przyjmuję poleceń od nieznanym.

- To pozwoli pan, że ponownie się przedstawię. Nazywam się Jeffrey Blackmon i jestem agentem DEA.

- A ja jestem Świętym Mikołajem. A teraz obaj spróbujmy to udowodnić.

- Jestem agentem działającym w ramach OCDETF. Proszę to sprawdzić.

- Brzmi to jak litery na tablicy do badania wzroku.

- To skrót od Organized Crime Drug Enforcement Task Forces¹².

- Nigdy o panu nie słyszałem.

- I tak powinno być.

- Działa pan tu, w Seattle?

- A także w innych miastach.

- I nie chce pan, żebym wypytywał o przeszłość detektyw Gonzalez?

- Właśnie.

- Skąd mam wiedzieć, że to, co pan mówi, jest prawdą?

- Kwestia wiary.

- Sprawy wiary ograniczają się do mojego Boga i nawet w tej kwestii mam pewne wątpliwości - odparł Del. - Na wszystko inne potrzebuję dowodów.

- Rozumiem, że został pan poinstruowany, że macie zakończyć śledztwo w sprawie zabójstwa Monique Rodgers.

Del przypomniał sobie rozmowę z Nolaskiem.

- Skąd pan to wie?

- Proponuję, aby zastosował się pan do tego polecenia, detektywie, skoro nie chce pan posłuchać mnie.

- Grozi mi pan?

- Spieprzył pan moją operację i będę musiał zrobić znacznie więcej, niż tylko panu grozić. Dostał pan polecenie wycofania się z tej sprawy. Proszę się do niego zastosować, bo inaczej będę musiał wykonać parę telefonów. A wolałbym tego nie robić.

Rozmówca się rozłączył i Del odsunął telefon od ucha. W jakie gówno on i Faz wdepnęli?

Sonny nie przestawał tańczyć i pojękiwać.

- Przepraszam, kolego. Obowiązki służbowe - mruknął Del i wybrał numer komórki Faza, ale od razu włączyła się poczta głosowa.

Del wiedział, że jeśli partner nie ma dyżuru, to na noc wyłącza komórkę i zostawia ją w koszyku koło tylnego wyjścia z domu. Spojrzał na zegarek. Naprawdę nie chciał zakłócać Fazowi i jego żonie spokoju, dzwoniąc na numer stacjonarny. Nie wiedział, w jakiej formie jest Vera, ale wiedział, że oboje przeżywają ciężkie chwile. Sprawa była ciekawa, jednak będzie musiała poczekać do rana.

Wszedł w listę kontaktów i wyszukał numer komórkowy Johnny'ego Nolasco. Może zdoła się dowiedzieć, w jak wielkie gówno on i Faz się wpakowali.

Rozdział 49

Z pędzącego samochodu z błyskającymi za tylną szybą światłami Tracy zadzwoniła na lotnisko Sea Tac. Samolot British Airways, lot 48, na londyńskie Heathrow miał wystartować o 19.30. Na ten lot Aditi i Rashesh Banerjee mieli zabukowane bilety, a to znaczyło, że Tracy i Kinsowi zostało bardzo mało czasu na dojazd do lotniska. Było to oczywiście wykonalne, zwłaszcza o tej porze dnia i z błyskającymi światłami policyjnymi, przed którymi inne samochody zjeżdżały na bok, ale mogli nie zdążyć przed wejściem pasażerów na pokład samolotu.

- Nie wiem, czy nam się uda - mruknął Kins, co chwilę zmieniając pas ruchu i przyspieszając. - Zadzwoń do Portu Seattle i poproś, żeby ich zatrzymali w sali odlotów.

Port Lotniczy Seattle miał w swej strukturze organizacyjnej komórkę prowadzącą podstawowe czynności policyjne. Tracy zadzwoniła tam, przedstawiła się, podała nazwiska pasażerów oraz numer lotu i poprosiła, by ich zatrzymano.

Dwadzieścia minut później dotarli na lotnisko i popędzili do biura komisariatu na drugim piętrze głównego budynku terminalu. Prowadzące tam drzwi z mleczną szybą znajdowały się w głównym holu, tuż za stanowiskiem biletowym Southwest Airlines. Kins był tutaj raz, wiele lat temu, Tracy nie była nigdy.

Przedstawili się i usłyszeli, że Aditi i Rashesh Banerjee czekają w salce konferencyjnej i że Rashesh jest bardzo z tego powodu niezadowolony.

Słowo "niezadowolony" nie oddawało w pełni stanu Rashasha, który miotał się nerwowo po pokoju i na widok wchodzących Tracy i Kinsa dał upust złości.

- Co to za pomysły! - wrzasnął. - Przez was uciekł nam samolot do Londynu!

Aditi siedziała na krześle przy stole konferencyjnym i wyglądała na zagubioną. Tracy oświadczyła, że chce z nią porozmawiać na osobności, co u Rashasha wywołało kolejny atak gniewu.

- Nasze bagaże są w tym samolocie - warknął.

Tracy popatrzyła na towarzyszącego im pracownika Portu Seattle.

- Bagaż państwa został wyjęty z luku i będzie tu dostarczony oznajmił.

- A co... - zaczął z wściekłością Rashesh, ale Aditi mu przerwała.

- Rashesha, proszę - rzuciła i zwracając się do Tracy, spytała: - Czy chodzi o Kavitę?

- Tak. - Tracy kiwnęła głową.

Aditi spojrzała na Rashesha.

- To muszę z nimi porozmawiać. - Wstała i podeszła do męża, by go udobruchać. - Jeśli chodzi o Kavitę, to jest to ważne. Proszę, nie sprzeciwiaj się im.

Jeszcze chwilę się dąsał, w końcu jednak wyszedł z salki w towarzystwie dwóch funkcjonariuszy Portu Seattle. Tracy i Kins usiedli przy stole. Tracy sięgnęła do wewnętrznej kieszeni kurtki, wyjęła z niej kartkę, rozłożyła ją i przesunęła po blacie ku Aditi. Był to wydruk maila wysłanego przez Margo Paige, strażniczkę parku, po rozmowie z Tracy.

- Zadzwoń dzisiaj do mnie strażniczka z Bridle Trails - powiedziała Tracy. - Znalazła ten protokół w ich archiwum w Sand Point. Pochodzi sprzed dziewięciu lat. Jadąca konno młoda dziewczyna miała wypadek: jej koń wpadł do starej studni i złamał nogę.

- To byłem ja - odrzekła Aditi bez chwili wahania, nie czytając maila. - Miałam wtedy piętnaście lat. Mojego konia trzeba było uspić. Miałam szczęście, że udało mi się w porę zeskoczyć.

- Kavita była wtedy z tobą? - spytała Tracy.

- Tak, jechała za mną. Inaczej to ona wpadłaby do tego dołu.

Tracy zerknęła na Kinsa i znów przeniosła wzrok na Aditi.

- Czyli wiedziałaś, że w parku są niebezpieczne doły.

- Wiedziałam o tym jednym, to na pewno. - Spojrzała na Kinsa i znowu na Tracy. - Nie rozumiem. Co to ma wspólnego ze śmiercią Kavity?

Tracy i Kins jak dotąd nie wyjawili jej, rodzinie Mukherjee ani mediom bliższych okoliczności śmierci Kavity.

- Miałyście wspólne konto w iCloud? - spytała Tracy.

- Już pani mówiłam, że tak.

- Czyli mogłaś wyśledzić jej telefon, ustalić jego lokalizację.

- Pewnie tak. To od pani się dowiedziałam, że jest to możliwe. Aditi zmrużyła oczy, jakby nagle rozbolała ją głowa.

- Czy tamtego wieczoru wyśledziłaś jej telefon? Czy ustaliłaś, że Kavita jest w drodze do parku?

- Albo czy do niej zadzwoniłaś i zaproponowałaś spotkanie w parku? - wtrącił Kins.

Aditi przez chwilę milczała, obrzucając oboje zdumionym i pełnym bólu spojrzeniem, po czym nagle rozszerzyła oczy i wyprostowała się na krześle.

- O mój Boże, wy myślicie, że to ja zabiłam Vitę? - jęknęła i zakryła usta dłonią. - Skąd wam to przyszło do głowy? Dlaczego? Vita była moją przyjaciółką. Była dla mnie jak siostra. - Zaczęła płakać.

Jej słowa i reakcja wydawały się szczere, ale Tracy zetknęła się już ze sprawami, kiedy zabójca wręcz nie pamiętał swojego czynu i pomyślnie przechodził test na wariografie.

- Świadomość, że porzucasz tę swoją siostrę, musiała być dla ciebie bardzo bolesna, Aditi. I że tylko ona zrealizuje wasze życiowe marzenia, zostanie lekarką i zachowa niezależność.

- Oczywiście, że myśl o rozstaniu z nią sprawiała mi ból - powiedziała Aditi, odzyskując głos. - Kochałam Vitę. Ale sama wybrałam to życie.

- Naprawdę?

- Co?

- Naprawdę sama je wybrałaś, czy też wybrano je dla ciebie?

- Nie rozumiem. - Znów obrzuciła ich oboje spojrzeniem. - Już mówiłam. Pojechałam do Indii na ślub kuzynki i tam poznałam Rashesha.

- Twój rodzic też tam byli - zaznaczyła Tracy.

- Oczywiście.

- Nalegali, żebyś wyszła za Rashesha?

Aditi parsknęła śmiechem, który jednak bardziej przypominał westchnienie.

- Oczywiście, że nalegali, bo im na tym zależało. Zawsze chcieli tego dla mnie.

- A ty? Czy ty też tego chciałaś?

- Nie. Nie chciałam. Do tamtej chwili nie. To też już mówiłam. Rashesh jest dobrym człowiekiem. Jest dla mnie dobry i pokocha mnie, a może już mnie kocha.

- A co z twoimi życiowymi planami, Aditi? - spytała Tracy. - Żeby studiować i zostać lekarką?

- Może jeszcze któregoś dnia je zrealizuję. Już rozmawiałam o tym z Rasheshem. On nie chce, żebym się czuła nieszczęśliwa.

- A czujesz się nieszczęśliwa?

- Nie, nie czuję się. - Umilkła, a po chwili dodała: - Ale najpierw chcę być matką. Chcę mieć rodzinę i wychowywać dzieci. - Westchnęła głęboko, jakby była tym wszystkim mocno zmęczona. - Nie oczekuję, że pani to zrozumie, pani detektyw, ale gdy zadałam sobie pytanie, czego najbardziej pragnę w życiu, odpowiedź okazała się oczywista i wcale nietrudna. Chcę być żoną i mieć dzieci. Może któregoś dnia zostanę też lekarką, ale jeśli mnie pani zapyta, z którego z tych dwóch planów jestem gotowa zrezygnować, to bez chwili wahania odpowiem: Rezygnuję z bycia lekarką.

I w tym momencie Tracy uświadomiła sobie, że Aditi mówi prawdę, bo sama też tak uważała. Nie wspomniała im o swoim wypadku przy starej studni w parku, bo jej nie poinformowali, gdzie znaleziono ciało Kavity. Spojrzała na Kinsa i pokręciła głową.

- Ona jej nie śledziła - oświadczyła z przekonaniem w głosie.

- Kavity? Nie. Oczywiście, że nie - powiedziała Aditi. - Po co miałabym ją śledzić? Mogłam po prostu do niej zadzwonić. I chciałam to zrobić. Bardzo chciałam ją jeszcze zobaczyć, a teraz... - Po jej policzkach znów popłynęły łzy. - Uznałam, że najlepiej będzie dać jej trochę czasu na oswojenie się z tym wszystkim, w co ją wpakowałam.

W głowie Tracy coś nagle zaświtało.

- Kto jeszcze wiedział o twoim wypadku w parku? - spytała.

- Nasi rodzice. oczywiście - odrzekła Aditi. - Strażnik parkowy. Może też bracia Kavity. Tak, obaj bracia Kavity wiedzieli, choć Sam był wtedy jeszcze małym dzieckiem.

Kolejny błysk i poszczególne klocki zaczęły nagle pasować do siebie, zupełnie jak przy układaniu puzzli, kiedy znajduje się jeden element, który sprawia, że wyłania się cały obraz.

- Sam miał dostęp do tej samej chmury iCloud, prawda? Mówiłaś, że on i Kavita dzielili się muzyką i filmami, tak?

- Sam i Kavita byli bardzo ze sobą zżyci - powiedziała Aditi. Strasznie za nią tęsknił. Wspólne konto w chmurze zapewniało im bliższy kontakt. Wszyscy troje mieliśmy wspólne konto.

Tracy spojrzała na Kinsa, w duchu gromiąc samą siebie. Jak mogła to przeoczyć? Przecież wszystko było w telefonie Kavity.

Rozdział 50

Johnny Nolasco potwierdził tożsamość Jeffrey Blackmona, a także to, że Andrea Gonzalez od blisko trzech lat pracowała dla DEA. Nolasco wyjaśnił, że DEA szykuje potężną obławę na całym Zachodnim Wybrzeżu, w tym również w Seattle, i Gonzalez była ich agentką i potrzebowała wiarygodnej przykrywki. Oczywiście takie informacje są zawsze ściśle tajne, cała operacja została przygotowana na wyższym szczeblu, a Nolasca tylko o tym powiadomiono. To oczywiście wyjaśniało jedną kwestię, ale nie odpowiadało na najpilniejsze pytanie: Co się, u diabła, stało z Fazem?

Po zakończeniu rozmowy z Nolaskiem Del znowu zadzwonił do partnera i znowu został przełączony na pocztę głosową. Już miał wybrać numer domowy Faza, gdy komórka zabrzęczała, a na wyświetlaczu ukazał się właśnie ten numer.

- Hej - rzucił Del radosnym głosem. - Dobrze, że dzwonicz, bo dzieją się tu dziwne rzeczy. Nolasco skontaktował się z tobą?

- Del?

Kobięcy głos w słuchawce zbił go z tropu.

- Vera? - odezwał się niepewnie.

- Tak.

- Przepraszam, myślałem, że to Faz.

- Nie ma go z tobą?

- Nie, nie ma go ze mną. A co, nie dzwonił do ciebie?

- Nie odezwał się od chwili, kiedy dziś rano wyszedł z domu. Nie mogę się dodzwonić na jego komórkę, w biurze też go nie ma.

- To na pewno nic poważnego, Vera. Może po drodze do domu wstąpił coś zjeść.

Jednak Del sam nie wierzył w swoje słowa. Coś musiało się wydarzyć.

- To czemu nie odbiera telefonu? - spytała Vera.

Tego Del nie wiedział.

Zapewniwszy Verę, że da jej znać, jak tylko się czegoś dowie, rozłączył się i ponownie wybrał numer komórki Faza. Tak jak poprzednio, rozmowa została automatycznie przekierowana na pocztę głosową, co obudziło w nim złe przeczucia. Zaczął krążyć po swoim pokoju na tyłach domu, z

widokiem na centrum Seattle. Szyby w wieżowcach lśniły złocistym blaskiem, ale wraz z zapadającą ciemnością narastał jego lęk.

Zadzwoił na komórkę Billy'ego Williamsa i powiedział mu o swoim zaniepokojeniu.

- Chciał śledzić Gonzalez. Sprawdzić, dokąd pojedzie i czy nie spotka się z kimś podejrzanym.

- Kiedy ostatnio z nim rozmawiałeś? - spytał Billy.

- Dziś rano, przed wyjściem Gonzalez z domu. Siedział w samochodzie pod jej domem.

- I od tamtej pory nie miałeś z nim kontaktu?

- Żadnego.

Williams odparł, że nic nie słyszał o żadnej grupie zadaniowej, ale spróbuje coś ustalić drogą służbową i da mu znać, jeśli się czegoś dowie.

Del nie zamierzał beczynnie na to czekać. Włożył kurtkę i wyszedł z domu. Znał domowy adres Gonzalez i wiedział, że mieszka niedaleko. Wsiadł do swojej impali i ruszył. Jadąc, ponownie wybrał numer Faza, ale znów zgłosiła się tylko poczta głosowa.

Zaparkował na ulicy pod blokiem Gonzalez i podszedł do wejścia, ale nie znalazł przy nim listy lokatorów. Administratorzy bloków coraz częściej rezygnowali z wywieszania takich list dla ochrony przed akwizytorami, a także z uwagi na bezpieczeństwo mieszkańców, zwłaszcza tych w starszym wieku. Budynek nie był duży, ale Del na oko ocenił, że jest w nim co najmniej dwanaście mieszkań. Nacisnął jeden z guzików domofonu. Po chwili odezwał się męski głos i Del spytał o Andreę Gonzalez.

- Pomylił pan mieszkanie.

- Przepraszam, widocznie źle zapisałem. Wie pan może, pod którym numerem mieszka?

- Przykro mi, nie wiem.

Del nacisnął inny guzik, ale tym razem nikt się nie odezwał. Naciskał kolejno pozostałe. Mieszkańcy albo nie znali Gonzalez, albo odpowiadali z taką niechęcią w głosie, że można było wyczuć, że jeśli nawet wiedzą, to nie udzielą tej informacji obcemu.

Zniechęcony, odszedł spod drzwi, stanął na chodniku i zaczął się zastanawiać, ale niczego nie wymyślił. Raz jeszcze zadzwonił na numer Faza i znów odezwała się poczta głosowa. Zaklął pod nosem i wrócił do samochodu.

Zadzwoił na nocną zmianę i poprosił o połączenie z Ronem Mayweatherem.

- Chciałbym, żebyś wystawił nakaz ustalenia ostatnich namiarów geograficznych komórki Faza - powiedział.

- Co się dzieje, Del?

- Nie wiem. Nie ma go ani w domu, ani w pracy i nie odbiera telefonu. Możesz się tym zająć?

- Jasne, już się robi. Zadzwoię, jak tylko czegoś się dowiem.

Rozdział 51

Sam Mukherjee stał na końcu zaułka przy swoim rodzinnym domu i ponuro wpatrywał się w samochód, którym podjechali Tracy i Kins. Na głowie miał kask, był w T-shircie i szortach i nogą przyciskał do ziemi jeden koniec deskorolki, drugi przytrzymując ręką.

Tracy wysiadła i podeszła do chłopca.

- Cześć, Sam - odezwała się.

Podrzucił deskę nogą i złapał ją w powietrzu.

- Cześć - mruknął niechętnie. - Rodziców nie ma w domu.

- Wiesz może, gdzie są? - spytała Tracy.

- Ojciec chyba załatwia formalności związane z pogrzebem Kavity, a mama poszła na spacer i jeszcze nie wróciła. - Uniósł lekko podbródek, jakby chciał nim wskazać ciemniejące niebo.

Od strony parku dochodziło głośne cykanie świerszczy.

- Wiesz, dokąd poszła?

Sam wyciągnął rękę w stronę Bridle Trails.

- Zwykle chodzi do parku, ale o tej porze jest już zawsze w domu, więc...

- Co wieczór? - upewniła się Tracy.

- Prawie - odparł Sam. - Czasami tata z nią idzie, ale nie zawsze.

- A twój brat Nikhil? - wtrącił Kins.

- Jest w domu. - Sam machnął ręką. - Ale nie wiem, co robi.

- Masz przy sobie komórkę? - spytała Tracy.

Sam wskazał koszulę rzuconą na betonowe schodki, prowadzące na wąski ganek.

- Jest tam - bąknął niepewnie.

- Będę musiała ją zabrać.

- Dlaczego?

Tracy nie chciała, by świat chłopca nagle się zawalił, ale nie miała wyjścia.

- Matka mówiła, że na noc zabiera ci telefon. To prawda?

- Tak, zwykle tak robi, ale... teraz jej nie ma i jest lato, więc... ostatnio go nie zabierała. Czasami zapomina. Myślę, że po tym wszystkim, co się stało. Dlaczego chcecie go zabrać?

- Czy w poniedziałek wieczorem oddałeś komórkę matce? - zapytała Tracy.

- Nie, w poniedziałek miałem mecz i nocowałem u kolegi.

- Ale wysłałeś wtedy esemesa do Kavity, prawda?

- Tak. Martwiłem się o nią. Słyszałem, jak rodzice rozmawiali o tym, że Aditi wyszła za mąż w Indiach. Mama bardzo się zdenerwowała. Wiedziałem, że Vita też się zdenerwuje. Chciałem tylko spytać, jak sobie radzi i czy u niej wszystko gra.

- A ona ci odpisała, że nie może przyjść na twój mecz, bo jest umówiona, tak?

- No.

- Wspominała ci o innych swoich randkach?

- No.

- Często?

- Parę razy.

- I pisała to w esemesach?

- Zwykle. Czasami do niej dzwoniłem.

Tracy spojrzała na Kinsa. Wcześniej rozmawiali o tym, że jeśli Kavita powiedziała Samowi o jednej randce, to mogli też rozmawiać o innych i byłoby to łatwo znaleźć w telefonie chłopca.

- Sam, czy kiedykolwiek próbowałeś śledzić telefon siostry?

- Co?

- Czy próbowałeś namierzyć telefon Kavity, żeby dowiedzieć się, gdzie akurat jest?

- Nawet nie umiałbym tego zrobić. Znaczący może bym i umiał, ale nigdy w życiu tego nie robiłem. Po co miałbym to robić?

- Czy rodzice czytali twoją korespondencję esemesową z siostrą?

Energicznie pokręcił głową.

- Nie! Zawsze wszystko kasowałem.

- A twoją korespondencję z kolegami?

- Mama czytała. znaczy czasami. To było straszne, ale matka mówiła, że skoro płacą za mój telefon, to nie mam nic do gadania.

- Twój numer jest objęty abonamentem telefonicznym rodziców, tak?

- Mhm.

- Czy rodzice zainstalowali na nim jakieś rodzicielskie blokady? Na przykład coś, co pozwala im kontrolować twoje esemesy? Nawet takie, które wcześniej skasowałeś?

Sam już miał odpowiedzieć, ale nagle coś go powstrzymało. Jakby przysłała mu do głowy jakaś myśl, która zamknęła mu usta. Zmrużył oczy i wbił wzrok w ziemię, a gdy po chwili spojrzął na Tracy, pomyślała, że odgadł prawdę, tak jak ona, choć jeszcze nie zdawał sobie sprawy ze wszystkich płynących z niej konsekwencji.

Vilkotski wcześniej potwierdził podejrzenia Tracy. Kiedy jechali z lotniska do Bellevue, zadzwoniła do niego i spytała o aplikacje dla rodziców, dzięki którym mogą czytać esemesy dzieci, nawet nie mając w rękach ich telefonów. Vilkotski poinformował ją, że istnieje aż za dużo aplikacji szpiegowskich, które pozwalają czytać wiadomości, choć właściciel telefonu jest święcie przekonany, że je skasował. Potwierdził też, że skoro Sam miał wspólne konto Apple z siostrą, to rodzice mogli wykorzystać jego numer telefonu do śledzenia komórki Kavity.

Tak więc gdy Kavita pisała bratu w esemesach o swoich randkach, matka miała wgląd we wszystko i mogła śledzić lokalizację jej telefonu komórkowego. W ten sposób wiedziała o zwyczajach córki - o jej poniedziałkowych schadzках z doktorem Charlesem Shea, które kończyły się zawsze w pokoju hotelowym w Kirkland.

- Ja biorę na siebie starszego brata - powiedział Kins, podchodząc do drzwi. - Ty zajmij się mamusią.

Rozdział 52

Fazowi zdawało się, że otworzył oczy, choć nie był tego do końca pewien, bo wokół nadal panowały ciemności. Chwilę potrwało, nim jego pozostałe zmysły zaczęły funkcjonować, czego zresztą od razu pożałował, bo poczuł, jak mu łupie w głowie - potężne uderzenia w rytmie tętna rozsadały mu czaszkę. Uświadomił sobie, że widzi tylko na prawe oko, bo lewe jest tak opuchnięte, że nie może go otworzyć. Spróbował się nieco unieść, aby zwolnić ucisk wrzynających się w nadgarstki kajdanek, i aż jęknął od gwałtownego klucia w klatce piersiowej. Musiał poruszać się etapami, przygotowując się psychicznie na ból, jaki towarzyszył kolejnym ruchom. Bolały go ramiona i ręce od lawiny kopniaków i ciosów pięściami, a żebra jakby płonęły żywym ogniem. Miał trudności z oddychaniem, bo przy każdym wdechu odczuwał tak piekący ból w boku, że zaczynał kasłać, a to jeszcze bardziej wzmagало ból.

Oparł głowę na rękach i dotknął twarzy. Palce wyczuły ciepłą lepłą ciecz, sączącą się z głowy za uszami i spływającą po szyi. Krew. Dużo krwi. Mały Jimmy i jego siepacze stłukli Faza jak pinatę. W ustach czuł żelazisty posmak. Obmacał językiem wnętrze jamy ustnej, poszukując skaleczeń i wybitych zębów. Po tym szybkim sprawdzeniu obrażeń spróbował zbadać otoczenie i ocenić swoją sytuację. Nadal był przykuty do rury na ścianie i praktycznie unieruchomiony.

Skatowanie go miało nie tylko wymiar fizyczny, lecz co gorsza, świadczyło też o tym, że Małemu Jimmy'emu jest wszystko jedno, czy Faz przeżyje, czy nie. Intensywność ataku wskazywała, że błąd Faza o tym, jak zareaguje policja, jeśli go zabiją, nie zadziałał. Małemu Jimmy'emu bardziej zależało na uratowaniu towaru wartego dziesiątki milionów dolarów i należącego do kartelu. Gdyby go stracił, kartel nieuchronnie wydałby na niego wyrok śmierci, więc Jimmy nie miał wyjścia. Musiał zabić Faza.

Faz zdał sobie sprawę, że postąpił głupio. Powinien był się upierać, że pojawił się w magazynie tylko ze względu na śledztwo w sprawie śmierci Monique Rodgers, a on swoją gadaniną dał Małemu Jimmy'emu dodatkowy powód do zabicia go. Jakby ten w ogóle potrzebował dodatkowego powodu.

Zaczął myśleć o Verze, o tym, że zostanie sama w swojej walce z rakiem, i ogarnął go tak głęboki żal, że w oczach stanęły mu łzy. Myślenie o Verze przerwały dobiegające zza drzwi męskie głosy i dźwięk klucza w zamku. Rozbłysły jarzeniówki pod sufitem, tak ostro kłując go w oczy, jakby ktoś wciskał mu okruchy szkła. Przechylił głowę na bok, aby lepiej widzieć zdrowym okiem.

- Detektywie Fatso, wyglądasz jak wielka kupa gówna. - Mały Jimmy kucnął i poderwał Fazowi głowę, boleśnie wbijając mu palce w twarz i zwracając ją ku sobie, jakby chciał lepiej mu się przyjrzeć. To jak, detektywie, jesteś gotów zacząć mówić, czy nadal będziesz sypał żarcikami?

- Szkoda moich żarcików, Jimmy - wyseplenił Faz. - Najwyraźniej twoi koleś do nich nie dorośli.

- Więc może zechcesz mi powiedzieć, czego tu szukałeś.

- Już ci mówiłem. Szukałem ciebie. - Głos Faza był ledwie głośniejszy od szeptu. - I mój partner o tym wie. - Nie było już sensu zmieniać bajeczki.

Mały Jimmy się uśmiechnął.

- No i mnie znalazłeś. Pewnie dzięki takim umiejętnościom jesteś detektywem, co? Ale ja też ci już coś powiedziałem. Sprawdziłem twój telefon i nie sądzę, żeby on kłamał. ^Entiende? Nie sądzę, żebyś komukolwiek mówił, że tu jedziesz. Jesteś sam. Jesteś na wyspie.

- Już to mówiłeś. Wymyśl inną metaforę.

- Co mam wymyślić?

- Co za szczęście, że to z tobą trafiłem na tę wyspę - szepnął Faz.

- Byłem ciekaw, cabrón. Ciekaw, po co tu przylazłeś i dlaczego sam jeden. Więc sprawdziłem nagranie na taśmie, kapujesz? Żeby się przekonać, czy przypadkiem kogoś nie śledziłeś.

Faz poczuł, jak ściska mu się żołądek.

Mały Jimmy wyprostował się i skinął głową w stronę drzwi. Hector - Sterydowy Chłopak - i ktoś jeszcze wnieśli kogoś z głową tak zwisającą, że Faz nie był w stanie dojrzeć jego twarzy. Był jednak niemal pewny, że wie, kto to jest. Rzucili ciało pod nogi Małego Jimmy'ego, a ten butem przetoczył je na plecy. Faz musiał wyciągnąć szyję, aby zobaczyć jego twarz. Była opuchnięta i pokryta warstwą zaschłej krwi i Faz z trudem rozpoznał mężczyznę, którego śledził. Złamany nos leżał niemal płasko na twarzy, pod lewym okiem widniała gula wielkości piłki golfowej.

- Widzisz, detektywie, bo ja jestem jak hydraulik. Zawsze szukam przecieków. I chyba znów jakiś znalazłem.

- Nigdy w życiu go nie widziałem - mruknął Faz.

- Tylko że jest tak, jak mówiłem. Taśma nie kłamie.

- Tak mówiłeś? Nie pamiętam.

- Więc teraz mi powiesz, dlaczego śledziłeś Francisca. Dlaczego robiłeś zdjęcia na festynie i kim była ta kobieta, z którą tam rozmawiał. Hmm?

Faz zdążył już zapomnieć o gruboziarnistych i nieostrych zdjęciach, jakie udało mu się zrobić na terenie festynu. Chwilę się zastanawiał i coś sobie uprzytomnił. Małemu Jimmy'emu wyraźnie zależało na informacjach i to go mogło powstrzymać od zabicia Faza, przynajmniej przez jakiś czas. Chociaż Mały Jimmy okazywał brawurę, to w gruncie rzeczy był przerażony. Wiedział, co go czeka, jeśli utraci towar kartelu. Bo tak naprawdę był tylko marnym pionkiem.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedział Faz.

Mały Jimmy chwycił go za włosy i szarpnął jego głowę do góry, tak by Faz musiał na niego spojrzeć. Ostry ból przeszył mu czaszkę i spłynął po karku. Jimmy przykucnął i popatrzył mu prosto w oczy.

- Myślisz, że trafiłeś na głupiego, detektywie? - syknął.

Faz z radością odpowiedziałby na to pytanie, postanowił jednak nie ryzykować.

- Jechałem do mieszkania Eduarda Lopeza, zauważyłem go na ulicy i pojechałem za nim.

- Naprawdę? To śledzicie już wszystkich Meksykanów? To się chyba nazywa rasowe prześladowanie, detektywie. I chyba jest niezgodne z prawem. Będę musiał sprowadzić mojego adwokata.

Faz nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Wiedział tylko, że nie może się przyznać, że widział Francisca w bloku Eduarda Lopeza.

- Widziałem go na przyjęciu w twoim domu.

To chyba trochę zaskoczyło Małego Jimmy'ego. Mimo to uśmiechnął się, jak kot przed zjedzeniem myszy.

- I go zapamiętałeś? Przecież wy, gringos, uważacie, że wszyscy Meksykane wyglądają tak samo. - Uśmiech zniknął z jego twarzy. Kłamiesz jak najęty. Francisca nie było na moich urodzinach. Był wtedy w domu z żoną i dziećmi.

- To musiałem się pomylić. Bo wszyscy wyglądacie tak samo.

Jimmy wyjął coś z kieszeni. Telefon komórkowy, ale jakiś inny, nie Faza.

- Nie wiedziałem, do kogo Francisco esemesował, ale pomyślałem, że to mogłeś być ty. Sprawdziłem twój telefon i okazało się, że jednak nie do ciebie. Więc do kogo, cabrón? Co? Do kogo pisał?

- Może ma romans - odparł Faz. - I nie chciał, żeby żona się dowiedziała.

Jimmy zrobił krok do tyłu, sięgnął do paska i wyciągnął rewolwer, srebrzystą spluwę wielkości małej armaty.

- Podnieście go - rzucił do swoich kompanów, wskazując im, że mają unieść Francisca z podłogi.

Faz pomyślał, że to już koniec. Umrze na zapleczu magazynu, a jego ciało z ciężarami przytroczonymi do nóg zostanie wrzucone do jakiegoś zbiornika wodnego. Vera nigdy się nie dowie, co się z nim stało. Kurwa, czy ona w ogóle zdecyduje się na tę operację piersi, jeśli on umrze? Faz nie był pewien, czy w odwrotnej sytuacji chciałby dalej żyć bez niej.

Hector i ten drugi chwycili Francisca pod pachy i unieśli na tyle, że znalazł się w takiej pozycji, jakby klęczał. Głowa bezwładnie opadła mu na piersi.

Jimmy przytknął lufę swojej armaty do potylicy Francisca.

- Spytałem jeszcze raz, detektywie. Odpowiesz dowcipem albo powiesz "Nie wiem", a rozwalę mu łeb. I będziesz miał na sumieniu jego śmierć, tak jak śmierć mojego ojca. Więc jeszcze raz cię spytałem, a jak nie odpowiesz, to go zabiję. Potem zabiję ciebie, przepuszczę przez maszynkę i rzucę świniom na pożarcie.

Mały Jimmy cofnął się, wprowadził pocisk do komory naboju srebrnego rewolweru i ponownie przytknął lufę do głowy Francisca.

- Pytam ostatni raz, cabrón, do kogo on pisał?

Rozdział 53

W parku panowała kojąca cisza, co Tracy przypominało Góry Kaskadowe z czasów jej dzieciństwa, gdy w weekendowe poranki chodziła na długie spacery. Ojciec jej mówił, że sklepione korony drzew ludzie nazywają boskimi katedrami. Doskonale to rozumiała. Kiedy poranne słońce przeświecało przez splątane konary, strugi światła wyglądały jak spływające z nieba anioły. Ale dziś tak nie było. Dziś resztki światła dziennego barwiły park szarością. Tu nie mogło być mowy o żadnych aniołach, bo to miejsce już na zawsze było skażone złem.

Tracy ruszyła tą samą drogą, którą szły z Pryor pierwszego wieczoru, tyle że tym razem nie prowadziła jej migająca plamka niebieskiego światła i nie gnębiło jej przecucie, że lada chwila natknie się na coś strasznego. Dziś знаła drogę i wiedziała, co ją czeka, a gnębiły ją wyrzuty sumienia, że wcześniej na to nie wpadła. Do późnego wieczoru w poniedziałek Pranava i Sama oraz dziadków nie było w domu. Byli w nim tylko Himani i Nikhil.

Na pierwszym rozwidleniu Tracy poszła w prawo, trzymając się zewnętrznej pętli traktu. Słysząc było skrzeczenie żab ryczących, jakby się wzajemnie ostrzegały przed intruzem. Przy ścieżce wiodącej do wyrwy w ziemi zwolniła kroku, choć wyrwa została już zasypana przez strażników parkowych. Trakt prowadził lekko pod górę. Tracy dotarła do wierzchołka wzniesienia i spojrzała na postać stojącą w miejscu, które do niedawna było głębokim dołem.

Himani Mukherjee stała nieruchomo, niczym posąg nad grobem w jednej z boskich katedr.

Czując obecność Tracy, a może się jej spodziewając, uniosła wzrok i popatrzyła na nią, ale tylko na moment, bo zaraz pochyliła głowę, znów wbijając spojrzenie w grób córki.

Tracy zamierzała powiedzieć wiele rzeczy, ale teraz, gdy znalazła się tutaj, nagle straciła ochotę, by cokolwiek mówić. Podeszła do krawędzi zasypanego dołu i w milczeniu stanęła obok Himani. Minęła niemal minuta, nim kobieta wreszcie się odezwała.

- Nie oczekuję, pani detektyw, że pani to zrozumie. - Jej szept był ledwie słyszalny w szumie lasu.

Tu Himani się nie myliła. Tracy rzeczywiście tego nie rozumiała.

- Więc niech pani spróbuje mi to wytłumaczyć - powiedziała.

Himani smutno się uśmiechnęła.

- I co by to dało? - szepnęła.

- Zamknęłoby sprawę - odparła Tracy. - Bo po to tutaj jesteśmy, prawda? Chcemy to zamknąć. Był jakiś powód?

- Było ich wiele. - W głosie Himani znów pojawiła się nuta rozgoryczenia, którą Tracy dosłyszała podczas swojej pierwszej wizyty w domu Mukherjee. Himani westchnęła tak boleśnie, że powietrze aż zawibrowało jej w piersiach, ale nie wybuchła płaczem. - Miałam wiele powodów, by czuć żal do Kavity - powiedziała cicho, jakby do siebie.

Tracy czekała w milczeniu.

- Nie szanowała rodziny. Nie szanowała siebie. Narobiła nam wstydu przed krewnymi i przyjaciółmi. Początkowo stwierdziliśmy z mężem, że najlepiej będzie spokojnie poczekać, aż nabierze rozumu. Sądziliśmy, że z czasem sama do nas wróci i poprosi, by znaleźć jej odpowiedniego męża. A jeśli nawet nie, to liczyliśmy, że wróci z bardziej praktycznych względów.

- Bo zabraknie jej pieniędzy - domyśliła się Tracy. - Ale ona ani nie wróciła, ani nie zabrakło jej pieniędzy i wtedy zaczęła się pani zastanawiać dlaczego.

- Nawet kiedy Aditi wróciła z Indii jako mężatka, Kavita wciąż trwała przy swoim. A wręcz zrobiła się jeszcze bardziej zawzięta.

- Kavita i pani byłyście pod tym względem bardzo do siebie podobne - zauważyła Tracy.

Himani spojrzała na nią tak samo nienawistnie, jak patrzyła na Sama, gdy ten się przyznał, że on i siostra pisali do siebie esemesy.

- Nie rozumie pani. Nie ma pani pojęcia, co człowiek czuje, dowiadując się, że jego córka jest kurwą. Wiem wszystko o schadzках w hotelu, pani detektyw, i o tym mężczyźnie, z którym się tam spotykała. Wiem, dlaczego nie zabrakło jej pieniędzy i dlaczego nie musiała wracać do domu. - Odwróciła głowę i wlepiła wzrok w Tracy, której znów przyszło do głowy słowo "zawziętość". Ton Himani stwardniał. Nie musiała pani słuchać rodziców Aditi, jak pieją z zachwytem nad Rasheshem, jego rodziną, ich pieniędzmi i pięknym domem w Londynie, w którym młodzi zamieszkają, i wnukami, które wkrótce przyjdą na świat. - Potrząsnęła głową, a złość coraz wyraźniej przebijała się w jej głosie. - Nie rozumie pani naszego upokorzenia. - Ostatnie słowa wydusiła przez zaciśnięte zęby, po czym przymknęła oczy, rozdęła nozdrza i zaczęła głośno dyszeć. A potem machnęła lekceważąco ręką, jakby szkoda jej było słów. - Nic pani nie rozumie. My żyjemy inaczej niż wy.

- Kiedy się pani zorientowała, że może śledzić Kavitę za pomocą telefonu Sama?

Tracy nie wierzyła, by Himani sama do tego doszła. Musiał ją nauczyć tego ktoś młodszy, ktoś lepiej obeznany z nowoczesną techniką. Nikhil.

Himani lekko wzruszyła ramionami.

- Sprawdzalam esemesy Sama od chwili, kiedy kupilismy mu telefon. Nauczylam sie tez sledzic jego telefon, zeby wiedziec, dokad syn chodzi. Sledzenie telefonu Vity nie bylo trudne.

- Czyli przeczytala pani wiadomosc, ktora Sam wyslal jej w poniedzialek wieczorem.

- I odpowiedz Kavity - potwierdzila. - To byl jeden z jej wielu esemesow, jakie zawsze wyslala w poniedzialki wieczorem.

To potwierdzalo przypuszczenia Tracy, ze matka Kavity wiedziala o tych poniedzialkowych schadzках. Himani na dluzsza chwile zamilkla i Tracy pomyslala juz, ze kobieta nic wiecej nie powie, ona jednak znow sie odezwala:

- Wyslalam z domu Dasguptow. Urzadzili przyjecie dla przyjaciol, ktorzy nie mogli byc na weselu Aditi w Indiach. Kavita nie przyszla na nie, co zreszta mnie nie zaskoczylo. Znnow musialam wysluchiwac, jak sie zachwycaja Aditi i swoim nowym zięciem. Pranava tez nie bylo, bo wyjechal sluzbowo, wiec nie musial tego sluchac. - Uniosla rece, rozczapierzyla palce, wsunela je we wlosy i przycisnela do czaszki, jakby przytrzymujac ja, zeby nie pekla. - Ich glasy kaleczyly mi uszy jak odlamki szkla i kiedy wrócilam do domu, glowe rozsadzal mi bol. Westchnela glęboko. - Usiadlam przy komputerze, sciagnelam aplikacje i zobaczylam esemesy Sama i Kavity. - Spojrzala na Tracy. - Nawet w dniu, gdy dowiedziala sie o slubie Aditi, nie zmienila swojego postepowania. Nadal chciala nas upokarzac. Zupełnie jakby wiercenie nozem w naszych ranach sprawialo jej przyjemnosc.

- Zamierzala zerwac te znajomosc - powiedziala Tracy. - Oswiadczyła temu mężczyźnie, ze z nimi koniec. Chciala ruszyc do przodu, zaczac studia medyczne.

Himani wydawala sie lekko zaskoczona, ale trwało to tylko moment.

- To by nie zmienilo tego, kim sie stala - odparla. - Nie zmieniloby faktu, ze sie zhanbila i ze zaden szanujacy sie mężczyzna juz by jej nie zechcial.

Tracy popatrzyła na świeżo przekopaną ziemię, leżące na niej połamane gałazki i pogniecione liście. A potem znów przeniosła wzrok na Himani, czekając, czy kobieta coś jeszcze powie. Aż wreszcie, po dłuższej chwili, Tracy spytała:

- Czy wyslala pani Nikhila do hotelu, zeby zabil siostrę?

Rozdział 54

Kins kazał Samowi zostać na zewnątrz, po czym wszedł do środka. Światła były pogaszone, w domu panowała cisza. Wyjął z kabury glocka i zrobił parę kroków, trzymając go przy udzie.

- Nikhil! - zawołał. - Tu detektyw Kinsington Rowe z policji Seattle. Chcę z tobą porozmawiać.

Cisza.

- Nikhil? - Kins przeszedł z przedpokoju do salonu. Siedzący na kanapie dziadkowie popatrzyli na niego z niemym przerażeniem. Gdzie jest Nikhil?

Dziadek przeniósł wzrok na kuchnię, ale nie wypowiedział ani słowa.

Kins i Tracy w drodze z lotniska omówili możliwe scenariusze i zgodnie uznali, że Himani nie mogłaby sama przenieść ciała Kavity i wrzucić go do dołu. Czyli albo zabiła córkę i skorzystała z pomocy Nikhila w przeniesieniu ciała, albo to Nikhil zabił siostrę.

Kins przeciął przedpokój i jadalnię, podszedł do drzwi kuchni i zajrzał do środka. Nikhil siedział przy stole. Światło było zgaszone, ale w półmroku Kins dojrzał duży nóż kuchenny, którego czubek dotykał gardła mężczyzny.

Chwilę trwało, nim Kins zdołał opanować nerwy.

- Odłóż ten nóż - powiedział cicho.

Nikhil spojrzał na Kinsa, ale się nie odezwał.

Kins ostrożnie wsunął się do kuchni, panicznie szukając w myślach odpowiednich słów. Przyszli mu do głowy jego trzej synowie i łączące ich serdeczne relacje.

- Pod domem stoi twój brat - powiedział. - W pokoju siedzą dziadkowie. Chyba nie chcesz, żeby cię takiego zobaczyli.

- Sam mnie nienawidzi - prychnął niemal szeptem Nikhil.

- Nieprawda - odparł Kins. - Sam wcale cię nie nienawidzi.

Czubek noża podrygiwał na gardle Nikhila przy każdym jego przełknięciu śliny i wypowiedzianym słowie.

- Sam kochał Vitę.

- Tak, to prawda. Ale ty jesteś jego jedynym bratem. Stracił już siostrę, nie pozwól, by stracił też brata.

- Jemu jest obojętne, co się ze mną stanie.

Kins nadal trzymał broń przy udzie i stał w bezpiecznej odległości od stołu.

- Nie jest mu to obojętne. Bez względu na to, co się stało, zawsze będziesz jego starszym bratem. Nie rób mu tego. Nie rób tego swoim rodzicom i dziadkom. Odłóż ten nóż.

Młody mężczyzna nie reagował.

- Powiedz, Nikhil, czego ty chcesz. - Kins starał się nakłonić go do rozmowy.

- Czego ja chcę?

- Tak, powiedz mi: Czego ty chcesz?

- Dlaczego ona taka była? - jęknął Nikhil i po policzkach spłynęły mu łzy. - Dlaczego nie mogła wrócić do domu i wyjść za męża? To byłoby takie złe?

- Nie wiem.

- Wie pan, co ona zrobiła? Zhańbiła nas wszystkich.

- Może i tak, ale zabijając się, niczego już nie zmienisz, a tylko pogorszysz sprawę. Twój brat stracił siostrę, twoi rodzice córkę. Nie każ im tracić także brata i syna.

- Baba by wolał, żebym nie żył.

- To nieprawda. Cokolwiek zrobiłeś, on zawsze będzie twoim ojcem. A wiesz, skąd to wiem?

Nikhil spojrział na Kinsa i w jego wzroku pojawiło się coś w rodzaju błysku nadziei. Jakby odpowiedź na to pytanie miała go upewnić, że ojciec zawsze będzie go kochał.

- Bo sam mam trzech synów. I zawsze będą moimi synami, bez względu na to, co by zrobili i jak złe by to było. Zawsze będę ich ojcem, a oni zawsze będą moimi synami.

- Musi pan być dobrym ojcem, detektywie.

- Podobnie jak twój ojciec. Będzie chciał ci pomóc, Nikhil. Nie krzywdź go tak strasznie. Nie każ mu chować do ziemi dwojga swoich dzieci. Odłóż ten nóż, synu. Usiądźmy i spokojnie porozmawiajmy.

- O czym tu rozmawiać?

- Porozmawiajmy o tym, co się wydarzyło i dlaczego. Nie chcesz mi wyjaśnić dlaczego?

- Sam nie wiem dlaczego. Po prostu tak się stało.

- Są ludzie, z którymi możesz to omówić, a oni ci pomogą zrozumieć dlaczego. Jestem pewny, że byłeś bardzo przejęty tym, co się dzieje. Wiem, że siostra doprowadziła cię do rozpacz. Jestem przekonany, że nie myślałeś całkiem trzeźwo. - Kins dostrzegł cieniutką czerwoną kreskę na szyi Nikhila, a chwilę potem wypływającą z niej strużkę krwi. - Pozwól sobie pomóc, Nikhil. Znam ludzi, którzy ci pomogą. Pomogą ci zrozumieć to wszystko, co się wydarzyło.

- Ja rozumiem, co się wydarzyło. I wiem, co zrobiłem.

- Nikhil?

Kins odwrócił głowę, słysząc głos Sama. Chłopiec stał w drzwiach do kuchni.

- Nie wchodź tu, Sam - rzucił pospiesznie Kins.

- Co ty robisz?

- Sam, wyjdź stąd - powiedział Nikhil.

Sam wszedł do kuchni.

- Co ty robisz? Odłóż ten nóż.

- Wyjdź - niemal krzyknął Nikhil.

- Sam, nie ruszaj się - poprosił Kins, a potem dodał wolniej i dobitniej: - Stój tam, gdzie stoisz. Wszyscy niech głęboko odetchną i zachowają spokój.

- Niech on stąd wyjdzie - rzucił chrapliwym szeptem Nikhil.

Sam zrobił krok do przodu.

- Odłóż nóż - powiedział. - Skaleczyłeś się. Krwawisz.

- Niech pan go stąd zabierze.

- Sam, twój brat chce, żebyś stąd wyszedł.

- Odłóż ten nóż, Nikhil.

- Ty nie wiesz, co zrobiłem, Sam. Nie masz pojęcia.

- Odłóż ten nóż.

- Tak mi przykro, Sam - powiedział Nikhil. - Tak strasznie mi przykro.

Rozdział 55

Faz nie współczuł członkowi gangu i zapewne dilerowi narkotyków, ale nie chciał też być winien jego śmierci. Wiedział także - bo Mały Jimmy był na tyle głupi, że sam mu o tym powiedział - że Francisco do kogoś esemesował i tym kimś musiała być Gonzalez. Jeśli tak, to im dłużej będzie zwlekał, tym większe będą ich szanse na przeżycie. Mężczyźni mówili coś gorączkowo do Małego Jimmy'ego - wprawdzie po hiszpańsku, ale nie trzeba było być geniuszem, aby się domyślić, że namawiają go do szybkiej ucieczki. Jednak Jimmy'ego zaślepiła nienawiść do Faza.

Pokonując nieznośny ból, Faz lekko się uniósł.

- Wiesz, co ci powiem, Jimmy? - rzucił. - Tak naprawdę to nawet lubiłem twojego starego.

Mały Jimmy odwrócił się do niego twarzą, jakby czekał na pointę. Lufa jego rewolweru była nadal przytknięta do skroni Francisca.

- Nie pasowało mi to, co robił, ale miał właściwie ustawione priorytety. Opiekował się rodziną i swoją społecznością. W innych okolicznościach mógłby zostać politykiem, i to dobrym - dodał z uśmiechem Faz.

Jimmy wydawał się zaskoczony i nieco zbity z tropu. Można było tylko mieć nadzieję, że to go jeszcze bardziej nie zezłości.

Stojący w głębi mężczyzna zamachał rękami i z jeszcze większym wzburzeniem wykrzyknął:

- ¡Tenemos que irnos ahora, Jimmy! ¡Todavía tenemos tiempo!

- A wiesz dlaczego? Chcesz wiedzieć, dlaczego go zabili? - ciągnął Faz, usiłując przykuć uwagę Małego Jimmy'ego. - Zabili go, bo wiedzieli, że jest człowiekiem niezależnym, który wie, czego chce. I że dba o swoich ludzi. Nikt nie mógł mu mówić, co ma robić. Nawet ci z kartelu. I dlatego musieli go zabić. I wiesz, co jeszcze? Nigdy nie pozwalał, żeby osobiste emocje wpływały na jego decyzje. Dlatego był dobrym biznesmenem. A jak to jest z tobą? Co by twój ojciec pomyślał o tobie? Co by Duży Jimmy pomyślał o tym, co teraz wyczyniasz?

Mały Jimmy nie odpowiedział, ale Faz był pewien, że go słucha. Czym innym było stwierdzenie, że kartel go olewa, a czym innym, że nie szanowałby go jego własny ojciec.

- Może nie ja założę ci kajdanki, ale spróbuj mnie zabić, a wtedy przeze mnie wezmą cię za dupę. Urządzą na ciebie obławę, Jimmy. Sam wiesz, że tak będzie. Bo pozwalasz, by emocje tobą rządziły i podejmowały za ciebie decyzje. Myślisz, że mój partner kiedykolwiek ci to odpuści? Jest

Sycylińczykiem. Zabij mnie, a pomszczenie mojej śmierci stanie się dla niego sensem życia. Nie będziesz się mógł spokojnie wysrać, bo on już tam będzie, żeby podtrzeć ci tyłek. Zdaje ci się, że wrócisz do Meksyku i będziesz tam żył jak król? To pomyśl. Jak się zachowają twoi tamtejsi kumple, kiedy się dowiedzą, że przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, przez siedem dni w tygodniu, śledzi cię detektyw, bo zabiłeś gliniarza? Staniesz się dla nich kulą u nogi. A wiesz, co oni robią z takimi... - Faz uśmiechnął się. - Więc jeśli nawet Del cię nie dopadnie... - potoczył wzrokiem po obecnych - to zrobią to twoi kumple. Chcesz mnie rzucić na pożarcie świniom? Te świny nawet mnie nie powąchają po tym, jak pożrą ciebie całego.

Jimmy skierował lufę rewolweru na Faza, ale ten już wiedział, że zasiał w nim ziarno wątpliwości. Inni też zaczęli się obawiać konsekwencji, jakie może wywołać zabicie gliniarza.

- Jimmy, nie - burknął Hector.

- Zamknij się.

- Trzeba stąd wiać. I to zaraz.

Do pomieszczenia wszedł ktoś nowy i zaczął szybko mówić coś po hiszpańsku. Faz nie rozumiał słów, ale z jego tonu można się było domyślić, że to coś pilnego, że coś się dzieje. Inni też zaczęli poganiać Jimmy'ego, Hector złapał go za ramię.

Jimmy patrzył na Faza, Hector nie przestawał go ciągnąć do wyjścia; facet przy drzwiach wykrzyknął imię Jimmy'ego. Cokolwiek się działo, przybierało coraz groźniejszy wymiar.

Jimmy odchrząknął, zaklął, po czym odwrócił się i wyszedł.

Faz wolno wypuścił powietrze. Nie był to jeszcze moment na świętowanie zwycięstwa. Przeniósł wzrok na Francisca.

- Hej, ty tam. Jesteś przytomny? Słyszysz mnie?

Francisco wolno obrócił ku niemu głowę.

- Zrozumiałeś, co powiedział ten gość przy drzwiach?

- Przyjechały ciężarówki - powiedział szeptem Francisco. - Ładują towar do wysyłki. Muszą szybko stąd wyjechać. - Głowa znów opadła mu na piersi.

- Do kogo esemesowałeś? - spytał Faz. - Hej, do kogo pisałeś?

Przez chwilę słychać było, jak na zewnątrz mężczyźni wrzeszczą coś po hiszpańsku i angielsku, a potem wszystko utonęło w łoskocie wirnika

helikoptera. Przez okno w kancorze wpadł snop oślepiającego światła i na przeciwległej ścianie zatańczyły cienie rzucane przez listewki żaluzji.

Rozdział 56

Himani poderwała głowę, ale wzrok nadal wbijała w ziemię.

- Nikhil nie miał z tym nic wspólnego - burknęła.

- To powiedz mi, co zrobiłaś - rzuciła Tracy.

Nie wierzyła tej kobiecie, ale chciała usłyszeć jej wersję wydarzeń.

- Nie pamiętam, co zrobiłam, pani detektyw. Pamiętam tylko, że Vita upadła i przestała się ruszać. - Himani sięgnęła ręką do głowy. Miała krew na głowie w miejscu, gdzie ją uderzyła. Pamiętam krew na kamieniu i na moich rękach. Wyrzuciłam kamień w krzaki. Machnęła obojętnie ręką.

- I co zrobiłaś potem?

- Chciałam wybiec z parku na ulicę i wezwać pomoc, ale...

Tracy była pewna, że kłamie. Nie działała sama. Był z nią Nikhil.

- Jak przeniosłaś jej ciało? - spytała.

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem jak. Po prostu przeniosłam.

Tracy nie miała wątpliwości, że Himani wiedziała o istnieniu starej studni, na którą mogła się natknąć podczas spacerów po parku. Ale zupełnie nie wierzyła w to, że kobieta zdołałaby sama przenieść ciało córki. Bardziej prawdopodobne było, że wysłała Nikhila, aby sprowadził siostrę do domu, i że powiedziała mu o jej hańbie. Pojechał za Kavita z hotelu do parku i tam ją zabił. Potem w panice pobiegł do matki i wyznał jej, co zrobił, a ona zmyśliła całą opowieść, by ratować syna. Wciąż nie było jasne, dlaczego Kavita pojechała do parku, ale tego mogli się już nigdy nie dowiedzieć. Kaylee Wright sprawdzi, czy któryś z odcisków stóp w pobliżu dołu pasuje do butów Nikhila lub jego matki.

- Nie sądziłam, że ją znajdziecie - dodała Himani. - Ale kiedy przyszła pani do nas i powiedziała, że namierzyliscie jej telefon, wiedziałam, że to już tylko kwestia czasu.

- Czy ty lub Nikhil zabraliscie jej telefon na kartę? - spytała Tracy.

Himani popatrzyła na nią.

- Straciłam córkę, pani detektyw. Nie stracę też syna.

Może nie, pomyślała Tracy, ale to się dopiero okaże.

- Nie możesz go wybronić.

- Zobaczymy. - Himani znowu wzruszyła ramionami.

Niech ci będzie.

- Odwróć się - powiedziała Tracy, odczepiając od pasa kajdanki. Muszę cię skuć. A potem odczytam ci twoje prawa.

- Widzi pani, miałam rację.

- Naprawdę? A w czym?

- Że pani tego nie rozumie. Nie rozumie pani, bo nie jest pani matką.

- Jeszcze nie. Ale na pewno nie będę taką matką jak ty.

Rozdział 57

Kins już miał się rzucić, by odebrać Nikhilowi nóż, gdy Sam z naciskiem powtórzył:

- Odłóż ten nóż, Nikhil. Proszę!

Po twarzy jego starszego brata płynęły łzy. Kins obserwował nóż, pilnując, by Nikhil nie pokaleczył się bardziej, ale jego ręka opadła, jakby trzymał w niej ciężar i nie mógł już dłużej go unosić. Nóż z brzękiem spadł na stół i zsunął się na podłogę.

Sam podszedł do brata. Kins zrobił krok do przodu i kopnął nóż dalej. Nie wiedział, czy łzy płyną Nikhilowi z powodu tego, co zrobił, czy dlatego, że został złapany. Bo to nie to samo. Ale tak czy owak, miał pewność, że Kelly Rosa się nie myliła: zabójstwo zostało popełnione w ataku furii. Czekał, pozwalając braciom trwać w uścisku. Bo przecież nieprędko - jeśli w ogóle - będą mieli okazję to powtórzyć.

Rozdział 58

Faz patrzył, jak uzbrojeni po zęby antyterrorysty w kevlarowych kamizelkach wpadają do budynku i przetrząsają kolejne pomieszczenia.

- Tutaj! - zawołał.

Wbiegli do środka i poruszając się z wyćwiczoną precyzją, upewnili się, że jest tu czysto, a dopiero potem zbliżyli się do miejsca, gdzie leżał Francisco i siedział przykuty do rury Faz.

- Jest w złym stanie - rzucił Faz. - Zajmijcie się najpierw nim.

- Pan jest detektyw Fazzino?

- Tak.

Do magazynu wpadł Del, dojrzał partnera i choć wydał z siebie westchnienie ulgi, na jego twarzy odmalował się taki sam wyraz grozy, jaki miał, wychodząc z windy w bloku Eduarda Lopeza. Szybkim krokiem podszedł do Faza.

- Pomoc już jedzie - powiedział.

Chyba pierwszy raz w życiu Fazowi zabrakło słów, więc tylko w milczeniu skinął głową. Dopiero po chwili zdołał wydobyć z siebie głos.

- Nie mów Verze, że mnie tak stłukli. Nie powinna się teraz martwić.

- Nie sądzę, żeby dało się to ukryć.

- Źle to wygląda, co?

- Źle.

- Del, nie chcę, żeby mnie widziała. Nie w takim stanie.

- Znasz Verę. Tabunem koni jej nie odciągniesz.

- No to mnie trochę oporządź. Niech mnie przynajmniej umyją.

- Zajmiemy się tobą, Faz. Pogotowie już jedzie.

- Jak mnie znalazłeś?

- Za długo by teraz mówić. - Del objął go ramieniem i lekko uściśnął. - Hej, pamiętasz, jak zawsze powtarzałeś, że z taką twarzą możesz się podobać tylko rodzonej matce? No więc nie jestem pewny, czy teraz spodobałbyś się nawet jej.

Faz się uśmiechnął.

- Nie rozśmieszaj mnie, bo za bardzo mnie wszystko boli.

* * *

Sanitariusze wynieśli Faza na noszach. Teren wokół budynku wyglądał jak pobojowisko. Mały Jimmy i jego ludzie leżeli na chodniku, z rękami skutymi na plecach, twarzami do ziemi. Pilnowała ich grupa funkcjonariuszy w bojowym rynsztunku i mundurach polowych. W górze unosił się helikopter, wydając z siebie ogłuszający łoskot wirnika i oświetlając wiązką światła teren magazynu. Umundurowani ludzie stali też pod siatkowym ogrodzeniem i chyba czekali na rozkaz wejścia do budynków magazynowych. Pewnie brakowało im jeszcze oficjalnego nakazu przeszukania.

W chwili gdy sanitariusze mijali leżących, Mały Jimmy lekko uniósł głowę i spojrzał na Faza. Ten uśmiechnął się, uniósł rękę i wystawiwszy palec wskazujący, ułożył dłoń w kształt pistoletu i niby to pociągnął za spust. Rękę szarpnął mu udawany odrzut.

Mały Jimmy odwrócił wzrok.

Sanitariusze wsunęli nosze do karetki. Del stał na zewnątrz, rozmawiając z kimś przez telefon. Popatrzył na partnera i bezgłośnie powiedział "Vera", a Faz kiwnął głową. Del przytknął mu komórkę do ucha, podczas gdy sanitariusz wsunął mu na ramię rękaw do mierzenia ciśnienia i zaczął go pompować.

- Cześć, Vera. - Faz starał się mówić pogodnym, rześkim tonem.

- Vic, wszystko w porządku?

- Tak, tak, w porządku. Mam parę siniaków i skaleczeń, ale już się mną zajmują. Nic się nie martw.

Vera zaczęła płakać.

- Poważnie, kochanie, wszystko ze mną okej.

Ale nie tak łatwo było ją oszukać.

- Przyjadę do szpitala - rzuciła. - Niech Del do mnie zadzwoni, jak będziecie dojeżdżać.

- Tak, dobrze. Poproszę go. I Vera...

- Tak?

- Chcę, żebyś wiedziała, że cię kocham. Wiem, że wiesz, ale chcę, żebyś słyszała, jak to mówię. I chociaż powiedziałaś mi, że bym nie przeproszał, to przeproszam, że częściej ci tego nie mówiłem. Zaslugujesz na to, żeby słyszeć to częściej. Codziennie. I od teraz będę ci to mówił każdego ranka.

- Ja też cię kocham - wydusiła przez łyzy.

Faz kiwnął głową i Del zabrał telefon.

- Chce przyjechać do szpitala. Może zadzwoń do niej i trochę ją przygotuj - poprosił Faz.

- Taaa, też tak pomyślałem - mruknął Del, po czym zerknął w prawo, gdzie wśród grupki ludzi w policyjnych kurtkach stała Andrea Gonzalez. - Poproszę ją, żeby wyjaśniła nam obu całą sprawę. Bo na razie znam tylko skróconą wersję.

- Jak mnie tu znalazłeś? - spytał Faz.

- Namierzyliśmy twój telefon i uzyskaliśmy ostatnie znane koordynaty. Początkowo myślałem, że może pojechałeś do mieszkania Eduarda Lopeza. Zanim tu dotarłem, SWAT już był kawałek stąd i szykował się do akcji. Podobno dostali wiadomość, gdzie jesteś.

- Witam panów detektywów - usłyszeli głos Gonzalez. Podeszła do drzwi karetki i zajrzała do środka. - Faz, jak się czujesz?

- Jakby ktoś mnie wrzucił do bębna pralki przemysłowej, razem z workiem kamieni.

- Jesteś w stanie odpowiedzieć na kilka pytań?

- Pod warunkiem że ty też - odparł Faz. - Bo powinnaś wyjaśnić nam to i owo.

Gonzalez się uśmiechnęła.

- Umowa stoi. Jak się tu znalazłeś?

Faz pokrótce opowiedział, że najpierw śledził ją, a potem Francisca, za którym dotarł do magazynu.

- Masz szczęście, że cię nie zatłukli.

- Bo ich zagadałem. Dałem im do zrozumienia, że wiem więcej, niż wiedziałem naprawdę. Domyśliłem się, że rozprawdzają narkotyki, i wmówiłem im, że kimkolwiek są ich dostawcy, nie ucieszą się z szumu, jaki będzie towarzyszył śmierci gliniarza. Ostrzegłem ich również, że Del urządzi im prawdziwe piekło.

- Sprytnie. Mogę cię zapewnić, że kartelu nie ucieszy utrata takiej masy towaru.

- No to kim ty jesteś? - spytał Faz.

- Jestem funkcjonariuszką Organized Crime Drug Enforcement Task Forces i kieruję pracą zespołu, który już od ponad trzech lat rozpracowuje tę linię przerzutową. To największy dostawca heroiny i metamfetaminy na

całym Zachodnim Wybrzeżu. Podobne zespoły pracują we wszystkich dużych miastach, między innymi w Vancouver w Kolumbii Brytyjskiej.

- A ten gość, za którym tu przyjechałem... ten, z którym się spotkałaś na festynie, to twój informator?

- Francisco Mercado. To członek Sureno zwerbowany na informatora. Półtora roku temu urodziło mu się drugie dziecko, chłopczyk. Nakryliśmy go na handlu heroiną tuż przed narodzinami dziecka. Z uwagi na ilość znalezionej przy nim towaru oraz to, że była to jego trzecia wpadka, groziło mu dożywocie.

- I wybrał współpracę - wtrącił Del.

Gonzalez się uśmiechnęła.

- "Wybrał" to za dużo powiedziane. Nie miał wielkiego wyboru. Mercado stał się dla nas kimś, kogo potrzebowaliśmy, by przeniknąć do środka organizacji i zdobyć szczegóły dostaw i dystrybucji towaru.

- I dlatego cię tu przenieśli?

Kiwnęła głową.

- Wreszcie mieliśmy prawdziwego informatora.

- I ty go prowadziłaś - dorzucił Faz.

- A nasze śledztwo w sprawie śmierci Monique Rodgers zaczęło ci przeszkadzać - domyślił się Del.

- Potrzebowaliśmy jeszcze trochę czasu, żeby wszystko dograć. Ale po śmierci Rodgers trzeba było przyspieszyć całą akcję.

- A ten Eduardo Lopez? Po co Mercado był wtedy u niego?

- Mercado dał nam cynk, że Mały Jimmy wystawił na was zlecenie za pięćdziesiąt tysięcy. Nie mógł wam darować, że przyszliście do niego i zepsuliście mu urodzinową imprezę.

- Kurczę, a ja myślałem, że tak grzecznie się zachowujemy - powiedział Del.

- Po prostu niektórzy nie umieją nas docenić - rzucił Faz.

- Kiedy się dowiedziałam, że zidentyfikowaliście odcisk dłoni Lopeza i jedziecie z nim pogadać - mówiła dalej Gonzalez - wysłałam do niego Mercada, żeby sprawdził, czy Lopez jest w domu. Bo mogło się okazać, że Lopez będzie chciał sam zarobić te pięćdziesiąt kawałków.

- Dlaczego Lopez znalazł się w sąsiednim mieszkaniu? - zapytał Faz.

- Tego nie wiem. Może myślał, że Mercado jedzie do niego, żeby go załatwić. Bo już się rozeszło, że macie odcisk dłoni zabójcy Rodgers i szykujecie się, by go aresztować. Mercado mi powiedział, że słyszał o tym na ulicy. Lopez mieszkał w miejscu, skąd miał widok na magazyn z towarami bandy Małego Jimmy'ego. Z tego, co udało mi się ustalić, Lopez zauważył, jak Mercado podjeżdża na parking pod blokiem, i doszedł do wniosku, że przyjechał go zabić.

- I dlatego ukrył się w mieszkaniu sąsiadki - dopowiedział Faz.

- Tak. Lopez nie otworzył, więc Mercado uznał, że go nie ma w domu i walenie do drzwi nic nie da. Właśnie taką wiadomość mi wysłał tuż przed naszym przyjazdem na miejsce. Mercado nie wiedział, że Lopez schował się w sąsiednim mieszkaniu. Ja oczywiście też nie.

- Więc gdy Lopez wyszedł na korytarz, uznałaś, że chce mnie zastrzelić, tak? - spytał Faz.

- Dojrzałam coś srebrzystego w jego dłoni i pomyślałam, że to spluwa. Sprzątnięcie go bardzo mi nie pasowało, i to z różnych względów. Kiedy okazało się, że Lopez trzymał telefon, nie ucieszyło mnie to. Wolałabym dopaść go żywego.

- A czemu śledczym z WKD powiedziałaś, że to ja krzyknęłam "Broń"?

- Chciałam się ciebie pozbyć do czasu, aż zwiniemy Małego Jimmy'ego. Nie sądziłam, że z ciebie taki zawzięty sukinyś.

Faz podrapał się z tyłu głowy i wyczuł pod palcami zakrzepłą krew. Rzadko się zdarzało, by wraz z Delem nie dochodzili do prawdy, ale tym razem dali się kompletnie zwieść.

- Pewnie jestem ci winien podziękowanie i przeprosiny - powiedział.

- Podziękuj Mercadowi. To on wysłał mi wiadomość, że tu jesteś.

- Co z nim teraz będzie?

- Zostanie aresztowany i przejdzie całą procedurę karną, tak jakby miał pójść siedzieć z resztą bandy.

- Mały Jimmy widział zdjęcia, które ci zrobiłem, kiedy rozmawiałaś z Mercadem. To może oznaczać, że jest już spalony.

Zastanowiła się przez chwilę.

- No to obejmujemy go programem ochrony świadków i z całą swoją rodziną będzie mógł zniknąć. Jeśli znów się w coś nie wplączę, to damy mu spokój. Ma teraz dwójkę dzieci, więc może pójdzie po rozum do głowy. Mogę cię o coś spytać? Ty zawsze jesteś taki upierdliwy?

- Uparty - skorygował Del. - To przez jego włoską krew.

Gonzalez pokręciła głową.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało - powiedziała.

- Nie zaczynaj przeproszać - mruknął Faz, przypominając sobie Verę. - Jakby już było po mnie.

- Kto jeszcze wiedział, że działasz w ramach tej grupy zadaniowej? - spytał Del.

- Wasz zastępca szefa operacji kryminalnych, Stephen Martinez, który zorganizował przeniesienie mnie do was. I wasz kapitan.

- Ale czemu dali cię do ciężkich przestępstw, a nie do narkotyków?

- Bo narkotyki byłyby zbyt oczywiste. Musieliśmy trzymać to w tajemnicy do czasu, aż wszystko będzie gotowe. Tylko że potem wy zajęliście się sprawą zabójstwa Rodgers i zaczęłam się obawiać, że możecie wleźć nam w paradę. Początkowo miałam dołączyć do zespołu C. Ktoś od nich przechodził na emeryturę, więc nadarzał się znakomity pretekst. Kiedy zastrzelono Rodgers, poprosiłam Martineza o przydzielenie mnie do waszego zespołu, bo chciałam mieć wgląd w wasze śledztwo i pilnować, żebyście mi zbytnio nie nabruździli.

- Tracy specjalnie cię nie pokochała - zauważył Del.

- Pewnie zdradziłam jej sekret.

- Jaki sekret? - spytał Faz i spojrzał na partnera, ale na jego twarzy malowało się takie samo zdziwienie.

- To znaczy, że nie wiecie? - Gonzalez się uśmiechnęła.

- Czego nie wiemy? Tracy odchodzi?

- Będzie musiała, przynajmniej na jakiś czas. Jest w ciąży.

- Nie! - zawołał Faz. - Poważnie? Wiedziałaś o tym? - zwrócił się do Dela.

- Podejrzewałam, ale nie chciałam jej pytać. Przy moim szczęściu mogło się okazać, że po wyjściu za mąż parę kilogramów utyliła. Wiesz, jak to jest.

- No wiem. Kurczę, Tracy w ciąży!

- Zdaje się, że na razie chciała to utrzymać w tajemnicy - powiedziała Gonzalez. - Za miesiąc już się nie będzie dało. Jej sekret sam wyjdzie na jaw. Po prostu od razu widzę, jak kobieta jest w ciąży.

- Masz dzieci?

- Czwororo.

- O kurczę! Serio? - zdziwił się Faz.

- Uznam to za komplement, detektywie. A wy dwaj? Macie dzieci?

- Ja nie - rzucił Del.

- Ja jedno - odparł Faz.

- A ja myślałam, że Włosi zawsze mają duże rodziny.

- Żona i ja późno zaczęliśmy - powiedział Faz. - A potem wystąpiły komplikacje. Po pierwszej ciąży nie mogła mieć więcej dzieci.

- Współczuję.

- Miała raka macicy. - Faz ze smutkiem pokręcił głową. - A teraz dowiedzieliśmy się, że ma raka piersi. Właśnie przez to przechodzimy.

Gonzalez położyła mu rękę na ramieniu.

- Wszystko będzie dobrze. Coraz bardziej udoskonalają metody leczenia i żona nie jest jedyna. Ma wiele siostr. Sama jestem jedną z nich.

- Taaak?

Wypięła piersi.

- Chyba nie myśleliście, że są prawdziwe.

- Bez komentarza - rzucił Del.

Wszyscy troje się roześmiali, po czym Gonzalez dodała:

- Dziesięć lat temu przeszłam podwójną mastektomię. Pomyślałam wtedy, że przynajmniej będzie z tego jakaś korzyść. W każdym razie mój mąż jest szczęśliwy.

Del i Faz znów się roześmiali, ale już nic nie powiedzieli.

- Dam ci mój prywatny numer telefonu. Jeśli żona zechce z kimś pogadać, poradzić się w trakcie kuracji, jeśli będzie miała jakieś pytania, to niech do mnie zadzwoni.

- Dzięki. Na pewno się ucieszy. Ze mną nie bardzo chce rozmawiać.

- Daj jej trochę czasu i jej nie popędzaj. To bardzo przytłaczające doświadczenie.

Faz spojrzał na Dela.

- A skoro mowa o Verze...

- Mhm, lepiej zawieźmy cię do tego szpitala - powiedział Del. - Jeśli ci się zdaje, że ja mogę urządzać komuś piekło, to chyba nie widziałeś Very w akcji.

- To jej może nawet dobrze zrobić - mruknął Faz.

Gonzalez spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Aż tak mocno stłukli ci głowę?

- Vera to urodzona opiekunka - wyjaśnił Faz. - Jest szczęśliwa, jeśli może się kimś opiekować.

Gonzalez się uśmiechnęła.

- No to jak cię zobaczy, będzie najszczęśliwsza.

Rozdział 59

Dzięki akcji podjętej przez Kinsa, na wychodzące z parku Tracy i Himani Mukherjee czekały radiowozy. Czerwone i niebieskie błyski lamp na dachach aut rozświetlały ściany domu i rosnące wokół drzewa. Na uliczkę wylegli sąsiedzi, wyraźnie zaniepokojeni, choć nawet nie podejrzewali, co się naprawdę stało - i co się jeszcze wydarzy - w domu sąsiadów. Tracy posadziła Himani Mukherjee z rękami skutymi na plecach na tylnym siedzeniu jednego z radiowozów, ale jeśli kobieta czuła się tym upokorzona, nie dała tego po sobie poznać. Trzymała głowę dumnie uniesioną, wpatrując się w oparcie fotela przed sobą. Kins już wcześniej wsadził Nikhila do innego radiowozu. Chłopak też miał ręce skute na plecach, ale w odróżnieniu od matki, zwiesił głowę i uciekał wzrokiem od wszelkich spojrzeń.

- Ojciec przed chwilą wrócił. - Kins wskazał głową dom państwa Mukherjee. - Jest w środku z Samem, dziadkami i Anderson-Cooperem.

- Jak się zachowuje? - spytała Tracy.

- Jak rażony piorunem. Wszyscy są ogłuszeni. Zadzwoił do adwokata, podobno przyjaciela rodziny, i ten już tu jedzie.

- Co Nikhil ci powiedział?

- Niewiele. Sytuacja była patowa. Trzymał nóż przytknięty do gardła, ale brat zdołał go powstrzymać.

- Nie przyznał się, że zabił siostrę?

- Wyraźnie tego nie powiedział. - Kins popatrzył na sylwetkę Himani we wnętrzu radiowozu. - A co ona mówi?

- Mówi, że to ona zabiła Kavitę. - Tracy podążyła za wzrokiem Kinsa. - Twierdzi, że uderzyła ją kamieniem.

- Niemożliwe, żeby sama przeniosła ciało.

- Wiem. Kłamie, żeby go chronić. Powiedziała, że straciła już córkę i nie chce stracić także syna.

- Brzmi nawet wiarygodnie, nie uważasz? Myślisz, że mogła wysłać Nikhila, żeby zabił siostrę?

- Nie wiem. Wiedzieli, że Kavita jest w hotelu i że z jakiegoś powodu, którego już nigdy nie poznamy, przyjedzie do parku.

- Matka go teraz nie wybroni - rzucił Kins. - W każdym razie nie całkowicie. A jeśli będzie się upierała, to oboje pójdą siedzieć. Chyba że któreś z nich wyzna prawdę. On może to zrobić, ona raczej nie.

Tracy spojrzała na dom.

- Żal mi ojca i Sama - powiedziała. - Dużo już wycierpieli, a wiele jeszcze bólu przed nimi.

- Wiem, jakim potwornym wstrząsem dla rodziny jest śmierć córki i siostry. Jak sobie z tym radzisz?

Pomyślała o tym strasznym dniu w Cedar Grove, kiedy w końcu odnaleziono szczątki Sary w płytkim grobie. Tracy zastanawiała się wtedy, czy potrafi dalej żyć, co ją będzie trzymało przy życiu po tym, jak poznała straszną prawdę o zniknięciu swojej dwudziestoletniej siostry. Wówczas nie znała na to odpowiedzi i tak było aż do owego magicznego momentu w łazience ich wiejskiego domku w Redmond, gdy na pasku ciążowym zobaczyła dwie wyraźne kreski.

Położyła dłoń na brzuchu.

- Wszystko w porządku - powiedziała.

Epilog

Sobota, 15 grudnia 2018

Pielęgniarka podała Tracy jej opatuloną w kocyk nowo narodzoną córeczkę w różowym czepku na główce. Dziecko miało sinoczerwoną buzię, jego wytrzeszczone i lekko zezowate oczka patrzyły obojętnie na świat.

- Jest pani pewna, że to normalne? - upewnił się Dan. - Taki zez?

- Absolutnie normalne - zapewniła go położna.

- A jej oczy zostaną niebieskie?

- Niekoniecznie, ale ponieważ oboje państwo macie jasny kolor oczu, powiedziałabym, że to bardzo prawdopodobne.

- I jest zdrowa? Wszystko z nią w porządku?

- Waży trzy kilogramy siedemset dwadzieścia gramów - odparła położna i lekko zachichotała. - Z całą pewnością nie jest zagłodzona.

Lekarze wywołali poród, gdy Tracy minął tydzień od wyznaczonego terminu.

Położna zakończyła swoje czynności i zebrała ręczniki i tacki.

- Zostawię teraz państwa na trochę samych. W poczekalni czekają goście.

Tracy popatrzyła na Dana, po czym przeniosła wzrok na położną.

- Proszę dać nam chwilę, zanim pani ich wpuści. I bardzo dziękuję... za wszystko.

- To pani wykonała całą pracę - odrzekła położna. - Ja tylko pomagałam.

Po jej wyjściu Dan podszedł do łóżka, nachylił się i pocałował Tracy.

- No i jak się czujesz, mamusiu?

Uśmiechnęła się przez łzy płynące jej po policzkach.

- Jest taka śliczna, prawda? Taka niewinna.

- Ma dziesięć paluszków u rąk, dziesięć u nóg, dwoje uszu i nos powiedział Dan. - Jaka szkoda, że nasi rodzice nie mogą przeżywać tego z nami. Moja mama by ją uwielbiała. Rozpieszczałaby ją bez umiaru...

- A ty jak się czujesz?

- Jakbym wszedł na Mount Rainier, stanął na szczycie i patrzył, jak nad horyzontem wschodzi słońce, wstaje nowy dzień i na niebie pojawia się tęcza - odparł Dan z uśmiechem. - I nawet to nie byłoby tak piękne jak to, co widzę w tym pokoju.

- Zanadto się nade mną nie roztkliwiaj, bo moje hormony szaleją. Tracy znów zaczęła płakać.

- Hej - szepnął Dan. - Wszystko dobrze. Popatrz na to, co ci się właśnie udało.

- Obojgu nam się udało. - Tracy spojrzała na córeczkę. - Chcę tylko ją chronić, wiesz? Nie chcę, żeby się kiedykolwiek przewróciła i obtarła sobie kolana albo żeby jakiś łobuz złamał jej serce.

- Myślę, że jest jeszcze trochę czasu, zanim zaczną się wokół niej kręcić chłopcy. A poza tym jej mama ma kilka sztuk broni i jest wciąż jednym z najszybszych strzelców na Zachodzie.

- Mogę nauczyć ją strzelać - powiedziała Tracy, choć chwilę wcześniej nawet nie przyszło jej to do głowy. - Będzie mogła brać udział w zawodach.

- Powtórzę, że jest jeszcze trochę czasu, zanim zaczniesz ją tego uczyć.

Tracy uśmiechnęła się i spojrzała na męża.

- To jak, myślałeś trochę nad tym?

- Wiesz przecież, że z radością się zgodzę, żeby dać jej na imię Sara.

- Tak, wiem.

Któregoś ranka, leżąc jeszcze w łóżku, zaczęli się zastanawiać nad imionami dla dziecka. Jakaś jej część chciała uhonorować siostrę i upamiętnić ją w taki sposób, żeby na dźwięk imienia Sary na twarzy Tracy pojawiał się uśmiech, a nie głęboki smutek. Ale inna jej część ostrzegała przed złożeniem takiego ciężaru na barki córki. Tracy nie chciała, żeby córka czuła się zobowiązana być kimś określonym, postępować w taki czy inny sposób. Chciała, aby wyrosła na samodzielną osobę, która sama zadecyduje, kim chce być. Tracy już nigdy nie zapomni, że Sarę spotkał straszny i tragiczny los i że coś podobnego spotkało także Kavite Mukherjee oraz tysiące innych młodych kobiet, nie chciała jednak, by to ponure piętno miało się w jakikolwiek sposób kojarzyć z czymś tak niewinnym i pięknym.

- Nie - powiedziała. - Słyszac imię naszej córki, chcę mieć tylko skojarzenia z pięknem. Z czymś, co przywoła na moją twarz zawsze tylko uśmiech.

- Okej. To jak chcesz ją nazwać?

W tym momencie przyszło jej do głowy imię, którego wcześniej ani ona, ani Dan w ogóle nie rozważali, a które teraz wydało jej się wręcz idealne.

- Chcę ją nazwać imieniem kojarzącym się z kimś, kto mojemu życiu przywrócił kolory w chwili, gdy wszystko wydawało się tylko czarno-białe. Chcę, żeby miała na imię Danielle.

Do oczu Dana napłynęły łzy. Pochylił się nad żoną tak nisko, że ich nosy się zetknęły.

- Naprawdę? - szepnął.

- Możemy mówić na nią Dani, żeby było krócej.

- Okej. A więc: Danielle Sara O'Leary. - Dan złożył długi pocałunek na ustach żony.

- Teraz możesz ich wpuścić - powiedziała Tracy.

Dan ucałował córeczkę i wyszedł z pokoju. Tracy znalazła przyciski ustawiania łóżka, podniosła część pod plecami i położyła Danielle obok siebie. Zastrzyk znieczulający przestawał powoli działać i czuła się coraz bardziej obolała i wyczerpana. Ale w centrum jej uwagi była córeczka. Nie mogła przestać na nią patrzeć, nie mogła przestać się uśmiechać.

Drzwi do pokoju się otworzyły i stanęła w nich położna.

- Domagała się już jedzenia? - spytała.

- Jeszcze nie. Leży sobie cichutko i tylko ogląda świat.

- Jest zaciekawiona, prawda? - Położna podeszła do łóżka i przyjrzała się dziecku. - Proszę jeszcze chwilę zostawić ją w spokoju, potem może pani spróbować ją nakarmić. Będzie głodna. A skoro o tym mowa, co mogę przynieść mamusi?

Tracy musiała dopiero przywyknąć do słowa "mamusia".

- Marzy mi się cheeseburger z frytkami... i czekoladowy koktajl mleczny. Z porcją bitej śmietany - powiedziała Tracy. - Chyba mam kilka miesięcy, zanim znów będę musiała pilnować wagi.

- Proszę korzystać, póki można. A co dla męża?

- To samo.

- Już się robi - rzuciła położna, wychodząc na korytarz.

Drzwi ponownie się otworzyły i do pokoju wszedł Dan, a za nim Faz i Vera. Vera bez wahania podeszła do łóżka i nachyliła się nad dzieckiem. Na głowie miała modną włóczkową czapkę, która zakrywała jej resztki włosów. Kiedy na onkologii powiedziano jej, że na czas chemioterapii

najlepiej byłoby ogolić głowę na zero, bo w ten sposób uniknie przerażenia, znajdując na szczotce całe kępki włosów, Faz zadzwonił do Tracy i poprosił, aby przyjechała i podtrzymała Verę na duchu. Tracy spełniła jego prośbę i w trakcie chemioterapii odwiedzała Verę niemal codziennie, nawet wówczas, gdy stała się wielka jak beczka. Przynosiła też domowe jedzenie, które Vera sobie mroziła.

- Jest piękna! - wykrzyknęła Vera z zachwytem. - O mój Boże, Vic, spójrz na nią. Mały aniołek.

Faz podszedł bliżej.

- Śliczna, Tracy. Dobrze się sprawiłaś. Naprawdę świetnie.

Twarz już mu się zagoiła, miał na niej jeszcze blizny, ale chirurgom udało się zszyć rozcięcie brwi nad okiem i naprostować nos. Blisko dwa miesiące był na zwolnieniu, lecząc obrażenia, w tym dwa pęknięte żebra, i wciąż jeszcze nie wrócił do pracy w pełnym wymiarze czasu. Vera się nim opiekowała, choć próbował protestować. Była to jednak dla niej dobra terapia, bo pozwalała jej zapomnieć o raku i dni szybciej mijały.

- Jak się czujesz? - zwróciła się do niej Tracy.

- Czy to nie ja powinnam zadać takie pytanie tobie?

- U mnie wszystko w porządku. Jestem trochę zmęczona i trochę przejęta, ale nie mogłabym być szczęśliwsza. Jak było po ostatniej dawce?

Ostatnią sesję chemioterapii Vera miała dwa dni przed przyjęciem Tracy na porodówkę. Faz mówił, że onkolog jest więcej niż optymistą: uważa, że nastąpiła remisja nowotworu i że tak już zostanie.

- Dobrze - odrzekła Vera. - A kiedy Dan zadzwonił z wiadomością, że już cię zawiózł do szpitala, poczułam taki przypływ energii jak nigdy wcześniej.

- Kiedy jesteś umówiona na chirurgię plastyczną?

- Za miesiąc.

- zaproponowałem, abyśmy zaprosili na kolację Andreę Gonzalez, żeby Vera mogła się przyjrzeć różnym rozmiarom - powiedział Faz.

Vera pacnęła go dłonią.

- No co? - zachnął się Faz. - To jak z kupowaniem samochodu, nie? Idziesz i patrzysz, który ci się podoba.

- To idź sobie i patrz - prychnęła Vera. - Ty nie będziesz musiał ich nosić przez cały dzień.

- Słuchajcie, a macie już dla niej imię? - zapytał Faz.

- Danielle - powiedział Tracy. - Będziemy ją nazywać Dani.

- Poważnie? - Faz spojrział na Dana i kiwnął z uznaniem głową. Zawsze chciałem nazwać Antonia Faz, ale moja żona się nie zgodziła.

Vera wywróciła oczami.

- Pięknie by to brzmiało, prawda? Faz Fazzino. Już masz knajpę swojego imienia i niech ci to wystarczy.

- Jest już czynna? - spytała Tracy.

- Otwarcie od jutra za tydzień - odparł Faz. - Chcemy zaprosić was, Dela z Celią i Kinsa z Shannah.

- Na pewno nie przepuścimy takiej okazji - zapewnił go Dan.

- I to podwójnej - wtrąciła Vera. - Antonio oświadczył się swojej dziewczynie.

- To cudownie! - zawołał Dan.

- Vera mówiła wam, że będzie pracować w tej restauracji? - spytał Faz.

- Tylko parę dni w tygodniu, jako gospodyni lokalu - wyjaśniła Vera.

- Nie, nie. Powiedz im, co mówił Antonio.

Wyglądała na lekko zmieszaną.

- On chce, żeby Vera przejęła szefostwo kuchni - oznajmił Faz. - Jakiego słowa użył?

- Tournant - bąknęła Vera.

- O właśnie. Chce, żeby Vera została tournant w kuchni. To taki główny szef, który ma na wszystko oko. Ona idealnie do tego pasuje.

- Doceniam wasze zainteresowanie moją osobą, ale zdaje mi się, że jest tu pewna mamusia i jej cudowne dzieciątko i że to oni zasługują na więcej uwagi niż ja.

Tracy się uśmiechnęła.

- Chcesz ją potrzymać? - spytała.

Vera rozpromieniła się.

- Czy chcę ją potrzymać? A czy kogut umie pisać? Daj mi tego ślicznego aniołka. - Tracy podała jej zawiniątko z niemowlęciem. - Boże, spójrzcie tylko na te jej bystre oczka.

- Lepiej uważaj, Tracy - wtrącił Faz. - Może wyrosnąć na detektywa.

- Jest po prostu śliczna. - Vera nie przestawała się zachwycać. - To najpiękniejsze maleństwo na świecie.

Tracy dała znak głową Danowi.

- Słuchajcie - odezwał się - zanim zbiegną się tutaj inni, Tracy i ja chcieliśmy was o coś poprosić.

Vera, która nie przestawała tulić i kołysać dziecka, nagle zamarła w bezruchu. Faz wyraźnie się zaniepokoił.

- Chcesz wrócić do pracy, tak? - zwrócił się do Tracy.

- Na podjęcie tej decyzji zostało mi jeszcze dużo czasu - odparła Tracy.

- Wiecie, że Tracy uważa was za swoją rodzinę - podjął Dan. - Dlatego pragniemy zapytać, czy zechcecie uczynić nam ten zaszczyt i zostać rodzicami chrzestnymi Danielle.

Na moment Verę i Faza zamurowało. Popatrzyli po sobie w milczeniu, a potem Vera zaczęła płakać. Łzy popłynęły ciurkiem po jej policzkach, co z kolei poruszyło Faza.

- O rany - rzucił cicho. - To będzie dla nas zaszczyt. Ogromny zaszczyt, prawda, Vera?

Jego żona w milczeniu skinęła głową, podeszła do łóżka, pochyliła się i pocałowała Tracy w policzek.

- No i co wy na to - powiedział Faz. - Najpierw mam restaurację swojego imienia, a potem zostaję ojcem chrzestnym. I nie bój nic, Tracy - dodał, całkiem udanie przybierając ton Marlona Brando z Ojca chrzestnego. - Jak tylko jakiś chłopak zacznie się kręcić przy twojej córce, to będzie miał ze mną do czynienia.

- Don Fazzio - prychnęła Tracy. - Boże, zmiłuj się nad nami. Zespół A już nigdy nie będzie taki sam.

Podziękowania

Pomysł na tę powieść przyszedł mi do głowy po tym, jak przeczytałem w gazetach kilka artykułów na temat aranżowanych małżeństw, będących częścią indyjskiej kultury, oraz randkowania ze "słodkimi tatusiami". Aranżowane małżeństwa stanowią w indyjskiej kulturze temat drażliwy i złożony. Pisząc tę powieść, nie zamierzałem tego oceniać, lecz chciałem jedynie poruszyć temat i zestawić go z kwestią randek w ciemno, dość powszechnych w amerykańskim społeczeństwie. Zwróciłem się o pomoc do przyjaciółki i utalentowanej pisarki Bharti Kirchner. Bharti przeczytała pierwszy szkic powieści i dała mi listę lektur, które miały mi pomóc zrozumieć tamtejszą kulturę. Wśród nich znalazła się jej własna powieść *Sharmila's Book*, a także powieść Anne Cheriean *A Good Indian Wife* oraz książka laureatki nagrody Pulitzera, Jhumpy Lahiri, *Imiennik*. Niestety, główne przesłanie tej powieści jest równie tragiczne, co prawdziwe.

Z kolei cała koncepcja randkowania ze "słodkimi tatusiami" jest kłopotliwa. Po przeczytaniu kilkudziesięciu artykułów i postów w internecie nie bardzo wiem, co mam o tym myśleć. Internet próbuje nam wmawiać, że dzięki temu pewien odsetek amerykańskich dziewcząt kończy studia, ale uczelnie przyznają, że nie ma sposobu, by zweryfikować tę tezę. Artykuł, który zrobił na mnie największe wrażenie, został napisany przez reporterkę, która wcieliła się w postać słodkiej dziewczynki i wzięła udział w seminarium w Los Angeles. Fragment jej artykułu, który najmocniej utkwiał mi w pamięci, mówił o tym, że niemal wszyscy wchodzący na stronę internetową, w tym także "słodcy tatusiowie", używali fałszywych imion i nazwisk, by chronić swoją tożsamość. Nazwała to "niebezpieczną zabawą", w której młode kobiety umawiają się na "randki" ze starszymi mężczyznami, nie znając nawet ich prawdziwych imion.

Tak jak wszystkich moich powieści z serii o Tracy Crosswhite, także i tej nie napisałbym bez pomocy Jennifer Southworth z Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych policji Seattle oraz Scotta Tompkinsa z Wydziału Ciężkich Przestępstw biura szeryfa hrabstwa King.

Podziękowania należą się też Kathy Taylor, antropolożce kryminalistycznej z biura szeryfa hrabstwa King. Jej opieka niezmiennie mnie inspiruje. Dziękuję także Kathy Decker, byłej koordynatorce z wydziału poszukiwawczo-ratunkowego biura szeryfa hrabstwa King, znanej tropicielce osób zaginionych. Kathy pomagała mi w pisaniu wielu powieści i mam to szczęście, że mogę czerpać z jej ogromnych zasobów wiedzy.

Dziękuję Meg Ruley, Rebecce Scherer i całemu zespołowi z agencji Jane Rotrosen. Niemal jak w małżeństwie, trwali przy mnie w lepszych i gorszych chwilach, na dobre i na złe, i mam nadzieję, że będą trwali przez

wszystkie pozostałe dni mojego literackiego żywota. Robią dla mnie tak dużo, że brak mi słów, by wyrazić wdzięczność.

Dziękuję całemu zespołowi z wydawnictwa Thomas & Mercer. To już szósta moja powieść z serii o Tracy Crosswhite i siódma ukazująca się w tym wydawnictwie. Ludzie ci wciąż promują je wszystkie, od pierwszej do siódmej, z takim zapałem, z jakim robili to wówczas, gdy ukazywały się na rynku. Już to mówiłem, ale raz jeszcze powtórzę: zmienili moje życie zawodowe i życie mojej rodziny. Jestem im niezmiernie wdzięczny za wszystko, co dla mnie zrobili i robią nadal. Dzięki nim moje książki trafiły do milionów czytelników, a to jest coś, czego pragnie każdy autor. Co więcej, niedawno na przyjęciu charytatywnym w Los Angeles ofiarowali trzysta egzemplarzy mojej książki *Grób mojej siostry* na rzecz funduszu wsparcia osób z autyzmem, by w ten sposób pomóc w zbiórce pieniędzy dla potrzebujących.

Dziękuję Sarah Shaw z działu kontaktów z autorami, która zawsze wita mnie z uśmiechem na twarzy i czymś specjalnym dla mnie i mojej rodziny. Dziękuję za niezmiennie rozświetlanie moich dni.

Dziękuję Seanowi Bakerowi, dyrektorowi produkcji; Laurze Barrett, kierowniczce produkcji, oraz Oisín O'Malley, szefowej działu graficznego. To też już mówiłem i też powtórzę: uwielbiam okładki i tytuły wszystkich moich powieści i właśnie im je zawdzięczam. Dziękuję Dennelle Catlett z Amazon Publishing PR za jej wysiłki przy promowaniu mnie i moich powieści. Dennelle opiekuje się mną podczas moich wyjazdów i dzięki niej zawsze czuję się jak pasażer pierwszej klasy. Serdeczne podziękowania dla zespołu marketingowego - Gabrielle Guarnero, Laury Constantino i Kyli Pigoni. Słowa wdzięczności kieruję też to wydawcy Mikiyli Brudera, do asystenta wydawcy Galena Maynarda i do Jeffa Bellego, wiceprezesa Amazon Publishing.

Specjalne podziękowania dla dyrektor wydawniczej Thomas & Mercer, Gracie Doyle. Towarzyszy mi od narodzin pomysłu do ostatniej wersji powieści, zawsze podsuwając propozycje, jak można ją ulepszyć. Zmusza mnie, bym pisał najlepiej, jak potrafię, i jestem bardzo szczęśliwy, że mam ją w moim zespole redakcyjnym.

Dziękuję Charlotte Herscher, redaktorce. To nasza ósma wspólna książka, niewykluczone, że najtrudniejsza do napisania i zredagowania. Charlotte była cały czas przy mnie, mobilizowała do wprowadzania koniecznych zmian i pomagała uczynić z tej powieści coś, z czego jestem bardzo dumny. Dziękuję Scottowi Calamarowi, współredaktorowi. Kiedy wykrywa się jakąś niedoróbkę w tekście, to cudowne, że można wtedy poprosić o pomoc.

Dziękuję Tami Taylor, która prowadzi moją stronę internetową, redaguje moje komunikaty i tworzy okładki niektórych zagranicznych wydań moich książek. Dziękuję Pam Binder i Stowarzyszeniu Pisarzy Północno-Zachodniego Pacyfiku za ich wsparcie w mojej pracy. Dziękuję Seattle 7 Writers, stowarzyszeniu non-profit pisarzy Północno-Zachodniego Pacyfiku, które propaguje i wspiera słowo pisane.

Dziękuję wam wszystkim, moim czytelnikom, za to, że szukacie moich powieści, i za wasze niewiarygodne wspieranie mojej pracy. Dziękuję, że przekazujecie mi swoje opinie i piszecie do mnie maile, dzięki którym wiem, że lubicie moje książki.

Dziękuję mojej żonie Cristinie i moim dwojgu dzieciom, Joemu i Catherine. Już się cieszę na naszą kolejną wielką, pełną przygód podróż.

Przypisy

Notatki

[← 1]

Uliczne gangi złożone głównie z Afroamerykanów.

[← 2]

Versaterm - kanadyjska firma informatyczna, specjalizująca się w budowie systemów informacyjnych dla policji, straży pożarnej, służby granicznej itp.

[← 3]

CSI (Crime Scene Investigation) - Sekcja Oględzin Miejsca Przepstwa; SWAT (Special Weapons and Tactics) - antyterrorysty.

[← 4]

Fatso (ang.) - tłuszczoch.

[← 5]

Przestępstwa Internetowe Przeciwko Dzieciom.

[← 6]

ABIS - System Automatycznej Identyfikacji Biometrycznej; AFIS - System Automatycznej Identyfikacji Odcisków.

[← 7]

ACLU (American Civil Liberties Union) - założona w 1920 roku amerykańska organizacja non profit, której celem jest ochrona praw obywatelskich gwarantowanych przez konstytucję.

[← 8]

Down Pour (ang.) - dosłownie: ulewa.

[← 9]

Seahawks - drużyna futbolu amerykańskiego z Seattle.

[← 10]

Sallie Mae - amerykańska spółka giełdowa udzielająca kredytów studenckich.

[← 11]

DEA, Drug Enforcement Administration - amerykańska agencja rządowa, zajmująca się walką z narkotykami.

[← 12]

Grupa zadaniowa do walki z narkotykami w przestępczości zorganizowanej.